

**Cottam F. G.**

## **Klątwa Magdaleny**

*Mężczyzna, którego przeszłość naznaczyła los jego rodziny.  
Chłopiec, którego teraźniejszość naznaczyła straszliwa klątwa.  
Dwoje ludzi w piekielnym pojedynku z niewytłumaczalnym - w  
powieści autora "Domu zagubionych dusz"*

*Dziesięcioletni Adam ma straszne sny. Budzi się z krzykiem, ale nie pamięta, o czym śnił. Już po kilku wizytach doktor Elizabeth Bancroft nabiera pewności, że to nie choroba wywołuje te koszmary... Ojciec chłopca jest przerażony: aż za dobrze pamięta wydarzenie sprzed dziesięciu lat: tajną operację w Amazonii, która skończyła się tragicznie, upiorne spotkanie w sercu dżungli i klątwę, która teraz zaczyna się spełniać... Wyrusza na poszukiwanie tajemniczej kobiety - jedynej, która może ocalić jego syna...*

## I

Usłyszała, że w sypialni na górze chłopiec się porusza, wzdycha i mamrocze coś przez sen. Spojrzała na grube belki i chropawy tynk niskiego sufitu salonu. Przytulny pokójek dziecka znajdował się na piętrze po prawej stronie. Nasłuchiwała z niepokojem, wyczulona na każdy dźwięk.

Cierpienie chłopca sprawiło, że reagowała na każdy szmer. Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że jest prawie pierwsza w nocy. Wstała i rozgarnęła pogrzebaczem żarzące się węgle w gasnącym kominku, a potem wróciła na fotel, owinęła ramiona kocem i położyła głowę na oparciu fotela. Odgłosy z góry umilkły. Teraz słyszała, jak drewno w kominku z sykiem zamienia się w szary popiół, i jeszcze bicie własnego serca. Rytmiczne, głuche. Na dworze szumiał wiatr - słabszy na porośniętym wrzosem zbocz, silniejszy w gałęziach cisu przed kuchennymi drzwiami. Była tak przewrażliwiona, że irytowały ją nawet ulubione wonne świece, które zabrała tu ze sobą. Nie mogła znieść skwierczenia knotów i odgłosu kapiącego wosku.

Uśmiechnęła się do siebie, skulona pod kocem. Właściciel tego domu robiłby pewnie to samo: nasłuchiwał z czujnością wyostrzoną przez lata służby w wojsku. Teraz jednak go tu nie było. Wyjechał dwa dni temu na najważniejszą w życiu misję. Przedterminowo zwolnił się z wojska w stopniu pułkownika. Był nadal stosunkowo młody i w pełni sił, lecz czy jego budzące respekt, niebezpieczne umiejętności wystarczą, by ocalić ukochanego syna? Wątpiła w to, choć miała nadzieję, że się myli.

Na stoliku obok stał laptop. Pomyślała, że postawiła go tam chyba tylko po to, żeby jej przypominał, kim jest i czym się zajmuje. Na ekranie widniały dwa wypisane kursywą wiersze. Białe na tle czerni. „Ten komputer jest własnością dr Elizabeth Bancroft”. Tyle wiedziała. Tego była pewna. Ale przez kilka ostatnich dni mieszkała w tym samotnym górskim domu i była pewna już niewielu rzeczy.

Zastanawiała się, czy nie przeszukać ponownie Internetu, by dowiedzieć się więcej o symptomach, jakie obserwowała u tego biednego chłopca, którego ojciec poprosił ją o pomoc. Poszukiwania byłyby jednak daremne. To, czego ostatnio była świadkiem, przekreśliło ostatecznie wszystkie wydumane teorie. Bo były rozmaite teorie: alergia pokarmowa, opóźniony wstrząs i żal po stracie bliskiej osoby, nadmierny wpływ pełnych przemocy gier wideo. Formułowała te teorie, a potem głęboko je analizowała. Były eleganckie i pozornie wiarygodne. Tylko że nie miały nic wspólnego z cierpieniami chłopca.

Na tym chyba polega rola lekarza? Nie ignorować żadnych objawów, dążyć do prawdy, zachować dyscyplinę diagnostyczną. Bez prawdziwej diagnozy nie można przecież skutecznie leczyć choroby i jest się bezużytecznym dla pacjenta. Szukała racjonalnego wyjaśnienia przypadku dziecka.

Zmuszały ją do tego instynkt i profesjonalizm. A jeśli miała być zupełnie szczerą, również duma zawodowa. Ale teraz to, co podpowiadał jej instynkt, bardzo się kłóciło z dyscypliną diagnostyczną. Nie potrafiła tych dwóch rzeczy pogodzić, od wydarzeń, które przed kilkoma dniami rozegrały się w sypialni chłopca i które stały się przyczyną wyjazdu jego ojca. Od tamtej chwili nie mogła uporządkować myśli. Zdała sobie sprawę, że do tej pory zachowywała się powściągliwie i zwodziła samą siebie. Ale teraz koniec. Chciała zadzwonić do ojca chłopca, spytać, jak mu idzie. Mógł jednak odebrać telefon z nadzieją, że z domu otrzyma pokrzepiające wiadomości. A ona musiałaby go pozbawić złudzeń. Przebywał z dala od ukochanego syna, jedynej bliskiej osoby, jaka mu pozostała na świecie, nie chciała więc dodatkowo utrudniać mu życia.

Rozejrzała się po pokoju. Oświetlały go lampa, stojąca na stole przy laptopie, i kinkiet obok drzwi do schodów prowadzących na piętro. Dogasające w kominku polana właściwie nie dawały światła. Ściany tworzył goły pruski mur, posadzkę - kamienne płyty. Okna nierównych rozmiarów, poprzecinane ołowianą kratką, wyglądały krzepiąco solidnie. Dom zbudowano w XV wieku i ten pokój był tego najlepszym dowodem. Na podłodze leżały dywaniki. Meble, stare i proste, harmonizowały z całym budynkiem. Mark Hunter i Adam, jego dziesięcioletni syn, nie przywieźli ze sobą żadnych sprzętów. Żadnych fotografii ani pamiątek po zmarłych. Po żonie i córce Marka. Po matce i siostrze Adama. Przynajmniej nic takiego nie było na widoku. Elizabeth przypuszczała, że zamknęli to w swoich sercach.

- Proszę mi mówić Mark - powiedział, wyciągnąwszy do niej dłoń, gdy przyszła tu z pierwszą wizytą. Wezwał ją, zaniepokojony o zdrowie syna, a ona przyjechała o siódmej rano, na początku dnia pracy. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że Hunter martwi się o dziecko. Wyczuła to w tonie jego głosu, kiedy zadzwonił do niej do gabinetu. Jednak w bezpośrednim kontakcie spostrzegła, że powodem jego niepokoju jest coś więcej niż dręczące syna koszmary. Nie uważała się za osobę obdarzoną szczególną intuicją. Tutaj zresztą nie była ona potrzebna. Znała całą historię. Wszyscy w okolicy słyszeli o tragedii, która dotknęła tę rodzinę. Podczas tego pierwszego spotkania przede wszystkim uderzyło ją to, jak przystojnym jest mężczyzną. Jednak utrata najbliższych odcisnęła na nim swoje piętno. Ból był tak wyraźny, jak cień rzucany w słoneczny dzień.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Adama, chłopiec spał. Leżał na plecach. Głowa spoczywała na poduszce, skierowana w stronę mlecznego porannego światła. Miał gładką twarz w obramowaniu falujących, długich, jasnych włosów. Wiedziała, że śpiące dzieci zazwyczaj wyglądają słodko. Ich rysy się wygładzają i nie widać po nich skłonności do psot. Ale ten chłopiec był nie

tylko uroczy, był nadzwyczajny. Nie przychodziło jej do głowy trafniejsze określenie. Nie słodki. Nie aniołkowaty. Nie oryginalny. Po prostu najładniejszy chłopiec, jakiego Elizabeth kiedykolwiek widziała.

- To ładny dzieciak - odezwał się Mark Hunter za jej plecami, odczytując jej myśli. - Ma szczęście, że urodę odziedziczył po matce. Ale w ostatnich dniach jest małą udręczoną duszyczką.

Przecisnął się obok niej i wyciągnął rękę do syna. Z największą czułością odgarnął mu z twarzy posklejane włosy. A potem pocałował go w czoło.

Elizabeth położyła na łóżku torbę lekarską i otworzyła ją energicznie.

Sygnał dla Marka Huntera, by zostawił ją samą z pacjentem. Zrozumiał aluzję.

- Zobaczymy się na dole, pani doktor - powiedział.

- Proszę, mów mi Elizabeth. Twój syn mocno śpi. Nie chcę go budzić tylko po to, żeby mu zadać parę pytań. Ale jeśli się sam obudzi, przepytam go bardzo delikatnie.

- Rób, co konieczne.

- Na razie go zbadam. Zmierzę temperaturę i ciśnienie krwi. Tak czy inaczej będę musiała z nim porozmawiać. Możemy potrzebować konsultacji specjalistycznej, ale wymagane są wcześniejsze gruntowne badania, w tym ocena stanu emocjonalnego.

- Cieszę się, że masz czas.

Elizabeth spojrzała na zegarek. Ujęła w przegubie dłoni Adama, wyczuła puls i uśmiechnęła się do jego ojca.

- Nie mam - stwierdziła.

Jedno okno w pokoju Adama wychodziło na wrzosi porastające pagórek zielono-fioletowymi łanami. U stóp pagórka połyskiwał strumień spowity poranną mgłą, którą Elizabeth, jadąc tu na górę, zostawiła za sobą.

Rozejrzała się po pokoju: ojciec bardzo się starał stworzyć synowi przytulne schronienie. Przypuszczała, że do śmierci żony i córki nie za wiele czasu spędzał z rodziną. Brał przecież udział w rozmaitych tajnych operacjach. Zgadzała, że sprawy domowe należały głównie do jego żony.

Teraz on przejął te obowiązki, a tkaniny, meble, plakaty i regały z książkami i zabawkami - wszystko to świadczyło o wielkiej trosce. Po wstępnym badaniu czekała, aż dziecko się obudzi. Hunter zrobił herbatę.

- Od jak dawna nie chodzi do szkoły? - spytała.

- Kilka ostatnich dni. To wszystko mocno go dopadło. Nie może się skupić. - Spojrzał na zegarek. - Na pewno masz jeszcze inne wizyty domowe.

- Poczekajmy dwadzieścia minut. Jeśli będzie spał spokojnie, zajrzę do niego jutro.

- Jak oceniasz jego stan?

- Ma lekką niedowagę. Może jest trochę anemiczny. Ma za szybki puls jak na śpiącego dziesięciolatka. Ale ogólnie biorąc, jest zdrowy.

Mark Hunter popatrzył na nią. Widziała siwiejące włosy i niebieskie oczy. Ich jasność i przejrzystość zdawały się przeczyć temu, że w przeszłości patrzyły na rzeczy krwawe i straszne.

- Kiedy się to zaczęło?

- Koszmary pojawiły się jakieś trzy tygodnie temu. A przynajmniej wtedy zaczął się na nie skarżyć. Bał się własnego pokoju. Zawsze kiedy zbliżała się ósma i pora snu, na jego twarzy malował się strach. Ale to się zaczęło już wcześniej. Słyszałem, jak mamrotał. Mówił do siebie.

- To normalne, że dzieci mówią do siebie.

- Sprzeczki ze sobą nie są normalne, pani doktor. Dzieci nie prowadzą ze sobą ostrych dyskusji.

Zauważyła z rozbawieniem, że wrócił do jej formalnego tytułu, gdy tylko zakwestionowała wyrażony przez niego osąd.

- Ma w pokoju komputer. Wyposażony w zapórę sieciową i inne sensowne zabezpieczenia. Widziałaś plakaty na ścianach. Kibicuje Manchesterowi United i słucha Girls Aloud.

- Więc żadnych potworów.

- Żadnych potworów.

- Przynajmniej żadnych potworów, o których byś wiedział. Hunter nachmurzył się. Łyknął herbaty.

- Czy po wypadku Adam sypiał z tobą?

- Przez pewien czas. I stanowiło to pociechę zarówno dla niego, jak i dla mnie. Ale wzajemne utulanie się płaczem nie było zdrowe dla żadnego z nas, więc się skończyło po przeprowadzce tutaj.

- Nagle?

- Podejrzewa pani, że to niepokój po rozłące? Kiedy Adam się zbudzi, zmieni pani diagnozę, pani doktor.

W myślach sformułowała następne pytanie. Odniosła wrażenie, że coraz lepiej zaczyna wszystko rozumieć. Ale nie zdążyła go zadać. Z góry dobiegł krzyk. Lament skrajnego przerażenia. Elizabeth przeszedł zimny dreszcz, zjeżyły jej się włosy na karku.

Mark Hunter zerwał się na nogi.

- Przedstawię cię synowi i zostawię was samych. Sny go przerażają, ale budzi się z nich przytomny i niewiele pamięta. Koszmary jednak coś zostawiają na kilka godzin w jego umyśle.

- Co zostawiają?

- Zobaczysz.

- Tato? - przywoływał żałośnie głos z góry. Mark się zawahał.

- Tak? - spytała Elizabeth. Spojrzał na nią twardo.

- Proszę, pamiętaj. Obiecałaś, że wybadasz go delikatnie.

Kiedy zostawił ją z Adamem, poczuła chłód. Chłopiec w pasiastej piżamie usiadł na łóżku, blady i niespokojny. W pokoju było tak zimno, że prawie spodziewała się zobaczyć obłoczek pary unoszący się z jego ust.

Wyciągnęła dłoń do kaloryfera. Był gorący. A okno tylko nieznacznie uchylone. Łagodny listopadowy poranek na dworze wydawał się cieplejszy niż wewnątrz sypialni chłopca, choć nie miało to sensu. Uśmiechnęła się do Adama i nalała mu wody do szklanki z karafki stojącej na nocnym stoliku. Chłopiec też próbował się do niej uśmiechnąć. Zerknęła na ścianę. Na oficjalnym plakacie z otwarcia sezonu gracze

jego ulubionej drużyny pozowali pewni siebie, szczerząc zęby w uśmiechu. Na innych zdjęciach, w bardziej ziarnistych zbliżeniach, poszczególni piłkarze uśmiechali się triumfalnie, prezentując zdobyte trofea.

- Czy twój ulubiony gracz to Rooney?

- Paul Scholes - odparł trzęsącym się głosem. Próbował znowu się uśmiechnąć, ale na twarzy ciągle miał wyraz rozpacz.

- O czym śniłeś, Adamie?

Podniósł szklankę obiema dłońmi i wypił wodę.

- Nie pamiętam. Chyba o jakimś zimnym miejscu. Był tam śnieg i lód.

Chyba też wielkie sople, ostre i zimne. Ale nie było ludzi, samochodów i w ogóle niczego.

- Czy to było straszne?

Spojrzał w dół na szklankę w swoich dłoniach.

- To zawsze jest straszne.

Otworzyła torbę, wyciągnęła termometr. Gdy badała go wcześniej, nie miała gorączki. Ale mogła się założyć, że w tym wychłodzonym pokoju, tuż po przebudzeniu, ma podwyższoną temperaturę.

Przebywała z Adamem dwadzieścia minut. To dość dla dziesięcioletniego dziecka. Nie chciała go za bardzo zmęczyć. Dużo spał, ale najwidoczniej wypoczywał niewiele. Kiedy się z nim pożegnała, jego ojciec odprowadził ją żwirową ścieżką do grupy iglaków na kamienistym wierzchołku pagórka, gdzie zaparkowała samochód.

- Mark, on mówi płynnie po rosyjsku. Jestem pod wrażeniem. To niezwykle osiągnięcie u dziecka. Musi być bardzo zdolny. Jak długo uczył się języka?

Mark przygryzł wargi i spojrzał w ziemię.

- Adam nie zna ani słowa po rosyjsku, Elizabeth. Za parę godzin nie będzie pamiętał ani sylaby.

- Nie rozumiem.

- Właśnie o tym ci mówiłem. To pozostałości po snach. Po kilku godzinach ta umiejętność zniknie jak rosa.



- Jak to możliwe?
- Sny należą do kogoś innego. Mój syn jest przez nie opętany.
- Czy on wie, co robiłeś w wojsku?
- Nie.
- Byłeś w SAS.
- Rzeczywiście?
- Brałeś udział w tajnych operacjach. Dostałeś medal za odwagę.
- Naprawdę?
- Tak donosiły gazety, Mark. Kiedy tu przyjechałeś i kupiłeś tę posiadłość, pisano o tym w „Chronicie”.
- A, rozumiem, skoro pisano w „Chronicie”, to na pewno prawda.
- Musisz być ze mną szczery, jeśli mam pomóc twojemu synowi.
- I będę, pani doktor. Ale spytałaś mnie, co wie Adam. Szczerość wobec ciebie nie oznacza, że przechwalałem się przed synem, opowiadając mu o operacjach, w których zabijałem ludzi.

Elizabeth wsiadła do samochodu. Miała talent do języków. Poznała nieco rosyjski, gdy pracowała jako wolontariuszka w czasie drugiego konfliktu w Czeczenii. Nie miała czasu uczyć się wtedy złożonych subtelności rosyjskiej mowy. Zbyt wiele się tam działo. Adam mówił po rosyjsku. Brzydko przeklinał w dialekcie syberyjskim.

Sny należały do kogoś innego.

Wyglądała się przed Hunterem. Bez wątplenia. Odjeżdżając spod domu, uznała, że w dorosłym życiu nigdy nie czuła się bardziej niezręcznie.

Zadzwoił do niej po południu. Rano, na wszelki wypadek, dała mu numer swojego telefonu komórkowego. Jej pacjentami byli głównie ludzie mieszkający we wsiach, rozrzuconych na sporym terenie. Ich problemem było poczucie izolacji, wywołujące niepokój zwłaszcza u starszych osób. Elizabeth dawała im numer swojej komórki, co łagodziło poczucie osamotnienia.

Ona poświęcała swoją prywatność - oni zyskiwali spokój ducha. Uznała, że warto. Leczenie traktowała jako powołanie. Zawód internisty czasami bywał trudny, a czasami dawał dużo satysfakcji. W jej przypadku był to wewnętrzny przymus, instynktowny i głęboki.

- Dzwonię z przeprosinami - powiedział. - Zachowałem się arogancko.

- A ja byłem wścibska jak wiejska baba, plotkująca przy studni parafialnej - odparła.

Zaśmiał się.

- Co z Adamem?

- Już nie jest dwujęzyczny. W porządku. Jest przygnębiony. Rano wspominałaś o ewentualnej konsultacji u specjalisty?

- Nie sądzę, by zachodziła pilna potrzeba. Ale nie powinniśmy tego omawiać przez telefon. Mogę zajrzeć jutro wieczorem, kiedy będę wracać do domu, i pogadać z Adamem przed snem. A potem przedstawię ci moje wnioski.

- Masz długi dzień pracy.

- Tak, dość długi.

Przypadek Adama bardzo ją martwił. Odczuła ulgę, że jego ojciec zadzwonił. Po co piętrzyć niepotrzebne przeszkody podczas terapii? Na szczęście, dla Huntera zdrowie syna też było priorytetem. Dlatego do niej zadzwonił. Musi być bardzo zdesperowany, pomyślała, choć gra opanowanego angielskiego oficera. Dziecko było dla niego wszystkim.

Pułkownik Mark Hunter - odznaczony Krzyżem Wojskowym i Krzyżem Jerzego - bardzo kochał syna. Chyba nie pierwszy raz przeproszał za swoją arogancję. To była cecha charakteru, którą starała się przezwyciężyć.

Widziała to tak jasno, jak widzieć musiał i on. Ale i tak wstydziała się, że powtórzyła pogłoskę za lokalnym pismem. Jędza przy studni parafialnej - to określenie napłynęło prosto z serca. Jej własna rodzina przed wieloma laty padła ofiarą okrutnej plotki. Prześladowano ich. Niekiedy posuwano się do prawdziwej przemocy. A raz, dawno temu, przemoc przerodziła się

w bestialstwo. Elizabeth wierzyła, że te pogłoski to zwykła złośliwość. Żeby ustalić, co Adam Hunter wie o swoim ojcu, należało po prostu spytać. Mark powiedziałby jej prawdę. Wyznał przecież wcześniej, że zabijał ludzi. Zabójstw dokonał podczas służby dla dobra królowej i Wielkiej Brytanii. Elizabeth nie wierzyła, by dwuznaczne postęпки ojca były przyczyną koszmarów syna. Widziała, jak chłopiec na niego patrzy. Szczerze, z uwielbieniem. „Tata” było pierwszym słowem po przebudzeniu, gdy przerażony nocnym koszmarem szukał opieki. Zastanawiała się, co Mark wie o historii swojego domu. Wszystkie stare budynki w tej części kraju były związane z jakimś bólem czy tragedią. Na przestrzeni dziejów szkockie góry przeżyły kilka krwawych epok. Przemoc nie ominęła żadnego miejsca w tej okolicy. W czasach Olivera Cromwella dom Marka był siedzibą łowcy czarownic, przysłanego z Westminsteru na polecenie parlamentu. Imperialistyczna kampania Cromwella w Irlandii jest znana i dobrze udokumentowana. Ale w Szkocji lord protektor postępował równie okrutnie. Łowca czarownic był jeszcze jednym znamienym elementem brutalnego ucisku, jaki Anglia narzucała podbitym ziemiom samowładzającej Wspólnoty. Łowca tu przybył i oczywiście znalazł czarownice. Prawdopodobnie jeszcze w Londynie wyznaczono mu kontyngent. Podczas procesów wymuszał przyznanie się do winy. Przypalał rozgrzanym w kuźni żelazem, stosował narzędzia do miażdżenia palców, podtapiał w beczkach z wodą. I palił na stosach biednych, niewinnych oskarżonych. Za to wszystko bezlitośnie go przeklinano. I mieszkał w tym właśnie domu, aż powalił go śmiertelny atak serca. Mówiono, że swąd przypalonych ciał unosił się nad pagórkami jeszcze przez dziesięciolecia. Elizabeth wierzyła tylko udokumentowanej części tej historii. Według niej ani sędzia Josiah Jerusalem Smith, ani klątwy, którymi go obłożono, nie miały nic wspólnego ze snami gnębiącymi obecnie Adama Huntera. Purytanie krzywo patrzyli nawet na łacinę. Cromwellowscy łowcy czarownic nikogo nie inspirowali do mówienia po rosyjsku.

Następnego dnia Elizabeth miała kłopot z dojazdem do domu Hunterów. Co prawda mgła o tej porze roku nie była niczym niezwykłym, jednak zazwyczaj snuła się wśród wąwozów, dolin, brzegów strumieni i lasów i ustępowała wraz z wysokością. Nie tego wieczoru. Wyczarowana przez nią ciemność zapadła wcześniej. Elizabeth nie знаła drogi zbyt dobrze. Na owinięty bladymi mackami samochód nacierała nieprzezroczysta zasłona szarości. Reflektory nie wydobywały z mroku żadnych punktów odniesienia i Elizabeth miała niesamowite wrażenie, że unosi się nad ziemią. Wlokła się przez tę piekielną otchłań i dopiero nagłe przechylenie i dygot samochodu przypomniały jej, że jedzie szosą, a po obu jej stronach znajdują się strome skarpy. Gwałtownie skręciła kierownicą. Miała nadzieję, że dotrze do celu o wpół do ósmej, ale kiedy wreszcie zauważyła światło na wzgórzu, było już po ósmej.

Hunter powitał ją przed drzwiami - chyba wyszedł na odgłos zbliżającego się samochodu.

- Coś się wydarzyło - powiedział, zanim zdążyła przeprosić za spóźnienie. Miał zatroskaną i udręczoną twarz.

Rozpięła płaszcz, a on odebrał go od niej i powiesił na kołku przy drzwiach.

- Co się stało?

- Sprawy posunęły się znacznie dalej. Nastąpiło pogorszenie. Adam mówi we śnie. Starąłem się czymś go zająć do twojego przyjazdu. Graliśmy w szachy. Ale, biedactwo, zasnął nad szachownicą. Jest wyczerpany.

Zaniósłem go na górę i opatulałem kołdrą, kiedy zaczął mamrotać. Nie wiedziałem, czy go budzić, czy zostawić w spokoju. To coś niesamowitego.

Nawet trudno to nazwać koszmarem. On uczestniczy w tych snach.

Szepcze w językach, które od tysięcy lat są martwe.

Elizabeth położyła dłoń na ramieniu Huntera. Ścisnęła go. Był bliski płaczu, jakby wydarzenia w sypialni syna odebrały mu zdolność myślenia.

- Masz jakiś alkohol?

- Mam whisky.

- Nalej pięć centymetrów do szklanki i wypij jednym haustem.

Próbował się uśmiechnąć.

- To zalecenie lekarskie?

- Tak. Idę na górę - powiedziała.

Adam leżał spokojnie na plecach. Oddychał regularnie, lecz wolno, usta miał lekko rozchylone. Jego cera przybrała niebieskawy odcień, co zaniepokoiło Elizabeth. Tym razem również poczuła w pokoju dotkliwie zimno pomimo tak gorącego kaloryfera, że udało jej się go dotknąć zaledwie przez kilka sekund. Chłopiec mówił. Ale nie swoim normalnym, czystym, dźwięcznym głosem. W dodatku miała wrażenie, że słyszy kilka osób. Przypominało to jakiś zaawansowany pokaz brzuchomówstwa. Głosy wydobywały się z piersi i padały słowa, choć chłopiec wcale nie poruszał ustami. Jakby się słuchało radia opowiadającego historie z czasów biblijnych. Rozbrzmiewały archaiczne języki i na ich dźwięk Elizabeth aż zadrżała w chłodnym pokoju.

Wtedy przypomniała sobie brzuchomówcę występującego w programie telewizyjnym, gdy była małą dziewczynką, cztero- czy pięcioletnią. Lalka siedząca na kolanach artysty śpiewała, a sam brzuchomówca z namaszczeniem pił mleko z wysokiej szklanki. Nadal pamiętała tę piosenkę. Było to *I Belong to Glasgow*. Intrygowało ją wtedy, jak to wszystko jest zrobione. Teraz, ponad ćwierć wieku później, znowu zastanawiała się, w jaki sposób ta nawałnica martwych głosów może wylewać się ze śpiącego chłopca.

Niektóre mówiły po łacinie. Inne w klasycznej grece. Wydawało jej się, że słyszy również fragmenty Ewangelii świętego Łukasza po hebrajsku, a potem rozpoznała dość długi pasaż z *Raju utraconego* Milтона w angielskim dialekcie, którego nigdy nie słyszała w naturze. Niekiedy dwa głosy mówiły jednocześnie. To było naprawdę denerwujące. Gwarny bełkot omal nie zmusił jej do ucieczki. Słyszała gniew i kpinę, ale nie mogła powiązać ich

z Adamem. Uniosła mu powiekę, a potem zmierzyła puls. Serce chłopca biło regularnie, spał głęboko, chociaż niespokojnie. Głosy umilkły na chwilę, zapadła pełna napięcia cisza. Elizabeth wymknęła się z pokoju. Te głosy są równie martwe jak lalka brzuchomówcy, próbowała uspokoić się w myślach. Gdyby były żywe, zwróciłyby się do niej. Tego by chyba nie zniosła. Wyczuwała w nich zło. Wierzyła jednak, że istnieje jakieś wyjaśnienie tego zjawiska, akceptowalne z punktu widzenia medycyny. Gdyby głosy zwróciły się do niej, gdyby potwierdziły, że wiedzą o jej obecności, ta wiara ległaby w gruzach.

Zeszła na parter. Hunter siedział w fotelu przy kominku. Czowała torfowy zapach whisky. Otwarta butelka i dwie szklanki zajmowały mały stolik między fotelami. Elizabeth nie zamierzała pić alkoholu. Czekala ją nieznana droga, wymagająca absolutnej trzeźwości, nawet gdyby mgła się podniosła. W Rosji Elizabeth widziała rzeź spowodowaną przez pijanego kierowcę. Widziała ludzi, którzy wypadli przez przednią szybę auta, oblepionych własnymi wnętrznościami i przymarzniętych do kory drzew, na które wpadł ich samochód. Takie obrazy odstręczały od jazdy po alkoholu. Po dziesięciu latach nadal prześladowały ją krwawe wizje niepotrzebnej śmierci.

- Sądzę, że Adam przeżywa jakiś uraz psychiczny - stwierdziła, siadając w fotelu. - Myślę, że ściągnął coś z sieci. Grę pełną magii, opętania, demonów, która okazała się zbyt obciążająca dla jego umysłu. To wszystko wywarło na niego przemożny wpływ. Powinniśmy sprawdzić, czy któryś z jego kolegów nie ma podobnych objawów.

- Nie ma. Wiedziałybyś o nich. Trafiliby do ciebie jako pacjenci. A tak nie jest, prawda?

- Każ zbadać twardy dysk jego komputera, żeby się dowiedzieć, co na nim ma. I co z niego usuwał. To nie są zwykłe strony z oprogramowaniem. Sprawdź wyciągi ze swoich kart bankowych. Zobacz, czy nie kupował czegoś na eBayu, jakiejs hardcoro-wej rzeczy inspirowanej death metalem czy gry nawiązującej

do Apokalipsy albo jednego z tych seriali okultystycznych wyświetlanych w amerykańskiej telewizji, które u nas są dostępne na DVD. Niekiedy pokazują mocne rzeczy.

- Sądzisz, że mój syn ma te objawy, bo oglądał *Buffy: Postrach wampirów*?

- Sprawdź, czy nie należy do jakiegoś bractwa sieciowego. Subkultura gotycka potrafi być bardzo mroczna.

- To nie to. Cholera, doskonale to wiesz.

Teraz zapanował spokój. Z góry nie dobiegały już mamrotania. Adam leżał cicho, najwidoczniej koszmary ustąpiły. Słyszała, jak coś dużego hasa na zewnątrz. Otarło się o ścianę domu szorstkim bokiem. Jeleń zamroczony, zagubiony we mgle, pomyślała.

- Jest coś, o czym ci nie powiedziałam, Mark. Hunter osuszył szklanę.

- Idę na niego spojrzeć. Upewnić się, czy wszystko w porządku.

Wrócił po pół minucie. Na lekko zaczerwienionej od whisky twarzy malowała się ulga.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczęła znowu.

- Ja też mam ci coś do powiedzenia. Ale, proszę bardzo, kobiety mają pierwszeństwo.

Zamilkła na moment.

- Jak ci już wspominałam, Adam mówił wczoraj rano płynnym rosyjskim - podjęła po chwili.

- Z silnym akcentem syberyjskim.

- I personifikował mężczyznę, który wyrecytował swoje nazwisko. Nie powiedziałam ci o tym. Mówił w charakterystyczny sposób.

- Powiedział ci, kim jest?

- Oznajmił, kim jest. W ogóle mnie nie wciągał do rozmowy. To nie była konwersacja. To było przemówienie, recytacja. Nie podniósł głosu, gdy odwróciłam się do niego tyłem, by się przekonać, czy zareaguje. To nie komunikacja. To naśladownictwo.

- Opętanie. Jakie podał nazwisko? Elizabeth znowu przez chwilę milczała.  
- Oświadczył, że nazywa się Grigorij Jefimowicz Nowych. Czy coś ci to mówi?

- Tak. Nowych urodził się w Pokrowskoje, na Syberii. Prawdopodobnie w 1869 roku. Świat znał go lepiej jako Grigorija Rasputina.

- Mark, nie rozumiesz? Jakiś kalifornijski świr wpuścił do sieci grę, z czarodziejami i czarnoksiężnikami, a na jej trzecim poziomie wykorzystał Rasputina. Adam był zbyt młody na tę grę i spowodowała u niego uraz psychiczny. Chłopiec potrzebuje pomocy psychiatrycznej. Ściągnął z Internetu coś, czego nie powinien oglądać, i do nieprzytomności się wystraszył. Masz rację. Jego stan się pogorszył. Znam jednak naprawdę dobrego lekarza w Edynburgu. Bierze dużo za wizytę, ale takim niezwykle przypadkiem zajmie się w pierwszej kolejności. To ciepły człowiek, ma własne dzieci.

Hunter wlał sobie whisky. Była to whisky słodowa. Oban, jak przeczytała na etykiecie, bledsza od znanych jej gatunków. Sama nie przepadała za whisky, lecz kiedyś znała blisko kogoś, kto był prawdziwym koneserem. Hunter uniósł szklanke. Trunek pobły-skiwał oleście i poruszał się w szkle z niemal lepkiem lenistwem. Elizabeth czuła zapach whisky i sosnowych polan płonących na palenisku. I coś jeszcze, jakąś bardziej osobliwą woń, której nie potrafiła zidentyfikować. Może Mark Hunter używał wody kolońskiej? Wojskowi są czasami próżni jak pawie. Maznać się odrobiną zapachu - to nic specjalnego. Odruch z przyzwyczajenia.

- Psychiatra.

- Wybitny specjalista. Wiele rozumie.

Hunter skinął głową. Wychylił drinka. Wstał, podszedł do dębowej komody pod ścianą i wyjął kilka przedmiotów z szuflady. Brzęknęły, kiedy położył je na wierzchu mebla. Potem zgarnął je i upuścił na blat stolika między fotelami. Zobaczyła Krzyż Wojskowy i Krzyż Jerzego na gładkich kolorowych wstążkach. Więc



to prawda. Był bohaterem. Miał medal z napisem w języku francuskim. Oraz inny z amerykańskim orłem wytłoczonym w wypolerowanym brązie. Usiadł ciężko w fotelu i wskazał gestem odznaczenia.

- Błyskotki - stwierdził.

Zastanawiała się, czy przemawia przez niego whisky. Raczej nie. Człowiek o takiej przeszłości powinien mieć mocną głowę. Dyskrecja to cecha nieodzowna w karierze militarnej. Alkohol mógł sprawić, że stał się nieco bardziej otwarty w stosunku do niej, ale niewiele więcej.

- Straciłem żonę i córkę. Jeśli stracę syna, moje życie sprowadzi się do tych błyskotek. Znasz ten cytat z Eliota, Elizabeth?

Wydawało jej się, że tak. Chodziło o *Jałową ziemię*. Słynny cytat: „Te fragmenty niech moje podeprą ruiny...”<sup>\*</sup> Ponura próba udzielenia jakiegś pociechy. Hunter słuchał, kiedy recytowała, a potem westchnął.

- Cóż, te fragmenty nie wystarczą. Chciałbym, żeby mój syn dostał w życiu swoją szansę. Jest moją spuścizną, moim darem dla świata. A mój dar dla niego to dać mu tę szansę. Nie zgodzę się, by mu ją odebrano. Rozumiesz? Płakał. Bardzo cicho. Łzy połyskiwały na jego twarzy w pomarańczowym blasku ognia z kominka.

- Mówiłeś, że masz mi coś do powiedzenia. Pociągnął nosem.

- Adam jest opętany. Jest ofiarą klątwy. Ściągnąłem ją na siebie dwanaście lat temu w Boliwii. Klątwa zapowiadała, że moje potomstwo będzie obcować ze zmarłymi. Sądzę, że wiedźma, która mnie przeklęła, nie miała jednak na myśli śmierci mojej żony i córki, lecz właśnie sny Adama. Przepowiednia zaczyna się sprawdzać.

Wielkie zwierzę ciągle krążyło w pobliżu domu. Elizabeth słyszała szorstkie tarcie jego skóry o kamień. Skrobanie rogu

<sup>\*</sup> **Przeł. Czesław Miłosz.**

o oprawną w ołów szybę. Parsknięcie albo ciche rzenie. Szuranie ciężkimi kopytami.

- Myślisz, że coś z tym możesz zrobić?

- Prócz czarnej magii była tam jeszcze magia biała. Rozgrywał się między nimi pewien konflikt.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Widziałem to. Była tam biała czarownica. Stara i bardzo potężna. Mogłaby mi pomóc. Mogłaby pomóc Adamowi, gdybym ją tylko znalazł.

- Minęło dwanaście lat, Mark. Wtedy była stara, a teraz może już nie żyje.

- Nie - odparł. - Gdyby nie żyła, Adam by tego nie doświadczał. To jej zadanie, jej próba. Właśnie tak miało się wszystko rozegrać. Teraz to rozumiem. I jeśli mam ocalić syna, muszę ją znaleźć.

Elizabeth spojrzała na ordery. Zajmowały blat stolika wraz z butelką Obana i dwiema szklankami, jedną użytą, drugą nadal nieskażoną radosnym trunkiem. Medale wyglądały całkiem zwyczajnie w przyćmionym blasku ognia. Ale Elizabeth widziała wojnę na własne oczy, znała jej skutki.

Wiedziała coś o odwadze i bezinteresowności, którymi się trzeba wykazać, by na ordery zasłużyć. Pieprzyć to, powiedziała sobie. Nalała whisky do czystej szklanki i wychyliła jednym haustem.

- Zastanów się nad wizytą u psychiatry, Mark. To moja gorąca prośba. I zatrudnij informatyka, niech przejrzy pliki komputerowe.

Uśmiechnął się, ale nie do niej. To coś na zewnątrz walnęło w drzwi.

Zawiasy szcęknęły, ale Mark to zignorował. Więc ona też się nie przejęła.

Podejrzewała, że Mark Hunter trzyma gdzieś wielką strzelbę i potrafi

zadbać o bezpieczeństwo swojej ziemi. Błyszczące ordery na stoliku dowodziły, że strzela celnie i z zimną krwią. Nieznana istota, hałasująca na zewnątrz, nie stanowiła zagrożenia dla Hunterów. Była celem zbyt wielkim i zbyt materialnym.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Czy nie zastanawia cię, Elizabeth, co to za zapach?

Zapach, który poczuła wcześniej, teraz był bardziej intensywny. Zagłuszył whisky i płonące w kominku drewno. To nie woda toaletowa próżnego pułkownika, chyba że wylał na siebie cały flakon.

- To kadzidło - wyjaśnił Hunter. - Pachnie świeżą sosną i cytrynami, prawda?

Elizabeth skinęła głową. Rzeczywiście tak pachniało. Bardzo mocno.

- Pochodzi z afrykańskiego kraju, który teraz nazywamy Somalią. Było rozpowszechnione na Bliskim Wschodzie, w czasie narodzin Chrystusa. Do Europy dotarło za sprawą templariuszy, po pierwszej krucjacie. Zachodni chrześcijanie dopiero po upływie tysiąca lat mogli powąchać substancję, którą Trzej Królowie przywieźli jako dar do stajenki w Betlejem. Wierzę, że dzisiaj źródłem tego zapachu w moim domu jest sypialnia mojego syna. I zapewniam cię, jego obecność nie ma nic wspólnego z twardym dyskiem komputera.

Postanowiła zostać na noc. Mgła się nie rozproszyła, a w dodatku czuła się zbyt wytrącona z równowagi, by ryzykować jazdę samochodem. Pokój gościnny był ciepły i wygodny i reszta nocy upłynęła bez dramatycznych wydarzeń. Zapach kadzidła słabł, a rano, kiedy Elizabeth myła zęby, zniknął całkowicie. Mgła również. Sprawdziła komórkę i znalazła wiadomość, która ją bardzo ucieszyła: pierwsze spotkanie tego dnia - z przedstawicielem firmy farmaceutycznej - zostało odwołane. Dzięki temu przed wyjazdem miała okazję pogadać ze swoim pacjentem.

Zastała go przy stole w salonie. Był nadal w piżamie. Trzymał łokcie na blacie, głowę podparł dłońmi. Nachmurzony wpatrywał się w figury zostawione poprzedniego dnia na szachownicy. Ojciec w kuchni przygotowywał śniadanie, mrużąc do siebie niemelodyjnie. Przyszło jej na myśl, że kiedyś Mark Hunter na pewno potrafił cieszyć się życiem.

Przysunęła krzesło i usiadła obok Adama.

- Czy zdarza ci się dać mu mata?
- Czasami. Kiedy mi pozwala.
- Kiedy jest w dobrym nastroju?
- Kiedy sądzi, że potrzebna mi zachęta, żeby grać dalej. Ale mogę poznać, że przegrywa specjalnie, nawet jeśli udaje, że walczy. Mój tata to naprawdę główniany aktor.

Zaśmiała się. Uśmiechnął się do niej.

- Przepraszam. Nie powinienem mówić „gówniany”. Chciałem powiedzieć, że tata jest naprawdę kiepskim aktorem.

- Kawa czy herbata? - krzyknął Hunter z kuchni.

- Poproszę kawę.

- Dla mnie colę, tato.

- Nawet o tym nie myśl. Adam odwrócił się do niej.

- Pani doktor, co mi dolega? Mój tata nie wie, a on zwykle wie wszystko.

Odpowiedziała dopiero po chwili.

- Czy w nocy miałeś jakieś sny? Czy pamiętasz, co ci się śniło?

Nachmurzył się.

- Śniłem, że w ciemności coś chce się dostać do naszego domu. Chyba wilk. Ale był wielki. Jak koń.

- To jedyny sen?

- Jedyny, który pamiętam.

- Kiedy powiem słowo „sen”, o czym myślisz? Jego twarz nadal była pełna napięcia.

- Pył - powiedział. - Ciemność.

- Zrobię wszystko, żebyś wyzdrowiał, Adamie. Obiecuję.

Chłopiec potaknął i uśmiechnął się do Elizabeth. Miała jednak świadomość, że nie odpowiedziała mu na pytanie. I widziała, że dzieciak zdaje sobie z tego sprawę.

Gdy dotarła do swojego gabinetu, wysłała e-mail do specjalisty z Edynburga. Naszkicowała główne symptomy. Oddzwonił

do niej w ciągu pół godziny. Była środa. Zgodził się przyjechać i zbadać Adama w najbliższy wtorek. Zatelefonowała do Marka Huntera i powiadomiła go o tym. Nie był specjalnie zachwycony. Pomyślała, że to naturalna reakcja. Korzystanie z pomocy obcych ludzi traktował jak zagrożenie: bał się, że Adam ze swoimi problemami będzie się od niego oddalał. Nie była to przyjemna myśl dla kochającego ojca. Ale Hunter był inteligentny i zdyscyplinowany, tego od niego wymagano w życiu zawodowym. Musiał zachować obiektywizm, jeśli chciał pomóc synowi. Pod koniec ich krótkiej rozmowy przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Mark, kiedy ostatni raz wychodziłeś z domu, żeby się trochę rozerwać?

- Wziąłem Adama na capstrzyk do Edynburga.

- To było całe miesiące temu. Kiedy ostatni raz wychodziłeś z domu, by się zabawić jak człowiek dorosły?

Zaśmiał się.

- Nie pamiętam.

- Zaplanuj coś na piątek wieczór, a ja popilnuję Adama. Idź do pubu, pogadaj z ludźmi, ponarzekaj na pogodę w towarzystwie jakiegoś szorstkiego tubylca. Wypij parę piw. Bardzo dobrze ci to zrobi.

- A twoje plany na piątkowy wieczór?

- Są już ustalone: będę niańką. Odwiesiła słuchawkę.

Jeśli do piątku nic się nie przydarzy Adamowi.

Niewypowiedziane zastrzeżenie, warunek wstępny, którego żadne z nich nie zwerbalizowało, ponieważ bali się go oboje. Modliła się, by wszystko pozostało bez zmian aż do wtorkowej wizyty psychiatry. Czuła, że kiedy specjalista zbada Adama, sformułuje trzeźwe i szczegółowe zalecenia i wszystko zacznie iść ku lepszemu. Wszystko zacznie wracać do normy. Jakikolwiek epizod choroby przed jego wizytą skończyłby się katastrofą. Hunter mógłby chcieć wyruszyć w rozpaczliwą pogoń za starą

czarownicą. A co wtedy z Adamem? Musiałby zabrać chłopca ze sobą. Ale Adam potrzebował spokoju, wygody i codziennej rutyny, a nie chaosu jałowych poszukiwań jakieś wiedzy w bezludnych rejonach Ameryki Łacińskiej.

Znowu pomyślała o domu. Przedtem Hunterowie mieszkali na wsi w Sussex. Pewnego wietrznego poranka w styczniu ubiegłego roku zdarzył się wypadek. Lillian Hunter odprowadzała swoją ośmioletnią córkę, Kate, do sali parafialnej na cotygodniowe zajęcia baletu. Miały do przejścia niecały kilometr. Wpadł na nie samochód. Jakiś siedemnastolatek, mający prawo jazdy dopiero od dwóch tygodni, prowadził zbyt szybko po oblodzonej drodze. Samochód wjechał na łatę czarnego lodu i chłopak stracił nad nim kontrolę. Lillian i Kate zginęły na miejscu. Prozaiczna katastrofa, jakie zdarzają się zimą. Czytamy o nich w prasie, a potem wzdychamy i kręcimy głową. Po tej tragedii Hunter opuścił wojsko, sprzedał wszystko i z synem udał się na północ, by uciec od przeszłości i zacząć od nowa bez wspomnień, które przeszkadzałyby w odzyskaniu równowagi.

Samotny dom, w którym teraz zamieszkali, nie był złowrogi ani ponury - przeciwnie, był ładny i sprawiał wrażenie przytulnego. A wiosną i w lecie okolica była wyjątkowo malownicza. Kupno domu i przeprowadzka to prawdopodobnie właściwa decyzja - Hunter częściowo ukoił ból. Ale Adam? Na pewno opuszczenie znajomego środowiska było dla niego trudne. Zwłaszcza po stracie bliskich. Dylemat ojca. Jakże mogła go osądzać? Nie miała własnych dzieci. Ma trzydzieści cztery lata i z pewnością jest jeszcze dość młoda. Ale nie chodzi tylko o kalendarz. W każdym razie nic takiego nie miała teraz w planach. Wzięła długopis i zapisała, że trzeba porozmawiać z dyrektorką szkoły Adama. Elizabeth była lekarzem domowym pani Blyth, więc łatwo będzie umówić się na rozmowę. Przemoc szkolna? To możliwe źródło problemów. Wcześniej powinna na to wpaść. Przynajmniej przed wtorkową wizytą psychiatry postara się ustalić, czy w szkole znęcano się nad Adamem.

W piątkowy wieczór zjawiała się w domu Hunterów, tak jak to było umówione. Pierwsze dwie godziny minęły spokojnie. Potem usłyszała szelesty na piętrze, jakby Adam poruszył się i zbudził. Wstała, by pójść na górę i sprawdzić, co się dzieje. Nasłuchiwała dalszych dźwięków. Cisza. Bez konkretnej przyczyny dostała gęsiej skórki, głowa zaczęła ją swędzieć, a nogi stały się ołowiane. Siłą woli wspięła się po schodach do przytulnego pokoiku Adama.

Pchnęła drzwi. Monochromatyczne światło księżyca, zalewające pokój, wypięło barwy z plakatów na ścianie, kołdrę przemieniło w bury całun, a wodzie w karafce na nocnym stoliku nadało ponury, szary odcień.

Chłopiec siedział na łóżku wyprostowany. Usta rozciągnął jak mim w złym uśmiechu. Długie włosy ktoś splótł mu starannie w dwa warkocze. Oczy miały wyraz przebiegły i czujny. Przerazający u dziesięcioletniego chłopca. Elizabeth zakryła usta dłonią.

Zaśmiał się. Był to chichot mściwy, wysoki.

- Cześć - powiedział. Zwrócił się do niej.

Przełknęła ślinę i nie odpowiedziała.

Szarpnął głową na bok, jakby w jakimś szalonym impulsie współczucia.

- Ciągłe się na mnie gniewasz, śliczna doktor?

Głos wychodzący z dziecka mówił po angielsku z silnym akcentem.

- Bum! - krzyknął. Milczał chwilę. - Strzeliłem z karabinu Barrett Light. To najlepsza na świecie broń snajperska. - Ramiona Adama szarpnęły się do góry, jakby trzymały karabin. Przymknął jedno oko, patrząc przez wyimaginowany celownik. Wysunął w skupieniu język, a potem powoli go schował. Na twarz wracał uśmiech. W końcu palec nacisnął widmowy spust. -Bum! - powtórzył głos. - To wszystko, czego było trzeba, śliczna doktor. Dzieliło nas osiemset metrów. Co to za odległość dla Barrett Light? Rutynowy strzał. I głowa twojego chłopaka rozpadła się jak dynia uderzona młotem.

- Adam?

- Zajęty - odpowiedział głos. - Nieosiągalny.

Dziecięca twarz skrzywiła się lubieżnie, ciało odchyliło się na łóżku; snajper zamknął oczy i odpoczywał.

Później, kiedy Elizabeth się upewniła, że chłopiec zasnął, wróciła do jego pokoju, rozplotła mu warkocze i rozczesała włosy. Nie chciała, by Mark Hunter zobaczył u syna ingerencję fizyczną. Potem zeszła na dół i udręczona bolesnymi wspomnieniami rozpłakała się. Kiedy kilka minut po północy usłyszała klucz Huntera w zamku, nadal starała się zapanować nad swoimi emocjami.

Zdjął marynarkę i rozwiązał krawat, a potem usiadł w fotelu naprzeciw niej. Natychmiast zauważył, że coś jest nie tak. Był trzeźwy i cieszyła się z tego. Prawdopodobnie w pubie pił niechętnie i zerkał na zegarek, niecierpliwie wyczekując godziny, kiedy będzie mógł wreszcie wrócić do domu. Kiedy wiązał krawat, wybierając się do miejscowej knajpy, dźgnęło ją współczucie dla niego. Było to zaledwie kilka godzin i całą wieczność temu. Od tamtego czasu świat się przesunął. Teraz jej współczucie dotyczyło spraw poważniejszych.

- Mam iść na górę?

- Nie. Teraz śpi. Potrzebuje długiego snu, bo inaczej obudzi się wyczerpany.

- Coś się wydarzyło?

- Kolejna eskalacja. - Co za ironia losu stosować wojenną terminologię do opisania tego, co zaszło. - Ilu ludzi zabiłeś, Mark?

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Niektórzy uważają, że istnieje filozoficzna różnica między sytuacją, gdy ktoś zadaje śmierć własnymi rękoma, a sytuacją, gdy zleca to innym. Ja tej różnicy nie widzę. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: zbyt wielu.

- A teraz jesteś za to karany przez swojego syna.

- Pani doktor, sama pani w to nie wierzy.



- Zaraz po dyplomie zgłosiłam się na ochotnika do Czerwonego Krzyża. Ze swoim chłopakiem, też po dyplomie. Posłano nas do Czeczenii.

- Chryste.

- Gdzie, jak wiesz, konflikt się nasilał. Byliśmy w Groźnym podczas oblężenia. Panował tam chaos. Nie mogliśmy nic zrobić. Mojego chłopaka zabiła kula snajpera, a mnie udało się wydostać w końcu stamtąd przywiązaną do palety w samolocie towarowym. Dzisiaj w pokoju Adama słyszałam zabójcę Petera, który przechwalał się, jak go zabił.

- Tylko martwi mogą mówić przez Adama - powiedział cicho .Hunter. - Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie.

- Żadne. - Zaśmiała się, nie dowierzając faktom, których właśnie była świadkiem. - Twój syn jest opętany.

- Zastanawiałem się, dlaczego ktoś o twojej urodzie jest samotny. Popatrzyła na niego twardo.

- To nawyk z wojska. Nauczono mnie szukać rzeczy niezwykłych, anomalii. Dużo pracy, brak obrączki na palcu. A w piątek wieczorem masz czas posiedzieć przy dziecku. To się kłóci z twoim wyglądem, Elizabeth. I tyle.

- Co takiego zrobiłeś w Boliwii, że wywołałeś gniew tej wiedźmy?

- Wdepnęliśmy w coś. Kompletna dezorientacja. Nie byliśmy na to przygotowani. Choć chyba nikt nie mógł nas na to przygotować. Ale zrobiłem coś niewłaściwego. Więcej... zrobiłem coś złego.

- A biała wiedźma? Nie chciała wtedy zdjąć klątwy?

- Opowiem ci o tym. Opowiem ci wszystko. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem w ciągu wszystkich lat, jakie upłynęły od tamtych wydarzeń. Ale musisz się dowiedzieć.

- Przede wszystkim jestem ciekawa, dlaczego mnie wezwałeś, skoro sądziłeś, że moje umiejętności na nic się nie przydadzą?

Spojrzał na nią.

- Miałem nadzieję, że się mylę. Sytuacja szybko się pogarszała.
- Teraz się nieco wyklarowała. To, co dziś zobaczyłam, mogę wyjaśnić tylko w jeden sposób. Jakaś niepożądana, dziwna, złowroga siła opanowała twojego syna. Adam naprawdę jest opętany.
- Wiem o tym. A jego stan znacznie się pogorszy. Jeśli mam go ocalić, muszę znaleźć tę starą kobietę, namówić ją, by ze mną powróciła i użyła swojej mocy.
- Lepiej mi wszystko opowiedz. Powiedz całą prawdę.

2

W tej boliwijskiej misji wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno. Mark, zanim przedstawił Elizabeth przyczyny niepowodzenia tej operacji, wyjaśnił, jak dziwnym i nieznanym miejscem była Boliwia dwanaście lat temu. Oczywiście, nadal to kraj egzotyczny, kraj osobliwych wierzeń i zwyczajów. Położony wysoko i daleko. W niektórych rejonach panuje prymitywna bieda, szokująca zamożnych Europejczyków, a zagłada ich tu coraz więcej. Boliwia stała się celem wyjazdów turystycznych. Najniebezpieczniejsza droga świata, którą ten kraj słusznie się chlubi, jest teraz oklepanym frazesem na blogach poszukiwaczy przygód. Władze więzienia w La Paz, obserwowanego przez ciekawski świat, musiały zaprzestać praktyk w stylu Newgate\*, a miejsce, gdzie tak marnie skończyli Butch Cassidy i Sundance Kid, stało się w zasadzie parkiem tematycznym poświęconym mitowi wyjętych spod prawa Amerykanów. Kurczący się świat oswoił Boliwię, cywilizacja wkraczała nawet na prowincję. Kiedy wysłano tam Marka, ten proces dopiero się rozpoczynał.

\* **Newgate - owiane złą sławą więzienie londyńskie (1180-1902) (przyp. tłum.).**

31

W pułku każdą misję rutynowo opisywano jako „interesy”. Obowiązywała doktryna, że im więcej interesów, tym lepiej. Interesy oznaczały przeżycie; ich brak - uwiąd i nieuniknione rządowe cięcia nakładów na sprzęt oraz zwalnianie ludzi. Lęki starszych oficerów udzielały się podoficerom. W Irlandii Północnej, gdzie prowadzono większość interesów, zanosilo się na pokój. Interesy zaczęły iść ospale, rynek się niemal wyczerpał. Coś działo się w byłej Jugosławii, ale nie na wiele to się zdało. To były peryferie. Dawno minęły dni, gdy premier Margaret Thatcher z ekstazą wsłuchiwała się w symfonię granatów ogłuszających graną w Hereford\*. Jej następcą, John Major, miał bardziej powściągliwe spojrzenie na armię i wydatki wojskowe. Może był patriotą, ale miał duszę kanclerza skarbu, którym był wcześniej.

Akcja w Boliwii była inicjatywą rządu. Mark odkrył to na spotkaniu ze swoim dowódcą, kiedy próbował się z niej wykręcić. Zaledwie trzy tygodnie wcześniej, tuż przed ślubem, przeszedł wyczerpujące szkolenie w Belize. Należało mu się trzydzieści dni urlopu. Wykorzystał tylko dwadzieścia jeden. Wyciągnięto go telefonicznie z nowo zakupionego domu w hrabstwie Devon, gdzie zamieszkał z poślubioną właśnie żoną. Byli w łóżku, kiedy obudził ich telefon. Wydawało mu się to niewybaczalne. Wielu innych mężczyzn, równie dobrych jak on, wyjechałoby na tę misję bez oporów.

- Przychodzą mi do głowy tylko trzej - powiedział pułkownik Baxter znad wieżyczki z palców.

- Pan mi pochlebia.

- Nie, wcale nie.

Mark zastanawiał się, kim byli ci trzej. Nieważne. Najwidoczniej uczestniczyli właśnie w innych misjach. Na zewnątrz słyszał morderczy łoskot granatów ręcznych i niecierpliwe wrzaski rozkazów. W bazie, w baraku z pustaków lipcowy upał był szczególnie uciążliwy. Chcieli z Lillian pobrać się w lecie. Wesele

**\*Hereford - miejsce stacjonowania jednostek Special Air Service (SAS) (przyp. tłum.).**

odbyło się na wyspie na Tamizie w Kingston, skąd pochodziła Lillian. Kiedy płynęli po rzece, woda lśniła pod błękitnym niebem idealnej angielskiej pogody. Na spokojnej powierzchni rozrzucono płatki róż.

- Wyciągać jednego z naszych najlepszych i najzdolniejszych oficerów z łoża małżeńskiego? Nie robię tego z rozkoszą, Mark. Czy mogę się tak do ciebie zwracać?

Hunter miał w dłoniach beret. Czuł przypiętą do niego ostrą odznakę, z której zdobycia był tak dumny.

- Może pan się zwracać do mnie, jak pan chce, proszę pana. Jest pan moim dowódcą.

- Proszę skończyć z tym urażonym tonem. - Pułkownik Baxter opuścił oczy na leżący przed nim dokument. Czytał go uważnie, przygryzając siwe wąsy dolnymi zębami.

- Przepraszam, panie pułkowniku.

- I bardzo dobrze, że przepraszasz, do cholery. - Dowódca podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy. - To wielki przywilej służyć pod sztandarami tego pułku. Zawsze o tym pamiętaj. Ile niemowląt straciło ojców, którzy mężnie i z oddaniem walczyli pod naszymi barwami.

Ta sprawa nie podlegała dyskusji. Pułk był rodziną, a poniesione ofiary znał i boleśnie odczuwał każdy żołnierz.

- Przykro mi, proszę pana. Jeszcze raz przepraszam.

- W porządku. Wybaczam ci tę arogancję. - Baxter znowu podniósł dokument z biurka. Nie nosił okularów. Nie odsuwał kartek, by z większej odległości jego starzejący się wzrok łatwiej wyłuskiwał litery. Mark przypuszczał, że pułkownik musi mieć pięćdziesiątkę, ale nadal cieszył się renomą świetnego strzelca. Mógł powalić ruchomy cel z ponad siedmiuset metrów. Kiedy czytał plik papierów, dłonie trzymał nienaturalnie spokojnie. To robiło wrażenie, choć Marka nie zaskoczyło. W Hereford sprawność fizyczna była rzeczą normalną.

Jakiś kartel kokainowy usadowił się na północy Boliwii, niedaleko miasta Magdalena, zaledwie kilkanaście kilometrów od

granicy z Brazylią. To już była Amazonia, obszar dopływów rzek i gęstego lasu tropikalnego, odmienny od reszty kraju położonego na dużej wysokości, ale też stawiał wyzwania: był gorący, bagnisty, trudny do przebycia, w naturalny sposób wrogi człowiekowi. Mark sądził, że mężczyźnie wyszkolonemu w Belize takie środowisko wyda się znajome. Będzie się tam czuł niemal jak w domu. Nie przepadał za pasożytniczymi owadami, które wwierały się pod skórę. Z drugiej jednak strony niezbyt lubił zimowe wieczory, gdy w przepuście pod szosą musiał obserwować farmę zwolenników IRA, gdzieś na zamarzających mokradłach południowego Armagh. Wstąp do armii, zobaczysz świat. Ale nie licz na wygody.

Baxter pchnął po blacie biurka fotografię satelitarną. Gęsta okrywa leśna była czarną rozmazaną plamą, pokrywającą cały wydruk. Rzeki i strumienie wyglądały jak połyskujące srebrzyste węże. Droga przez las stanowiła tylko delikatną kreskę - zdradzał ją fakt, że jest prosta, poprowadzona z geometryczną precyzją obcą w tej głuszy. Tutaj nie powinno być takich linii. A jednak droga na północ szła prosto jak po sznurku. Mark prześledził szlak palcem. Wyglądał na zbyt niewyraźny, by mógł być śladem po niszczącym przejściu drwali, a jednocześnie był zbyt starannie wytyczony. Ale też trochę za delikatny jak na bitą drogę. Ktoś prowadził wąziutką ścieżkę, by ją później doskonale zamaskować.

- Albo dbają o środowisko, albo coś ukrywają - zauważył Mark.

Pułkownik Baxter nie odpowiedział.

Z zewnątrz, z grupy drewnianych budynków, dobiegł ostrożny rytm staccato - przeprowadzano ćwiczenia z otwartym ogniem. Żołnierze będą przygotowywać zasadzkę za jednym z drewnianych ekranów albo uwalniać zakładników z pokrętnego labiryntu drewnianych pokoi. Mark miał dłonie wilgotne od gorąca i palcem wskazującym pobrudził punkt, gdzie droga się kończyła. Mokra plamka powiększyła nieco widoczne tam osiedle - poprzednio nie rzucało się tak w oczy. Ale było tam. Wzniesione przez ludzi, którzy potem próbowali je zakamuflo-

wać. I znowu zdradziła je geometria. Mała grupa prostokątnych kształtów.

- Nie wygląda imponująco, proszę pana.

- Zdjęcie ma prawie dwa tygodnie. Obecnie to miejsce może być dwukrotnie większe, silnie umocnione i w pełni funkcjonalne. Nie wiesz, póki się tam nie dostaniesz.

- Zakładam, że zdjęcie zrobił samolot Stealth. Że to inicjatywa amerykańska.

- W zasadzie się zgadza.

- Mają bardzo dobrych własnych żołnierzy sił specjalnych. Ćwiczyłem z nimi w Niemczech. Myślę, że pan też się kiedyś z nimi zetknął. Potrafią sobie poradzić z pełną koki zagrodą w dżungli, której pilnuje kilkunastu uzbrojonych oprychów z kartelu. To rutynowa operacja dla amerykańskich komandosów.

Baxter zmarszczył brwi i wstał. Podszedł do okna, choć to, co mógł przez nie zobaczyć, trudno było uznać za fascynujące, jak pomyślał Mark. Baxter coś ukrywał. Ale miał do tego prawo, w końcu był pułkownikiem.

- Ostatnio nasze stosunki nieco ucierpiały. Ostre starcia personalne na dość wysokim szczeblu. Nikomu to nie odpowiada. Tę misję premier widzi jako jeszcze jeden symboliczny sposób na scementowanie tradycyjnego układu z naszym najdawniejszym sojusznikiem.

- Ściśle biorąc, naszym najdawniejszym sojusznikiem jest Portugalia.

- Twój współdowodzący na tej misji jest właśnie pochodzenia portugalskiego. To major Rodriguez. Rodriguez służy oczywiście w armii, pod sztandarami Stanów Zjednoczonych. Chyba jest ekspertem lingwistą.

- Ma pan na myśli specjalistę od technik śledczych. Baxter wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, żeby majora Rodrigueza można było uznać za zwykłego oprawcę. Mówi płynnie siedmioma językami, a jeden z nich to starogrecki.

Hunter skinął głową. Wątpił, by klasyczne akademickie przygotowanie było użyteczne w kontaktach z kartelem. Ale Rodriguez niewątpliwie ma inne, bardziej zabójcze umiejętności. To pewne.

- Dołączysz do Amerykanów i Kanadyjczyka już na miejscu. Musimy wziąć w tym udział, Mark.

- Potrzebujemy tych interesów.

- Och, zawsze potrzebujemy interesów. - Baxter odwrócił się. - A w tym wypadku interesy muszą dać właściwy wynik.

Kiedy Hunter w ciemności związał swój spadochron w umówionym miejscu zrzutu, oddział czekał już na niego. W tej grupie stopnie oficerskie mieli major Rodriguez i kapitan Peterson, Kanadyjczyk. Od razu poczuł wilgotne ciepło tropikalnego lasu i bogaty, przytłaczający zapach paproci, lian i dzikich kwiatów. Słychać było ukradkowe szelesty wielkich owadów, a nad głową - skrzeczenie nocnych ptaków. Hunter pożyczył saperkę od jednego z amerykańskich podoficerów i zakopał spadochron. W trakcie kopania policzył ludzi, oceniając siłę oddziału. Nie usłyszał jeszcze ani słowa od swoich nowych towarzyszy broni, ale przypuszczał, że pochodzą z południa, z rolniczych stanów Missisipi i Tennessee. Wiejskie chłopaki, pomyślał, lubią podchody. W dzieciństwie tropili zwierzynę na bagnach, zdobywając pożywienie na kolację. Nie polujesz, nie jesz. Taka była surowa rzeczywistość biednego wiejskiego życia. Nie po raz pierwszy zazdrościł amerykańskim żołnierzom zażyłości z bronią. Ci ludzie niemal od kołyski tulili do siebie strzelby i śrutówki. I to było widać. Utworzyli wokół niego czujną milczącą obstawę. Doszedł do wniosku, że musi ich być ośmiu.

Doliczył się co prawda tylko pięciu, ale Amerykanie lubili liczby parzyste. Dowodził nimi Rodriguez, jednak Peterson ani Hunter mu nie podlegali. Prawdopodobnie nie będzie żadnych kontrowersji. Znajomość rzemiosła walki i zabijania zwykle rodzi współpracę.

Kiedy skończył ze spadochronem, wytarł łopatkę pękiem wilgotnych liści i dziękując skinieniem głowy, oddał ją właści-

cielowi. Księżycyca nie było, ale gwiazdy wystarczająco oświetlały teren. Lądowanie w podobnie gęstym listowiu w zupełnej ciemności groziłoby poważnymi urazami. Jednak światło w otoczeniu wystarczało i wzrok w pełni się dostosował. Rodriguez, różny etnicznie od ludzi, którymi dowodził - on ciemny, oni bladzi - podszedł bliżej, cicho go przywitał i błysnął białym uśmiechem. Był szczupły jak rzemień bata i miał mocny uścisk dłoni. Hunter natychmiast go polubił. A kiedy poczuł, jak dłoń wielkości wiosła klepie go jowialnie po łopatce, domyślił się, że to Kanadyjczyk, Peterson. Uśmiechający się facet z Quebecu wyglądał jak mistrz wagi półciężkiej, właśnie przystępujący do ważenia. Hunter doznał uczucia ulgi - usunęło mu z krwi żrącą adrenalinę, zwolniło bicie serca, skłoniło do powitania towarzyszy uśmiechem. Z tymi dwoma nie zginie. To byli dobrzy ludzie. Miał świadomość czegoś rzetelnego. Pierwszy raz uczestniczył w akcji jako człowiek żonaty. Zdał sobie sprawę, że nie chce, by świeżo poślubiona żona została wdową.

- Ładne lądowanie - cicho powiedział mu do ucha Rodriguez. Nie szeptał. Syk szeptu się roznosi.

Peterson zachichotał, ale był to bardzo dyskretny wyraz radości.

- Wiecie, jak taki nocny zrzut daje się we znaki kolanom - powiedział Hunter. Plecak, broń osobista i amunicja dodały mu pięćdziesiąt kilogramów. Wytrzymałość kolan miała swoje granice.

- Nie wspominając już o jajach, jeśli masz pecha i wylądujesz okrakiem na gałęzi - dodał Peterson. - A mówię to na podstawie gorzkich doświadczeń osobistych.

Hunter kucnął obok swojego plecaka na ziemi, gdzie go postawił przed zakopaniem spadochronu. Z bocznej kieszeni wyjął magazynek do pistoletu automatycznego przewieszzonego przez pierś. Nie wsunął go jednak do broni, bo szcęk byłby zbyt głośny. Wetknął magazynek do osiatkowania plecaka. Gdyby doszło do wymiany ognia, będzie pod ręką. Wisiał w osiatkowaniu na



rzemyku z prawej strony torsu. W razie potrzeby dosięgnie go bez problemu.

Rodriguez dał swoim ludziom sygnał ręką. Hunter bardziej poczuł, niż zobaczył, jak zmieniają szyk. Przed nim, za nim i po bokach koncentrowała się bojowa sprawność. Posuwali się w stronę wyznaczonego celu, niecałe dwa kilometry stąd. Szli przez gęsty las, który rozciągał się na północ od małego izolowanego osiedla Magdalena. Teren bardzo przypominał Belize z ostatniego szkolenia Huntera. Jednak klimat był tu chłodniejszy i mniej wilgotny, powietrze nieco rzadsze. I jeszcze jedno: w Belize Hunter odbywał trening, a wówczas nie można uniknąć wrażenia sztucznej i nieco jałowej atmosfery, jak na próbie generalnej w teatrze. Ćwiczenie - obojętnie w jak egzotycznej lokalizacji - było tylko ćwiczeniem. A to działa się naprawdę. I trudno o większy kontrast. Milczący, zdecydowani, fantastycznie wyszkoleni mężczyźni rozproszyli się wachlarzem i parli naprzód, gotowi podjąć każde wyzwanie. Wiedział, że kiedyś przestanie mu to sprawiać przyjemność. Widywał żołnierzy pozbawionych odwagi, załamanych nerwowo, bez woli walki. Ale jemu się to nie przydarzyło. Teraz, tak pewny siebie, nie przewidywał, że podobna chwila kiedykolwiek nadejdzie.

Zatrzymali się około półtora kilometra od osiedla, które było ich celem. Zebrali się pod osłoną głębokiego żlebu o stromych zboczach. Pnącza, zarastające gęstą zielenią pionowe kamienne brzegi wąwozu, tłumili wszelkie odgłosy. Ludzie wyjęli racje żywnościowe i zjedli śniadanie. Ponieważ z południa wiał tylko łagodny wiaterek, mogli zaryzykować zaparzenie kawy. Przykucnęli, pili gorący napój, a Rodriguez krótko zaznajomił Huntera z sytuacją.

- Mamy drewniane budynki zadaszone blachą - wyjaśnił. - Są położone na końcach ramion gwiazdy wokół okrągłej konstrukcji w centrum.

Hunter nachmurzył się.

- Nie wygląda to na żadną wytwórnię.

- I chyba nią nie jest - stwierdził Rodriguez.
  - Dlaczego powiedziałeś konstrukcja, a nie budynek? Podszedł do nich Peterson. Kucnął i upił łyk kawy ze stalowego kubka.
  - Przypuszczalnie to brezent - powiedział. Spojrzał na Rodriguez, który skinął głową. - Mają też psy, szkolone, agresywne rottweilery, więc nie mogliśmy podejść zbyt blisko. Ale sądzimy, że centralna struktura to rodzaj dużego namiotu. To sztywna konstrukcja, ma szkielet, ale nie jest stała.
  - Dziwne jak na działalność kartelu - zauważył Hunter. - Czy jesteś pewien, majorze, że to nie cyrk przyjechał do miasta?
  - Prócz psów mają broń - odparł Rodriguez. - Ogrodzili teren drutem kolczastym. Może toczą się jakieś pertraktacje. Może to jakaś konferencja.
  - Albo coś zupełnie niewinnego - spekulował Hunter. - To znaczy stosunkowo niewinnego. Wasze skąpe informacje nie wykluczają, że są to na przykład ekolodzy ekstremiści planujący kolejną akcję ocalenia planety. Peterson zachichotał.
  - Trzy tygodnie temu zaginęło w tym rejonie czworo turystów. Po prostu zniknęli, kapitanie.
  - Takie tragedie mogą mieć oczywiście przyczyny naturalne - powiedział Rodriguez. - To wrogi kraj. Ale ci ludzie nie byli w tym terenie nowicjuszami. Byli doświadczeni, twardzi. I mieli ze sobą zawodowego przewodnika doskonale znającego dżunglę.
  - Nie było wezwania SOS?
  - Nic - wyjaśnił Peterson. - Po prostu zniknęli z powierzchni Ziemi.
  - Macie jakieś teorie?
- Rodriguez spojrzał na Petersona i powtórnie zwrócił się do Huntera.
- Wylądowaliśmy tu jakieś dziesięć godzin przed tobą. Jeden z moich chłopców dobrze radzi sobie z psami. Wysłałem go na zwiad. Poprosiłem, żeby podszedł jak najbliżej. To chłopak z głuchej

provincji, jak oni wszyscy, z bagnisk Karoliny Północnej. Pod-kradł się dość blisko jednego z tamtych facetów i zauważył okręconą wokół jego pasa garotę. Strażnik miał automat ciężkiego kalibru przewieszony przez pierś i pistolet automatyczny na ramieniu. Mój chłopak zobaczył rękojeść noża bojowego wystającego mu z buta. To wyposażenie wojenne. Mamy tu do czynienia z czymś, o czym nie wie ani rząd Boliwii, ani rząd Stanów Zjednoczonych. Tajna przestępcza organizacja. Są wszelkie podstawy, by przypuszczać, że ponoszą odpowiedzialność za śmierć czworga niewinnych ludzi. Musimy wkroczyć. Musimy się dowiedzieć, kim są te zbiry i co robią. I musimy ich unieszkodliwić.

- Alleluja - zakończył Peterson.

Hunter kiwnął głową. Nie był tu po to, by się spierać. Ale coś mu mówiło, że kiedy już przedrą się przez psy i ostrzał, pod czarnym brezentem nie znajdą ani kokainy, ani chemikaliów do jej produkcji.

- Jak u ciebie z narkotykami, kapitanie? - Pytanie zadał Rodriguez. Wstawał świt. Robiło się coraz jaśniej. Rodriguez, przystojny mężczyzna ostrzyżony na jeża, nosił przycięte wąsy, a jego ujmująca twarz wyrażała zarazem twardość i delikatność. Hunter nie chciałby mieć tego człowieka za wroga. A już na pewno nie chciałby być przez niego przesłuchiwany.

- Nie biorę, jeśli to masz na myśli.

- Nie. Wiesz dobrze, że nie o to chodzi.

- Nie mam zdecydowanego zdania na ten temat. Uniknąłem ich niszczącego wpływu. Słuchałem wykładów, widziałem filmy. Zasadniczo jestem żołnierzem. Słucham rozkazów. Mam nadzieję, że ludzie, których muszę zabijać, są raczej źli niż dobrzy. Ale uzasadnienie walki to zadanie tych, którzy w łańcuchu dowodzenia stoją znacznie wyżej ode mnie. Rodriguez zabełtał fusami kawy. Wylał je na ziemię, na rośliny.

- Też widziałem filmy. W Stanach to epidemia. U niektórych dyrektorów dużych korporacji norma to pięć gramów dziennie.

- Masz na myśli Hollywood?

- Mam na myśli zarówno Hollywood, jak i Detroit. Mam na myśli również Boston i Chicago, świat bankowy i przemysłowy. Mam na myśli giełdę, biura, salony fryzjerskie, ekskluzywne ośrodki sportowe i co bardziej eleganckie bary.

- A więc to kruczata? Rodriguez się skrzywił.

- Widzisz, kapitanie, przeżywam konflikt wewnętrzny. Wierzę w wolność wyboru. Jeśli jakiś prezes z General Motors wyciąga pół miliona rocznie i chce wydać swoje ciężko zarobione pieniądze na śnieg, nie mogę oponować. To jego decyzja. Ale źródło dostaw, kartele, to zupełnie inna sprawa. Na świecie zajęli miejsce Ala Capone. To źli ludzie i gdzie się pojawiają, czynią zło. Wywracają gospodarke i nie liczą się z demokratycznie wybranymi rządami. Na takich poluję z przyjemnością.

Peterson milczał, co Hunterowi wydało się nietypowe. Odwrócił się do potężnego Kanadyjczyka. Zobaczył, że jest przygaszony, nawet smutny. Teraz nie kwapił się do zwykłego chichotu.

- A twój pogląd na ten temat? - spytał Hunter. Rodriguez podniósł się i odszedł.

- Nie mam specjalnego poglądu - odparł Peterson. - Użyłeś słowa „kruczata”. Major powiedział „epidemia”. Mój brat, Jimmy, w wieku siedemnastu lat miał udar po przedawkowaniu tego gówna. Wiesz, co to udar?

- Zakłócenie pracy mózgu - Hunter wyrecytował słownikową definicję.

- Taa. Niestety. Zakłócenie pracy mózgu skończyło się śmiercią. Zabiłbym każdego dilera, który wpadłby w moje ręce, gdybym tylko miał przy sobie broń.

- Nie jestem pewien, czy tu mamy do czynienia z działalnością kartelu - zauważył Hunter.

Peterson uśmiechnął się do niego szeroko.

- Mamy do czynienia ze złymi ludźmi, kapitanie. Jestem tego cholernie pewien. Ty też, masz to wypisane na twarzy. - Głową wskazał w stronę strzeżonego osiedla półtora kilometra dalej na

południe. - To wszystko jest bardzo proste. Nie wymaga debaty filozoficznej. Wymieciemy ich i świat poczuje ulgę.

Hunter uśmiechnął się i skinął głową kipiącemu gniewem Pe-tersonowi. Ten pojednawczy gest wydał mu się w tych okolicznościach czymś najbardziej sensownym.

- Jak to powiadacie w armii brytyjskiej? Zdążyć do domu na herbatę i medale. Tak będzie z nami, kiedy zakończymy to za-danko. Zlikwidujemy szumowiny i zdążymy do domu na herbatę i po medale.

- Amen - powiedział Hunter. Podniósł się powoli. Kolana bolały go jeszcze po skoku, ale kawa działała moczopędnie. Rozejrzył się po żlebie za miejscem, gdzie mógłby znaleźć trochę prywatności, bo zalewało ich już poranne światło. Potem chciał pogadać z widmem z Karoliny Północnej, które jak duch przeniknęło niewykryte do wrogiego osiedla. Bez wątpienia chłopaka przesłuchali dwaj pozostali oficerowie. Ale Hunter wolał wiadomości z pierwszej ręki. Nie chciał ryzykować, że coś zagubiono w tłumaczeniu. Do zmroku było dwanaście godzin i w tym czasie nie podejmą działań przeciw wrogowi. Zdążą wypracować strategię. Zacznie od ducha z Karoliny. I w zależności od tego, czego się dowie od chłopaka, zaproponuje własne elementy ogólnego planu.

Przed Hunterem usiadł na ziemi szeregowiec Abel Gaul.

- Czy mogę? - zapytał chłopak, wskazując wilgotny blok tytoniu do żucia. Hunter nie miał nic przeciw temu, zważywszy kierunek wiatru oraz to, że chłopak instynktownie potrafił wszystko robić dyskretnie. Kiwnął głową. Gaul uśmiechnął się, oderwał palcami kawałek tytoniu i umieścił go pod policzkiem. Zęby miał silne, równe i przebarwione od tytoniu.

- Niech pan pyta, panie kapitanie.

- Wartownik, którego zobaczyłeś?

- Poczuję go, zanim zobaczyłem. Czuję jego zapach, nawet jeszcze zanim go usłyszałem.

- Zapach ciała?
- Tak jakby.
- Opiszcie zapach, szeregowy.
- Zgniły. - Gaul wypluł sok tytoniowy.
- Jak zgniły?

Gaul, blondyn o piegowatym nosie, miał szczerą twarz i szerokie ramiona. Był przy tym gibki, a jego panterka luźno okrywała wąskie biodra i długie kończyny. Patrzył przed siebie w ziemię i gładził się po brodzie, szukając właściwego słowa. Hunter go nie poganiał, rad, że chłopak z Karoliny bierze to tak poważnie.

- Zepsuty - powiedział w końcu.
- A może to pies cuchnął? Pies mógł mieć infekcję łapy, nosówkę czy coś w tym rodzaju?
- Nie - zaprzeczył Gaul. - Pies był zdrowy.
- Szeregowy, co dokładnie macie na myśli, mówiąc „zepsuty”?
- Zgniły.

Hunter był nieco zagubiony.

- Jak coś martwego?
- Gorzej niż martwego, proszę pana.
- Gorzej? Gaul potaknął.
- Jak coś, co jest naprawdę zepsute - powiedział. - Zdechłe i pozostawione na długo.

Hunter zmienił pozycję i spojrzał na Rodrigueza oraz dwóch innych mężczyzn, którzy dla treningu rozkładali trzy karabiny maszynowe dużego kalibru. Tak jak we wszystkich swoich doświadczeniach z Amerykanami, również teraz Hunter widział, że „lekkie uzbrojeni” znaczyło uzbrojeni po zęby. Mieli dość siły ognia, by przypuścić atak na fortecę. Szybko stał pot z brwi. Mimo dużej wysokości panował tu upał. Gaul wypluł zielonka-woczną ślinę z sokiem tytoniowym. Tchnął pogodą, gdy tak po turecku siedział na ziemi. Może to nic ważnego, pomyślał Hunter.

- Jak wyglądał wartownik?

- Był biały. Tak samo biały jak pan czy ja. Chociaż większy. Mógł ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo i miał chyba z metr dziewięćdziesiąt wzrostu. I ogoloną głowę.

- Jak facet z gangu motocyklowego.

- Nie. - Gaul powiedział to z naciskiem. - Z pewnością to nie motocyklista.

- Albo zapaśnik.

- Też nie, proszę pana. Tatuaze miał całkiem inne.

- Był wytatuowany?

- Bardzo. Na twarzy i ramionach. Gdzie indziej skórę miał zakrytą ubraniami. Nie widziałem wyraźnie dłoni. Pięść, która trzymała psa na smyczy, też była chyba zamalowana, ale nie jestem pewien. To mogły być cienie.

Gangi przestępcze z Ameryki Południowej noszą tatuaze na twarzach, Hunter to wiedział. Gaul znowu splunął.

- Wiem, co pan myśli, panie kapitanie. Sam widziałem takich facetów z bliska w Los Angeles. To nie był tatuaz gangu.

- Więc jaki? Etniczny? Plemienny?

- Widziałem coś podobnego parę lat temu, proszę pana. Mieliśmy szkolenie górskie w Nowej Zelandii z kilkoma trepami z Anzacu\*. Miałem przepustkę na czterdzieści osiem godzin i w barach widziałem podobne tatuaze na twarzach Maorysów. Podobne. Nie identyczne.

Hunter zastanowił się nad tym.

- Coś jeszcze, szeregowy? Jakiś detal, który szczególnie was uderzył?

Gaul zaśmiał się cicho.

- Pies mnie poczuł. Przechylił łeb w stronę, gdzie leżałem, ale nie wydał żadnego dźwięku. Chyba nie mógł. Myślę, że przecięto mu struny głosowe.

- Jezu! - jęknął Hunter.

**\* Australian and New Zealand Army Corps (ANZAC) - korpus australijsko-nowozelandzki (przyp. tłum.).**

- Zna pan dużo słów, kapitanie - powiedział Gaul. - Niech mi pan podrzuci dobre słowo na „czerwony”.

- Pąsowy?

- Nie. Niedostatecznie jasny. Chcę coś naprawdę krwawego.

- Szkarłatny.

Gaul chciał pstryknąć palcami - najwyraźniej był to jego zwyczajowy gest - ale zaraz sobie przypomniał, że trzeba zachować ciszę. Opuścił dłoń.

- Właśnie to słowo, kapitanie Hunter. Kiedy pies odwrócił na mnie wzrok, przysięgłbym, że miał szkarłatne oczy.

Żołnierz wstał, by odejść. Ale Hunter zadał ostatnie pytanie.

- Pojazdy?

- Jeden transporter wojskowy. Staromodny. Brezentowa plandeka naciągnięta na kwadratową ramę z tyłu kabiny.

- Jeszcze jakieś?

- Kilka zaparkowanych limuzyn, kapitanie. Jest pan człowiekiem wykształconym. Był pan kiedyś w mojej części Ameryki?

- Nie.

- Szkoda. A wie pan, jak wygląda przybyszka?

- To wielki karaluch.

- Właśnie tak wyglądały te limuzyny - oznajmił Gaul. -Czarne i błyszczące i dają słowo brzydkie jak karaluchy, co żyją u nas.

Hunter dołączył do Rodrigueza i Petersona przy lunchu. Złożyli razem swoje racje żywnościowe. Ten rytuał zawsze miał dwa aspekty. Pierwszy to okazja skosztowania doskonałego prowiantu Amerykanów i

Kanadyjczyków. Drugi aspekt, mniej apetyczny, to tradycyjne kpiny, kiedy oferował w zamian własne kiepskie jedzenie armii brytyjskiej.

Niczym czepliwy przebój w mózgu Huntera wciąż rozbrzmiewał fragment wiersza. Na pewno sprowokowała to wcześniejsza kpiąca uwaga Petersona o herbacie i medalach. Dość prawdopodobne, ponieważ był to wyjątek z poematu Ruperta Brooke'a o starej plebanii w Grantchester. Ale nie ten powszechnie



cytowany końcowy fragment, z nutą sielankowego angielskiego smutku, tylko zupełnie inny urywek:

*A w tym tunelu jest strumień tajemny Zielony jak sen i jak śmierć niezgłębny.*

To dziwne. Hunter nigdy specjalnie nie lubił poezji Brooke'a. Nie pamiętał, kiedy go ostatnio czytał. Ale to właśnie jego wiersz z rytmiczną natarczywością rozbrzmiewał mu teraz w głowie. Było w tym coś złowróżbnego.

Rodriguez rozdarł zębami foliowy pakiet, wsypał zawartość do kubka z gorącą wodą i zaczął powoli mieszać. Hunter rozpoznał znajomy, głównie chemiczny zapach. Danie optymistycznie nazwano „potrawką jagnięcą”. Rodriguez obserwował, jak pieni się i kłębi w kubku. Potem podniósł wzrok na Huntera.

- Jak poszło z Gaulem?

- W porządku. Był dosyć rozmowny. Choć nie sądzę, żeby chciał mnie do swojego zwiadu.

- Och?

- Zrobił uwagę na temat mojego słownictwa. Myślę, że uznał mnie za wciskacza kitu. Mogą być zgrzyty, jeśli wszyscy twoi ludzie będą tak myśleć.

- Mówię dziewięcioma językami - stwierdził Rodriguez.

- Powiedziano mi, że siedmioma.

- Więc pańskie informacje są przestarzałe, kapitanie. Chcę po prostu powiedzieć, że ta umiejętność nie podkopuje mojego autorytetu u żołnierzy.

- A ja nieźle szydełkuję - oświadczył Peterson. Beknął. - Jestem w tym naprawdę dobry. To nie musi oznaczać, że molestuję małe dziewczynki.

- Nie wiem, jak możesz jeść to gówno, Hunter. - Rodriguez wylał z kubka „potrawkę jagnięcą”. Podniósł z ziemi torbę z diagramami i mapami. - Do rzeczy, panowie. Zaatakujemy o dwudziestej pierwszej. Będzie wtedy ciemno od godziny. Ludziom

wydamy instrukcje o siedemnastej. Musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Trzej mężczyźni wstali i przeszli do pobliskiego namiotu, przykrytego tkaniną maskującą. W tym zaimprovizowanym centrum dowodzenia mieli przeanalizować wszystkie warianty operacji.

Hunter nie wiedział, dlaczego absorbuje swój umysł tak nieistotnymi szczegółami, jak tatuaże kultowe, woń zgnilizny czy niewydające dźwięków agresywne psy. Wszyscy byli szkoleni, potrafili dać sobie radę z psami. Ważniejsza od cech fizycznych strażników była ich liczba i rodzaj uzbrojenia, jakim dysponowali. A jednak ciągle narastało w nim poczucie dziwaczności całej sytuacji. Dwuwiersz Brooke'a w kółko denerwująco rozbrzmiewał mu w głowie. Hunter zerwał kawałek pnącego się po ścianie wąwozu storczyka, zmiażdżył liść i wachał klejące się dłonie, jakby ostry, silny zapach roślinnego soku mógł oczyścić mu umysł i przegnać zbyteczne myśli.

Po odprawie, z pełnymi żołądkami, Rodriguez i Peterson zrobili to, co inni mężczyźni, którzy nie pełnili teraz warty - poszli się zdrzemnąć na kilka godzin. Hunter wypakował śpiwór, rozwinął karimatę i znalazł płaskie miejsce do spania. Ale nie mógł zasnąć. Dwuwiersz Brooke'a wreszcie wycofał się z jego mózgu. Ale umysł nie znalazł odpoczynku. Napłynęły myśli o Lillian. Hunter nie snuł marzeń na temat ich wspólnej przyszłości. W przededniu boju żołnierze nie robią planów na przyszłość. Nie chciał prowokować losu. Kiedy ludzie z Luizjany i Arkansas chrapali z karabinami w objęciach, a egzotyczne ptaki krzyczały w wysokich gałęziach drzew, Mark Hunter rozmyślał o cudzie, jakim było małżeństwo z piękną, ukochaną kobietą.

Spotkał ją czternaście miesięcy wcześniej na wieczorze autorskim w księgarni Hatcharda przy Piccadilly. Czytał tam swoje utwory irlandzki poeta Seamus Heaney. Mark poczekał cierpliwie w kolejce, zamienił słowo z wielkim człowiekiem i dostał autograf na swoim egzemplarzu pierwszego wydania w twardej

oprawie. Opierał się o ścianę bardzo zadowolony z dedykacji, kiedy jakaś kobieta odwróciła się w tłumie ludzi i odezwała do niego.

- Jest pan miłośnikiem poezji? - usłyszał wyraźnie w otaczającym ich gwarze.

- Tak. W innym wypadku nie byłoby mnie tutaj.

Miała zielone, kocie oczy. Proste jasnobrązowe włosy spadały ciężko na ramiona. Stała spokojnie z kieliszkiem wina w ręce. Pomyślał, że dzięki temu niezwykle opanowaniu kobieta robi tak silne wrażenie fizyczne, choć była bardzo szczupła i niezbyt wysoka.

- Nie wygląda pan na fana poezji.

- Och? A jak oni wyglądają? Tak ogólnie.

- Na pewno nie jak poszukiwacze przygód. Ani agenci tajnych służb. Nie mają intrygujących blizn na twarzy. Ogólnie mówiąc, zupełnie inaczej niż pan. - Uniosła brew i upiła nieco wina. - Niech pan się rozejrzy.

Oświetlały ich z góry mocne lampy, otaczały połyskujące grzbiety książek na przesuwanych półkach. Sklep był zatłoczony, a większość mężczyzn miała ogorzałe ziemiańskie twarze. U niego szramę pod kością policzkową spowodował odłamek szrap-nela. Pomyślał, że dziewczyna jest z wydawnictwa albo z firmy, która prowadzi księgarnię, wyznaczona do opieki nad noblistą. Jeśli tak, to stary szczęściarz, Seamus Heaney, dostał bardzo smukłego i eleganckiego ochroniarza.

- Proszę posłuchać, nie jestem żadnym dziwakiem - powiedział Hunter. -

Lubię poezję. Mogę nawet coś zacytować, jeśli potrzebne są dowody.

Jeszcze raz oceniła go wzrokiem. Nie potrafił odgadnąć wyrazu jej twarzy.

Miała na sobie rozpięty czerwony wełniany płaszcz. Była pogodna wczesna wiosna, ale tu, w tej zatłoczonej sali zrobiło się bardzo gorąco. Upał chyba nie robił na kobiecie wrażenia. Pochyliła głowę, spojrzała na jego książkę, a potem wyjęła mu ją z rąk.

- *Beowulf* - powiedziała. - To nie jest poezja Heaney'a.  
- To jego tłumaczenie.  
- To opowiadanie o potworze. Mam na imię Lillian.  
- To opowiadanie o wędrowce, by zabić potwora. Trzy potwory. Jestem Mark. - Przyszła mu do głowy niewiarygodna myśl. - Podrywasz mnie? Zwróciła mu egzemplarz *Beowulfa* i upiła jeszcze trochę wina.  
- Jesteś tu najbardziej atrakcyjnym mężczyzną. Może nawet najbardziej atrakcyjnym, jakiego w ogóle spotkałam w życiu. To będzie zależało. Opowiedz mi o sobie, Mark. Ale nie kłam. Natychmiast rozpoznam, jeśli spróbujesz skłamać.

Później poszli na drinka do Covent Garden, gdzie miała mieszkanie.

Pracowała w branży wydawniczej. Ale na spotkanie z Heaneyem przyszła jedynie jako jego fanka. I też dostała dedykację. Na *Poezjach zebranych*. Kiedy rozmawiali u Hatcharda, książka bezpiecznie leżała w jej torbie.

- Jaką lubisz poezję?

- Nowoczesną - odpowiedział. - Wszystko, co lubię, zaczyna się od Manley'a Hopkinsa.

Zaśmiała się.

- Jesteś zbyt dobry, żebyś był prawdziwy.

- Nie jestem aż tak dobry, zapewniam.

- Pewnie myślisz, że mam niezły tupet. Normalnie tak się nie zachowuję. Zmarnowałam ostatnie dwa lata na związek z mężczyzną, który nie był tego wart. Odkryłam to dopiero kilka dni temu. Zostało we mnie nieco gniewu i agresji. Nie jestem zwykle taka bezpośrednia. I nie jestem aż taka żałosna, nie uważam, że kobieta bez mężczyzny nie może istnieć.

Zobaczyłam cię, zobaczyłam, że jesteś sam, i nie chciałam, żebyś tak po prostu niepostrzeżenie odszedł.

- Cieszę się.

- Czym się zajmujesz?

Ich dwuosobowy stolik w pubie stał w odosobnionym zakątku. Hunter pamiętał o wcześniejszym ostrzeżeniu i opowiedział jej o sobie. Słuchała. Jeszcze raz przekonał się, że nic nie potrafi

wyczytać z jej twarzy. Była bardzo piękna. Im dłużej się jej przyglądał, tym wydawała się piękniejsza. Nie chodziło o makijaż czy styl, lecz piękno naturalne. A ona jakby nie zdawała sobie z tego sprawy, choć wiedział, że to niemożliwe. Kiedy skończył opowiadać jej o swoim życiu, uśmiechnęła się i poprosiła, żeby odprowadził ją do domu. Na progu pocałował ją. Opuściła mu dłoń na ramię i ten dotyk wywołał w nim radosne drżenie.

- Co chciałbyś teraz robić?

- Zaciągnąć cię do łóżka?

- To znaczy... czy chcesz, żebyśmy się znowu spotkali.

- O Boże. To było takie prymitywne. Bardzo cię przepraszam, Lillian.

Szukała kluczy w torebce.

- Nie przepraszaj - powiedziała. - Optymizm nie szkodzi. Szklanka jest do połowy pełna i tak dalej.

Roześmiał się z ulgą.

- Czego byś chciała?

Znalazła klucze. Podniosła na niego wzrok. Odgarnęła ciężkie włosy, odsłaniając całkowicie twarz.

- Chciałabym, żebyś mnie uwodził, Mark. Bardzo bym chciała. Poszedł Catherine Street do mostu Waterloo, po czym zszedł schodami na Embankment. Patrzył, jak Tamiza łagodnie skręca na lewo, pod budynek parlamentu. Wróci do koszar, do twardego materaca, szorstkiego wełnianego koca i zaśnie. Nad rzeką unosiła się lekka wiosenna mgła i latarnie ustawione na Embankment lśniły w niej perłowo.

Zakwaterowano go w koszarach w Chelsea podczas dwudniowej sesji seminariów. Zobaczył ogłoszenie o wieczorze autorskim Heaney'a.

Przeczytał je w londyńskiej bezpłatnej gazecie, zostawionej na stole w kantynie oficerskiej. Przypadkowo podszedł do tego stołu, postawił tacę i zobaczył program. Wybrał się do Hatcharda pod wpływem chwilowego kaprysu. Dlatego traktował spotkanie ze swoją przyszłą żoną jako rodzaj cudu. Aż do chwili gdy wysłano go do Boliwii, nic nie zmieniło tego przeświadczenia.

Ponieważ nie mógł zasnąć, poszedł po plecak i wyjął z niego papier i długopis. Miał nowy obowiązek, ale o nim zapomniał i musiał to naprawić. Musiał napisać list do Lillian, który mógł być listem ostatnim. To odpowiedzialność nowa i uciążliwa, ale nie miał wyboru. Musiał przekazać żonie ostatnie słowa, gdyby nie przeżył nadchodzącej potyczki. Utrzyma list w lekkim tonie, choć opadły go złe przecucia co do tej operacji. Nie przyznawał się jednak do nich nawet przed sobą. W liście nie będzie kręactw. Odkryłaby kłamstwo, a wtedy by ją utracił. Tak zapowiedziała. Takie zasady ustanowiła. Naprawdę nie śmiałby jej okłamać. Zbyt cennym była darem i nie chciał ryzykować, że ją utraci. Na szczęście cała ta wyprawa miała dość elementów komediowych, by napisać coś wesołego. Nie wierzył przecież, że zginie albo zostanie ranny w potyczce. Żaden żołnierz tak naprawdę w to nie wierzy. W walce zawsze przytrafia się to komuś innemu. Hunter pisał zwięźle i pogodnie, zakończył pocałunkami, a potem włożył papier do koperty, którą zakleił i wsunął z powrotem do plecaka. W jego życiu wiele się ostatnio zmieniło, i to na lepsze. A w swoim rzemiośle miał doświadczenie i potrafił je doskonale wykorzystywać: Bez fałszywej skromności.

Nie ma sensu bez końca sprawdzać ekwipunku - trzeba kiedyś przestać. Nie ma również sensu bez końca omawiać szczegółów misji. Można rozmawiać, ale chłopcy z Południa nie byli zbyt gadatliwi. Tuż przed rozpoczęciem akcji tylko się czeka. Piętnaście minut przed wyjściem Hunter, Rodriguez i Peterson zebrali się w swoim brezentowym małym sztabie. Rodriguez wyjął metalową flaszkę, odkręcił korek i nalał każdemu odrobinę czegoś mocnego. Hunter powąchał wódkę. Tequila. Unieśli kubki, wychylili je.

- Ciekaw jestem jednej rzeczy, Hunter - powiedział Rodriguez. - Lubię znać ludzi, u boku których walczę. Kiedy nie jesteś na służbie, co jest pasją twojego drugiego życia?

Hunter wytarł wargi wierzchem dłoni. Przez chwilę milczał.

- Tam, w domu, żona i ja zapalamy wieczorami polana na kominku.  
- Jest lato - zauważył Peterson. - Nawet w Anglii jest teraz lato.  
- Nie znasz West Country, kapitanie. Rozpalamy ogień. A polana zajmują się płomieniem. Pokój wypełnia się ciepłym zapachem żywicy sosnowej. A ja szcnotkuję włosy mojej żony. Siedzi przede mną na dywanie z głową między moimi kolanami. I bardzo sobie cenię ten rytuał.

Rodriguez uśmiechnął się i potaknął.

- To tragiczne - stwierdził Peterson. - Jak rozumiem, jesteś żonaty dopiero od kilku tygodni.

- Nie tragiczne. - Rodriguez wzruszył ramionami. - Choć może trochę angielskie.

Hunter spojrzał na Petersona.

- I nie wiecie, dlaczego włosy mojej żony wymagają szcnotkowania. - Odwrócił się do Rodrigueza.

- A ty, majorze?

- Uczę córeczkę gry na pianinie. Cenię sobie czas, który spędzamy razem, obok siebie, na taboretach przy klawiaturze. Jest bardzo utalentowana.

- Jezu - powiedział Peterson do Rodrigueza. - Tyle rzeczy potrafisz! Rodriguez się uśmiechnął.

Wyglądał jednak na zaniepokojonego. Albo smutnego. Te uczucia stosunkowo łatwo można pomylić, powiedział sobie w duchu Hunter.

- A ty, Peterson?

- Lubię czytać - odparł Peterson. - Gdy nie celuję z walącym sercem z pistoletu, lubię czytać, wierzcie albo nie. Lubię spacerować po otwartym terenie. I lubię malować. Na bożej ziemi nie ma lepszego kraju dla malarza akwarel niż Kanada.

- Jakie rzeczy czytujesz? - spytał major szczerze zainteresowany.

- Melville. Conrad. Lubię opowiadania o morzu.
- A szydełkowanie? - spytał Hunter.
- Kłamałem na temat szydełkowania - odparł Peterson. -Nie jestem aż takim człowiekiem renesansu.

W mroku pod brezentowym dachem Rodriguez i Hunter roześmiali się. Gdy przestali się śmiać, wymienili uściski.

- To będzie spacer, panowie - powiedział Rodriguez. Ale co do tego major się mylił.

### 3

**Sforsowali** granicę strzeżonego kompleksu w dwóch przeciwległych punktach i natychmiast rozeszli się wachlarzem. Szybko posuwali się ku centralnej konstrukcji, gotowi zabić każdego, kto im stawi opór. W akcjach jednostek szturmowych najważniejszy jest rozmach i każdy z nich o tym wiedział. Cały czas naprzód. Ani kroku do tyłu. Niepowstrzymany, morderczy marsz, bez wahania, aż cel zostanie schwytany i unieszkodliwiony. Impet zwiększa szanse przeżycia. Zapach kordytu wypełnił powietrze. Z prawej i lewej strony Huntera żołnierze strzelali krótkimi zdyscyplinowanymi seriami. Przeciwnik odpowiedział nieregularnym chaotycznym ogniem; obrońcy zagrody przy każdym naciśnięciu spustu zużywali cały magazynek. W ciemności wokół Huntera śmigały kule, ciężkie, zabójcze, ale niecelne. Pochylony szedł naprzód, gdy nagle dziesięć metrów przed sobą usłyszał szczęk spadającego na ziemię magazynka. Puścił tam serię. **Trafił** w coś solidnego i usłyszał stęknienie zaskoczenia lub bólu. Nagle runął na niego ogromny pies, który wybił mu powietrze z płuc, przewrócił na ziemię i próbował przegryźć gardło. Mark zasłonił się ręką. Pies zwarł na niej najeżone zębami szczęki i szarpał. Miotał głową i rwał mięśnie. Nie wydawał przy



tym żadnego dźwięku. Oczy miał tępe, ślepe, szkarłatne. Hunter wyjął nóż bojowy z pochwy na prawym udzie i wbił go aż po rękojeść w szyję psa. Bestia tylko mocniej zacisnęła szczęki, a jej zęby głęboko przebiły mu skórę. Czuł, jak ścięgnięta ręka naprężają się i pękają. Tuż nad sobą usłyszał niewiarygodnie głośną salwę z pistoletu automatycznego. Pies opadł bezwładnie i Hunter wywinął się spod niego. Gaul nie miał racji. Zwierzę śmierdziało jak sama śmierć. Jego oddech na twarzy Huntera był fetorem kostnicy.

Peterson pomógł mu wstać.

- Wszystko jest nie tak - powiedział.

- Co masz na myśli?

Kanadyjczyk dyszał spocony. Pod ciemną szminką, którą się dla kamuflażu wysmarował, jego twarz była już brudna od dymu granatów ogłuszających i palonego prochu.

- Dostają pociskami, ale nie umierają, kapitanie - rzekł.

Jakby na potwierdzenie jego słów martwy rottweiler poruszył się i otrząsnął, jak zwierzę, które budzi się na wezwanie. Połyskujące wnętrzności leżały tam, gdzie z ciała psa wypruły je ciężkie pociski Petersona. Hunter patrzył na to z odrazą i niedowierzaniem. Bestia otrząsnęła się z własnej krwi. Otworzyła oczy - szkarłatne i połyskliwe.

- Chodź - ponaglił go Peterson.

Zbliżyli się do namiotu z czarnego impregnowanego brezentu. Miał rozmiary katedry. Napinające go liny, grube jak holownicze, przywiązano do metalowych słupków wbitych głęboko w grunt, ale nadal dumnie sterczących z ziemi na wysokość człowieka. Nie mogli znaleźć wejścia. Strzelanina stała się teraz chaotyczna. Przeciwnicy stawiali zażarty opór. Plan ataku się załamał. Nie można było odróżnić wrogów od przyjaciół. Mark patrzył ze zgrozą i z pewnym podziwem na wielką konstrukcję. Dochodzące go jęki i wrzaski świadczyły o tym, że bitwa zesłała do poziomu pojedynków toczonych wręcz.

Dowodzili ósmioma ludźmi. Posiadali siłę oddziału jedenasto-osobowego. Stanowczo za mało. Mark zastanawiał się, ilu z nich pozostało jeszcze przy życiu. Jak oceniał, upłynęły najwyżej cztery minuty tego katastrofalnego nieprzemyślanego ataku.

Peterson wyjął nóż i przeciął brezent. Rozszerzył go i gestem nakazał Hunterowi wejść za sobą do środka. Hunter zobaczył, że rozdarcie odstąpiło czerń jeszcze bardziej atramentową od otaczającej ją materii. Wydawało się, że wewnątrz namiotu pochłania i pożera światło. Przełknął ślinę. Na co się natknęli? Nie było wyboru, musieli posuwać się naprzód. Spocony Peterson wydierał kwaśny zapach strachu. Hunter czuł tę ostrą woń również na sobie. Ale wokół wzrastał się przenikliwy odór. Ohydny smród rozkładu. Kojarzył się ze sprofanowanymi przez rabusiów kryptami i z ludźmi powstającymi z trumien o północy. Przez chwilę Hunter czuł się nie jak żołnierz, ale jak ktoś, kto uczestniczy w beczeszczeniu grobów.

- Dalej - powiedział Peterson. Teraz przesunął się do tyłu. W głosie Kanadyjczyka brzmiała gorączkowa niecierpliwość. Przeciskali się z trudem przez rozdarcie w materii nowego, ciemnego świata.

Odgłosy bitewnej rzezi zastąpiła cisza. Posuwali się wąskim brezentowym korytarzem niemal po omacku, dopóki ich oczy nie przywykły do mroku, rozświetlanego promykami małej latarki Petersona. Zgodnie z logiką mogli tylko dążyć do środka tej konstrukcji. Ale było to bardzo trudne. Tracili orientację. Brezentowy labirynt przyszyto do markizy, a wąskie korytarze wywoływały klaustrofobię. Na szczęście były napięte. Hunter wyobraził sobie, jak czarna tkanina rozluźnia się, spada, impregnowane brzemie wiotczeje, przygniata ich całym swoim cichym ciężarem i dusi. Zazwyczaj tego typu myśli go nie dręczyły. De-fetyzm był mu obcy. Nigdy w życiu nie uległ panice. Teraz miał wrażenie, jakby strach był wirusem, który przeniknął do jego organizmu z tkaniny otaczającej to miejsce. Nie widział twarzy swojego towarzysza broni, mógłby się jednak założyć, że w tej

chwili Peterson pada ofiarą identycznych lęków. Musisz całą siłą woli walczyć z tą zarazą, napominał się, bo gdy odwaga cię opuści, staniesz się bezradny. W końcu wynurzyli się w centralnej komnacie. W porównaniu z zamkniętymi przestrzeniami labiryntu wydawała się obszerna. Peterson wprowadził nabój do komory. Dźwięk dodawał otuchy, przypominał, że Kanadyjczyk jest mężny i wojowniczy. Ocalił mi życie, pomyślał Hunter przelotnie. Nagle to, co zobaczył, rozjaśniło mu wzrok i umysł. Scenę oświetlały świece, ale ich blask był słaby i niejednorodny. Płomienie zdawały się walczyć o tlen potrzebny im do migotliwego życia. Jasność ciskała plamy na postać pośrodku pomieszczenia - nienaturalnie grubą kobietę w średnim wieku, ubraną w kwiecisty strój i obwieszoną klejnotami. W słabym świetle Hunter nie widział jej dokładnie z tej odległości. To pojawiała się, to znikwała w świetle drżących płomyków świec. Kiedy podeszli bliżej, zobaczył, że kobieta siedzi przy karcianym stoliku. Rozłożone karty miały spłowiałe kolory. Grę przygotowano dla dwóch osób. Stało tam drugie krzesło - a raczej tron - naprzeciw krzesła zajętego przez grubą kobietę. Ale było puste. Nad stolikiem wisały wielkie kilimy. Na niektórych z nich widniały postacie, na innych - kształty geometryczne. Postacie ni to ludzkie, ni zwierzęce stanowiły subtelną i niepokojącą formę przejściową. Miały deprymujące oblicza. Chytróść, cechująca czasem ludzi, mieszała się z pierwotną wrogością drapieżnych bestii. Jednak i tak bardziej przerażające wydały mu się tkaniny abstrakcyjne. Przedstawione na nich wzory przeczyły zasadom geometrii i logice. Buntownicze linie i rebelianckie konstrukcje kpiły z rozsądku i opierały się analizie. Gdyby ktoś studiował ich zawłości, musiałyby oszaleć. **Nad** kilimami, daleko na czarnym wklęsłym suficie, namalowano konstelację gwiazdową. Ale nie był to żaden z gwiazdozbiorów, które można oglądać z Ziemi. To dziwne nocne niebo przyprawiało o dreszcze. Patrząc na nie, poczuł się bezradny, oddalony lata świetlne od domu, od tego, co rozumiał.

Siedząca kobieta odwróciła głowę ku Hunterowi. Miała na głowie zielony satynowy turban udrapowany w skomplikowane zawoje. Mark wiedział z całą pewnością, że pod nim kobieta jest łysa. Nagle otworzyła usta jakby w ziewnięciu tak nieoczekiwanym, że zaskoczyło to najbardziej ją samą.

- Jest coś szczególnie urzekającego w rzece w tym właśnie miejscu, kapitanie - powiedziała. Mówiła wysokim jasnym głosem, z wyrafinowanym akcentem brytyjskim. - Doskonale rozumiem, dlaczego pan je wybrał. Zakole rzeki, błysk wody na tle bladych łuków mostu. Do tego bujna zieleń wyspy. To obietnica radości, która czeka pod eleganckimi namiotami skąpanymi w letnim słońcu. Śliczne miejsce. Chyba nie ma ładniejszego nad całą Tamizą. Wspaniała lokalizacja na sakrament i na uroczystości. Można powiedzieć magiczna. Wiem, że się pan ze mną zgodzi.

Jej usta nagle się zamknęły. Potem się uśmiechnęła, jakby go zapraszała do podzielenia się jakimś sekretnym żartem.

- O czym mówi ta stara suka, kapitanie? - spytał cicho Peterson. Rozmyślnie obniżył głos. - Brzmi jak kawałek z pieprzonego przewodnika turystycznego.

- Właśnie opisała miejsce, gdzie miesiąc temu odbyło się moje wesele - wyjaśnił Hunter. Miał tak sucho w ustach, że jego głos zabrzmiał ostro, jakby należał do kogoś zupełnie innego.

- Jezu! - westchnął Kanadyjczyk.

Kobieta odwróciła się do Petersona. Hunter pomyślał, że w namiocie pociemniało, że światła jeszcze bardziej przygasły. Namalowana konstelacja zmalowała, jakby oddalali się od niej przez kosmos. Postacie na kilimach stały się cienistymi widmami. W oczach starej kobiety pojawił się blask, na pewno niepo-chodzący od płomieni świec. To lśnienie wydało się Hunterowi jakąś zewnętrzną manifestacją wewnętrznej energii. Przypuszczał, że zielonkawą poświatę jej oczu wywołują myśli. Była zdolna dokonać różnych rzeczy samą siłą woli. Hunter wyczuwał niebezpieczeństwo wyostrzonym instynktem żołnierza, który przez lata narażał się na śmierć. Dłoń, spoconą ze strachu, umieścił

na kolbie pistoletu przy boku. Metal sprawiał wrażenie zimnego, zdeformowanego i wcale nie dodawał otuchy. Karty na stoliku zaczęły się zwijać, tlić i dymić z ostrym fetorem.

- Źle, że przerwał pan naszą grę - oznajmiła kobieta.

- Kim pani jest? - spytał Peterson.

- Jestem panna Hall. Nieważne. Ale pan ciężko obraził moją gospodynię, panią Mallory. A to jest bardzo ważne. Będzie pan tego ogromnie żałować. Po drugiej stronie komnaty, za rozpartą na krześle panną Hall, rozległ się skowyt. Hunter wydobył i odbezpieczył pistolet. Trzymając oburącz broń, ominął pannę Hall ostrożnym szerokim łukiem i pobiegł w stronę źródła dźwięku. Zobaczył rozciągniętą na ziemi postać w panterce. Rodriguez. Twarz miał umazaną krwią, która skrzepła mu na wąsach. Był nieprzytomny. Bez dłoni. Dłonie obcięto mu nierówno w przegubach. Jego zegarek, z nadal zapiętym paskiem, leżał obok na podłodze.

- Chodź tutaj! - wrzasnął Hunter na Petersona. - Morfina, tymczasowe opatrunki. Masz coś, żeby mu zawinąć kikuty, zatrzymać krwawienie?

- O, nie! - Peterson opadł na kolana i z zasobników, które miał przyczepione do pasa, wyjął podręczną apteczkę. - Co mu się stało?

- To robota psa - stwierdził Hunter. - A może całego stada. Uciał kawałek sznurowadła i zrobił z niego opaskę uciskową na jednym z przegubów majora.

- To nie pies - odezwała się panna Hall z tronu obok karcianego stolika za nimi. - Pani Mallory bardzo się zirytowała, kiedy wasz dowódca przerwał naszą grę. Nigdy wcześniej nie widziałam u niej takiej wściekłości.

Powiedziała, że nie będzie już więcej grał na fortepianie z córką. I nie będzie. To jego kara. Zmusiła go, by odgryzł sobie dłonie.

- Pieprzyć to - powiedział Peterson. Wstał, chwytając z podłogi automat, który odłożył, by zająć się Rodriguezem. Odwrócił się i skierował broń na kobietę, która przedstawiła się jako pan-

na Hall. Hunter pamiętał, że już wcześniej wprowadził nabój do lufy.

- Nie - zaprotestował. Wyciągnął rękę i pchnął lufę pistoletu ku podłodze.

- Do cholery, skąd mogła wiedzieć te rzeczy o majorze i jego córce? - spytał Peterson. Miał rozszerzone źrenice, ciężko dyszał i tracił panowanie nad sobą. - Jak się dowiedziała?

- W ten sam sposób, w jaki wie o moim weselu - odparł Hunter. -

Spróbujmy wyjść z tego żywi.

- Jeszcze raz we mnie wycelujesz, młody człowieku, a każę ci skierować broń na siebie - powiedziała panna Hall do Kanadyjczyka. Przenosiła spojrzenie to na Huntera, to na Petersona. - Wina leży całkowicie po waszej stronie. Przyszliście tutaj bez zaproszenia. Przybyliście z wrogimi zamiarami. Zepsuliście coś, co organizowałam przez lata. Cieszcie się, że nie było was tu wcześniej i nie doświadczyliście gniewu pani Mallory. Przykro mi z powodu waszego dowódcy. Ale jego kara to nie moje dzieło. Idźcie stąd, zanim zmienię zdanie co do tego, czy mam pozwolić wam odejść.

- Gdzie jest teraz pani Mallory? - spytał Hunter.

Panna Hall uśmiechnęła się do niego szeroko. Jej zęby były wielkie, żółte i zbyt liczne. Z mięsistym szuraniem olbrzymich ud usadowiła się głębiej na swoim fotelu.

- Nie życzyłybyś sobie spotkać pani Mallory - powiedziała. - Nie teraz, kiedy dopiero co wskoczyłeś w łóżko małżeńskie. O nie, młody człowieku.

Hunter ciasno zawiązał oba przeguby Rodrigueza prowizorycznymi opaskami ze sznurowadeł. Ucisk lub szok zatamowały krwawienie. Z poszarpanych ran majora wystawały kości, w świetle świec wydawały się białe. Oficer był nieprzytomny. Peterson wpompował w niego dwie ampułki morfiny. Potem wielki Kanadyjczyk zarzucił sobie Rodrigueza na plecy. Wręczył Hunterowi swój pistolet automatyczny. Hunter stracił własny automat podczas szarpaniny z psem. Ponownie uzbrojony, zaczął

rozglądać się za wyjściem, za drogą ucieczki z tego koszmaru na jawie.

Ze środka pokoju dobiegło go pełne złości westchnienie panny Hall.

- Jesteście zupełnie bezpieczni. Pani Mallory wyjechała wiele godzin temu. Jej świty z psami od dawna tu nie ma.

- Wiele godzin? - Peterson nachmurzył się. Ułożył wygodniej ciężar Rodrigueza na plecach. - To niemożliwe.

- Byliście w brezentowym labiryncie dłużej, niż przypuszczasz, kapitanie. To dzieło pani Mallory. Chciała mieć czas na ukaranie waszego dowódcy. Możecie bezpiecznie wyjść na zewnątrz i wrócić do obozu. Bezpośrednie zagrożenie minęło.

Hunter zauważył, że na oddalonej ścianie, za miejscem, gdzie siedziała panna Hall, znajdują się jakieś drzwi. Wąskie delikatne szczeliny dziennego światła rysowały wysoki prostokąt we wszechobecnym mroku. Milcząco wskazał wyjście Peterso-nowi. Ostrożnie zaczęli się tam wycofywać. Panna Hall znowu westchnęła ze złością.

- Niech pan tu podejdzie, kapitanie Hunter - nakazała.

Miał wprawdzie automat Petersona w prawej ręce, ale pomyślał, że mądrzej będzie, jeśli jej posłucha. Kiedy podszedł bliżej, poczuł odór, kwaśny i ostry, jakby zepsutego masła. Im bliżej podchodził, tym zapach stawał się silniejszy. To nie mogło być zjełczone masło. Smród był znacznie gorszy. Jakby maślane ciastko zepsuło się w upale i wilgoci. Starał się nie zwymiotować. Żeby się zbliżyć, musiał opanować obrzydzenie.

- Nie, kapitanie - powiedziała panna Hall z żółtym uśmiechem. - Masz rację. Nigdy nie byłam ładna. Zdejmij bluzę.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jego lewa ręka zwisa przy boku, pulsując bólem. Całkowicie zużył adrenalinę, dzięki której zdołał opatrzyć rany majora. Z wysiłkiem pozbył się munduru polowego i zobaczył, że ramię od łokcia po przegub to zaropiałe, napuchłe paskudztwo z ranami szarpanymi i kłutymi. Ciało było żółte i obrzmiałe. Ból cały czas się wzmaczał.

Hunter wątpił, by w ich prowizorycznym obozie była penicylina. Nie mieli antybiotyków. Wiedział, że ugryzienie psa spowodowało zakażenie. Podbródek panny Hall miał kolor serwatki. Szyja tkwiła w jedwabnych i satynowych chustach. Odwinęła jedną z nich.

- Daj mi rękę.

Hunter z wysiłkiem posłuchał. Był przy niej tuż-tuż. Owinęła satyną dolną połowę jego wyciągniętej ręki. Wymamrotała coś w języku, którego z całą pewnością nigdy wcześniej nie słyszał. Zamknęła oczy, znowu je otworzyła i z nadętych policzków wypuściła cuchnące powietrze.

- Gotowe - powiedziała. Lepką od krwi i ropy apaszkę upuściła na podłogę.

- Masz tu dowód, że jestem bardziej dobra niż zła. Apaszka jest zniszczona. Ale twoja ręka wróci do zdrowia w ciągu godziny.

Obejrzał ramię. Nadal wyglądało na to, że nie uniknie amputacji, a ból wcale nie ustąpił.

- Całą godzinę? - zapytał. Zrobiła nadąsaną minę.

- Tak, nie potrafię czynić cudów.

Hunter spojrzał na Petersona, który cierpliwie dźwigał ich dowódcę.

- Nie mogę zrobić nic dla majora Rodrigueza. Nawet gdybym mogła, nie ośmieliłabym się odczynić uroku, który rzuciła pani Mallory. Widzi pan, ona jest w znacznie większym stopniu zła niż dobra. Nie chciałabym jej rozgniewać.

- W takim razie dziękuję. Jestem wdzięczny za to, co pani zrobiła.

Hunter ruszył do wyjścia, ale nagle się zatrzymał.

- Tak? - spytała panna Hall.

- W tych okolicach kilka tygodni temu była grupa turystów.

- Ico?

- Zniknęli.

Panna Hall przesunęła się na tronie.



- Wąsi podróżnicy stali się pozywieniem dla jej psów. Niczym więcej. Jak już panu mówiłam, pani Mallory jest w znacznie większym stopniu zła niż dobra.

Na zewnątrz, w świetle dnia, nigdzie nie widzieli swoich ludzi. Nie było także po nich śladu, kiedy wrócili do obozu w żlebie, dwa kilometry na północ. W namiocie, który był ich sztabem, zrobili jak najwygodniejsze posłanie dla Rodrigueza. Hunter rozpamiętywał, jak planowali atak, jak wymienili uściski. Niecałą dobę temu rozmawiali o kartelach kokainowych, ich wpływie na świat oraz górnolotnie filozofowali na temat moralnych implikacji użycia przeciw nim sił zbrojnych. Kiedy Peterson zajął się parzeniem kawy, Hunter myślał o liście do żony. Napisał go na wypadek, gdyby nie powrócił z bitwy. Głębiej się nad wszystkim zastanowił i uznał, że obecne doświadczenie ma niewiele wspólnego z żołnierską walką. Znał wytrwałych przeciwników w polu, ale nigdy wcześniej nie walczył z ludźmi, których zabić nie można. Bardzo przypominało mu to czarną magię poematu epickiego *Beowulf*, który czytał w tłumaczeniu. Przypominało treść cienkiego tomu z dedykacją Seamusa Heaney'a, tomu zajmującego teraz poczesne miejsce na regale w rodzinnym domu. Ręka przestała go boleć. Potarł ją, wiedząc, że się wygoiła dzięki mocom, które działały wbrew naturze.

- Co się nam przytrafiło? - spytał, kiedy Peterson podał mu kubek świeżo zaparzonej kawy.

- Nie mam pojęcia - odparł Kanadyjczyk. Siedział w kucki na ziemi i patrzył w dal. Trwał w tej pozycji tak długo, aż Hunter pomyślał, że już nic od niego nie usłyszy. Jednak Peterson po chwili się odezwał: - Częściowo może to być sugestia hipnotyczna.

Hunter spojrział przelotnie na mały namiot.

- Jaki hipnotyzer posiada taką moc, żeby zmusić mężczyznę do odgryzienia własnych dłoni?

Peterson skrzywił się, odwrócił i spojrział Hunterowi prosto w twarz.

- Jestem równie zagubiony jak ty, stary. Znałem facetów, których uważałem za bardzo poważnych, a potem się okazało, że mieli osobiste kontakty z UFO.

- Wszyscy takich znaleźliśmy - powiedział Hunter.

- Jeśli nas nie wrobiono, jeśli to nie był jakiś inspirowany przez Pentagon eksperyment behawioralny, to uczciwie przyznaję, za cholerę nie mam pojęcia, co to było.

Hunter zamrugał, spoglądając na niebieskie niebo. Ptaki bardzo hałasowały. Dzień był barwny, nawet piękny, zależnie jaki kto miał nastrój.

- Rodriguez umrze, prawda?

- Nawet gdybyśmy umieli mu pomóc, nie mamy dla niego lekarstw - stwierdził Peterson. - A operacja jest tak tajna, że w ogóle nam nie dano sprzętu łączności. Plan zakładał, że wrócimy pieszo do bazy w Brazylii. Stąd mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów. Major ma wysoką gorączkę. Przed chwilą sprawdzałem. Obie rany są zakażone, co nie jest zaskoczeniem, jeśli się weźmie pod uwagę, w jaki sposób powstały. Nie wiemy nawet, ile stracił krwi. Na pewno ponad dopuszczalny poziom. Więc, muszę przyznać, że szanse na przeżycie ma nikłe.

- Jeśli nie zaniesiemy go do Magdaleny, co powinniśmy zrobić w pierwszej kolejności - odparł Hunter.

Oznaczało to dekonspirację. Całkowitą kompromitację i wystawienie ich nieudanej misji na widok ciekawskiego świata. Ale Hunter nie dowiedział się nigdy, co Peterson sądził o tej sugestii, gdyż w tym momencie major Rodriguez odzyskał przytomność i głośno ich zawołał.

Powietrze w małym namiocie było duszne, pachniało gangreną. Rodriguez drżał, spocony i porcelanowo blady. Oczyszczili mu twarz z krwi i przywiązali przeguby do ud w obawie, że może podnieść ręce i nieprzygotowany zobaczy kikuty.

- Panowie - powiedział, kiedy weszli do namiotu i przykucnęli przy nim. - Nie czuję dłoni. W ogóle ich nie czuję.

- Co pan pamięta, panie majorze? - spytał łagodnie Peterson. Odczepił butelkę od pasa i cienkim strumykiem wlewał z niej wodę do ust leżącego. Rodriguez przełknął wodę i się zaśmiał.

- Sen - powiedział. - Halucynacje. Trafiłem na dwie naradzające się wiedźmy i jedna z nich rzuciła na mnie klątwę, a właściwie na nas wszystkich. Zrobiła to w dialekcie koptyjskim, tak starodawnym, że zrozumiałem tylko połowę. Ale główny sens do mnie dotarł.

- Byłbym rozczarowany, gdyby pan nie zrozumiał, majorze - odparł Hunter.

- Ma pan wybitny talent do języków.

- Nie czuję dłoni, kapitanie Hunter. Czemu tak jest?

- To morfina, majorze. To tylko odretwienie. Opowiedz nam o klątwie. Rodriguez zmarszczył brwi, przypominając sobie, co usłyszał. Oddychał płytko, z wysiłkiem. Nie był w pełni świadomy, co było błogosławieństwem. W ciasnym namiocie nie zdawał sobie sprawy z coraz silniejszego zapachu własnych gnijących ran.

- Powiedziała, że nigdy nie usiądę przy fortepianie, by pomagać córce w grze. Powiedziała, że ty, Peterson, będziesz unikał morza lub życiem zapłacisz za przyjemność, jaką ci ono daje.

- A ja?

- To było najciekawsze ze wszystkiego, kapitanie Hunter. Powiedziała, że twoje potomstwo będzie komunikować się ze zmarłymi oraz będzie dotknięte darem przepowiadania przyszłości.

- Dotknięte darem?

- To jej słowa, kapitanie - rzekł Rodriguez. Uśmiechnął się z ogromnym wysiłkiem. - To nie moje niezdarne tłumaczenie, zapewniam cię. Ja tylko powtarzam pełną sprzeczności zagadkę czarownicy.

- Dziękuję.

- Ale to tylko sen - zaznaczył Rodriguez. - Tylko mój zły sen. - Uśmiech zniknął mu z twarzy. - Byłem bezpieczny, kiedy

prąd był silny! - wykrzyknął. - Byłem bezpieczny! - Zamknął oczy i przestał oddychać. Chwilę później umarł.

- Idę do Magdaleny - oznajmił Hunter nad ciałem. - Mam zamiar zabić sukę odpowiedzialną za te potworności.

- Nie wiesz, czy tam jest - zauważył Peterson.

- Och, na pewno tam jest - odparł Hunter. - Jest tu gospodynią, pamiętasz, co nam mówiono? I jestem przekonany, że mieszka całkiem wygodnie.

- Najpierw pochowajmy kolegę - zaproponował Peterson. - Zróbmy to, jak należy. Zasluguje przynajmniej na to.

Hunter położył dłoń na ramieniu Petersona i uściśnął go. Czuł się zawstydzony swoim nieprzyzwoitym pośpiechem.

- Oczywiście, że tak - powiedział. - Oczywiście, że tak. Wybacz mi.

Zapomniałem się.

Pochowali majora głęboko w miękkim gruncie, z dala od żlebu. Peterson wznosił prymitywny krzyż i oddali salwę nad grobem. Uczcili zmarłego pełną szacunku ciszą. Potem powrócili do obozu. Teraz, kiedy zostało ich tylko dwóch, mieli do dyspozycji obfite racje żywnościowe oraz mnóstwo broni i zapasowej amunicji. Mogliby przetrwać oblężenie wrogiej armii.

Hunter uważał jednak, że tylko jedno zadanie wymaga pilnego wykonania.

Spojrzał na zegarek. Ale zegarek nie chodził - przypuszczał, że zatrzymał się w czarnym labiryncie namiotu podczas tej niewiarygodnej przygody.

Spytał o godzinę Petersona. Zegarek Petersona również stanął.

Prawdopodobnie oba przyrządy przestały funkcjonować w tej samej chwili.

Nieważne. Spojrzał w niebo i ocenił, że do zachodu słońca zostały cztery godziny. Dzień był pełen wydarzeń, ale zanim dobiegnie końca, Hunter zamierzał dokonać czegoś znacznie istotniejszego.

Spytał Petersona, czy poczeka na jego powrót. Kanadyjczyk obiecał, że zostanie w bazie do zmroku, może trochę dłużej. I Hunter kiwnął głową w podziękowaniu. Czy

w tej sytuacji można było powiedzieć coś więcej?

Kiedy wrócił, było już ciemno. Po obozie nie został żaden ślad. Peterson spalił wszystko, co się dało, resztę zakopał. Maszerowali dwa dni przez gęsty las do punktu odlotu w Brazylii, wymieniając po drodze zaledwie kilka słów. Nie mieli wiele do powiedzenia. Każdy musiał znaleźć własne wytłumaczenie wspólnie przeżytych wydarzeń. W bazie w Brazylii przywitano ich obojętnie. Nikt tutaj nie znał szczegółów misji i chyba nikogo ona nie obchodziła. Hunter uznał to za błogosławieństwo, choć chwilami miał ochotę wykrzyknąć prawdę o męczarniach, które były jego udziałem. W swojej karierze zawodowej przechodził gruntowne i czasami brutalne szkolenia, ale ostatnie wypadki przekraczały wszelkie dotychczasowe doświadczenia. Starał się unikać Petersona. I podejrzewał, że Peterson unika jego.

Mysłał, że zdrowie psychiczne mu powróci, kiedy herkules, którym leciał tydzień później, wylądował w Brize Norton w Oxfordshire. Obserwował znajomy wzór zielonych angielskich pól i żywopłotów i szukał w tym pociechy. Obserwował, jak cień samolotu faluje na znajomej ziemi. Zobaczył srebrną iskrę strumienia, łagodnie wijącego się przez zalane słońcem pastwisko. Ale te widoki nie pokrzepiły go ani trochę. Załamał się na przesłuchaniu u pułkownika Baxtera. Baxter chyba zinterpretował to jako opóźnioną reakcję żalu po poległych towarzyszach. Peterson najwidoczniej był bardziej opanowany i sprytniejszy, kiedy kilka dni wcześniej złożył własny meldunek. Baxter miał go na biurku. Natknęli się na ogrodzony teren, gdzie gospodarzył nie kartel, ale członkowie kultu religijnego. Byli wrodzy i silnie uzbrojeni. Bronili swojego terytorium. Misja padła ofiarą błędnego rozpoznania (ta część przynajmniej jest prawdziwa, pomyślał Hunter). Zrzucony tam oddział był o wiele za mały w stosunku do potrzeb. Wróg miał dominującą przewagę. By zwyciężyć w walce, należałoby skierować tam pojazdy opancerzone i przynajmniej jeszcze dwie kompanie piechoty w pełnym uzbrojeniu. Waszyngton, Londyn i Ottawa uznały, że obecnie najważniejsze to trzymać całą sprawę z dala od do-

ciekliwej opinii publicznej. Baxter stwierdził, że choć to dziwne, niepowodzenie przypięczętowało sukces misji. W tej chwili informacjami o sektach dzielono się w skali globalnej, na co naciskali Amerykanie po swoim żenującym niepowodzeniu z Branch Davidian w Teksasie\*.

- Cały czas za tym lobbowali od masakry w Jonestown\*\* dwadzieścia kilka lat temu - stwierdził Baxter - więc się teraz cieszą. Dokładnie takiej współpracy oczekuje się, tuszując pomyłki, jak ta w Boliwii. Dzięki temu stosunki specjalne stają się jeszcze bardziej specjalne. Przeszedłeś piekło, kapitanie. Ale jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, okazało się to warte końcowych rezultatów.

Armia brytyjska nie była chyba w stanie zdobyć się na ironię. Ale Hunter przekonał się, że wojsko potrafi okazywać takt i współczucie. Na pewnym poziomie widać było niewerbalizowane zrozumienie dla urazów, których doznał. Dano mu miesiąc urlopu. Potem na pół roku został zastępcą komendanta w ośrodku szkoleniowym na wybrzeżu północnego Devonu, zaledwie czterdzieści minut jazdy samochodem od miejsca, gdzie razem z Lillian stworzyli dom. Ludzie to istoty odporne, a Mark Hunter był szczególnie odpornym egzemplarzem naszego gatunku. Z czasem otrząsnął się z tego, co mu się przytrafiło. Nie miał zwyczaju negować faktów, by sobie z nimi poradzić. Ale ponieważ te wydarzenia były tak dalekie od normalności, stopniowo zaczął je dostrzegać niemal jak przeżycia innej osoby. Małały w jego umyśle. Stały się mętne niczym sen. Mógł je przywołać jedynie wysiłkiem woli, ale do takiego wysiłku brakowało mu energii czy chęci. W gruncie rzeczy na jedno wychodziło.

**\* \* Jonestown - osada założona w Gujanie przez wyznawców sekty Świątynia Ludu i miejsce ich zbiorowego samobójstwa w 1978 r. (przyp. tłum.).**

Oczywiście o wszystkim opowiedział Lillian. Opowiedział jej o tym w salonie, przed pachnącym sosną kominkiem, wieczorem w dniu, kiedy powrócił do niej do domu. Niczego nie pominął. Słuchała w milczeniu z nieodgadzionym, jak zwykle, lecz teraz już znajomym wyrazem twarzy. Kiedy skończył, pogłaskała go po policzku, spojrzała ku regałowi, gdzie trzymał ulubione książki.

- Zabijanie potworów najlepiej pozostawić mitologii, Mark -powiedziała. Przytuliła jego głowę do piersi i pogłaskała po włosach. I do końca życia nie wspomniała już o tej boliwijskiej akcji.

Wiadomość o samobójstwie Petersona naprawdę nim wstrząsnęła. Na nekrolog trafił, przeglądając gazetę w pokoju wykładowców w college'u, gdzie uczył. Od misji upłynęło pięć miesięcy. Był późny listopad i zachodzące słońce wdzierało się do pomieszczenia przez panoramiczne okno, barwiąc na różowo stronicę gazety. Hunter wstał, zamknął żaluzje, by pozbawić pokój różowego odcienia. Włączył lampę do czytania i znowu usiadł. Przebieg zaszczytnej służby wojskowej Daniela Patricka Petersona z konieczności przedstawiono ogólnikowo. Nekrolog znacznie więcej miejsca poświęcił mu jako malarzowi. Peterson wystawiał i sprzedawał obrazy jako Daniel Patrick. Był malarzem akwarel, bardzo cenionym przez krytyków. Odniósł także sukces komercyjny. Hunter słyszał przedtem o Patricku, ale nigdy go nie skojarzył z Peterso-nem. Jeden z obrazów reprodukowano obok nekrologu. Ukazywał skutą lodem rzekę Świętego Wawrzyńca, filigranowe rzeźby mrozu na olinowaniu uwiecznionych łodzi o zapadających się pod ciężarem lodu żaglach. Nawet w druku widać było mistrzostwo stylu. Ale Peterson ze skromnością traktował własne osiągnięcia. Hunter docenił to już po paru dniach znajomości. W chwili samobójstwa Kanadyjczyk miał trzydzieści cztery lata.

Kilka tygodni później wojskowa plotka przyniosła makabryczne szczegóły. Hunter miał jednak podstawy przypuszczać, że plotka odpowiada prawdzie. Peterson powiesił się w domu, w swojej pracowni. Decyzję podjął tak nagle, że na biurku zosta-

wił na wpół przeczytaną książkę. Była to nowela Hermana Melville'a *Billy Budd*. Nie posłuchał rozkazu wiedźmy, by trzymać się z dala od morza. Oczywiście, że nie posłuchał. Nigdy by nie posłuchał. Nie leżało to w jego charakterze. Sprzeciwił się kłutwie i zapłacił za to życiem.

Po sześciu miesiącach Hunter rwał się do działania. Brał udział w różnych misjach. Czasami chaotycznych, zawsze krwawych, często niedających wyniku. Ale nie wychodziły poza rzeczywistość, w której czuł się dobrze. Nie przyprawiały go o koszmary. Wykonywał swoje obowiązki z odwagą i talentem. Za jedną z akcji otrzymał pochwałę i dostał Krzyż Wojskowy. Awansował. A po roku Lillian zaszła w ciążę. Nie czuł żadnych obaw, lecz tylko niepohamowaną radość, że rodzina się powiększy, a on zostanie ojcem. Kiedy zbliżało się rozwiązanie, był szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu.

Urodził się Adam, zdrowy i piękny. Lillian - początkowo pełna lęków na myśl o macierzyństwie - przekonała się, że opieka nad dzieckiem sprawia jej więcej przyjemności, niż to sobie wyobrażała. Obawiała się depresji poporodowej. Jako kobieta, która ma własny zawód i przykłada wielką wagę do niezależności, miała prawo się tego bać. Bezpodstawnie. Kochała maleństwo, wiedziała, że jego zdrowie i szczęście zależy od niej i z dumą wypełniała obowiązki matki. Służba Marka wymagała wielotygodniowych wyjazdów. Adam, jak większość inteligentnych dzieci, potrzebował niewiele snu, ale należało mu poświęcać wiele uwagi i dostarczać nowych bodźców.

Gdy Mark wrócił po misji w Zatoce, doskwierała mu nagła zmiana stref czasowych. Męczyła go nadaktywność syna. Pojechał do drogerii i kupił mu smoczek. Adam włożył sobie smoczek do ust.

- Właśnie tak - powiedział Mark. Usiadł i wziął pilota do telewizora. Lillian spod uniesionych brwi obserwowała ten męski pojedynek. Adam popatrzył na ojca szeroko otwartymi oczyma. Possał eksperymentalnie i wypluł smoczek.



- Nie da się go zbyć smoczkiem - stwierdziła Lillian z wyraźną dumą.
- Więc czego, do cholery, chce?
- Informacji - wyjaśniła Lillian. - Chce informacji.

I dostawał informacje. Nie wykazywał zainteresowania telewizją, nawet papką dla dzieci. Lubił klocki, lubił swój prosty zestaw lego. Ale najbardziej się cieszył, kiedy mu coś czytano. Gdy Mark był w domu, czytał Adamowi całymi godzinami. Syn siedział mu na kolanach i wydawało się, że opowieści, przekazywane łagodnym głosem ojca, nigdy go nie męczą. Kiedy urodziła się Kate, miał prawie trzy lata i do tego czasu nauczył się alfabetu. Przed ukończeniem trzech lat czytał płynnie. Mark i Lillian nie zwracali na to szczególnej uwagi. Nie mieli wcześniej doświadczeń z dziećmi i osiągnięcia Adama traktowali jako coś naturalnego. To obcy ludzie pokazali im, że chłopiec jest niezwykły.

Spacerował z ojcem po parku. Spadł śnieg, wzięli więc sanki i poszli na górkę. Bawili się już przeszło godzinę i Adam miał czerwony nos i mokre rękawiczki. Mark chciał zabrać go do domu i ogrzać, a potem razem z nim lepić bałwana w ogrodzie. Śnieżne zimy zdarzały się teraz rzadziej, niż kiedy sam był chłopcem, więc uznał, że skoro już śnieg spadł, trzeba to w pełni wykorzystać.

Adam był na etapie czytania wszystkiego na głos. Mark za bardzo tego nie pochwalał, gdyż z przeczytanego tekstu dziecko rozumiało niewiele. Adam miał wymowę doskonałą. Ale nie ogarniał sensu, chyba że mu go pracownicy wytłumaczono, co bywało męczące. Podeszli do parkowej ławeczki. Leżał na niej śnieg - na siedzeniu, na płaskich podłokietnikach i na górze oparcia z deszczulek. Palcem w mokrej wełnianej rękawiczce Adam wskazał przytwierdzoną do ławeczki mosiężną plakietkę.

- „Zachowując w kochającej pamięci Margaret Agnes Crosby - powiedział piskliwym głosikiem trzylatka. - Nieobecna, ale po wsze czasy żywa w naszych bezcennych wspomnieniach”.

Przechodząca obok kobieta nagle przystanąła. Była w średnim wieku i miała na sobie tweedowe ubranie, botki na suwaki, a na głowie chustę. Wskazała Adama palcem z ponurą miną.

- Ile lat ma to dziecko?

- Trzy.

Kobieta pokręciła głową. Zrobiła jeszcze bardziej zgorzkniałą minę, przeżegnała się szybko i poszła dalej.

Adam, zwrócony do niej tyłem, niczego nie zauważył.

- Co to znaczy, tatusiu? Co to znaczy?

- Oznacza to, synu, że ktoś umarł. A ktoś, kto go kochał, bardzo żałuje, że tamta osoba umarła, i bardzo za nią tęskni.

Zapadła cisza - ale najwyżej na pół sekundy - kiedy Adam swoim dziecięcym umysłem wchłaniał informację i płynące z niej smutne wnioski. Nagle się rozplakał. I nie można go było pocieszyć.

Mark zarzucił sobie sanki na plecy. Rozpiął płaszcz, nachylił się, podniósł Adama i okrył małe ciało fałdami tkaniny, dając swoje ciepło i siłę.

Zżerany poczuciem winy, poniósł płaczącego syna do domu. Adam nie miał dojrzałości emocjonalnej pozwalającej przezwyciężyć dojmujący żal, o którym opowiedziano mu tak bezpośrednio. Młody umysł został przytłoczony uczuciami litości i współczucia. Chłopiec miał tylko trzy lata, na miłość boską! Wychowanie tak bystrego dziecka to prawdziwe wyzwanie. Na szczęście w miarę jak rósł, stawało się to coraz łatwiejsze. Ale Mark nigdy nie zapomniał zbolalej miny Adama tamtego ponurego, zimowego dnia. Nie zapomniał też lekcji, którą wtedy dostał - że stosunki z synem wymagają wrażliwości i taktu.

Okres po tym wydarzeniu pamiętał jako pasmo szczęścia. Kiedy Kate skończyła trzy lata i zaczęła chodzić do przedszkola pięć razy w tygodniu, Lillian zajęła się pisaniem opowiadań dla dzieci. Prawdopodobnie zainspirował ją Adam ze swoim nienasyconym apetytem na opowieści. Odkryła w sobie talent do improwizowania historii. Okazało się, że potrafi je rozwijać. Opis postaci przychodził jej równie łatwo jak narracja. Kiedy

już zebrała materiał na całą książkę, wykorzystwała swoje dawne kontakty w wydawnictwach, by zaprezentować tekst ludziom decydującym o publikacji. Ale jej historie dla dzieci wydano nie dzięki układom, tylko dlatego że były dobre. Zresztą żadne układy nie mogłyby wpłynąć na wyniki sprzedaży książek. Już pierwszy tomik dał zachęcające rezultaty. Gdyby Mark wiedział, jak ich szczęście jest krótkotrwałe i względne, jak brutalnie i szybko zakończy się życie żony i córki, z pewnością zrezygnowałby ze służby w wojsku o wiele wcześniej, niż to zrobił. Później wymawiał sobie gorzko egoizm. Rodzinie brakowało jego fizycznej obecności, bo on zaspokajał ambicje związane z karierą wojskową. Po jakimś czasie uświadomił sobie jednak, że sprawy przedstawiały się inaczej. Tęsknił za nimi, tak jak oni tęsknili za nim, ale utrzymywał ich i zapewniał bezpieczeństwo finansowe. Każda praca wymaga pewnego rodzaju poświęceń, a on prawdopodobnie był lepszym mężem i ojcem dzięki temu, że zadowolenie dawała mu udana kariera zawodowa.

A potem Lillian i Kate zginęły. Ich śmierć była tragicznym wypadkiem. Nic nie mogło przywrócić im życia. Nie można było już nic zmienić z okresu sprzed ich odejścia. W sumie było to życie bardzo szczęśliwe. Teraz minęło. Mógł tylko, najlepiej jak potrafił, zadbać o syna, który był wszystkim, co mu pozostało.

W Szkocji, tu i teraz, Mark Hunter wpatrywał się w gasnące węgle.

- Oł, cała historia, Elizabeth - powiedział do lekarki wezwanej do udęczonego syna. - Opowiedziałem ci wszystko.

- Niezupełnie - odparła. - Nie powiedziałaś mi, co się stało, kiedy poszedłeś do Magdaleny śladem pani Mallory.

Hunter potarł twarz dłonią.

- Jestem znużony - zaprotestował. - Mdli mnie na sam dźwięk mojego głosu.

- Musisz mi to powiedzieć - nalegała Elizabeth. - Muszę wiedzieć wszystko.

Kiedy wchodził do Magdaleny, padało. Letnia burza zebrała się w fioletowych chmurach przypominających wielkie siniaki. Nabrzmiałe, przesłaniały całe niebo. Pioruny wybielały je błyskami staccato, rozległ się grzmot, chmura opuściła się niżej i wśród płasów wiatru zaczął padać deszcz. Na ulicach panował spokój. W mieście stało skupisko budynków z suszonych cegieł o płaskich dachach. Były tam też sklepy i kilka barów z ociekającymi markizami. Zauważył, że lepiej prosperujące budynki postawiono wyżej, na wschodnim zboczu miasteczka i wykończono starszej niż pozostałe. U stóp wysokich schodów przed jednym z nich stała karaluchowata limuzyna pani Mallory, połyskując w świetle błyskawic. Mark rozwalił reflektor auta i podniósł kawałek szkła, który wcześniej wypadł z brzękiem na drogę z chromowanego oczodołu. Drzwi domu nie były zamknięte. Pani Mallory siedziała w fotelu przy ścianie między oknami wielkiego pokoju o kamiennej posadzce. Oświetlało go słabe światło dnia stłumione przez niską pokrywę chmur. Nie zapalono lamp. Na fortepianie stało brązowe popiersie. Na ścianach wisiały fotografie. W licznych wazonach sterczały zwiędłe i opadłe kwiaty. Pani Mallory była tak chuda, jak panna Hall otyła. Satynowa suknia koloru kości słoniowej, która zakrywała ciało od szyi do łydek, podkreślała jej zgrabną figurę. Kobieta miała narzucony na ramiona dopasowany żakiet, a na głowie kapelusz z opuszczoną na twarz niebieską woalką. Delikatnie uniosła woalkę i wyjęła srebrną papierośnicę z wewnętrznej kieszeni żakietu. Postukała papierosem o papierośnicę i zapaliła go zapalniczką marki Zippo. Zapalniczką niedorzecznie męską - efekt kontrastujący z wampowatą kobiecością gospodyni. Hunter zastanawiał się, czy złość, o której mówiła panna Hall, do tej chwili już ustąpiła. Pani Mallory z pstryknięciem zamknęła zapalniczkę i wsunęła ją do kieszeni. Wypuściła przez nos dym, który zawisł przed nią obłoczkiem.

- Proszę tu podejść - powiedziała.

Hunter najbardziej wystrzegał się jej oczu, przypuszczając, że autosugestia to ważna część arsenału jej sztuczek. Myślał jednak, że w świetle dnia, daleko od dumnych sztandarów bitewnych, poza czarną, katedralną domeną jej potęga zmaleje. Ale to nadal było jej terytorium. Długie zadbane paznokcie polakie-rowała na zielono. Miała wyrazistą szczękę i pełne zmysłowe usta pod warstwą połyskliwej szkarłatnej szminki. Uznał, że ma mniej więcej trzydzieści pięć lat. Dym z papierosa bez filtra, którego paliła, szczypał w oczy. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że plamy nikotynowe na jej palcach mają hebanowy kolor. Może była starsza, niżby sugerował jej wygląd.

- Czego pan chce, kapitanie Hunter?

- Chcę, żeby zdjęła pani klątwę.

- Nie zrobię tego.

- Dlaczego nie?

- Nie zrobię tego, ponieważ moje klątwy czynią ze świata miejsce znacznie bardziej dla mnie interesujące.

Hunter skinął głową. Był przemoczony, ociekał wodą, marzył w chłodzie pokoju i czuł przyciąganie jej wzroku. Bardzo silne. Pragnąc go uniknąć, rozglądał się wokół. Jeden z obrazów pokazywał Butcha Cassidy'ego w trzyczęściowym garniturze i meloniku. Siedział na bogato rzeźbionym fotelu, którego nogi wyglądały jak łapy zakończone pazurami. Był to fragment słynnego portretu grupowego Dzikiej Bandy sfotografowanej w Fort Worth w Teksasie w 1901 roku. Siedem lat później Cassidy zginął w strzelaninie w San Vicente w Boliwii.

- Czy przyszedł pan tu tylko po to, żeby popatrzeć na moje rzeczy?

- Powiedziałem już pani, jaki jest cel mojej wizyty. Przyszedłem tutaj, by panią prosić o zdjęcie klątwy rzuconej na dziecko, którego jeszcze nie spłodziłem.

Zaciągnęła się głęboko papierosem. Jego koniec rozpalił się gwałtownie i zgasł w mroku.

- Więc niech pan spojrzy na mnie.

Zamiast tego spojrzął na fortepian. Popiersie przedstawiało Ruperta Brooke'a.

- Znałam go.

- To niemożliwe.

Hunter musiał uważać. Prawie spojrzął jej w oczy, zaskoczony tym dziwnym stwierdzeniem.

- Spotkałam go w Berlinie w 1912 roku.

- Nie mogła pani.

- Nie kłamie.

A on nie chciał jej prowokować.

- Jaki był?

- Utalentowany, piękny i bardzo zadufany w sobie.

- I młodo umarł.

- Owszem. Ale bez żadnej pomocy z mojej strony.

Pani Mallory zachichotała gardłowo. Szorstko. Ten dźwięk przestraszył Huntera. Poczuł, że warstewka jej zewnętrznej ogłady jest naprawdę cienka. I wcale nie chciał się dowiedzieć, co kryje się pod nią.

- Pocięczałam go - oznajmiła. - W tamtym czasie dopiero co zerwał ze swoją ukochaną.

- Katherine Cox - uzupełnił Hunter. Nie mógł sobie wyobrazić tej kobiety pocieszającej kogokolwiek.

- Oczywiście, pan wie takie rzeczy. Jest pan przecież miłośnikiem poezji. Wytrwale zabiegała, by na nią popatrzeć, a on z coraz większym trudem opierał się temu kuszącemu zaproszeniu. Ciekawość, jaki kolor i kształt mają jej oczy, jaka jest ich ekspresja i nastrój, wprost go obezwładniała.

- Nie jestem miłośnikiem poezji Brooke'a - wyznał.

- Jestem pewna, że słyszał pan słynny dwuwiersz Frances Cornford, w którym podsumowała Ruperta. Powiedziała, że był wspaniale nieprzygotowany na długą miarłość życia. Bardzo elegancka składnia. Ale Brooke'owi nie dane było żyć zbyt długo. Tak jak nie będzie to dane pana synowi.

Spojrzał na nią. A kobieta się uśmiechnęła i zatrzasnęła pułapkę. Uśmiech ten był dobrze znany Markowi Hunterowi, gdyż pani Mallory miała twarz Lillian. Przechyliła głowę, tak jak to miała w zwyczaju jego żona.

- Chodź tutaj - powiedziała głosem Lillian. - Chodź tutaj i pocałuj mnie, Mark.

Przekonał się, że stopy same go wiodą po płaskich kamieniach posadzki. Zacisnął pięść wokół odłamka szkła, ukrytego w lewej dłoni, i kiedy ostre krawędzie przebiły mu ciało, poczuł nieubłagane ukąszenie bólu. Ale to nie uwolniło jego spojrzenia. Oczywiście, że nie uwolniło. Doznanie bólu nie wystarczało. Wiedźma była na tyle silna, że zmusiła Rodrigueza, by sprowadził na siebie powolną śmierć w straszliwych męczarniach. Ból nie mógł złamać uroku.

Jej rysy zmieniły się, kiedy podszedł bliżej. Stała się bardziej sobą. Zdjęła kapelusz i poprawiła włosy - czarne pukle kontrastowały z alabastrową cerą. Kości pod skórą wyostrzyły się, nadając twarzy wygląd rzeźby. Oczy nabrały chłodnej, oceniającej szarości na okrutnym, pięknym obliczu. I nadal nie mógł oderwać od niej wzroku, kiedy uśmiechnęła się szeroko, a szpony, w które zmieniły się jej palce, sięgnęły ku niemu.

- Nie!

Jej wzrok skierował się gdzieś za niego i to przerwało urok. Hunter uniósł koszulę, wyciągnął pistolet i odwiódł kurek.

- Nie!

Wpakował jej kulę w prawe oko, a kiedy kobieta osunęła się na podłogę, wpakował następną w lewą skroń i zobaczył, jak jej głowa podskakuje, kiedy nabój uderzył w podłogę i rykoszetem wbił się z powrotem w czaszkę. Dwa strzały, podwójny trzask. Typowy rytm werbla egzekucji SAS. Pewnych zwyczajów Hunter nigdy się nie pozbędzie. Wyprostował się i skierował pistolet na pannę Hall, która bardzo szybko sunęła w jego kierunku. Pomyślał, że należy do tych zwinnych grubasek, które poruszają się niewiarygodnie lekko. Powiedziała „nie”, a on jej nie posłuchał.

Zobaczył, że odchyliła wargi, odsłaniając wielkie żółte zęby. Wyglądała niczym warczący gargulec. Twierdziła, że jest raczej dobra niż zła. W tej chwili nic na to nie wskazywało.

- Mam w magazynku jeszcze sześć kul. Nawet ślepiec mógłby panią stąd trafić. Jeszcze krok i knę się na Boga, że to pani będzie ich celem.

Wydało mu się, że przy wzmiance o Bogu chrześcijan wzdrygnęła się. Ale może to tylko jego wyobraźnia? Czuł się zmęczony, znużony i wściekły. Z największym wysiłkiem powstrzymywał się, by nie pociągnąć za spust i nie zakończyć definitywnie całego tego groteskowego eksperymentu. Panna Hall stała nieruchomo w czarnym sztormiaku - ogromny kształt, ociekający wodą, a na posadzce koloru umbry woda zbierała się w krwistą kałużę.

- Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę z tego, co zrobiłeś?

- Zlikwidowałem coś złowrogiego. Pozbyłem się czegoś złego. Skończyłem z tym. - Miał na myśli klątwę.

Panna Hall pokręciła głową.

- Wprost przeciwnie, zapoczątkowałeś coś - stwierdziła. -Z twojego powodu to się teraz zaczyna.

Na wpół poczuł, na wpół usłyszał, jak do trupa, leżącego z tyłu za nim, wraca życie, jak u tamtego rottweilera. Ale kiedy się odwrócił, była martwą, zgasłą, zwiędłą rzeczą. Jej magne-tyzujące spojrzenie zniknęło pod zamkniętymi powiekami. Nie opierała się uparcie śmierci jak jej akolici w zagrodzie. Ale to nie był odpowiedni moment, by się nad tym zastanawiać. Cały czas kierując pistolet na pannę Hall, ominął ją ostrożnie i doszedł do drzwi.

- Jakim jesteś niewdzięcznikiem - rzuciła, splunąwszy za nim. -I jakim głupcem.

Na zewnątrz burza wyładowywała swoją wściekłość na małej bezbarwnej osadzie Magdalena. Hunter rozwarł lewą dłoń i wyrzucił kaleczące ją szkło. Trzymał dłoń zwróconą do góry i pozwolił, by potop obmył ją do czysta. Spojrzał w stronę domu zwabiony światłami. Panna Hall włączyła je w przestronnym



salonie, pomieszczeniu, którego pani Mallory już nigdy nie będzie potrzebować. Zwalista sylwetka rysowała się w jednym z okien. Panna Hall zdawała się kołysać rytmicznie na boki. Zastanawiał się, czy to jakiś rytuał żałoby po zmarłej przeciwniczce w ich niezrozumiałej grze. W gruncie rzeczy nie zależało mu na tej informacji. Żarliwie pragnął, żeby nigdy nie spotkać tej kobiety ponownie. Odwrócił się i ruszył w kierunku lasu, obozu, granicy i, dzięki Bogu, domu.

Elizabeth Bancroft podparła głowę dłońmi.

- Mark?

- Tak?

- Dlaczego uważasz egzekucję pani Mallory za nieważną?

- Ponieważ nie zdjęło to klątwy - powiedział po chwili milczenia.

- Czy żałowałeś, że musiałeś zabić kobietę?

- Dlaczego uważasz, że to jedyna kobieta, jaką zabiłem?

- Myślę, że tak właśnie było. Czy kiedykolwiek żałowałeś tej egzekucji?

- Ani przez chwilę, Elizabeth. I ty byś też nie żałowała, gdybyś widziała, w jaki sposób umarł major Rodriguez.

Elizabeth odchyliła się w fotelu.

- Użyłam terminu „egzekucja”. Mogłabym równie dobrze powiedzieć „morderstwo”.

- Może pani sobie ze mną grać w te semantyczne kalambury, ile pani chce, doktor Bancroft. Nie mam nic przeciw temu, póki wypełnia pani swój obowiązek opieki nad moim synem.

Jęknęła w duchu. Był tak samo uparty jak ona. Ale utarczki słowne do niczego nie prowadzą.

- Dobrze. Kiedy dokładnie zdałeś sobie sprawę, że ta rzekomo słabnąca klątwa jest rzeczywistym zagrożeniem dla twego syna?

Nie odpowiedział. Zamiast tego wstał i wyszedł z pokoju. Czekąca.

Chaotycznie poszturczała pogrzebaczem gasnące polana. Przerwała, bojąc się, że tylko przyspiesza śmierć ognia. Noc

była chłodna, a być może będą tu siedzieć jeszcze przez pewien czas. Kiedy wrócił, w rękę trzymał płaski prostokątny przedmiot, zawinięty w bibułę. Usiadł i wręczył jej tę paczkę, a ona go rozpakowała. Była to akwarela oprawiona w ramkę. Przedstawiała łyżwiarzy na zamrożonym stawie. Zdawało się, że lód tańczy i migocze w zimowym powietrzu. Na jego powierzchni rysowały się ślady po łyżwach.

- Jest piękny - powiedziała Elizabeth. Szukała podpisu, ale bezskutecznie.

- Podpisywał je na odwrocie - wyjaśnił Mark. - Był człowiekiem nazbyt skromnym. Przynajmniej taki był poza polem walki. W boju był śmiały. Elizabeth odwróciła obraz w dłoniach.

- On ci to wysłał?

- Nie. Peterson od dawna nie żył, kiedy to dostałem. Nie mam pojęcia, kto to przysłał. Otrzymałem przesyłkę mniej więcej tydzień przedtem, zanim zaczęły się sny Adama.

- Czy jest cenny?

- To raczej nieistotne.

- Tak?

- Martwi malarze nie są płodni. Ich dzieła się zbiera. Daniel Patrick jest bardzo poszukiwany. Ten obraz jest prawdopodobnie wart trzydzieści do czterdziestu tysięcy funtów.

Elizabeth westchnęła.

- Zupełnie tego nie rozumiem, Mark.

- Tylko pomóż mojemu synowi.

Milczała. Zadzwoił telefon. Hunter nie zareagował.

- Nie masz zamiaru odebrać?

- Nie. Nie mam. Możesz odebrać w moim imieniu, jeśli sobie życzysz.

Podniosła staromodną słuchawkę z widełek aparatu stojącego na stoliku między nimi.

- Halo? - przez moment słuchała. A potem wyciągnęła rękę z białą słuchawką w stronę Huntera.

Pokręcił głową.

- Dzisiaj nie odbieram telefonów - oznajmił.

- Ten może zechcesz odebrać - powiedziała Elizabeth. - To mężczyzna. Chce z tobą rozmawiać. Mówi, że nazywa się Mallory.

#### 4

**Elizabeth** przekazała Hunterowi słuchawkę i poszła na górę sprawdzić, co z Adamem. Po tym, czego tam ostatnio była świadkiem, wymagało to odwagi. Ale uważała, że nie może podслуchiwać rozmowy Marka z bezczelnym dzwoniącym. Zaufał jej w wielu sprawach, ale zrobił to z wyboru, nieprzymuszony okolicznościami. Teraz potrzebna mu prywatność. I nie należy go rozpraszać. Ta nieoczekiwana rozmowa mogła okazać się istotna. Wiedziała, że stawka jest bardzo wysoka. Upewniły ją w tym poprzednie bolesne przeżycia w pokoju Adama. Opowiadanie Marka tylko tę wiarę wzmocniło. Miała jednak obowiązek: czuwać nad pacjentem. Jego ojciec słusznie jej o tym przypomniał. Mark Hunter to atrakcyjny mężczyzna, a tajemnice jego życia były fascynujące. Ale tak naprawdę nie chodziło o niego. Chodziło o chłopca. Cierpiał katusze, a ona chciała i musiała zrobić, co w jej mocy, by mu ulżyć, a potem na zawsze uwolnić go od koszmarów. Wchodziła więc na schody, a jej niepokój zmieniał się w lęk, gdy siła i bezpieczeństwo płynące z bliskości Marka, domowa normalność salonu, ciepło gasnącego kominka - wszystko to oddalało się od niej. Zatrzymała się przed drzwiami, zza których nie dobiegał żaden dźwięk. Wyciągnęła palce do żelaznej klamki, zmatowiałej ze starości i lodowatej w dotyku. **Elizabeth** nie była pewna, czy nie jest to po prostu chłód trwogi, jaką odczuwała. Akurat w tamtej chwili nie była w ogóle pewna wielu rzeczy. Z dołu słyszała podniesiony głos Marka wyjaśniającego

coś z naciskiem swojemu rozmówcy. Dzwoniono w jakiejś rzeczywistej sprawie. Gdyby dzwonił świr, Mark natychmiast odłożyłby słuchawkę. A poza tym Elizabeth była przekonana, że nazwiska Mallory nie znał nikt prócz żony, której opowiedział całą historię po powrocie z Boliwii przed ponad dziesięciu laty. Co do pozostałych spraw nie była pewna. Nacisnęła żelazną klamkę w drzwiach sypialni Adama.

Chłopiec mocno spał, kołdrę owinał wokół piąstki przy głowie. Miał spokojny wyraz twarzy. Temperatura w pokoju wydawała się normalna. Było zimno, ale nie zimniej, niż powinno być w Szkocji późną jesienią w starym kamiennym domu, wysoko na odosobnionym wzgórzu. Światło z lampy na podeście padało przez otwarte drzwi na regał w sypialni. Na kolekcję powieści o Aleksie Riderze, na łamigłówniki, złożone modele samolotów, zdalnie sterowany model czołgu, ilustrowane książki popularnonaukowe dla dzieci z serii *Patrzę, podziwiam, poznaję*, o „Ti-tanicu”, epoce wiktoriańskiej i starożytnym Rzymie. Stał tam słoż szklanych kulek i w połowie pusty pojemnik cukierków żelowych, a obok leżały jakieś baterie AAA. Niewinne drobiazgi dziesięcioletniego chłopca. Pomyślała, że pani Mallory, kimkolwiek lub czymkolwiek była, musiała być stworzeniem nieskończenie okrutnym i złośliwym. Czy rozmówca Marka poda się za owdowiałego męża, czy osieroczonego syna? Nie przypuszczała, żeby podawał się za ojca pani Mallory. Mark określił wiek kobiety na jakieś trzydzieści pięć lat. Ale wysłuchawszy jego opisu, Elizabeth podejrzewała, że kobieta była o wiele starsza, niż się wydawało.

Jak na zwykłego żołnierza Mark miał wyjątkowy dar opisywania szczegółów. Ale z drugiej strony nie był zwykłym żołnierzem. Wszyscy byli niezwykli - on, Rodriguez, Peterson. Siły specjalne wymagały specjalnych ludzi. A tamto doświadczenie - z którego on wyszedł żywy, a oni nie - wykraczało poza ramy normalności.

i było prawdziwą drogą przez mękę. Patrząc na śpiącego chłopca, rozmyślała o kapitanie Petersonie. Jaka narastająca groza

zmusiła tego niezwykle odważnego, pełnego autoironii mężczyznę, by skończył ze sobą z tak ponurym pośpiechem?

Odetchnęła z ulgą, widząc, że Adam śpi spokojnie. Martwił ją jednak coraz bardziej drobny szczegół z opowieści Marka. Coś, co opisał, przywiodło jej na myśl pewien przedmiot znajomy i jednocześnie przerażający. Czuła, że musi jeszcze raz go obejrzeć. Zrobi to niechętnie. Ta rzecz wzbudzała w niej niepokój przez całe życie. Ale wiedziała, że musi to zrobić. Zajmie się tym jutro, jak najwcześniej. Uświadomiła sobie, że rozmowa na dole się skończyła. Spojrzała po raz ostatni na swojego pacjenta, na piękną głowę, spoczywającą spokojnie na poduszce. Uśmiechnęła się, wyszeptała nad nim krótkie błogosławieństwo, odwróciła się i wyszła z pokoju.

- Mąż czy syn? - spytała Marka, kiedy weszła do salonu.

- Co z Adamem?

- Śpi spokojnie. I co?

- Ten człowiek nie upierał się przy podanym nazwisku, gdy już poświęciłem mu uwagę. To był posłaniec. Nazwał się emisariuszem, ale był po prostu posłańcem lubującym się w ceremoniach.

- Emisariusze na ogół reprezentują ludzi bardzo ważnych.

- Albo ludzi bardzo zadufanych w sobie - stwierdził Hunter.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Jak sądzisz, czy już za późno na drinka? Uśmiechnęła się do niego.

- Jeśli pozostaniesz w Szkocji, przekonasz się, że to zbędne pytanie.

Emisariusz utrzymywał, że mówi w imieniu panny Hall. Przebywała w Szwajcarii i pilnie chciała się z nim zobaczyć.

- Nasze spotkanie miało miejsce przeszło dziesięć lat temu. A ona mówi, że to pilne? - odpowiedział Hunter samozwańcze-mu emisariuszowi.

- Ona wie, co się dzieje z pańskim synem, pułkowniku Hunter.

- Więc wie, że niechętnie zostawiam go samego.

Mieli bieżące informacje. Wiedzieli, że awansował. I w jakiś sposób poznali również zastrzeżony numer telefonu.

- Ona umiera, pułkownik Hunter. Dlatego właśnie pana przybycie jest takie pilne. I poinstruowano mnie, by obiecać panu rzecz następującą: chłopiec nie będzie śnił podczas pańskiej podróży do Szwajcarii.

- Potrafi to przerwać? Mężczyzna milczał przez chwilę.

- Potrafi to opóźnić. Może to odroczyć, pułkownik Hunter. A pan przyjedzie. Obydwaj wiemy, że nie ma pan wyboru.

- Rzeczywiście?

- Kocha pan syna. Bardzo go pan kocha. Tylko on panu pozostał.

Ogień na kominku prawie wygaś. Elizabeth zadrżała i pociągnęła whisky.

- O której godzinie wyjeżdżasz?

Spojrzał na zegarek. Już sobota, minęła druga w nocy.

- Poprosiła, abym był na audiencji przewidzianej na poniedziałkowy wieczór. Mogę złapać lot z Edynburga do Genewy w poniedziałek rano.

Jeśli polecę rano, będę miał mnóstwo czasu. Ale wpierw muszę zorganizować opiekę dla Adama. Nie mogę zabrać go ze sobą. Widziałem, do czego zdolni są ci ludzie. Może panna Hall rzeczywiście umiera, a mężczyzna przy telefonie jest jej emisariuszem, jak twierdził. Ale nawet jeśli to prawda, nie zabiorę Adama ze sobą. Ci ludzie posiadają wielką i złowrogą moc. Mogą mu zrobić coś strasznego. Nie będę ryzykował.

- Już padł ich ofiarą - zauważyła.

- Owszem. Ale i tak nie chcę, by znalazł się w ich pobliżu. Elizabeth zastanowiła się chwilę.

- Nie mogę zostawać z nim w ciągu dnia. Muszę prowadzić swoją praktykę, opiekować się pacjentami. Wielu z nich to ludzie starsi i samotni. Ale znam dwie bardzo dobre koncesjonowane opiekunki do dzieci. Mogą przygotowywać dla niego posiłki,

odprowadzać go do szkoły, przyprowadzać stamtąd do domu i prac jego rzeczy. Przynajmniej jedna z nich powinna być teraz dostępna. Jeśli jesteś gotów zapłacić za taką usługę, do twojego powrotu mogę zostawać tu z Adamem w nocy.

- Naprawdę byś to zrobiła?

- Jak sam powiedziałaś, mam obowiązek opiekować się pacjentem.

- Ale to dużo więcej niż opieka nad pacjentem. Uśmiechnęła się.

- Jak również zauważyłaś, nie prowadzę bujnego życia towarzyskiego. Nie zburzę swojego rozkładu dnia.

- Nie powinienem był tego komentować - odparł. - To była bardzo nietaktowna uwaga.

- Ale trafna. Powinieneś być zadowolony, że skorzystasz z okazji. W każdym razie, uczciwie mówiąc, bardzo się cieszę, że mogę pomóc. To miły chłopak i chętnie dodam mu otuchy podczas twojej nieobecności.

Złączył dłonie, spojrzał na szklaneczkę, stojącą na stoliku między fotelami i zamrugał.

- Opłacisz opiekunkę?

Skinął głową. To było głupie pytanie. Ale nie dlatego milczał. Zdała sobie sprawę, że czuł wielką wdzięczność i ulgę. Wiązał nadzieje z tą podróżą do Szwajcarii. Przez chwilę miała wgląd w ból, jaki odczuwał z powodu udreżonego syna. Wstała i obeszła dzielący ich stół. Pogłaskała Marka po głowie, a potem uklękła przed nim, ujęła jego złączone ręce, delikatnie je rozdzieliła i uścisnęła. Były ciepłe i silne. Na lewej dłoni poczuła okrągłą krawędź blizny, gdzie ponad dziesięć lat temu wcisnął w rękę kawałek stłuczonego reflektora, próbując się wyzwolić spod złego uroku.

- Wszystko w porządku, Mark - powiedziała. - Jesteś bardzo zmęczony. Musisz teraz pójść do łóżka i trochę odpocząć.

Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się. Spojrzał na swoje dłonie w jej dłoniach, wysunął je delikatnie, wstał i wyszedł z pokoju.

Jeśli nie liczyć uścisku dłoni, gdy się poznali, teraz dotknęli się po raz pierwszy. Instynktownie wyczuwała, że Mark w tej chwili potrzebuje takiego właśnie kontaktu. Dotknęła go i nie było to powodowane jedynie współczuciem, nie był to również sygnał erotyczny, lecz coś pomiędzy tymi dwiema rzeczami - instynktowny odruch pod wpływem silnego impulsu. Nie żałowała tego, nie była zakłopotana i nie miała poczucia winy. Hunter tego potrzebował i ona również.

Postanowiła zostać na noc. Pokój gościnny był przygotowany. Rano Adam nie był zdziwiony, gdy zobaczył ją przy śniadaniu. Po telefonie emisariusza panny Hall wypili z Markiem za dużo, by zdecydowała się na powrót do domu, biorąc pod uwagę, jak niebezpieczna mogła okazać się jazda w ciemności. Izolacja domu miała swoje zalety. Nikt wścibski nie zobaczy jej auta parkującego przed domem przez całą noc i nie wyciągnie złośliwych wniosków, by rozsiewać równie złośliwe plotki. Nie mogła zgorszyć sąsiadów, bo żadnych sąsiadów nie było. Pomyślała o tym z ulgą.

Wydarzenia w jej rodzinie uczuliły ją na kwestie związane ze swobodą obyczajową. W tej krainie widoki były rozległe, ale poglądy potrafiły być bardzo ciasne. Dawne uprzedzenia mogły przetrwać nawet całe wieki. Coś sobie przypomniała. Ziewnęła. Cieszyła się, że następnego dnia jest sobota. Najpierw załatwi sprawę poniedziałkowej opieki nad dzieckiem. Potem sprawdzi, czy uda jej się rozproszyć niepokój, jaki wzbudził w niej pewien fragment opowieści Marka. Oznaczało to powrót do miejsca, w którym się wychowała, i spotkanie z matką. Często to robiła. Kupi kwiaty i ciasto w piekarni i po przejechaniu trzydziestu kilometrów znajdzie się na progu rodzinnego domu. Tak było zazwyczaj. Ale ta wizyta będzie inna - Elizabeth czekało osobliwe zadanie i miała tylko nadzieję, że jej obawy okażą się bezpodstawne. Niepokój, sprowokowany przez jeden złowieszczy szczegół w barwnym sprawozdaniu Marka, mógł z łatwością przemienić się w trwogę. Właśnie dlatego nie mogła czekać dłużej na rozstrzygnięcie tej sprawy.



Gdy następnego ranka zeszła na dół, Adam siedział już przy kuchennym stole. Mark stał przy kuchence odwrócony do niej plecami. Coś ubijał, chyba jajka. Adam na jej widok zupełnie się nie zdziwił. Bawił się samochodzikami, odgrywając na blacie stołu policyjny pościg.

- Dzień dobry, doktor Bancroft.

- Proszę, Adamie, mów do mnie Elizabeth.

- Dzień dobry, Elizabeth.

- Dzień dobry - powitał ją Mark, nie odwracając się. - Młody człowieku, jestem gotów przyjąć twoje zamówienie - powiedział po chwili.

Adam zaparkował samochody na stole.

- Chciałbym red bulla. Nie trudź się nalewaniem. Z puszki doskonale się pije.

- Czyli szklanka soku jabłkowego.

- I pączek z dżemem, z mnóstwem cukru pudru.

- Czyli jajecznicza. Tost obok?

- A na deser lody czekoladowe.

- Nie ma deseru do śniadania.

- Proszę! Tylko tym razem, tato!

- Obawiam się, że nie.

Adam podniósł wzrok na Elizabeth.

- To okrucieństwo w stosunku do dzieci. Mój ojciec jest człowiekiem bez serca.

- Jak ci się spało?

- Chyba dobrze.

- Śniłeś o czymś?

- Czy coś mi się śniło? Tak. Liverpool zdobył mistrzostwo. Pobili nas na naszym boisku, w doliczonym czasie gry, w ostatnim meczu w sezonie. To był absolutny koszmar.

Uśmiechnęła się. Odporność dzieci nigdy nie przestała jej zadziwiać. To, oczywiście, cudowna cecha. Jako lekarka wiedziała - mając kontakt z bardziej problematycznymi rodzinami - że

jest niezwykle potrzebna. Ale Adam naprawdę wyglądał na beztroskiego chłopca.

- Zostaniesz tu, Elizabeth? Mogłabyś się gdzieś wybrać z tatą i ze mną?

- A co zwykle robicie w weekendy?

- Urządzamy sobie piesze wycieczki, pływamy kajakiem, a czasami wspinamy się i zjeżdżamy na linach - powiedział Mark. Przysiadł się do nich i postawił talerze z grzankami, bekonem i jajecznicą. - Niekiedy zwiedzamy zamki i posiadłości albo jakieś miejsca ciekawe ze względów historycznych.

- Pchli targ, wyprzedaje, jeśli tata ma ochotę sięgnąć do kieszeni - dodał chłopiec. - Czy coś z tego cię interesuje?

- Wszystko. Ale dzisiaj nie mogę. Mam zobowiązania, Adamie.

- Wielka szkoda - westchnął. Wyglądało na to, że mówi szczerze.

Ruth Campbell skazano za czary i powieszono jesienią 1656 roku.

Urzednicy cromwellovskiego protektoratu gorliwie wykorzeniali czarną magię. Żadnej części kraju nie oszczędzono. Wszędzie organizowano trybunały, procesy, tortury i egzekucje. Prawdopodobnie najgorzej było w Irlandii i na wschodzie Anglii. Ale w Szkocji też było podle. Zawiść i złośliwość rodziły plotki, które docierały aż do Whitehall. Stolica przysłała więc swoich łowców czarownic, którzy przybywali na wielkich podkutych żelazem koniach z liczną wojskową eskortą, ciągnąc za sobą klekoczące wozy wyładowane po brzegi „instrumentami” mającymi pomóc w rzekomym śledztwie.

Ruth była prababką Elizabeth z tyłoma „pra” umieszczonymi przed pierwszym, że nigdy nie potrafiła należycie zapamiętać, ile tego dokładnie jest. Nie miało to jednak znaczenia. Linia krwi była czysta, a genetyczny związek niezaprzeczalny. Istniało jeszcze dziedzictwo profesji: Ruth była uzdrowicielką. Właśnie to spowodowało na nią kłopoty. Nie była samotną staruchą, jak

chciał stereotyp więdźmy. Miała męža, prosperującego hodowcę bydła, i dwóch maleńkich synów. Według wiarygodnych źródeł była lubianą, ładną kobietą o żywym usposobieniu, pełną przyjaznego humoru. Ale posiadała dar leczenia. I kiedy jakiś zawistnik z sąsiedztwa postanowił ją pognębić, to właśnie tę umiejętność okrutnie wykorzystano.

Po krwawym procesie i udowodnieniu winy przez sąd boży zmuszono ją, by obserwowała, jak palono zabudowania farmy, jak wyrzucano jej męža i synów z domu. Załamana powleczono za koniem przez szydzący tłum na miejsce egzekucji. Kat założył jej stryczek na szyję. Wciągnięto ją na szubienicę - bez litościwego szarpnięcia, które skręciłoby jej kark i spowodowało błyskawiczną śmierć. Umierała powoli. Dusiła się, kopiąc nogami, kiedy lina napinała się pod ciężarem jej ciała. Ówczesne sprawozdanie mówi, że trwało to dwie lub trzy minuty. W tym czasie ktoś z tłumy gapiów ukradł jej z nóg buty. W końcu umarła. Ale nawet wtedy jej udręka wcale się nie skończyła. Przedstawiciel rządu stwierdził, że wykazała niedostateczny żal i skruchę, więc jej gnijące ciało dziobane przez padlinożercze wrony wisiało na szubienicy jeszcze przez miesiąc i dopiero wtedy pozwolono, by zdjął je ojciec kobiety.

Gdy spełniał tę żalną posługę, łowca czarownic, który skazał Ruth, sam już był martwy. Sędzia Josiah Jerusalem Smith dostał śmiertelnego ataku apopleksji w domu na wzgórzu, który obecnie był własnością Marka Huntera. Ciało Smitha zabrano do Londynu i pochowano z pełnym ceremoniałem w poświęconej ziemi. Resztki Ruth zostały spalone na stosie, a jej prochy rozrzucone na wietrze; nie można było znaleźć żadnego współczującego człowieka w sutannie, który miałby odwagę przewodniczyć chrześcijańskiemu pogrzebowi.

Dom, należący teraz do matki Elizabeth, stał zaledwie parę kilometrów od spalonego gospodarstwa i miejsca egzekucji jej antenatki. Mąż Ruth, John, jej synowie i ich potomkowie nie wyprowadzili się z tych okolic. Był to akt prowokacyjnego oporu.

Odejście tylko by potwierdziło ich współwinę w oczach wszystkich sąsiadów. Tak więc choć naznaczeni piętnem, nadal uparcie tu trwali przez pokolenia. A kobiety Campbellów zwyczajowo zajmowały się leczeniem. Przedmiot, który Elizabeth pragnęła obejrzeć, trzymano w stajni. Był to jeden z reliktyw ocalonych z pożaru, który zniszczył dom. Uratował go przed płomieniami John Campbell, wdowiec po Ruth. Ślady nadpalenia nadal były widoczne na górnej krawędzi, trzysta pięćdziesiąt lat po pożarze. Oczywiście stajni nie wykorzystywano już w pierwotnym celu. Kiedy matka Elizabeth miała jeszcze siłę zajmować się swoim wielkim ogrodem, trzymano tam narzędzia i czasami kwiaty w doniczkach. Teraz jednak matka była stara i krucha i roślinami opiekował się dochodzący robotnik opłacany przez Elizabeth. W miesiącach letnich przychodził dwa razy na tydzień; jesienią i zimą tylko na kilka godzin w każdą środę. W lecie matka spacerowała po ogrodzie wsparta na balkoniku lub ramieniu Elizabeth. W zimie przebywała głównie w domu. Dom miała wygodny i ciepły, a córka często ją odwiedzała. Najęty ogrodnik, opłacany przez Elizabeth, korzystał w pracy z własnej furgonetki. Drzwi do stajni były zamknięte na wielką kłódkę, która miała zniechęcić ewentualnych wiejskich złodziei. Ostatnio grasowało ich przynębiająco wielu.

Elizabeth poczekała, aż matka zdrowo zaśnie w fotelu po obfitym i pogodnym lunchu, a potem zdjęła z haka w kuchni klucz do kłódki. Za godzinę zapadnie zmierzch. Obiekt przechowywany w stajni pragnęła jednak obejrzeć w świetle dziennym. Chciała mu się dokładnie przyjrzeć. Zawsze ją niepokoił. Kiedy zaglądała do stajni podczas dziecięcych zabaw, ten przedmiot wydawał jej się dziwaczny. Związana z nim była jakaś podejrzana energia, jakaś niezdrowa atmosfera. Jeśli się na niego spojrzało kątem oka, można było przysiąc, że wyczuwało się ukradkowy ruch. Co przecież było niemożliwe.

Stajnia znajdowała się niespełna osiemdziesiąt metrów od domu. Elizabeth narzuciła płaszcz na głowę, ponieważ padał

deszcz, i przebiegła tę odległość z wielkim mosiężnym kluczem w zaciśniętej dłoni. Nie było jej specjalnie pilno, ale chciała to już mieć za sobą. Ucisk w żołądku, nad którym panowała wcześniej, zmienił się w niespokojne trzepotanie motyli. Otworzyła kłódkę, która przeleciała jej przez dłonie i ciężko upadła na ziemię. Drzwi do stajni uchylły się na zewnątrz. Ze środka doleciał ją zapach starych roślin, kompostu i spleśniałej juty ze stosu powoli gnijących worków. Obiekt spoczywał na półce przy tylnej ścianie; ciężkie sukno przytwierdzone do górnej krawędzi zakrywało go całkowicie. Podeszła i zsunęła tkaninę.

To był rzeźbiony dębowy relief. Przedstawiał scenę uczyty. Biesiadnicy siedzieli przy długim stole w urządzonej z przepychem izbie. U sufitu zwisał żyrandol, a na stole postawiono ozdobne kandelabry. Okna na ścianie z tyłu pokoju umieszczono w wysokich gotyckich łukach, a między nimi wisały kilimy. Ucztę wyprawiano wieczorem. Za oknami widać było gwiazdy. Jednak goście, choć posiadali niektóre cechy antropomorficzne i władali sztucami z widoczną łatwością, byli raczej zwierzętami niż ludźmi. Konstelacje widoczne na drzeworytowym niebie różniły się od znanych Elizabeth gwiazdozbiorów. A kilimy ukazywały kształty niepokojące w pokrętnej kpinie z geometrycznych zasad i proporcji. Elizabeth, trzymając ciężką płaskorzeźbę obiema dłońmi, odwróciła od niej wzrok nieco w lewo. Potem zaryzykowała zerknięcie z boku. I podczas tego przelotnego spojrzenia postaci zdawały się przesuwać, łypać złośliwie i mrugać do niej z drewna. Omal go nie upuściła. Położyła relief z powrotem na półkę i podniosła z podłogi sukno, by znów go przykryć.

- Nie powinnaś się tym bawić - powiedział głos za nią. Elizabeth odwróciła się: matka stała w otwartych drzwiach stajni w swoim balkoniku, a takiego wyrazu twarzy Elizabeth nie widziała u niej od czasów dzieciństwa, kiedy jej psoty czasami zmieniały się w umyślne nieposłuszeństwo.

- Byłam tego ciekawa.

- Zakryj to - poleciała matka.

Elizabeth posłuchała. Poczła wyraźnie zapach zwęglonego drewna, a w koniuszkach palców ciepło niedawnego przypalania. Ale wiedziała, że oba wrażenia są wytworem jej wyobraźni.

- Chodź tutaj. Przyniesź klucz. I to szybko, dziewczyno.

Matka nie zwracała się do niej tym tonem od jej lat młodzieńczych. Była matką bardzo kochającą. Ale musiała stosować surową dyscyplinę, bo wychowywała córkę sama. Ojciec Elizabeth umarł młodo.

Matka zamknęła drzwi stajni na klucz i odwróciła się do niej. Wcześniejsza ulewa ustąpiła jasnemu jesiennemu słońcu, padającemu ukośnie znad skraju nieba. Ostre światło kładło się na po-żyłkowane niebieskimi naczynkami krwionośnymi policzki matki i papierową skórę. Wyglądała bardzo staro. Ale oczy, w których odbijały się pomarańczowe promienie, miały gniewny wyraz.

- Pewne rzeczy najlepiej pozostawić w spokoju - powiedziała.

- Masz, mamó, na myśli artefakty czy sekrety?

- Mam na myśli to, co mówię. Igrasz z przeszłością, Elizabeth. Proszę, obiecaj mi, że nigdy więcej nie będziesz tego oglądała.

Surowość zniknęła z twarzy matki, a jej spojrzenie wyrażało głęboką troskę. Elizabeth nie chciała jej martwić. I już zobaczyła to, co chciała zobaczyć.

- Obiecuję, mamó - odparła. - Obiecuję. Matka się uśmiechnęła.

- To dobrze. A teraz bądź tak miła i zrób starszej pani filiżankę herbaty.

Piła z matką herbatę w rodzinnym domu. Nie mogła być bardziej u siebie, ale jednocześnie czuła się nieskończenie od tego miejsca oddalona.

Rozejrzała się. Miała wrażenie, że widzi jedynie zwierciadlane odbicie - niczemu nie ufała. Wszystko zdawało się nie w porządku. Musiała zapytać.

- Czy nasza rodzina ma jakąś tajemnicę, mamó?

Matka uśmiechnęła się wyraźnie ożywiona po wypiciu herbaty. Wyglądała na opanowaną i czujną.

- Wszystkie rodziny mają swoje sekrety, Lizzie. Twój zawód na pewno cię tego nauczył.

Skinęła głową. Ale zadała matce pytanie w liczbie pojedynczej, a otrzymała odpowiedź w liczbie mnogiej. Zastanawiała się, ile sekretów tu było. I czy chce poznać którykolwiek z nich.

- Istnieje zapis z procesu twojej nieszczęsnej antenatki, Lizzie. Była twoją antenatką, zanim została moją, pomyślała Elizabeth.

- Przeczytałaś go?

- Nie. Zawsze wierzyłam w to, co powiedziałam ci w stodole. Pewne rzeczy lepiej pozostawić w spokoju. Musisz dotrzymać obietnicy dotyczącej tego artefaktu.

- Dotrzymam.

- Ale nie mogę ci zabronić przeczytania tego zapisu, jeśli uznasz to za stosowne. To znaczy, jeśli naprawdę chcesz się dowiedzieć czegoś więcej.

- Gdzie on jest?

- Sędzia Smith pozostawił po sobie archiwum. Papiery przetrwały. Myślę, że mogą być w British Library. Raczej nie są udostępniane szerokiej publiczności. Ale jeśli będziesz chciała je przejrzeć, twoje nazwisko powinno ci to umożliwić, bez polecających listów akademickich. Dostęp do takich zasobów jest obecnie znacznie łatwiejszy niż za moich młodych lat. Elizabeth rozważyła przez chwilę tę możliwość. Oznaczałoby to podróż do Londynu, teraz dość nierealną. Zastanawiała się, czy rzeczywiście warto to zrobić. Spojrzała na matkę.

- Nie chcesz wiedzieć, co spowodowało, że nagle się tym wszystkim zainteresowałam?

- Nie, Lizzie. Nie chcę. Mam twoją obietnicę dotyczącą tej rzeczy w stajni i wiem, że moja córka dotrzymuje słowa.

Elizabeth skinęła głową. Niezupełnie wiedziała, co odpowiedzieć. Rozmowa chyba się skończyła.

- Zostaw w spokoju ten okropny relikwiarz - poprosiła jeszcze raz matka. - Przeczytaj zapis procesu Ruth Campbell.

Kiedy samolot wzbił się w niebo w drodze do Szwajcarii, Mark Hunter rozmyślał o Elizabeth i uczuciu odrazy, jakie go ogarnęło, gdy dotknęła jego dłoni. Całym sercem miał nadzieję, że nie dał nic po sobie poznać ani wyrazem twarzy, ani mową ciała. Zrobił wszystko, by się nie wzdrygnąć. Wiedział bardzo dobrze, co sprowokowało tę reakcję. To z tego samego powodu lekarka tak natychmiast umiała trafić do Adama. Oczywiście miała dobre intencje, gdy wyciągnęła do niego rękę, gdy w tamtej chwili wyczuła jego głębokie emocje i walkę, by nad nimi zapanować. I bez wątpienia była kobietą wyjątkowo atrakcyjną. Problem polegał na tym, że przypominała mu inną kobietę, którą nie tylko uważał za atrakcyjną, ale którą głęboko kochał. Elizabeth tak bardzo przypominała mu Lillian, że w pewnej chwili w piątkowy wieczór, zmęczony po paru szklaneczkach whisky, niemal się przejęczył i zwrócił do niej imieniem zmarłej żony. Lekarka była wspaniałą osobą, inteligentną i opiekuńczą. Pomagała nie tylko Adamowi, ale również jemu samemu. Była duszą szczerą, współczującą, a do tego obdarzoną poczuciem humoru. On jednak wiedział, że pociąga go z przyczyn; które w żadnym wypadku nie można nazwać zdrowymi. Czy uwodząc Elizabeth Bancroft, wywoła ducha żony? Albo może przeciwnie - zamiana okaże się tak idealna, że na zawsze zniknie ból po stracie Lillian? Musi myśleć o rzeczach ważniejszych niż romantyczny flirt z poczciwą panią doktor. Bardzo go to nęciło, ale wiedział, że jeśli ulegnie pokusie, w końcu będzie żałował. Uśmiechnął się w duchu, spoglądając przez okno na zbliżającą się linię wybrzeża, niebieską i rozmytą. Myślał o arogancji i próżności, które zawsze plamiły jego charakter. Te rozważania mają sens przy założeniu, że fascynacja jest wzajemna. Ale dlaczego Elizabeth miałaby się choć trochę nim interesować jako mężczyzną? Czy dlatego, że z wyglądu przypominała Lillian, która go kochała? Co za nonsens. Był jedynie ojcem jej pacjenta. Tyle tylko dla niej znaczył. Zainteresowała się jego przeszłością. A ponieważ pracował w tajnych służbach i jedna z jego misji



miała związek z chorobą pacjenta, ciekawość lekarki była całkiem naturalna. Nie. Jeśli chodzi o niego, doktor Bancroft była uprzejma, okazywała zawodowe współczucie, ale był jej zupełnie obojętny. I dobrze. Przywołał w myślach jej twarz. Włosy miała obcięte krócej niż Lillian, ale o tej samej barwie. Gdyby je pogłaskał, w dotyku okazałyby się z pewnością również identyczne. Oczy - o tym samym odcieniu zieleni i tym samym kocim wykroju - lekkim skosem unosiły się w górę. I miała ten sam przenikliwy wyraz twarzy, z subtelnie wygiętymi w łuk brwiami, którego nigdy nie nauczył się odcyfrowywać u swojej żony. I takie same szczodre usta - wiedział, jak czułby te wargi w pocałunku. Była z pięć centymetrów wyższa od Lillian i miała podobnie szczupłą figurę jak żona. To naturalne, że go pociągała. Nie powinien jednak tego okazywać.

Jeśli miał być ze sobą zupełnie szczery, to, co poczuł, kiedy Elizabeth go pogłaskała, a potem ujęła jego dłonie, niezupełnie dawało się określić mianem „odraza”. Ostatnio był bardzo samotnym człowiekiem. Bliskość z Lillian została przerwana nagle i na zawsze. Cały czas tęsknił za nią i ani nie próbował się pogodzić z jej brakiem, ani nie próbował zastąpić jej kimś innym.

O syna martwił się aż do szaleństwa. Bardzo się bał o Adama i choć wcześniej wiedział, co to strach, po raz pierwszy czuł się wobec strachu bezradny. Dotyk Elizabeth wywołał u niego tak silne uczucie przyjemności i ulgi, że przez chwilę miał wrażenie, jakby jego serce wyśliznęło się z nierozzerwalnych okowów. Odraza pojawiła się zaraz po tym. I nie była to odraza do Elizabeth, ale do samego siebie. Do własnej samookłamującej się słabości. Więc wyrwał się, poszedł na piętro zobaczyć syna, a krocząc po schodach, znów zamykał swoje serce.

Na misjach wojskowych przeżywał noce zimnej samotności w dalekich i niekiedy niebezpiecznych rejonach. Ale wyjeżdżał dobrowolnie i nigdy ani trochę się nad sobą nie użalał. I nawet w najodleglejszym i najbardziej wrogim miejscu na świecie miał

zawsze w perspektywie powrót do domu, do Lillian, do ciepła, do radosnego powitania, miłości żony i bliskości sennego uścisku. Teraz to się skończyło. Wypadł mu samotny los i nie było od niego wytchnienia ani ucieczki.<sup>1</sup>

Kiedy szedł przez lotnisko w Genewie, uświadomił sobie, że nie opracował żadnej strategii, co wydawało mu się dziwne. Ta misja była dla niego ważniejsza od wszystkich, jakie podejmował w długiej, znaczonej wybitnymi osiągnięciami karierze wojskowej. Ale tym razem mógł się przygotować tylko w jeden sposób: zjawić się o czasie. Ostatni raz widział ponurą postać kobiety, która nazwała siebie panną Hall, w oknie domu w Magdalenie i nie myślał o niej aż do zeszłego piątku, kiedy opowiedział całą tę historię Elizabeth Bancroft. Niekiedy wspominał panią Mallory, choć z czasem niepokojące szczegóły jej postaci zbladły niczym zły sen. Ale ta druga, bardziej prozaiczna kobieta, partnerka czy przeciwniczka, wypadła z jego pamięci całkowicie. Teraz uważał, że to dziwne, ponieważ nadal bardzo nieufnie traktował rottweilery. Na chodniku omijał je łukiem. I zawsze gdy napotkali takie zwierzę w parku, na plaży albo na błoniach, czujnie obserwował, gdzie znajduje się Adam. Strzegł go przed psami tej rasy. Przecież rottweiler omal nie odgryzł mu ręki. Ale nigdy nie rozmyślał o kobiecie, która dziwnie kwękając, uratowała mu ramię przed amputacją. Nie miał planu. Jej samozwańczy emisariusz bardzo jasno się wyrażał, że spotkanie jest pilne, ale bardzo mętnie przedstawił jego cel. Nie wiedząc, o co chodzi pannie Hall, nie mógł się zdecydować, jaka powinna być jego reakcja. Dawno temu powiedziała, że jest bardziej dobra niż zła. Kiedy samolot skończył kołować i zgasł sygnał pasów bezpieczeństwa, Mark spojrzął na zegarek. Dopiero co minęło południe. Spotkanie zaplanowano na ósmą. Podejrzywał, że za niecałe osiem godzin dowie się, czy to stwierdzenie było uczciwe, czy też nie.

Do samolotu zabrał ze sobą jedynie bagaż podręczny, jedną sztukę. Przejdzie szybko przez formalności graniczne i znajdzie się w Szwajcarii. Westchnął mimo woli. Przyjazd do Genewy

nie był dla niego łatwy. Większość miejsc na świecie, do których podróżował, kojarzyła mu się z żołnierskimi misjami. Ale to miejsce przede wszystkim przypomniało mu o rodzinnych wakacjach. Całą rodziną wyjeżdżali na narty, kiedy tylko mogli. Mijał karuzele bagażowe i widział własnego ducha, ze zmarłą żoną, Adamem i nieodżałowaną córką Kate - czekali z podnieceniem, aż ich torby, narty i buty wyjadą zza gumowej kurtyny. Kate w ogrodniczkach, z blond włosami zaplecionymi w warkoczyki baletnicy. Znowu westchnął i odwrócił wzrok. Boże, jak bardzo tęsknił za żoną i ukochaną córeczką. Teraz zostało ich tylko dwóch. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze Adam pojedzie z nim na narty. Nie miał planu. Ale miał instynkt. Jego hotel znajdował się poza miastem, na południowym brzegu Jeziora Genewskiego, kilka kilometrów od adresu, który emisariusz wskazał mu jako miejsce spotkania. I miał pewność, że za taksówką, w którą wsiadł na lotnisku, nikt nie jedzie. Ale był również pewien, że jego obecność została zauważona, kiedy przeszedł przez bramkę do hali przylotów. Po terminalu nie kręciło się zbyt wielu ludzi. Uwagę Huntera zwrócił pewien mężczyzna, który wydawał się pogrążony w lekturze jakiegoś czasopisma. Choć dzieliło ich jakieś pięćdziesiąt metrów, Hunter mógł ocenić, że nieznajomy ma około metra dziewięćdziesięciu wzrostu i waży ze sto pięćdziesiąt kilogramów. Nosił panoramiczne okulary przeciwsłoneczne o bladożółtych szklach. Gołą głowę miał wygoloną. Kiedy Hunter go mijał, obejrzał się dyskretnie i zauważył, że mężczyzna ma makijaż. Gruba szminka podkładu pokrywała jego twarz i czaszkę. Przypomniał sobie Abła Gaula, chłopaka o zębach odbarwionych tytoniem i śpiewnej mowie wiejskich rejonów Karoliny Północnej. Było bardzo prawdopodobne, że szminka skrywała tatuaż twarzy. Pociągnął nosem. Ale w powietrzu nie unosił się zapach zgnilizny. W ogóle nie było żadnego zapachu.

Z okna pokoju hotelowego roztaczał się ładny widok na jezioro. Sam pokój był pozbawiony charakteru i antyseptyczny;

typowy tutejszy numer hotelowy. Szwajcaria nie była już nieskazitelnym krajem jego młodości. Widywało się tu teraz śmieci i graffiti. Ale nadal w kraju zasadniczo panowały porządek i fundamentalna precyzja, które Hunterowi wydawały się nieco pozbawione radości i przygnębiające. Góry to góry. Ale kraj leżący u ich stóp uważał zawsze za nieco zbyt sterylny i przytłaczający.

Kopnięciem zrzucił buty, pozbył się płaszcza i marynarki, odpiął pas i leżał na plecach na łóżku. Miał do zabicia parę godzin. Znowu pomyślał o Ablu Gaulu, chłopaku o szczerzej twarzy. Abel był dziko czujny, ale to nie zdołało go ocalić w Boliwii. Wszyscy zginęli. Tylko on jeden pozostał przy życiu. Oczywiście, że tak. Jaki byłby sens klątwy pani Mallory, gdyby nie mógł być świadkiem udreki i zguby swojego syna?

Myślał o Boliwii, o szczegółach tamtej misji i o jej skutkach. Opowiedział Elizabeth wszystko, co sobie zdołał przypomnieć. Ale teraz przeszukiwał pamięć, czy nie pominął czegoś istotnego. Było to nieprzyjemne.

Wyczerpujące. Wiedział jednak, że to niezbędne. Odtwarzał sobie kolejno wszystkie sceny - zagadkowe, eskalujące grozą - i słuchał w myślach każdego wypowiedzianego wtedy słowa. Kiedy to zrobił i miał pewność, że jego umysł nie odkryje już w przeszłości nic nowego, zasnął natychmiast na dwie pełne zapomnienia godziny.

Mały domek Elizabeth stał nad strumieniem, około sześciu kilometrów na południe od wsi, w której wynajmowała dwu-pokojowy dom z pustaków, by móc przyjmować pacjentów. Gabinet był funkcjonalny i praktyczny, domek natomiast kamienny, obrośnięty bluszczem, o oknach z szybkami w ołowianych ramkach. Pobliskie zbocze pokrytego wrzosem pagórka dochodziło do wody. Dom stał przez długi czas pusty, aż kupiła go Elizabeth, kiedy wróciła do kraju, do Szkocji, po tragicznych przeżyciach w Czeczenii. Jeśli chodzi o stan techniczny, budynek znajdował się gdzieś w pół drogi między wielkim zaniedbaniem a kompletną ruiną. Po powrocie z Groźnego remont

pochłonał ją całkowicie na sześć miesięcy. Dokładnie takiego zajęcia wtedy potrzebowała.

A potem, kiedy się wprowadziła i rozpoczęła praktykę internisty, szum strumienia okazał się tym, czego właśnie potrzebowała. Wieczorem, kiedy kładła się spać, odkrywała, że wodna melodia ma narkotyczny rytm, łagodnie kołyszący do snu. Matka pożyczyła jej pieniądze na wkład bankowy. Pożyczyła jej również pieniądze na budynek, który stał się jej przychodnią. Elizabeth obydwie sumy spłaciła już dawno temu. Ale taka pożyczka niosła pewne ryzyko. Nie wszyscy w sąsiedztwie życzliwie traktowali jej rodzinę. Byli tacy, którzy raczej woleli znieść chorobę, niż pozwolić, by leczył ich ktoś mający takie jak Elizabeth Bancroft dziedzictwo krwi. W Górnej Szkocji ludzie mają długą pamięć i czasami są bezlitośni. I o tym właśnie przekonała się Elizabeth, kiedy dotarła do swojego domku o zmierzchu w poniedziałkowy wieczór, kilka godzin po tym, jak Mark Hunter opuścił lotnisko w Genewie.

Na frontowych drzwiach namazano prymitywny krzyż. Drzwi były oryginalne, tak stare jak sam dom, sękate, o nierównej powierzchni i podniszczone przez czas. Krzyż miał około metra wysokości i tam, gdzie warstwa była cieńsza i zupełnie zaschła, nabierał brązowego koloru. We wszystkich innych miejscach był czerwony, kleisty i z bliska pachniał rzeźnią. Dzieło było dość nowe. Spojrzała na zegarek. Wróciła do domu po zmianę ubrań na następny dzień. Wybierała się do Hunterów, by w nocy czuwać nad Adamem. Opiekunka kończyła dyżur o szóstej. Elizabeth mogła poświęcić dziesięć minut na zeszkobanie obraźliwe-go symbolu twardą szczotką ryżową i gorącą wodą. Oczywiście to nie symbol sam w sobie był obraźliwy. Ale uczucie, które zainspirowało ten złośliwy akt, było bardzo obraźliwe. Och, dobrze. Zbyt długo mieszkała na szkockiej prowincji, by czuć urazę z powodu miejscowych przesądów. Od krzyża, namalowanego zwierzęcą krwią, jeszcze daleka droga do ataku podpalacza, gdy będzie spała w nocy w domu. Zaparkowała samochód, wyjęła kluczyki ze stacyjki. Miała je na kółku na kciuku. Pokonała po-

kusę, by się obejrzeć - nie chciała wyglądać na osobę wystraszoną lub zaleknioną. Za jej plecami zerwał się mocny wiatr i czuła, jak pcha ją ku drewnianym drzwiom i ku znakowi, który połyskiwał w miejscach, gdzie pacnięto grubszą kreską. Dzieło tchórza. Wszyscy wiedzieli, w jakich godzinach nie ma jej w domu. Wszyscy wiedzieli, że mieszka tu sama. Znalazła klucz do drzwi, weszła i wzięła potrzebne ubrania.

Wybrany czas ataku nie pozostawał wiele miejsca na wątpliwości. Ale chciała zebrać jak najwięcej potwierdzających dowodów. W drodze do domu Huntera postanowiła złożyć krótką wizytę w Czarnym Dzikim - pubie, do którego w piątek wieczorem wysłała Marka, żeby się trochę rozerwał, co niezbyt mu się udało. Przekraczała dozwoloną szybkość, bo czasu miała niewiele. Właściciel lokalu, Andy McCloud, stał jak zawsze za barem, czyszcząc kieliszki. Podwinął do łokci rękawy kraciastej koszuli. Blask sutego ognia na kominku zabarwił mu policzki na czerwono. Za nim stały na półce tajemnicze i osobliwe gatunki whisky, czekając na turystów, którzy nie przyjeżdżali tu nigdy. Zobaczył Elizabeth i niepewnie podszedł do miejsca przy barze, które wybrała. Tak wczesnym wieczorem było tu tylko dwóch innych klientów, obaj starzy bywalcy. Znajdowali się poza zasięgiem głosu. On coś wie. Zna każdego i wie o wszystkich i o wszystkim, pomyślała.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę, pani doktor? Przeszła do rzeczy.

- Ktoś zostawił u mnie w domu wiadomość. Niemiłą. Poważną obelgę, zupełnie niczym niesprowokowaną.

- Chyba że to ostrzeżenie - odparł.

- To znaczy, co?

Zawahał się na moment, a gdy się odezwał, mówił bardzo cicho.

- Niektórzy sądzą, że kobieta o pani pochodzeniu nie jest właściwym antidotum na kłopoty rodziny na wzgórzu.

- Cóż takiego mówią, McCloud?

Właściciel baru wcześniej pracował w policji. Do pewnego stopnia był uczciwy, postępował fair, ale przecież był też tubylcem z krwi i kości. Wiedziała, że nie zdradzi żadnych nazwisk.

- Leczy pani naszego bohatera wojennego, pułkownika Huntera, na depresję, prawda?

- Nie, nie leczę.

McCloud zmrużył oczy: zaprzeczyła pogłosce, którą uznał za prawdę.

- Tak mówią. Ma depresję, bo stracił żonę i córeczkę. Jaki mężczyzna nie wpadłby w depresję po czymś takim? Stał się pustelnikiem. Pani go leczy. I od czasu, kiedy pani to robi, jego chłopak ma straszne koszmary. Jest tak bardzo wytracony z równowagi, że nie może chodzić do szkoły.

- Takie są pogłoski?

- To właśnie słyszałem.

- I rozpowszechniałem?

Odłożył ścierkę, postawił ostrożnie kieliszek na barze.

- Miałem nadzieję, że zna mnie pani lepiej.

Elizabeth wyprostowała się. Zdmuchnęła z twarzy pasmo włosów. Nie mówiła teraz przyciszonym tonem. Mówiła głośno.

- Jeśli ludzie naprawdę wierzą w te nonsensy, czy nie skuteczniej byłoby zadzwonić do telefonu zaufania, niż malować mi drzwi pieprzoną świńską juchą?

McCloud tylko na nią popatrzył. Ale była całkiem pewna, że zrozumiał jej przesłanie. Jej reakcja dotrze do sprawców. Nie sądziła, żeby to zatrzymało oszczerczą kampanię. Jej matka doświadczyła kiedyś czegoś podobnego i Elizabeth wiedziała, jak potoczyła się tamta historia. Następne przyjdą jadowite listy. Będą przysyłali pocztą odchody. Mogą zniszczyć jej samochód. Mogą przybić gwoździami do drzwi łeb zarżniętej świni lub namazać pentagram. W środku nocy rozbiją jej okna. Głośna riposta i sarkazm tego nie powstrzymają. Mark Hunter mógłby jej pomóc po powrocie ze Szwajcarii. Był typem człowieka, który potrafi odpłacić za wyrządzone krzywdy. Jednak najważniejsze jest to, że jego

syn był jej pacjentem. I żadna bigoteria ani fizyczne zaczepki nie przeszkodzą jej w niesieniu pomocy Adamowi.

Podjęła decyzję. Ale gdy parkowała auto pod domem Huntera, ciągle czuła oburzenie. Zgwałcono jej dom. A więc, co za tym idzie, ją samą. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną - na jej tylnej stronie miała lusterko - i włączyła światło, aby obejrzeć swoje odbicie. Nadal walczyła ze skutkami wstrząsu, jakiego doznała w sobotę, w stajni matki. Krzyż na jej własnych drzwiach frontowych nie był aż tak niepokojący jak tamten relief. Ale przeznaczono go tylko dla niej, wyrażał pogardę i obrzydzenie. Wzięła się w garść i spojrzała w lusterko. Wszystko było w porządku. Dzieci są bardzo wyczulone na stres i niepokój dorosłych. Dla Adama musiała pozostać beztroska i spokojna. Raczej nie kojarzyła się z wiedźmą. Kiedy zebrała włosy do tyłu i zrobiła makijaż, mogła wydawać się nieco wyniosła. Przypuszczała, że to sprawa kształtu i koloru oczu. Ale mimo swego dziedzictwa krwi nie wygląda na adeptkę czarnej magii czy choćby na osobę złośliwą. Przez mrok bezksiężycowej nocy spojrzała na ciepłe światło w oknach domu. Wewnątrz czekały ją zapachy kuchni i buzujący ogień. Pokładała w Bogu nadzieję, że podczas nieobecności Marka żadne koszmary, żadne starożytne głosy nie będą dręczyły śpiącego chłopca. Chciała wierzyć, że starucha, na której wezwanie Mark odpowiedział, jest kobietą słowną. Uśmiechnęła się do lusterka. Ale odbicie odpowiedziało nieprzekonującym uśmiechem. Wcisnęła osłonę na miejsce, wyłączyła światło i wysiadła na żwir. Dochodziła szósta.

O siódmej wieczorem w pokoju Huntera zadzwonił telefon na nocnym stoliku. Dzwoniono z recepcji, by powiadomić go, że w holu czeka na niego gość. Wiedział, że będzie to jeden z dwóch ludzi. Albo emisariusz panny Hall, albo mężczyzna z lotniska, z zamaskowanym tatuażem na twarzy. Wstał z łóżka, wziął prysznic i ubrał się w garnitur wizytowy na audiencję u grubej czarownicy. Gdy zawiązywał krawat, telefon zadzwonił



ponownie. Mark nie miał broni. Nie miał munduru polowego, który najlepiej sprawdzał się w walce. Ale mimo wszystko czuł się dosyć bezpiecznie. Opanował kilka sposobów walki wręcz i wykorzystywał je w ciągu całego życia zawodowego, biorąc z każdego stylu to, co wydawało mu się najbardziej praktyczne lub zabójcze. Stupięćdziesięciokilogramowy mężczyzna spróbowałby przycisnąć go do podłogi i zabić chwytem dławiącym. Jednak człowiekowi o takiej wadze brakuje ruchliwości i Hunter zdołałby go ogłuszyć i złamać mu kark, zanim tamten miałby szansę go zlikwidować.

Zszedł po schodach, bo winda nie pozwoliłaby mu przygotować się na ewentualne niespodzianki, które mogły na niego czekać na parterze. Przeszedł przez drzwi przeciwpożarowe. Czekał na niego tylko jeden mężczyzna siedzący w holu, i nie był to wartownik z lotniska. Nieznajomy miał na sobie strój wieczorowy, a do tego karakułowy płaszcz i szary, dobrany kolorystycznie kapelusz. Był wysoki, ale bardzo szczupły. Z roz-targnieniem przebierał palcami po sznurze koralików. Hunter ruszył w jego stronę. Mężczyzna zobaczył go i wstał. Miał wy-mizerowaną bladą twarz nieboszczyka. Mrugał i rozglądał się wokół. Chyba czegoś się bał. Ale nie było nikogo, nikt się nie czaił. Hunter był teraz czujny jak przed akcją. I rozpoznałby niebezpieczeństwo.

- Jestem hrabia de Flurey - przedstawił się mężczyzna. Nie wyciągnął ręki na powitanie.

- Dzień dobry panu - powiedział Hunter. Nie znał protokołu zachowania się wobec francuskich hrabiów. Uważał Francję za republikę, a francuskie tytuły arystokratyczne za głupią afekta-cję. Ale z drugiej strony już rozmowa telefoniczna ujawniła, że emisariusz panny Hall ma skłonność do pompy.

- Pozwoli pan, że wyrażę najgłębszy żal z powodu cierpień pańskiego syna, pułkownika.

- Dlaczego pan się tu zjawił? Znam adres.

- Mam pana zawieźć, za pozwoleniem.

Hrabia krótko się skłonił. Hunter zastanowił się nad tą propozycją. Wolałby jechać taksówką, miałby wtedy solidnego świadka podróży - kierowcę taksówki. Ale przecież obsługa hotelowa i tak widziała hrabiego. Rzucił się w oczy.

- Dom jest położony wysoko nad jeziorem - dodał hrabia. - Droga nie jest prosta.

- W porządku - odparł Hunter. Podszedł do biurka recepcjonisty i poprosił o odwołanie taksówki. Klucz do pokoju wsunął do kieszeni. Hotel ma na pewno duplikaty, a zawsze był to jakiś środek ostrożności. Odwrócił się do hrabiego.

- Jedźmy.

## 5

Samochód nie był błyszczącą karaluchowatą limuzyną. Czekał na nich przyziemny mercedes minivan, srebrny, wszechobecny na drogach Europy. Hunter przez chwilę się zastanawiał, czy usiąść obok emisariusza panny Hall, czy za nim. Ale względy praktyczne przeważały nad etykietą, usiadł więc obok kierowcy. Niezbyt pragnął rozmowy z tym człowiekiem. Potrzebował jednak wszelkich informacji, jakie udałoby się zgromadzić przed dotarciem do celu podróży.

- Jak się miewa panna Hall?

- Jak się miewa? Jest bardzo chora, pułkowniku.

- W jakim jest nastroju? Hrabia wzruszył ramionami.

- Zrezygnowana - powiedział. - Wie, że ma mało czasu.

Hunter wspomniał przechwałki pani Mallory, jakoby pocieszała Ruperta Brooke'a w Berlinie, chyba z osiemdziesiąt lat przed konfrontacją w Magdalenie. A pani Mallory wyglądała na młodszą od panny Hall o całe dziesięciolecie. Może rzeczywiście pannie

Hall pozostało mało czasu. Ale w takim razie w jakim jest wieku? Ta myśl sprawiła, że zadrżał w chłodnym wnętrzu samochodu.

- Czy życzy pan sobie, bym włączył ogrzewanie?

Hrabia okazał się bardzo spostrzegawczy. To ciekawe, że choć on też był dość szczupły, chłód najwyraźniej mu nie dokuczał. Nie za wiele ciała ogrzewało jego kości. Robiło się zimniej, gdyż wjeżdżali wysoko ponad poziom jeziora, w bardziej rozrzedzone powietrze.

- Dawno pan z nią jest? Hrabia się uśmiechnął.

- Od zawsze.

- Nie było pana tam, w Magdalenie.

- To było spotkanie prywatne, pułkownika. Nikt nie powinien tam być, prócz dwóch uczestniczek. Rozumiem, że pańscy towarzysze dowiedzieli się o tym i zapłacili swoją cenę.

- Właśnie dlatego spytałem o jej nastrój - powiedział Hunter. - Widziałem, jacy potrafią być ci ludzie, gdy są wściekli.

Hrabia prowadził przez chwilę w milczeniu.

- Dam panu dwie rady - rzekł. - Niech pan nigdy nie robi błędu, myśląc o nich jedynie jako o ludziach. I niech pan nie porównuje rozgniewanej pani Mallory do mojej pracodawczyni i dobrodziejki. Panna Hall jest w znacznie większym stopniu dobra niż zła.

Hunter skinął głową. To było stwierdzenie, które słyszał wcześniej bezpośrednio z ust panny Hall. Nie zadawał więcej pytań, ponieważ wyczuł, że hrabia tymi słowami jakby podsumował rozmowę. Minivan jechał zygzakiem po stromym odcinku drogi na pierwszym biegu. Hrabia pachniał w nieokreślony sposób jakąś staroświecką wodą kolońską. Był to zapach bardzo słaby, jakby mężczyzna się wyperfumował, a potem wziął prysznic, by uniknąć wulgarności zbyt silnego zapachu ciała. Hunter rozpoznał tę woń i wiedział, że przypomni sobie jego nazwę. To były damskie perfumy Shalimar. Hrabia nosił pierścienie na środkowych palcach obu dłoni. Dłonie na kierownicy wydawały się bla-

de i kościste, a kamienie osadzone w pierścieniach połyskiwały czarniawo. Po kilku dalszych minutach przybyli na miejsce.

Dom panny Hall był wysoki, wąski i miał zamknięte okiennice. Stał w odosobnieniu, otoczony po bokach sosnami, na stromym zboczu, które wznosiło się za nim. Hrabia musiał wysiąść z samochodu i otworzyć zamkniętą na klucz bramę w strzegącym domu murze. Wysoki, zbudowany ze starych kamieni mur mimo swojego wieku był gładki i stał pionowo. Hunter nie bardzo znał się na architekturze prywatnych domów. Kiedy jednak przejeżdżali przez ozdobną żelazną bramę, uznał, że dom pochodzi z XVIII wieku. Miał w sobie esencjonalną oszczędność i kla-sycystyczny chłód. Od frontu nie było ogrodu, tylko duży prostokątny plac grubo posypany żwirem, który trzeszczał pod kołami mercedesa. Dokładnie pośrodku drogi między bramą a drzwiami wejściowymi stał zegar słoneczny. Hrabia zamknął bramę, wrócił do samochodu, ostrożnie wyminął zegar i zaparkował. Był tak zwinny, że zdążył wysiąść, obejść samochód i otworzyć drzwi pasażera, zanim Hunter wyplątał się całkowicie z pasa bezpieczeństwa. To nie tylko zwykła zwinność, pomyślał Hunter, kiedy hrabia obdarzył go zachłannym spojrzeniem trupiej główki, co, jak przypuszczał, miało być zapraszającym uśmiechem. Emisariusz był nienaturalnie szybki.

Hrabia zbliżył się do wielkich frontowych drzwi, wpuścił Huntera i sam wszedł za nim. Obszerny hol wejściowy prowadził do kilku pokoi po prawej stronie. Z lewej strony, przy ścianie, za rzeźbioną balustradą, wznosił się szeroki segment drewnianych schodów. Całą przestrzeń dość słabo oświetlał pojedynczy żyrandol. Ogromny. Ale zwisał z krótkiego łańcucha, daleko od miejsca, gdzie stali.

- Proszę tu poczekać - polecił hrabia.

Hunter skinął głową świadomy, że nie ma wyboru. Hrabia wszedł po schodach na pierwsze piętro. I znowu poruszał się tak szybko, że jego wspinaczka wydawała się jakimś filmowym trikiem, montażowym przyspieszeniem, a nie naturalnym ruchem. Chudy arystokrata miał dar pożerania przestrzeni. Zatrzymał się

przed jakimiś drzwiami, zapukał, poczekał i otworzył je. Wszedł do środka, delikatnie zamykając drzwi za sobą.

Hunter rozejrzył się. Zdał sobie sprawę, że serce w piersi bije mu mocno. Ale rytm był stabilny, a puls równomierny. Nie chciał tu być, ale musiał; wiedział, że zrobi wszystko, byle pomóc cierpiącemu synowi. Prawdę mówiąc, mniej się teraz bał niż przed rozmową telefoniczną z rzekomym panem Mallorym. Wtedy nie miał pojęcia, w którym kierunku ruszyć, od czego zacząć - mógł tylko iść śladem, który zanikał od ponad dekady. Teraz, bez względu na to jak złowróżbne okażą się okoliczności, czuł, że ofiarowano mu jakąś nadzieję. Na ścianach wisały dębowe reliefy, a nad nimi - kilimy sięgające aż pod sufit. Podłoga miała wzór z czerwonych i białych rombów, dziwnie przyciągających wzrok. Chcąc uwolnić się od ich niepokojącego wpływu, zerknął na ściany i wydało mu się, że figury w dębowych reliefach przesunęły się ukradkiem. Jego spojrzenie ciągle powracało do wyobrażonych tam postaci. Kiedy na nie patrzył, dostrzegał istoty chytre i zwierzęce, odziane w ludzkie stroje i całkowicie nieruchome. Widział je wcześniej. Wtedy też nie podobało mu się wrażenie, jakie wywoływały.

Hrabia pojawił się na szczycie schodów i przywoływał go zgiętym palcem. Drzwi za nim stały otworem, ale Hunter nie dostrzegał w nich światła. Wszedł na schody. Pokryto je jakimś miękkim materiałem o gęstym puszystym włosie, który zapadał się pod ciężarem kroków. Nie było to jednak przyjemne uczucie. Głęboki kożuch wykładziny jakby przywierał do podeszew i zostawiał na nich kleistą i lepka maź. Kiedy Hunter zbliżył się do podestu, z pokoju za hrabią dobiegła go cicha muzyka, którą natychmiast rozpoznał. W dziedzinie muzyki klasycznej był niemal całkowitym ignorantem, ale Lillian uwielbiała pewne dzieła romantyczne i chóralne. Rozpoznał IX Symfonię Mahlera w wykonaniu Filharmoników Berlińskich pod batutą Herberta von Karajana. Lillian miała ją na płycie. Słuchała jej stale, unieruchomiona w późnym stadium ciąży, przed urodzeniem Adama.

Już drugi raz w ciągu pół godziny przypomniano mu o jego zmarłej żonie, gdyż Lillian też używała perfum Shalimar.

- Niech pan wejdzie, pułkowniku Hunter - powiedział głos.

Nie rozpoznałby go. To nie był głęboki płaczliwy kontralt, który pamiętał - albo wydawało mu się, że pamięta. Głos panny Hall nie stracił upodobania do wydawania poleceń, ale nie było w nim już ciała. A kiedy wszedł do pokoju i poczuł, jak hrabia dyskretnie wycofuje się do innej części domu, natychmiast zobaczył dlaczego.

Oczekiwał, że czarnoksiężka domena panny Hall będzie oświetlona świecami albo najwyżej lampami naftowymi, źródłem stosunkowo prostym i starodawnym. Ale wielki pokój oświetlono kulami elektrycznymi. Z każdej sączyło się żółtawe światło zbyt słabe, by rzucać cienie. Równo rozmieszczone kule zwisały z sufitu na łańcuchach. Kobieta, która siedziała wyprostowana na kanapie obitej miękką skórzaną tapicerką, wyglądała jak jakiś wychudzony żywy duch. Łysą głowę przykrywała aksamitna mycka. Widząc to, Hunter nie mógł ukryć zaskoczenia. Odciągnęła skurczone wargi od zbyt wielkich zębów i zobaczył żółwią skorupę próchnicy. Rzeczywiście, umierała. Poznałby to z zawiązanymi oczyma. Poznałby to po zapachu w pomieszczeniu. Klasnęła w dłonie. Naciągnięta skóra zaszeleściła przy mocnym uderzeniu. Hunter mógłby się założyć, że pannie Hall pozostało najwyżej kilka dni życia. Kobieta przechyliła głowę na bok i zaśmiała się.

- Jest pan kiepskim aktorem, pułkowniku. Ale tak było zawsze. Nie potrafił pan ukryć odrazy do mnie kilkanaście lat temu. A wtedy czułam się dobrze, zanim podjął pan działanie, które mnie skazało.

- Nie skazałem pani, panno Hall. Uratowała mi pani rękę i prawdopodobnie życie i byłem bardzo pani wdzięczny. Zabiłem panią Mallory. Żałuję, że skierowałem na panią broń, ale nie chciałem pani wyrządzić krzywdy.

W skurczonej twarzy błyszczały wielkie oczy.

- Był pan wtedy głupcem i nadal nim pan jest. Co kazało mi wierzyć, że mógł się pan zmienić? Może jestem równie głupia jak pan. - Dłonie opadły jej na kolana, a potem podniosła jedną i starła coś niewidocznego z twarzy. Znowu podniosła na niego wzrok. Jej oczy nadal błyszczały, teraz gniewnie, może nawet wściekle. Nie wydawała się zrezygnowana. - Jak się panu zdaje, pułkowniku, co się wydarzyło lata temu w Boliwii? Czy kiedyś zastanawiał się pan nad tym poważnie?

- Natknęliśmy się na coś, czego nie rozumieliśmy - odpowiedział. - Nie potrafiliśmy sobie z tym poradzić. To przekraczało nasze kompetencje i leżało poza naszym doświadczeniem. Motywowała nas chęć minimalizacji szkód i instynkt przeżycia, kiedy wszystko poszło źle. A gdy odkryliśmy, że major Rodriguez został okaleczony, wstyd mi to przyznać, ale kierowałem się jedynie chęcią zemsty.

Panna Hall chyba analizowała tę wypowiedź.

- Jak pan sądzi, o co nam chodziło w Magdalenie?

- Nie mam pojęcia. To przekraczało moje kompetencje, moje zdolności rozumienia.

- Czy wierzy pan w magię?

- Niezupełnie. Ale to naprawdę nie jest ważne. Pani wierzy. I to się naprawdę liczy.

Panna Hall skinęła głową. Kaszlnęła. Choroba szumiała w niej jak ostry wiatr wśród jesiennych liści, które za chwilę opadną.

- Niech pan spojrzy wokół.

Zrobił, jak mu poleciła. Było tu dużo przemysłowych płaskorzeźb na ścianach, które brykały na skraju pola widzenia. Na blacie stołu stała rzeźba; solidny kształt przedstawiający sfery, które nie pozostają okrągłe, sześciiany o wypaczonej kanciasto-ści. Dokładniejsze przyglądanie się temu obiektowi przyprawiało o zawroty głowy, które mogły łatwo doprowadzić do mdłości.

- Czy naprawdę jesteście tacy arogancy i myślicie, że wasz gatunek ma ten świat dla siebie? Może jest pan, pułkowniku,

dość naiwny i wierzy, że cisi posiadają ziemię? Nie sądzę, żeby pan w to wierzył. A ja zapewniam pana, że nie posiadają.

Zastanawiał się, dlaczego nie poproszono go, by usiadł, choć prawdę powiedziawszy, wolał ten dystans, który ich dzielił. Ale założył, że wezwano go, by coś dla niej zrobił. Tymczasem traktowano go jak niegrzecznego ucznia, którego należy zbesztać za popełnione dawno temu wybryki. Hunter czuł, że powinien posunąć sprawę naprzód.

- Oto, co o tym wszystkim sądzę: jest pani potężnym hipnotyzerem. Pani rywalka i przeciwniczka, pani Mallory, również. Mogłyście się uważać za wiedźmy albo za mistrzynię magii i nadal może pani tak myśleć, panno Hall. Ale tak naprawdę potrafi pani jedynie wywołać autosugestię.

- A sny pańskiego syna?

- Myślę, że sprowokowało je coś zaprogramowanego we mnie. Nie wydaje mi się, bym pamiętał wszystko, co przydarzyło się kapitanowi Petersonowi i mnie w brezentowym labiryncie.

- W jaki sposób autosugestia wyleczyła panu rękę? Wzruszył ramionami.

- Pozytywne myślenie może być bardzo skuteczne.

- Pies był wściekły, a kończyzna już zakażona. Każda z tych infekcji by pana zabiła.

Hunter uśmiechnął się.

- Może się pani myli - powiedział.

- Ja nie, ale pan, pułkowniku, bardzo się myli. - Z trudem podniosła się ze skórzanej kanapy.

Zobaczył, jak luźne stało się jej ubranie. Zostało skrojone na osobę otyłą. Teraz przypominało worki z juty, a nie części garderoby. Najwidoczniej zabrakło jej optymizmu czy energii, by zastąpić to czymś bardziej dopasowanym. Wykonała ruch dłońmi. Zgięła je w jakiejś skomplikowanej choreografii. Jakby robiła origami bez papieru. Ostry błysk nadal nie opuszczał jej oczu.

Nie zauważył, że jego stopy oderwały się od podłogi. Stało się to zbyt szybko. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że uderzył



czaszką o gołą kamienną ścianę, że mózg mu się zatrzęsł, a nos krwawi od tego fizycznego szoku. Pomyślał, że również mógł mu się rozłupać ząb. Wiedział, że jego obcasy wlokły się po podłodzie parę metrów, zanim uderzył w ścianę. A dookoła klatki piersiowej miał żelazną obręcz, która nie pozwalała mu napełniać płuc.

- Czy to autosugestia? - usłyszał łamiący się głos chorej czarownicy. - Czy umierasz zdany na łaskę iluzji?

Szorował po kamieniach plecami i ramionami. Przesuwano go w bok. Czuł oddech nocy od strony okna, ku któremu sunęło jego ciało. Zdołał odwrócić głowę i spojrzeć w nie, choć wysiłek był kolosalny. Łukowate okno było tak wysokie jak on. Sunął dalej, marynarka zaczepiła o płaskorzeźbę, wystającą na kilka centymetrów ze ściany. Materiał zmarszczył mu się pod łopatką.

- Mogłabym wystawić cię na zewnątrz. Być może przeżyłbyś upadek. To ponad dwadzieścia metrów. A teraz nie masz przypiętego spadochronu, co, pułkowniku?

Nie mógł oddychać w żelaznym gorsecie obejmującym płuca. Wiedziała o tym. Może jednak chciała przedłużyć jego agonię. Poczul niewielki luz i wciągnął ze świstem powietrze. A jego pięty trzęsły się i kołysały na kamieniu. Jak u zawieszzonego pajacyka.

- Spójrz na rękę, którą uleczyłam. A jeszcze lepiej, poszukaj jej. Ręki już tam nie było. Jego marynarka była przyszpilona przy łokciu lewego ramienia, dopasowana czysto do amputowanej kończyny.

- Co mam z panem zrobić? - spytała panna Hall, podchodząc do niego. Wiedział, że to nie hipnoza. Hipnoza nie może zabić. A czarownica była zdecydowana go zniszczyć.

Podeszła do niego bardzo blisko. Oddychał wprawdzie płytko, ale czuł odór zbliżającej się śmierci. Z wysiłkiem, unikając widoku kobiety, zdołał odwrócić głowę i spojrzeć na ścianę po swojej prawej stronie. Bestie w umieszczonych tam reliefach były teraz publicznością, zniknęły pozory niewinnego bezruchu. Obserwowały widowisko i nie skrywały wilczych uśmiechów

uznania. Panna Hall też się uśmiechała. Głos wydobywał się z niej z grzechotem.

- Czy to nadal hipnoza, pułkownika Hunter? Może to tele-kineza albo inny modny fenomen. Przed końcem zimnej wojny Rosjanie eksperymentowali z telekinezą. Zdaje się, kiedyś przesunęli kostkę domina na blacie stołu o pięć centymetrów. Nadzwyczajne.

Pomyślał, że mądrzej będzie nic nie mówić. Wystarczająco mocno już ją zdenerwował. A poza tym żelazny gorset jej zakłęcia nie pozwalał na dostatecznie głęboki oddech, więc Hunter i tak nie mógł nic powiedzieć.

- Mogłabym gdzieś pana przenieść, pułkownika - oznajmiła. -

Gdziekolwiek. Wiem, że lubi pan góry. Na Eigerze właśnie rozpętała się burza. Tu panuje spokój, ale nie tam, w wysokich Alpach. Mogłabym umieścić pana na północnej ścianie nad drugim polem lodowym, przywartego do nędznych chwytów, a w pustce poniżej wyłby wicher. I wystarczy tylko, że sobie tego zażyczę. Jest pan nadzwyczaj silny i w wyjątkowo dobrej kondycji. Ale nawet gdybym zwróciła panu pańskie ramię, to jak pan sądzi, długo by pan przetrwał, zanim straciłby pan chwyt i spadł półtora kilometra w ciemności, na łąkę u stóp ściany?

- Minutę - zdołał wypowiedzieć Hunter.

- Mniej - oznajmiła panna Hall. - Mniej niż połowę tego czasu. Niech pan mi wierzy. Wiem to.

W brakującej kończynie pojawiło się fantomowe swędzenie. Kamienie uciskające mu plecy stały się nagle niesamowicie zimne. W mięśniach pleców poczuł skurcz. To był czarny chłód północnej ściany Eigeru.

Zaledwie mała próbka tego, czego mogła dokonać wiedźma.

- Ale chodzi mi po głowie coś znacznie bardziej przyziemnego - oznajmiła. -

Myszę, że po prostu umieszczę pana pod ziemią, pod żwirem przed pańskim domem. Na głębokości trzech metrów znajdzie pan ciemną solidną koję z gliny i kamieni. Jest bardzo nieprzytulna. Przez kilka chwil będzie pan nieznośnie

cierpiał. Ale po krótkiej walce udusi się pan i umrze. Brzemie żalu, które pana przygniata z powodu żony i córki, zostanie zdjęte. I żadnych trosk: przestaną pana martwić cierpienia syna. Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę.

Hunter ześlizgnął się ze ściany na podłogę i podparł przy upadku obiema dłońmi, a więc zwrócono mu brakującą kończynę. Drżał i pocił się. Jego garnitur był podarty, a koszula poplamiona i zalana krwią z nosa. Na potylicy ziało skaleczenie. Czuł, jak krew skleja mu włosy. Wszedł hrabia, pchając przed sobą srebrny wózek z potrawami pod lśniącymi kopułami z metalu. Hunterowi zapach jedzenia wydał się niesamowicie intensywny. W ciągu ostatnich kilku chwil oddychał powietrzem z dalekich rejonów Eigeru - tego był pewien. Wózek turkotał w stronę środka pokoju. Hunter przełknął krew i z policzkiem przy nawoskowanej podłodze jadalni panny Hall powiedział:

- Myślałem, że jest pani bardziej dobra niż zła.

- Jestem, pułkowniku Hunter. Bo inaczej zabiłabym pana w Magdalenie. Nie od razu mógł wstać. Zdołał się podnieść zaledwie na kolana.

- Zjedzmy coś - rzekła panna Hall. - Mam nadzieję, że nie jest pan wegetarianinem?

- Nie.

Teraz zdominowało go pewne wrażenie - pamiętał, że to samo czuł wtedy w Boliwii - że nic na świecie nie jest zwyczajne, niewinne, naprawdę solidne. Pewniki zbudowano na lotnych piaskach. Zło czyhało we wszystkich mrocznych zakamarkach. Było to doznanie przemożne, przygnębiające. Budziło lęk. Najgorsze, że to podejrzenie osaczało go, obezwładniało. Nie czuł tego nawet przy łóżku Adama, kiedy słuchał, jak śpiące dziecko mówi zapomnianymi językami. Ale czuł to bardzo silnie w czarnej brezentowej katedrze koło Magdaleny. I teraz tego samego

doświadczal ponownie tutaj, w wielkim domu panny Hall nad brzegami Jeziora Genewskiego.

- Może chciałby się pan umyć? Jest pan w opłakanym stanie. Hrabia zaprowadzi pana do łazienki, gdzie się pan odświeży i doprowadzi do porządku. Potem coś zjemy. I powiem panu, co musi pan zrobić, jeśli pański syn ma żyć i wyzdrowieć.

Hunter w dalszym ciągu nie mógł ustać na nogach. Siła i poczucie równowagi powracały, ale potrzebował jeszcze chwili, by dojść do siebie. Dolatywał go intensywny zapach jedzenia. Słyszał dyskretny brzęk, kiedy hrabia układał talerze i sztuce.

- Boże - powiedziała panna Hall. - Zapominam o dobrych manierach. - Jest pan moim gościem niemal od kwadransa. I jeszcze nie zaproponowałam panu nic do picia.

Pierwszego wieczoru, kiedy Elizabeth opiekowała się Adamem, pozwoliła mu pójść do łóżka później niż zwykle. Od rozmowy telefonicznej z emisariuszem chłopiec dobrze przespał dwie noce. Nie oponował, gdy zaproponowano mu, by wrócił do szkoły w poniedziałek rano. Wolał szkołę. Wydawała mu się znacznie miłsza niż siedzenie w domu z nawet najbardziej wykwalifikowaną opiekunką, której nigdy przedtem nie widział na oczy. Ojciec pragnął jak najszybszego powrotu do normalności, a normalność oznaczała rutynę, czyli szkołę. Adam chciał zobaczyć kolegów. Był pełen radości, podekscytowany, wypoczęty, a mroczny zamęt snów ustępował przed realnym życiem, w którym Manchester United odniósł kolejne zwycięstwo, a Girls Aloud wpuściły nowy zabójczy singiel.

Ale ojciec wyjechał. Od śmierci matki i siostry Adam nigdy nie rozstawał się ze swoim tatą. Sam Mark powiedział o tym Elizabeth. Prawdopodobnie odczuje rozłąkę boleśniej od syna. Z doświadczenia Elizabeth wiedziała, że dzieci były o wiele mniej sentymentalne niż dorośli. Ale uważała, że najlepiej wypełnić chłopcu czas różnymi zajęciami, a gdy będzie już zmęczony,

posłać do łóżka. Wtedy zaśnie, nie rozmyślając o powodach nagłego wyjazdu ojca.

Powiedziano mu, że tata wyjeżdża w interesach.

- Interesy? - spytał. - Jakie interesy? Zajmowałeś się skakaniem z samolotów z wielkim pistoletem. Teraz już jesteś na to trochę za stary, tatusiu. I zwróciłeś mundury. Poza tym nie widzę żadnego wielkiego pistoletu. Ale więcej nie wypytywał. Ufał ojcu. Nigdy w życiu nie dano mu powodu do utraty tego zaufania.

Kobieta, którą Mark zatrudnił z rekomendacji Elizabeth, przygotowała na kolację pieczonego kurczaka i włożyła go do pieca. Elizabeth umyła się i przebrała w pokoju gościnnym. Adam rozmawiał z nią, kiedy gotowała ziemniaki, podgrzewała nad parą brokuły z groszkiem i przygotowywała sos. Matka nauczyła ją gotować. Sos do pieczystego Elizabeth robiła prawie mechanicznie według matczynego przepisu. Zdała sobie sprawę, że jej uczucia do matki cechuje ambiwalencja. Matka była czymś oczywistym; Elizabeth czasem korzystała z jej pomocy. Chyba w ten sposób większość dorosłych córek traktuje swoje matki? Ale teraz zastanawiała się, na ile dobrze ją zna. W ostatnich latach myślała o niej jako o miłej, starszej, zapominalskiej osobie. W ubiegłą sobotę dostrzegła, że to nie cała prawda o niej.

- Elizabeth?

- Tak, Adamie?

Siedział przy stole kuchennym i zdejmował opony z samochodu zabawki.

- Czy mogę dostać dietetyczną colę?

- Nie.

- Proszę!

- Tata powiedział, że masz pić tylko sok jabłkowy. Nic gazowanego. Żadnej kofeiny.

- Mój ojciec jest potworem, jeśli chodzi o jedzenie.

- Jest odpowiedzialny za twoje zdrowie.

- Jest bezlitosny.

- Tak ostro bym go nie określała. Na deser jest szarlotka z kruszonką i lody.

- Widzę, że przygotowujesz jakąś zieloninę. Nad zlewem Elizabeth odlewała wodę z brokułów.

- Nie lubisz tego?

- Mogło być gorzej - westchnął Adam. - Na przykład brukselka.

- A wszyscy wiemy, jak ona działa... Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Powoduje, że odfruwasz - powiedział. - Jak czarnoksiężnik. Zerknęła przez szklane drzwiczki pieca. Kurczak był gotowy.

Pomyślała, że Adam wyraźnie powraca do zdrowia.

Po kolacji rozegrali dwie partie szachów. Adam obie wygrał z łatwością. Przypomniała sobie, że ten chłopiec płynnie czytał w wieku trzech lat. Różne rzeczy przychodziły mu łatwo. Był wyjątkowo zdolny. Fizycznie - niemal piękny. W ogóle nie powinien mieć żadnych trosk. Po szachach spytał, czy może obejrzeć DVD. Elizabeth nie pozwoliłaby mu oglądać niektórych strasznych odcinków *Dr Who*. On jednak wybrał program Jeremy'ego Clarksona, w którym Clarkson kpi sobie 'z niektórych wyrobów przemysłu motoryzacyjnego, a potem niszczy żalosalne wytwory brytyjskiej myśli technicznej - spuszcza pojazdy z żurawia. W kuchni stała maszyna do popcornu. Elizabeth zrobiła dla Adama popcorn z syropem klonowym i masłem, a on jadł go, śmiejąc się z chłopięcych błazeństw dorosłego Clarksona. Kiedy program się skończył, Adam już ziewał gotów pójść spać. Wstał i przeciągnął się.

- Dobrej nocy - powiedział.

- Nie zapomnij umyć zębów.

- Nie zapomnę. Czy mogłabyś sprawdzić za dziesięć minut, co u mnie?

- Oczywiście że tak.

Wstał i czekał. Zdała sobie sprawę, że spodziewał się pocałunku na dobranoc. Zapewne ojciec nigdy nie omijał tego rytuału.

Elizabeth cmoknęła go w policzek i zwichrzyła mu włosy, a on objął ją w talii i przytulił.

- Dobranoc, Adamie. Uśmiechnął się.

- Twój popcorn to poezja - oświadczył.

Kiedy dziesięć minut później zaszła do jego sypialni, spał głęboko i spokojnie. Wróciła na sofę w salonie, wzięła swój telefon i zobaczyła, że ktoś przysłał jej SMS. W tym rejonie nie było stabilnego zasięgu - tekst mógł zostać wysłany wiele godzin temu i dopiero teraz do niej dotarł. Pilna wiadomość spowodowałaby migotanie światelka, a nie jedynie pojawienie się ikony na wyświetlaczu. Mimo to otworzyła SMS i przeczytała go. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu, wiadomość napisała matka. Elizabeth nawet nie wiedziała, że umie to robić. Uśmiechnęła się do siebie smętnie. Cały czas dowiadywała się o matce czegoś nowego.

Teraz pytała, czy Elizabeth wysłała kwerendę do archiwum w sprawie relacji z procesu czarownicy Campbellów. Sprawozdanie zostawił w swoich papierach sędzia Jerusalem Smith. Przewinęła tekst w dół i zobaczyła, że wysłano go pięć po szóstej wieczór. Matka dała jej jeden dzień roboczy na skontaktowanie się z British Library. Ale przecież Elizabeth nie mogła sobie obecnie pozwolić na podróż do Londynu. W ogóle się tą sprawą nie zajęła. Jednak według matki rzecz najwyraźniej była pilna. Pragnęła, by Elizabeth jak najprędzej coś odkryła. Ale skąd ten pośpiech? - zastanawiała się. Niepokój matki musiało spowodować coś niemiłego. Prawda zawarta w raporcie będzie zapewne bolesna. Pamiątka po Ruth Campbell - nadpalony dębowy panel z płaskorzeźbami - miał chyba w sobie coś niezdrowego.

Wyjęła płytę Clarksona z odtwarzacza i odłożyła ją z powrotem do pudełka razem z innymi stojącymi w równym rzędzie. W większości były to filmy fabularne, kolekcja zdecydowanie chłopięca: *Gladiator*, *Casino Royale*, *Faceci w czerni* i *Ultimatum Bourne'a*. Można było wyróżnić sekcję, którą prawdopodobnie Mark wybrał dla Adama: klasyczne filmy akcji, jak

*Wikingowie, Jazon i Argonauci*, oraz kino dziecięce z lat osiemdziesiątych - *Postrzeleńcy, Pogromcy duchów, Powrót do przyszłości i Lot Nawigatora*.

Oczywiście również *Torchwood* i *Dr Who*. Stało tam także kilka pudełek z tytułami ręcznie wypisanymi na grzbietach. Elizabeth wyjęła płytę *Klosters 2007* i włożyła ją do odtwarzacza. Czyżby niezdrowa ciekawość kazała jej oglądać rodzinne filmy Hunterów? Z pewnością naruszało to sferę prywatności, ale przecież film jest fragmentem historii pacjenta, usprawiedliwiała się.

W *Klosters* było zimno. Światło słabe, niebo zasnuwane chmurami. Śnieg miał tę puszystą, proszkowatą konsystencję, którą osiąga tylko w temperaturze znacznie poniżej zera, gdy w powietrzu nie ma wilgoci. Hunterowie dobrze przygotowali się na spotkanie z żywiołem - wszyscy byli w kombinezonach narciarskich i rękawicach, a na głowach nosili czapki, kaptury i gogle całkowicie zakrywające rysy. Prawdopodobnie to Mark stał z kamerą, kiedy jego córka zjeżdżała ku niemu po długim stromym zboczu. Za nią zjechał brat, a w końcu matka. Jasne było, że to wytrawni narciarze. Kate miała w sobie szczególny czar i lekkość, poruszała się z wyraźną elegancją. Jechała bardzo szybko, ale całkowicie kontrolowała czyste dynamiczne ewolucje. W końcu wykonała energiczny skręt i zahamowała kilkanaście centymetrów od obiektywu. Jej oddech wydostawał się przez szalik zasłaniający dolną część twarzy i parował w powietrzu. Uniosła gogle, odsłaniając uśmiechnięte oczy. Kiedy córka zginęła, szła właśnie na lekcję baletu. Elizabeth zastanawiała się, jak Mark znajduje siłę, by oglądać te ujęcia. Prawdopodobnie w ogóle ich nie ogląda.

Potem jechał Adam. Pędził w dół stoku, skacząc z muld, sunął na granicy sterowności i siłą oraz treningiem osiągał to, co jego siostra robiła bez wysiłku dzięki wrodzonemu talentowi.

W końcu zjechała Lillian. Nawet w ubraniu narciarskim jej sylwetka wyglądała szczupło. Nosila długie włosy. Kiedy wykonywała skręty na stromym zboczu, jasny koński ogon przeskakiwał z ramienia na ramię. Tak jak córka, jeździła na nartach



z dużą gracją. Adam zażartował na temat tego, jak wolno mama zjeżdża. Mark zaśmiał się cicho i kamera lekko zadrżała mu w dłoni, ale nie przesunęła się ze swojego obiektu ani nie straciła ostrości. Lillian wcale nie jechała wolno. Jechała rytmicznie, aż osiągnęła dół zbocza i wbiła kijki. Pochyliła głowę i wyrównała oddech po wysiłku długiego zjazdu. Coś powiedziała. Kpiła ze swojej złej kondycji. Miała wytworną wymowę Angielki urodzonej i wychowanej w klasach uprzywilejowanych. Zdjęła rękawice, rozpięła klamrę do włosów i roztrząsnęła koński ogon. Podniosła głowę, zsunęła gogle na czoło i odwinęła szalik z dolnej części twarzy. Spojrzała w obiektyw kamery, uśmiechnęła się szeroko i ułożyła usta do pocałunku... i nagle Elizabeth zobaczyła własne śmiejące się oczy, które patrzyły na nią z plazmowego ekranu telewizora.

Jadła resztki popcornu Adama. Zdała sobie sprawę z tego teraz, kiedy miska wypadła jej z rąk na dywan.

Jezu. Jezu Chryste.

Teraz już nie dziwiła się, dlaczego chłopiec uznał, że należy mu się całus na dobranoc.

Z góry dobiegł krzyk. Elizabeth wstała i poszła zobaczyć, co się dzieje z Adamem.

Hunter przypuszczał, że jedzenie jest świetne. Dochodził do wniosku, że panna Hall prowadzi niezłe życie, nawet kiedy umiera. Bez wątpienia, gdzieś w domu nad jeziorem mieszkał wspaniały kucharz równie oddany swojej pani jak hrabia. Hunter nie mógł jednak niczego skosztować, kiedy podawano wino, kiedy rozrywano chleb, kiedy dania zjawiały się i znikaly. Jego gospodyni jadła bardzo dużo. Ale szybkość, z jaką pochłaniała jedzenie, to nic w porównaniu z głodem tego, co zżerało ją od środka. Nie zostało jej wiele życia. To jedno było pewne, Hunter to czuł. I wcale go to nie pocieszało.

- Pułkowniku, umie pan starannie obserwować, nie dając tego po sobie poznać. Przypuszczam, że to efekt szkolenia. Niech pan coś zje. Potrzebny panu pokarm dla podtrzymania sił.

- Wtedy w Boliwii, skąd pani wiedziała, jak się nazywamy? Upiła wina i skrzywiła się, jakby to pytanie nie zasługiwało na odpowiedź.

- Jak udało nam się panią zaskoczyć, skoro wcześniej znała pani nawet nasze nazwiska?

- Byłam całkowicie zajęta swoją walką z panią Mallory. Odniosłam w tym spotkaniu zwycięstwo dopiero w chwili, gdy wpadł wasz dzielny major i wszystko skomplikował. W innych okolicznościach o waszym podejściu wiedziałybyśmy, zanim jeszcze sforsowaliście płot wokół terenu. Ale zajmowałyśmy się sobą wzajemnie. I na tym się koncentrowaliśmy.

- Ile lat miała pani Mallory?

- To nie ma znaczenia.

- Niech pani będzie tak miła i powie.

- Była młoda, kiedy młode było stulecie.

- Twierdziła, że pocieszała poetę Ruperta Brooke'a. Panna Hall kroїła mięso na talerzu. Bardzo słabo wysmażone, połyskiwało w żółtym świetle.

- Nie to stulecie, durniu. Była młoda, kiedy francuscy dragoni w drodze na Moskwę szli przez ziemie jej rodziny, stratowali pola i zrabowali zebrane plony. Śmiali się spod pióropuszy. Jeźdźcy w jasnych szamerowanych mundurach. Przestali się śmiać, kiedy nadeszła zima i zadała im dotkliwe ciosy podczas odwrotu.

- Przeklęła ich?

Panna Hall odłożyła nóż i widelec po obu stronach talerza.

- Rosja ich przeklęła. Bogowie pogody ich przeklęli. Może pani Mallory też ich przeklęła. Oczywiście wtedy nie była panią Mallory, ta fanaberia przyszła o wiele później. I jeśli oferowała Brooke'owi jakieś pocieszenie, to było ono raczej chłodne. Dodawanie otuchy nie należy do jej umiejętności. Hunter skinął głową.

- Ani do wrodzonych odruchów. - Panna Hall się wzdrygnęła. - Ale zmusza mnie pan do dygresji. Ważne jest to, że pańska

interwencja z pistoletem pozwoliła jej uniknąć losu, który dla niej zaplanowałam. Zaryzykowała grę przeciw mnie, przegrała i zaakceptowała konsekwencje. Jest przede wszystkim kobietą, która dotrzymuje słowa. Tak więc pogodziła się z tym. A potem pan ją uwolnił. Chociaż to już historia. Ważne jest to, co zamierza zrobić teraz, kiedy jej moc prawie powróciła.

- Co takiego zrobi?

- Niech pan słucha swojego syna. On panu powie. Zanim Adam straci rozum i umrze, będzie prorokował. Nieszczęsny. Ona będzie się przechwalać przez niego, traktuje go jako swoje narzędzie. To sens klątwy, jaką na pana rzuciła.

Hunter przesunął się na krzesło. Krzesło było drewniane i ozdobne, a rzeźbione wysoko oparcie boleśnie uciskało go w posiniaczone plecy i ramiona. Czy miał uwierzyć w złośliwość czarownicy, która jako młoda dziewczyna widziała łupieżczy marsz armii Napoleona? Wpakował dwie kule prosto w mózg tej kobiety, a mówiono mu, że dziesięć lat później żyje sobie bez żadnych obrażeń i nabiera mocy. Słyszał głosy wydobywające się we śnie z ust syna. Pod skrzepem krwi we włosach czuł w czaszce ból uderzenia sprzed chwili, gdy igrała z nim umierająca osoba siedząca spokojnie naprzeciw niego. I pamiętał, co wydarzyło się w Boliwii. Przez minionych dwanaście lat próbował o tym zapomnieć. Ale przypomniał to sobie znowu w hotelowym pokoju i wiedział, że teraz zawsze będzie pamiętał klaustrofobiczny brezentowy labirynt, zapach wydobywający się z ran majora i widok oblicza własnej żony w twarzy wiedźmy w Magdalenie. Westchnął. W tym pokoju na drewnianych ścianach panował podejrzany ruch. Za jego plecami czekał hrabia, milczący i usłużny. Z drugiej strony stołu panna Hall metodycznie jadła; po talerzu z wykwintnej porcelany srebrne sztucce skrobały niczym tańczące odnóża owada.

- Dlaczego była taka wściekła? Z tego, co pani mówi, interwencja majora wstrzymała przecież jej egzekucję. Czemu go ukarała w sposób tak nikczemny i brutalny?

Panna Hall uśmiechnęła się.

- Jak dobrze znał pan majora?

- Był dzielny i inteligentny. Wykształcony. Znałem go zaledwie kilka godzin. Trudno powiedzieć, bym w ogóle go znał.

- Był gorliwym katolikiem. Jednym z trzech braci. Trójka: franciszkanin, jezuita i żołnierz. To nasz i jego pech, że spotkałyśmy żołnierza. Zbliżył się do nas z wycelowanym karabinem, a wokół lufy owinał różaniec. Recytował jakąś modlitwę do swego katolickiego Boga. To właśnie rozwścieczyło panią Mallory.

- Jak mam ją powstrzymać, panno Hall? Spalić na stosie? Przebić serce drewnianym kołkiem? Czy może kupić kilka srebrnych kul do swojego pistoletu?

- Sarkazm na nic się nie zda.

- Zda się, bo tylko sarkazm mi pozostał.

- Najpierw musi ją pan znaleźć. Nie mogę panu w tym pomóc. Nie mam już czasu na pogoń.

- Współczuję pani.

- Współczuje pan czy nie, to bez znaczenia. Przyjechał pan tutaj, ponieważ jestem bardziej dobra niż zła, choć według pana niektóre dowody mogą świadczyć o czymś przeciwnym. Nawet jeśli miałabym czas panu pomóc w znalezieniu pani Mallory, to choroba zbyt mnie osłabiła i nie zdołałabym się jej przeciwstawić tak jak kiedyś. A ona jest przebiegła i uczy się szybko, więc raczej nie wystarczyłoby mi sprytu, by znowu wywieść ją w pole. Sam pan musi znaleźć sposób. Powiem panu to, co wiem. Pan musi ją wytropić jak myśliwy zwierzynę i jak myśliwy ją zabić. Opowiem panu wszystko, co wiem o pańskiej zwierzynie. Dam panu pewien adres, gdzie może się pan czegoś dowiedzieć.

Hunter pochylił się do przodu. Czujnie się przysłuchiwał.

- Nie, pułkowniku. Tam jej pan nie znajdzie. Ale znajdzie pan trop.

Wywęszy pan ślad. - Panna Hall zawahała się, dobierając słowa. - Pani Mallory lubi żyć. I to właśnie może spowodować jej upadek.

- Co ma pani na myśli, mówiąc „lubi żyć”? Panna Hall odsłoniła zęby w gnijącym uśmiechu.

- Gdyby użyć współczesnego idiomu, pani Mallory lubi im-prezować. Było bardzo późno, kiedy hrabia odwiózł Huntera stromą drogą z powrotem do hotelu. A w zasadzie bardzo wcześnie, gdyż nastał już wtorkowy ranek. Mimo drzemki w poniedziałek po południu Mark czuł się zmęczony. Jak po bitwie - znużenie aż do szpiku kości, w żołądku i w gardle kwaśny smak zużytej adrenaliny. To przygnębiające uczucie na ogół następuje po emocjach walki. Tym razem nie były to emocje, tylko depresja, apatia i niezdolność jasnego myślenia.

Nie sprecyzował konkretnego terminu powrotu. Powiedział Elizabeth Bancroft, że jego nieobecność potrwa od jednego dnia do tygodnia. Adres, który dała mu panna Hall, wskazywał domek położony daleko i wysoko w austriackim Tyrolu. Nie był to adres osoby lubiącej imprezować. Ktoś taki raczej mieszkałby w weneckim palazzo lub lofcie na Manhattanie. Spotkał panią Mallory w Magdalenie. Kiedy ukazała mu prawdziwą twarz, była przede wszystkim wytworna. Ale panna Hall stanowczo twierdziła, że Hunter nie znajdzie jej przeciwniczki w domku na szczycie góry. Może po prostu przechowywała tam jakieś rzeczy? Jeśli tak, miał nadzieję, że nie są to spreparowane szczątki jej ofiar.

Z rozmowy nie wyszedł z przekonaniem, że w Austrii znajdzie jakiś cenny trop. Określenie pani Mallory jako zwierzyny łownej nie przemawiało do niego. To zbyt niebezpieczna, górnolotna metafora. Nie miał jednak wyboru: musi zniszczyć wiedźmę. W świetle tego, co mu powiedziała panna Hall, wyeliminowanie pani Mallory to najważniejsza misja w jego życiu. Ale przecież próbował już to zrobić wcześniej, kiedy nie była w pełni sił, i najwidoczniej mu się nie udało. To ciężkie zadanie, nie mógł lekceważyć trudności. Nawet określenie „przeciwnik”, oznaczające w jakimś sensie równorzędne partnerstwo, pobrzmiwało butą. Na początku spotkania panna Hall bawiła się z nim jak kot z myszą. A była słaba. Panna Hall umierała.

Zamierzał przespać się ze dwie godziny, a potem zadzwonić do Elizabeth i wyjaśnić, że nie będzie go jeszcze dwie noce. Przy odrobinie szczęścia uda mu się porozmawiać z Adamem i wybadać nastrój syna. Adam przez telefon rozmawiał z ojcem zawsze powściągliwie, jak większość dzieci w jego wieku. Odpowiadał na pytania radosnymi monosylabami. Ale nawet po jego tonie Hunter by poznał, czy panna Hall dotrzymuje słowa o czasowej ochronie przed złymi snami. Wierzył, że tak właśnie jest. Uważał pannę Hall za osobę na swój sposób honorową i uczciwą. Nie przypuszczał jednak, by żywiła do kogokolwiek uczucia takie jak litość i współczucie. Nie kierowałyby się empatią. W ostatecznym rozrachunku litość - bez względu na to, czy traktujemy ją jako przymiot, czy jako odruch - jest impulsem bardzo ludzkim.

Ktoś był w jego pokoju. Hunter natychmiast to poznał. Szwajcaria jest krajem pedantycznym, niemal klinicznie czystym. W pokoju poczuł zapach, trupi smród, który nie pasował do nienagannie załanego łóżka i idealne poziomych smug światła ulicznej latarni, wpadających przez listewki żaluzji na nieskazitelnie czysty dywan. Wspomniał wytatuowanego mężczyznę, którego widział na lotnisku. Pomyślał, że może w łazience czyha na niego sto pięćdziesiąt kilogramów agresji. Nie, odór jest za słaby. Pamiętał, jak szeregowiec Gaul opisywał tę woń. Mówił, że to jakby od dawna gniło coś martwego. Bardzo trafny opis. Tu zapach był słaby, wisiał w powietrzu od kilku godzin. Mimo to Hunter się zakrztusił i omal nie zwymiotował wystawnej kolacji.

Ostrożnie otworzył drzwi łazienki. Rozpłaszczył się przy ścianie obok. Czekał i nadśluchiwał. Tam w ciemności nie czaiła się żadna oddychająca istota. To była Szwajcaria. Z pryszniczki ani z kranów nic nie kapało. W łazienkowym powietrzu woń była ledwo wyczuwalna, przykrył ją zapach cytrynowego środka dezynfekcyjnego i pachnącego jabłkiem mydła. Intruz odszedł.

Hunter wziął długi prysznic. Wymył krew ze zmierzwionych, posklejanych włosów i ciepłą wodą przepłukał rany. Nie tylko plecy miał pokiereszowane. Całe ciało było w stłuczeniach

i siniakach, ozdobione bolesnymi plamami w barwach od żółci do granatu. To nie jest po prostu rezultat rzeczywistego ataku, pomyślał. Jego ciało musiało się buntować przeciw nienaturalnemu sposobowi, w jaki mu te urazy zadano. Hunter nie uważał się za ofiarę gwałtu. Ale czuł upokorzenie i bezsilność. W końcu owinięty ręcznikiem podszedł do okna i wyjrzał na drzewa, łagodnie schodzące do kamienistego nadbrzeża i nad nieruchome atramentowe wody nocnego jeziora. Świeciły gwiazdy, ich blask padał na pofalowany płaszcz drzew iglastych. Hunter miał wrażenie, że dostrzegł połysk łysej głowy - ktoś go chyba obserwował spoza drzew. Ale ów wartownik nie przybrał konkretnego kształtu i ostatecznie Hunter uznał, że to tylko gra światła, płatających figle jego zmęczonym oczom.

Prawdopodobnie nigdy nie czuł się bardziej zmęczony.

Położył się do łóżka. Było cicho, a pod kołdrą - ciepło. Para z prysznicza oczyściła pokój z ostatnich śladów trupiego zapachu. Nie wiedział czemu, ale coś mu się przypomniało. Wydawało się, że to przypadkowe wspomnienie nadeszło znad otchłani głębokiego snu.

Mężczyzna, z którym Lillian zmarnowała dwa lata, był pilotem cywilnym. Szukając w szafce w łazience nici dentystycznej, Lillian znalazła receptę na famciclovir. Skonfrontowany z dowodem pilot przyznał, że złapał opryszczkę genitaliów, gdy bez zabezpieczenia uprawiał seks ze striptizerką podczas przerwy w locie do Tokio. Lillian nie zaraził. Ale tu nie chodziło o infekcję ani nawet o ryzyko zakażenia. Chodziło o oszustwo i o dalsze związane z nim kłamstwa. Lillian nie mogła pogodzić się nawet z jednym kłamstwem. Pilot utkał z nich całą sieć.

Dwa tygodnie po ich pierwszym spotkaniu jedli kolację przy ogródkowym stoliku przed restauracją w Covent Garden, kiedy podszedł do nich jakiś mężczyzna. Lillian chwyciła Huntera za rękę. Tamten najwyraźniej szukał zaczepki. Nie musiał mieć szamerowanej marynarki i czapki z daszkiem, by Hunter domyślił się, z kim ma przyjemność. A grymas wściekłości na twarzy męż-

czynny dowodził, że wie dokładnie, co w życiu stracił. Już wcześniej Lillian powiedziała Hunterowi, jak się nazywał. Albright. George Albright. Lillian wyznała mu później, że jej pilot dobrze znał taekwondo. Chodził na treningi dwa razy w tygodniu, jeśli akurat nie musiał dodawać pasażerom otuchy przez interkom charakterystycznym dla British Airways mrużącym głosem. Ale tego wieczoru jego przeciwnikiem był człowiek, który trenował wszelkie sztuki walki. I ćwiczył je zawodowo, regularnie i na serio. Zwycięzać w walce, dla Marka Huntera była to sprawa życia i śmierci; za to mu płacono i do tego miał wrodzony talent.

Wstał. Atakujący wykonał kopnięcie w dół, by zwichnąć mu kolano.

Hunter przybliżył się o krok do przeciwnika i rozłożył go na chodniku zamachem nogi, a gdy tamten padał, dodatkowo wyprowadził szybki cios w szczękę. Podeszedł do leżącego. Ktoś przy sąsiednim stoliku krzyknął, a Albright próbował z ziemi walnąć Huntera na odlew. Mark zablokował cios. Pochylił się nad leżącym i powiedział:

- Wstań i odejź. I nie oglądaj się. Bo inaczej opuścisz to miejsce na noszach, ze złamanym karkiem.

Mężczyzna zrobił, co mu kazano. Hunter trochę mu współczuł, kiedy ten szedł po Bow Street. Wcześniej pilot stracił Lillian, a teraz musiał się pożegnać z mitem na temat własnej nie-zwyciężoności. Sama Lillian bardzo krytycznie oceniła sposób, w jaki Mark załatwił tę sprawę. I właśnie to przypomniał sobie teraz, zapadając w sen. Powiedziała, że ktoś taki jak on potrafiłby opanować sytuację bez eskalacji przemocy. Powiedziała, że zranił i upokorzył George'a Albrighta w bójce, której przy swoich umiejętnościach mógł łatwo zapobiec. Co do tego miała rację.

Lillian była osobą pełną współczucia i sprzeciwiała się niepotrzebnej agresji. Była wrażliwa na ból; nie przeczulona, lecz z natury delikatna. Ale gdy po powrocie z Magdaleny opowiedział jej, jak wpakował dwie kule w głowę pani Mallory, Lillian się nie obruszyła, nie krytykowała, nawet tego nie komentowała.



Nie było potępienia, tylko po prostu ten zagadkowy osąd, który oczyszczał go z zarzutów. Czy to paradoks? Sprzeczność? Hunter był zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać. Później żałował, że tego nie zrobił. Ale z Boliwii wrócił wyczerpany i w ogóle nie wiedział, że powinien o tym pomyśleć.

## 6

**Następnego** ranka Elizabeth wysłała e-mail do British Library z zapytaniem o archiwum cromwellovskiego łowcy czarownic. Skorzystała z komputera stacjonarnego Marka, który poinformował ją wcześniej, jak się na nim załogować jako gość. Adam zszedł na dół, kiedy wystukiwała na klawiaturze prośbę o dostęp do materiałów dotyczących jej antenatki. Sen podziałał na chłopca zbawiennie. To westchnienie we śnie, które słyszała w nocy, prawdopodobnie spowodował popcorn, i nie miało nic wspólnego z poprzednimi nocnymi koszmarami. Wyglądał świeżo i beztrosko.

- Właśnie szedłem do kuchni - powiedział.
- Prawie skończyłam - stwierdziła Elizabeth. - Jeszcze minuta i zrobię ci jakieś śniadanie.
- Mogę się sam obsłużyć - oznajmił.
- Wspaniale.
- Mogę sobie wziąć red bulla?
- Oczywiście - odparła Elizabeth. - W dniu, kiedy zamarznie piekło.
- A z przyczyn medycznych?
- Jedynie wtedy, kiedy wyszczególnisz te medyczne przyczyny.
- Jesteś jeszcze bardziej bezlitosna od taty.
- Adamie, uznaję to za komplement, wiem, że właśnie z taką intencją mi to mówisz.

Usłyszała, jak opiekunka otwiera ciężkie zamki strzegące drzwi frontowych kluczem, który jej dano. Elizabeth nacisnęła „Wyślij” i wyłączyła komputer. Wstała i przy kuchennym stole zjadła z Adamem szybkie śniadanie, a potem chwyciła torbę, zamierzając wcześniej wyruszyć. W miarę możliwości nadgoni rano pracę, by po południu złożyć matce niezapowiedzianą wizytę.

Pierwsza lekarka w Szkocji nabyła prawo do praktyki w roku 1914. Kraj zawsze przodował w medycynie. Ale gabinet w Edynburgu to coś innego niż praktyka internisty w oddalonych górach. Nawet po drugiej wojnie światowej większość Szkotów na prowincji wolała lekarza od lekarki. Kobiety mogły być pielęgniarkami czy akuszerkami - to było w porządku. Ale jako lekarza internistę wybierano mężczyznę. Uważano, że jest bardziej zrównoważony, lepiej wykształcony od kobiety. Ten przesąd szczególnie się zakorzenił wśród starszych osób. Dlatego we wczesnym okresie swojej kariery zawodowej Margaret Bancroft często napotykała na trudności, musiała cały czas dowodzić swoich kompetencji. Elizabeth wiedziała, że niekiedy zachowywano się wobec niej bezlitośnie, a czasami wręcz okrutnie.

Elizabeth postanowiła zajrzeć do swojego domku. Niewiele nadkładała drogi, jadąc z domu Hunterów do przychodni. Chciała zobaczyć, czy nie ma nowych szkód. Pocieszała się, że prędzej wybiją szybę, niż spalą dom. Ulubioną taktyką każdej kampanii zastraszania było cisnąć w szybę kamień z przyczepioną notatką. Postanowiła, że jeśli zrobiono coś gorszego niż namazanie krzyża, zawiadomi policję. Nie miała sobie nic do zarzucenia i była wściekła z powodu już zadanego gwałtu. Nie zamierzała tolerować eskalacji wandalizmu. Jej dobitne wystąpienie w barze ubiegłego wieczoru mogło dotrzeć do właściwych uszu. Miała nadzieję, że sztuczka podziałała. Nie przypuszczała, żeby wymalowanie krzyża świńską krwią na czyichś drzwiach było przestępstwem, za które sąd wymierzyłby dużą karę. Ale jeszcze jedna obelga i zawiadomi mundurowych. Miała doskonałe stosunki

z lokalną policją. Jak większość wiejskich sił byli niedoinwestowani. Gdy potrzebowali ekspertyzy lekarza policyjnego, musieli złożyć pisemną prośbę; uwzględniano ją z opóźnieniami, co mogło okazać się katastrofalne w razie poważniejszego przestępstwa. Elizabeth, niezależna i bezstronna, była łatwo dostępnym ekspertem medycznym i zasłużyła sobie na wdzięczność policjantów. Wiedziała też, że wysoko ceniono jej kwalifikacje zawodowe, a nie tylko chęć współpracy. Domek, oświetlony słońcem poranka, stał nietknięty. Weszła tam tylko na chwilę, by odsłonić firanki i zmienić wodę w wazonie z kwiatami na kuchennym stole. Wiedziała, dlaczego pojawiły się myśli o matce, o udreće jej codziennego życia zawodowego oraz o kampanii nienawiści, którą musiała znosić latem 1972 roku. To dlatego, że po scysji w stajni czuła w stosunku do matki wrogość. Miała wrażenie, że coś przed nią ukrywa. SMS tylko wzmocnił te podejrzenia. A chciała żywić do niej jedynie uczucia ciepła i sympatii. Jak zawsze w przeszłości. Teraz jednak wydawało jej się, że nie zna matki naprawdę, że w jeden wieczór stała się kimś obcym. Elizabeth chciała odzyskać swoją dawną mamę.

Kiedy Elizabeth zbliżała się do rodzinnego domu, matka na nią czekała. Stała w oknie. Twarz miała bladą, postać zniekształcały szybki w kształcie rombów. Elizabeth już wyjmowała z torby klucz, ale kiedy spostrzegła czekającą matkę, wiedziała, że drzwi będą otwarte. Zerknęła na stajnię po prawej i zadrżała. Nie było zimno. Było słonecznie i ciepło jak na tę porę roku. Jednak nie mogła opanować przeszywającego ją dreszczu trwogi.

- Czekaaś na mnie.

Matka nie podniosła się z krzesła.

- Czytaaaś tamto?

- Oczywiście, że nie. Nie było czasu.

- Więc czemu tu jesteś?

- Ponieważ są sprawy, o których mi nie powiedziaaaś. Czy naprawdę nigdy nie czytaaaś sprawozdania z procesu?

- Nie miałam odwagi, żeby go przeczytać.

Elizabeth westchnęła i pokręciła głową. Jakie to dziwne. Tym razem nie uściskała matki na powitanie. Nie widziała gestu zachęty. Nawet nie usiadła, nie zaproponowano jej, by odsapnęła.

- Powiem ci, co mogę, Elizabeth. Wtedy mnie osądzaj, jeśli musisz.

- Więc zachowałam coś w sekrecie.

- Jesteś moim dzieckiem. Nigdy nie chciałam cię przestraszyć ani zrazić do siebie. To samo czułam w stosunku do twojego ojca. - Uśmiechnęła się. -

Siadaj, Elizabeth. Zrobię herbatę. A potem wszystko ci opowiem.

Margaret była świadoma swoich zdolności leczenia już jako mała dziewczynka. Myślała, że chyba urodziła się z darem uzdrawiania. Kiedy miała pięć lat, jej matka zapytała ją, czy chciałaby dostać kociaka z miotu pręgowanej kotki miejscowego listonosza. Ale powiedziała, że nie chce. Wiedziała, że pokochałaby kocię. A kiedy wyrosłoby na dużego kota, też by go kochała. I wiedziała, że gdy zwierzę się zestarzeje i - co nieuniknione - umrze, nie zniosłaby straty.

Pewnego dnia na spacerze tuż przed Bożym Narodzeniem natrafiła na rudzika zaplątanego w kolczaste zarośla. Padał śnieg. Przypuszczała, że rudzik stracił orientację i źle wylądował na gałęzi. Albo został zmuszony przez jastrzębia czy nawet orła, by schronić się w cierniach. Podczas surowych zim orły przylatywały ze swoich gniazd na klifach na wybrzeżu i polowały w głębi lądu. Często też można było spotkać pustułki. Drobnny ptak miotał się rozpaczliwie, ale nie mógł wzbić się w powietrze. Zdawało się, że uszkodził skrzydło i złamał nogę. Był na wpół żywy, kiedy Margaret wyzwoliła go z kolców ciernistego krzaka, owinęła w wełniany szalik i włożyła do kieszeni.

Kiedy dreptała przez śnieg do domu, pomyślała, że jej ojciec uśmierci ptaka szybko i bezboleśnie. Był człowiekiem praktycznym i miał mocne nerwy.

Zgniółby szyję rudzika między palcem wskazującym a kciukiem i od razu by ją złamał. Margaret wygrzebałaby mały grób w murawie pod śniegiem, żeby ptak nie stał się

łupem padlinożerców. Przez całą drogę do domu czuła drżenie wątłego życia. Ptak w kieszeni płaszcza bił jednym zdrowym skrzydłem o jej biodro. A później - nie potrafiła określić, w którym momencie swojej wędrówki przez piękny biały krajobraz - zmieniła plan. Weszła do domu, otrząsnęła buty z błota, zdjęła je i powiesiła płaszcz na haku. Ostrożnie wyjęła z kieszeni szalik z cennym żywym ładunkiem, kiwnęła głową ojcu, czytającemu coś w ulubionym fotelu i poszła po schodach do swojego pokoju. Ojciec nawet nie podniósł wzroku znad gazety. Margaret trzymała szalik w rękę przy piersi i wchodziła na schody. To pierwsza zima, którą jako osoba dorosła pamiętała tak wyraźnie. Miała wtedy jedenaście lat. W domu było ciepło. Rodzice, choć niezbyt zamożni, nie oszczędzali. Wbrew wiejskim zwyczajom ogrzewali wszystkie pokoje. Zapadał zmierzch. Margaret spacerowała długo po obiedzie, a o tej porze roku słońce zachodziło wcześniej. Wisiało pomarańczową plamą na skraju białego wrzosowiska, czerwono świeciło w okna i nadawało ścianom barwę krwi. Margaret przyciskała szalik do piersi jedną dłonią, a drugą otworzyła okno. Potem opuściła szalik na podłogę, zamknęła rannego ptaka w kołysce dłoni i rozchyliła nieco kciuki. Zamknęła oczy i lekko dmuchnęła przez szczelinę między palcami. Otworzyła oczy i dłonie, a ptak się sprężył i swobodnie wyfrunął przez otwarte okno w zimno i zmrok. Leciał, energicznie machając zdrowymi skrzydłami. Wiedziała, że go wyleczyła. I kiedy się nad tym zastanowiła, wcale jej to nie zaskoczyło.

- Nazwałam to „magią kostną” - powiedziała córce. - Miałam jedenaście lat. Dziecko w tym wieku potrzebuje nazw, zwłaszcza dla pojęć abstrakcyjnych.

- Naprawdę sądzisz, że rudzik przeżył?

- Myślę, że może żyć nadal.

- Magia była aż tak silna?

- Czułam ją w kościach. Stąd nazwa, którą nadałam jej jako dziecko. Czułam tę moc bardzo głęboko w sobie. Czułam to w szpiku kości.

- Czy to cię nie przerażało, mammo?

- Tak, to było przerażające. Uzdrowiłam kilka zranionych stworzeń. Zawsze robiłam to w tajemnicy. Ale gdy miałam czternaście lat, usłyszałam, że ślepy pasterz, Baxter, traci swojego chorego na raka psa. Poszłam górską drogą do szałas, gdzie mieszkał. Trzymałam collie między dłońmi i wykorzystałam swój umysł, by wypchnąć schorzenie. To było trudne. Uparta choroba rozpanoszyła się w biednej starej suce. Wtedy doszłam do przekonania, że mogę zrobić wszystko. Zastanawiałam się, czy mogę przywrócić do życia martwą istotę.

Elizabeth przełknęła ślinę.

- Czy kiedykolwiek próbowałaś?

- Oczywiście, że nie.

- Czy zastosowałaś kiedyś magię kostną na pacjencie?

Ale Elizabeth wydawało się, że już zna odpowiedź na to pytanie.

Późną wiosną 1972 roku Margaret Bancroft była już doświadczonym internistą. Miała trzydzieści pięć lat i dawno minął czas, gdy zdarzało jej się rozpaczać po stracie ulubionego kota. Wielokrotnie widziała okrucieństwa i dziwactwa. Wiele razy była świadkiem budzących litość sytuacji. Śmierć nie była jej obca. Cierpienia oczywiście nadal robiły na niej wrażenie. Ale to ryzyko zawodowe. Tak jak mechanik samochodowy ryzykuje, że pobrudzi sobie palce smarem. Trzeba znosić rzeczy złe, by dzięki profesjonalizmowi czynić dobro.

Do takich doszła wniosków. Pewnego dnia wezwano ją do nagłego przypadku na farmie Andrew Hectora. Andrew, cały blady, przywitał się z nią przed stodołą. Wewnątrz żona Andrew, Susan, tuliła w ramionach syna, Maksa. Lewe ramię chłopca owinięto prowizorycznym bandażem.

- Pani doktor, czy on straci rękę? - spytał Andrew.

Margaret Bancroft popatrzyła na zakrwawioną słomę, na której ułożono nieprzytomnego chłopca. Pomyślała, że dziecko może stracić życie.

Przykucnęła obok Maksa i odwinęła przesiąknięty

krwią bandaż, zrobiony zapewne z kawałka prześcieradła. Odsłoniła ranę czystą i bardzo głęboką. Z każdym uderzeniem zanikającego pulsu z przeciętej arterii tryskał strumień krwi.

- Ostrzył kosę na kamieniu. Musiał zaczepić o stal. Lincoln polował na szczury w szopie i natychmiast mnie przyprowadził.

Ale nie dość szybko, pomyślała Margaret, bandażując ciasno ramię. Wiedziała, że jest za późno.

- Czy mówili, kiedy przyjedzie karetka?

- Za czterdzieści minut - odparł Andrew. - Zostało jeszcze dwadzieścia.

Przez optymizm w głosie farmera przebijała trwoga. Światło napływało przez szczeliny między belkami dachu i zalewało wszystko ostrą eteryczną poświatą. Max Hector widział promienie słońca po raz ostatni. Miał trzynaście lat. Kiedy się urodził, obydwój rodzice byli po czterdziestce. Nie będą mieli innych dzieci.

- Zostawcie mnie z pacjentem - powiedziała Margaret Bancroft. Susan podniosła na nią wzrok, wypuściła z objęć syna, wstała i w zakrwawionym fartuchu chwiejnie ruszyła ku drzwiom stodoły. Mąż podtrzymał ją za ramiona. Rzucili ostatnie spojrzenie ku miejscu, gdzie umierał ich syn, i zamknęli za sobą wrota stodoły. Ten akt wiary w jej medyczne kompetencje sprawił, że Margaret zadrżało serce. Ujęła przegub Makska, ale nie wyczuwała pulsu, taki był słaby. Musiała zatamować krew. Przycisnęła uszkodzone ramię do brzucha, zamknęła oczy i siłą woli zasklepiła ranę. Kiedy otworzyła oczy, już jej nie było. Uniosła wzrok ku niebu w podzięcie i napotkała chytre spojrzenie Lincolna, który polował na szczury w stodole. To on zobaczył wypadek i podniósł alarm. Lincoln, dziewiętnastoletni półgłówek, którego zatrudniali Hectorowie, ponieważ mieli miękkie serca, a nikt inny by mu nie dał pracy. Siedział na stryszku z sianem i widział to, czego właśnie dokonała.

- Puściły mi nerwy - powiedziała Margaret Bancroft do córki. -

Uświadomiłam sobie, że nigdy tego nie zdołam wytłuma-

czyć. Ten cud kosztowałby mnie moją reputację i pozycję zawodową. Więc odwróciłam to, co przed chwilą zrobiłam. A kilka minut później, kwadrans przed przybyciem karetki, Max Hector rozstał się z życiem.

Elizabeth wpatrywała się w porcelanową filiżankę, którą trzymała na kolanach. Herbata była zimna jak lód. Elizabeth nie wypła ani łyka. Mleko oddzieliło się i utworzyło połyskujący pierścień na powierzchni herbaty.

- Jak odwróciłaś to, co zrobiłaś?

- Otworzyłam znowu ranę.

- W jaki sposób?

- W taki sam, jak ją zamknęłam.

- Czy było to trudne?

- Magia nie była trudna. Przekazałam biednemu Maksowi siłę życiową, by uzupełnił straconą krew. Czułam pod kciukiem, jak jego puls staje się coraz bardziej energiczny. Musiałam tę siłę mu odebrać. Spowodować, że odpłynie. To było łatwe, a zarazem najtrudniejsze w całym moim życiu.

- I już nigdy nie wykorzystywałaś tej mocy, mamó?

- Nigdy.

- Tom Lincoln opowiedział o tym komuś, a oni cię prześladowali jako czarownicę. Czy wiesz, kto to był?

- Nie mam wątpliwości, że to ta sama osoba, która cię teraz prześladowuje, Elizabeth. Dlatego ci to dziś opowiedziałam.

- Wiesz, że na drzwiach mojego domku namazano krzyż?

- Domy stoją daleko od siebie, ale to mała miejscowość. Mam telefon. I mam jeszcze kilku żyjących przyjaciół.

Elizabeth skinęła głową.

- Powinnaś jeszcze coś wiedzieć o „magii kostnej”, jak to nazwałam wiele lat temu - powiedziała matka. - Byłam dziewczyną o miękkim sercu i wykorzystywałam ten dar do leczenia. Ale kiedy odwracałam dobro, które uczyniłam biednemu Maksowi, kiedy pruć swoim umysłem młode życie tego chłopca, magia sprawiała mi ogromną radość.



- Powiedziałaś, że to najtrudniejsza rzecz, jaką musiałaś kiedykolwiek zrobić.

- Tak. Ale miałam uczucie, że moc jest dana właśnie po to.

Wykorzystywałam swoją magię kostną jako siłę dobra. W tamtej stodole zdałam sobie sprawę, że zamierzony cel magii jest zupełnie przeciwny. Elizabeth rozejrzała się po pokoju. Spojrzała na pianino w rogu: orzechowa, politurowana skrzynia błyszczała w gasnącym słońcu. Spojrzała na obrazy na ścianach przedstawiające okoliczne góry i krajobrazy morskie. Z tymi widokami wzrastała. Przy ścianie za nią stało radio - każdego dnia roboczego matka słuchała *Kobiecej godziny* z mechaniczną regularnością zdyscyplinowanego emeryta. Spojrzała na rozpalony kominek o niebieskiej obudowie z ceramicznych kafli w kwiaty; na gzyms nad nim, gdzie stał tykający, nakręcany co osiem dni zegar i fotografie rodzinne w drewnianych ramkach. To wszystko było bardzo znajome, ale teraz wydawało się iluzoryczne, jak fałsz, jak dekoracja teatralna pełna miłych rekwizytów z epoki.

- Czy byłam waszym jedynym dzieckiem, mamó? Matka spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Na Boga, dziewczyno. Co to w ogóle za pytanie?

- Pytanie, na które pragnę dostać uczciwą odpowiedź. Margaret Bancroft uśmiechnęła się.

- Myślisz, że ty i twoja bliźniaczka zostałyście rozdzielone przy urodzeniu?

- To ciekawe, że powiedziałaś „bliźniaczka” - odparła Elizabeth. Trzęsła się. Ledwo mogła powstrzymać drżenie głosu. - Interesujące, że mówisz o siostrze. Mogłam mimo wszystko podejrzewać, że miałam brata.

- Lizzie. Mój Boże. Ty mówisz to serio.

Elizabeth skinęła głową. Nie ufała sobie na tyle, by się odezwać.

Margaret zamknęła oczy. Zaczęła szlochać. Elizabeth odłożyła filiżankę ze spodeczkiem na dywan, uklękła przed matką i ujęła obie jej dłonie.

Matka otworzyła oczy. Stare oczy zamglone łzami.

- Miałam przed tobą jeden sekret, Lizzie, ale właśnie ci go wyjawiałam. Byłaś jedynaczką.

- Szaa, mamó.

- Byłaś kochana i otaczana czułą opieką. Wiesz, że tak było i że nadal jesteś kochanym i umiłowanym dzieckiem.

Adam Hunter pomyślał, że to przerażające, jak bardzo ta fajna pani doktor przypomina mamę. Mama też była fajna i też była śliczna. Nie chciał myśleć o niej za dużo, bo wtedy czuł się smutny i żałował taty. Ale mama naprawdę była fajna. Podśledzał nawet kiedyś, że tak samo o niej mówili dorośli. I taka też jest Elizabeth. Ma zielony sportowy samochód i nosi czarny skórzany żakiet, okulary słoneczne zsunięte na włosy, zegarek dla pilotów z przyciskami po obu stronach pokrętki. Luźno traktuje pojęcie „pora spać”. Robi zabójczy popcorn. I naprawdę wygląda jak mama. To było przerażające, ale nie w takim sensie jak jego sny. Podobieństwo Elizabeth do matki - to jeden z tych kapryśnych zbiegów okoliczności, jakich życie sporo dostarcza, znacznie częściej, niż wynikałoby z rachunku prawdopodobieństwa. Ale sny... Jeśli mowa o rzeczach przerażających, sny wychodzą poza całą skalę.

Kłamał ojcu, że nie pamięta szczegółów. Pamiętał je bardzo dokładnie. Jak mógłby nie pamiętać tak dziwnych snów? Ale nie chciał martwić taty.

Sprawy i tak miały się wystarczająco źle. Tata jest taki samotny i smutny.

Adam chciał dodać mu otuchy, nie chciał dokładać mu trosk, jeszcze mocniej go przygnębiać. Tata robi, co może. Ale dużo go to kosztuje. Zanim zaczęły się sny, Adam leżał rozbudzony i słyszał w nocy, jak w sąsiedniej sypialni tata płacze. Chciał do niego iść. Ale nie poszedł. Tata musi się nauczyć żyć bez mamy i Kate. Obaj muszą. To trudne, ale nie mają wyboru. Mama i Kate odeszły i nigdy nie wrócą.

Tej fajnej doktor też nie powiedział prawdy o snach, ponieważ skłamał tacie. Gdyby jej powiedział, musiałyby mu to powtórzyć,

ponieważ dorośli mają swoje zasady w takich sprawach. Nawet gdyby kazał jej obiecać, że nikomu nie powie, prawdopodobnie zrobiłaby to tylko po to, żeby wyciągnąć z niego prawdę. Ale wyznanie prawdy Elizabeth przyniosłoby mu ulgę, ponieważ była nie tylko fajna, była również miła. A zachować tak okropny sekret całkowicie dla siebie wcale nie jest łatwe. Na pewno jednak złamałaby obietnicę i powiedziała o tym tacie. Uważałaby to za swój obowiązek. Nie mógłby mieć jej tego za złe. Rozumiał, że świat dorosłych przestrzega własnych dorosłych reguł. Akceptował to. Ale to oznaczało, że nie będzie mógł jej tego powiedzieć. Nie chciał martwić ojca. Nie chciał też, by tata czuł, że syn go zdradził, że postąpił nieuczciwie. To właśnie nazywa się dylemat. Znał to słowo z futbolu. Kiedy sir Alex z United miał trzech świetnych napastników, ale miejsce w drużynie jedynie dla dwóch, stanął przed czymś, co określali jako „dylemat selektonera”. Zdaje się, że futbol jest pełen wszelkiego rodzaju dylematów. Ale Adam sądził, że jego dylemat związany ze snami jest nieco poważniejszy. Chociaż o językach powiedział prawdę. Raz się obudził, mówiąc płynnie po rosyjsku. Raz się obudził, myśląc po niemiecku. Nigdy się nie uczył żadnego z tych języków. Ale po kilku godzinach na jawie umiejętności językowe zniknęły.

W każdym razie akurat teraz miał inny problem. I była to konsekwencja czegoś, czego niepowiedział Elizabeth. Kiedy wrócił ze szkoły pierwszego dnia po długiej nieobecności, miał zadaną pracę domową. Jasne, że Elizabeth nie była mamą, ponieważ mama by spytała, czy odrobił lekcje. Elizabeth tego nie zrobiła, więc ich nie odrobił. Obijał się, coś podłubał w samochodzikach, potem pokonał Elizabeth w szachy, oglądał Clarksona, napychał się popcornem, a praca domowa pozostawała nietknięta. Adam wiedział, dlaczego zadano im właśnie taką, a nie inną pracę domową. Bo zestawiono różne dane i udowodniono, że wykorzystanie szkolnej biblioteki każdego roku zmniejsza się o osiem procent. Albo szkoła odwróci ten trend, albo biblioteka będzie

traktowana bardziej jak luksus niż coś, co jest potrzebne. A wtedy całkiem się z niej zrezygnuje. Szkoła była mała. Zbudowano ją w czasach wiktoriańskich. Biblioteka została wyposażona przez jakiegoś bogatego Amerykanina o nazwisku Carnegie. Księgozbiór umieszczony był w oddzielnym budynku przypominającym gotycki zameczek. Miał kształt sześcioboczny, witraże w oknach i granitowe mury porośnięte bluszczem. Wewnątrz znajdował się opalany koksem komin z mosiężnym gzymsem i szklane gabloty z wypchanymi dzikimi zwierzętami oraz mnóstwem pierwszych wydań książek podpisanych przez słynnych szkockich autorów. Adam słyszał, jak pan Cawdor, nauczyciel matematyki, mówi, że nie jest to rzecz niezbędna, lecz anachronizm. Adam jednak sądził, że szkolna biblioteka to bardzo ładny anachronizm i myślał, że wyglądałaby okropnie, gdyby ją wypatroszono z książek i wypełniono brzydkimi rzędami monitorów komputerowych na stołach o metalowych nogach i lakierowanych blatach.

Ich praca domowa polegała na wybraniu i nauczeniu się w ciągu wieczoru nowego wiersza, napisanego przez poetę, którego nie przerabiali. Strategia obliczona na to, że cała klasa tłumnie ruszy do biblioteki w poszukiwaniu krótkiego rymowanego utworu, dającego się łatwo zapamiętać. To by odwróciło tę ośmioprocentową spadkową tendencję w wypożyczeniach. Adam sądził, że każdej klasie prawdopodobnie wyznaczono podobne zadanie. Wymyślono sposób na dylemat anachronicznej biblioteki. Ale na niego to nie podziałało. Nie wypożyczył książki z biblioteki, która wyglądała jak zamek wróżki w szpiczastej czapce. Jego tata miał regał pełen książek z poezją i słuchał też poezji z płyt. A poza tym można też ściągnąć wiersz z Internetu i nacisnąć klawisz „Drukuj”. Mógł to zrobić w swoim pokoju.

Częściowo to wina Jeremy'ego Clarksona. Gdyby Clarkson i jego gówniane samochodziki nie były takie zabawne, odrobiłby pracę domową bez żadnych grymasów. Uczył się szybko. Jeśli naprawdę się skoncentrował, wystarczyło przeczytać tych sześć czy osiem linijek dwukrotnie i już znał je na pamięć. Ale skoncentrował

się na austinach allegro i hillmanach avengerach. Cholerny Clarkson. Teraz wywołają mnie do odpowiedzi, myślał Adam. Wiedział, że tak. Pani Davies zaraz go wywoła do odpowiedzi, a on nie ma usprawiedliwienia, a do tego - co jeszcze pogarszało sprawę - wszyscy pozostali, cała klasa, cała jedenastka, odrobili pracę domową. Znał kilka wierszy. Znał dość dużo z *Katastrofy statku Deutschland* Gerarda Manleya Hopkinsa. Słuchał tego czasami na stereo w domu. Ale Hopkins był Walijczykiem. Znał jeden wiersz Seamusa Heaneya, ten o kopaniu torfu i butelce mleka z kartonowym korkiem. Heaney był najbardziej ulubionym poetą taty. I Adam sam lubił ten wiersz. Ale Heaney był Irlandczykiem. To było nawet gorsze od Walijczyka. Jeśli miał już recytować poezje Celta, to w tych okolicznościach musiał to być Szkot. Był też Robert Burns. Burns był w gruncie rzeczy jedynym szkockim poetą, który przychodził mu na myśl. Ale z Burnsa nie znał nic. Adam poczuł, jak policzki zaczynają go piec i oblewają się rumieńcem.

- Pan Hunter - wywołała go pani Davies. Stała przed klasą między swoim biurkiem a tablicą.

Słońce padało ukośnie i nisko przez rząd okien po jego prawej stronie. Wstał. Nogi krzesła zapiszczały, trąc o drewnianą podłogę.

- Pańska kolej, jeśli łaska. Gdy chodzi o kulturę, w tej siedzibie nauki jesteśmy bardzo kosmopolityczni. Poezja angielska jest całkowicie dopuszczalna.\*

Klasa zaśmiała się z dobrodusznego żartu pani Davies. Dobrodusznego, gdyż - jak Adam wiedział - żart miał go rozluźnić. Dla niektórych dzieci występowanie publiczne było przykrą próbą. Pomyślał, że jest w tym wiele prawdy, zwłaszcza w jego wypadku, kiedy nie miał najmniejszego pojęcia, co powiedzieć. Jesienne słońce padało przez okno na jego policzek, ogrzewało go całego, przenikało przez szkolny wełniany pulower. Próbował się skoncentrować, coś sobie przypomnieć. Umysł miał pusty jak jeszcze niezagruntowane płótno malarskie.

Nie wiedział, jak długo stał. Wreszcie usiadł. Miał jedynie świadomość ciszy i lekkiej suchości w gardle. Słońce padało przez okno nadal pod tym samym kątem. Cała klasa gapiała się na niego, a pani Davies spoglądała z takim wyrazem twarzy, jakiego nigdy u niej wcześniej nie widział. Zdjęła okulary i trzymała je palcami za zauszniak. Kołysały się. Nigdy nie widział jej bez tych metalowych oprawek i soczewek. Wyglądała na młodszą i nieco zakłopotaną. Dwuwiersz będący fragmentem długiego poematu, który właśnie wyrecytował, nadal rozbrzmiewał mu w głowie.

*A w tym tunelu jest strumień tajemny Zielony jak sen i jak śmierć niezgłębny.*

Pani Davies zakasłała i włożyła na powrót okulary.

- Wspaniała recytacja Adama była poematem napisanym przez angielskiego neoromantyka Ruperta Brooke'a. Czy ktoś by spróbował wyjaśnić, o czym mówił?

Alice Cranbourne podniosła rękę. Adam pomyślał, że Alicja to chyba najzdolniejsza dziewczyna w klasie. Wcześniej recytowała coś z Burnsa w szkockim dialekcie. Nie zrozumiał z tego ani jednego słowa.

- Alicja?

- Zdaje się, że to o tęsknocie za ojczyzną, proszę pani. Ma w sobie taki smutek.

- To bardzo przenikliwa uwaga, Alice. Brooke napisał ten wiersz przy kawiarnianym stoliku w Berlinie, wiosną 1912 roku. Poeta mieszkał kiedyś w Grantchester niedaleko Cambridge, w starej plebanii, która występuje w tytule utworu. Wspomina mnóstwo lokalnych nazw, miejscowości z hrabstwa Cambridge. Młody człowiek daleko od domu w sensie geograficznym i emocjonalnym.

Tamte dwa wiersze, które nadal kołatały się w głowie Adama, wcale nie przywodziły mu na myśl dalekiego angielskiego lata. Nie brzmiały smętnie, żałobnie czy sentymentalnie. Mówiły o krwi, skradaniu się, dżungli i wspominały o czyhającym

cierpliwie przeznaczaniu. Słuchał wyjaśnień pani Davies. Uznał je za bardzo interesujące. A dla niego zupełnie nowe. Deklamował wiersz - czego zupełnie sobie nie przypominał - a potem usiadł. Nigdy nie słyszał o starej plebanii w Grantchester. Na pewno nigdy nie słyszał o Rupercie Brooke'u. Kiedy wstał, by zarecytować przygotowany utwór - a sam nie wiedział jaki - nie miał w mózgu żadnych obrazów. Tylko jeden: przez moment zobaczył wytworną kobietę o okrutnych ustach, która niekiedy uśmiechała się na rubieżach przeżywanym przez niego złych snów.

Mark Hunter uczył się jeździć na nartach na lodowcu Stubai, więc dobrze znał i miło wspominał austriacki Tyrol. Nauczył się tego jako kadet oddelegowany do plutonu Gurkhów. Gurkhowie nigdy naprawdę nie ulepszyli swojej techniki jazdy, w przeciwieństwie do niego. Teraz wspominał tamto doświadczenie ze smętnym uśmiechem. Instynkt samozachowawczy pomagał opanować skręty na nartach oraz precyzyjnie płużyć, sterując szybkością zjazdu. Według niego Gurkhowie byli całkowicie pozbawieni tego instynktu. Słuchali instruktora. Następnie kierowali narty w dół. I ruszali. Niektórym z nich narty się rozjeżdżały, wtedy wywijali spektakularnego orła. Większości się udawało i grawitacja ich wyhamowywała na końcu trasy. Instruktor ryczał, gestykulował i robił się na mrozie fioletowy ze złości. Ale bezskutecznie. Gurkhowie jeździli na nartach tak, jak walczyli - po prostej, z całkowitym oddaniem i bez żadnej trwogi. Hunter na mniejszym stoku ostrożnie ćwiczył elementy nowego sportu przez całe dwa tygodnie, zanim ośmielił się zjechać na nartach z góry. Znał Tyrol. Ale teraz nie wybrał się tu na narty.

Kiedy dotarł do końca drogi, zapadł zmierzch. Z Genewy do Innsbrucku dojechał koleją. Tam wynajął samochód. Od doliny Stubai dzieliło go około ośmiu kilometrów. Miejsce było odludne. Żadnych domostw, żadnych mrugających światełek u stóp wznoszącego się zbocza. Miał przed sobą

na Hall powiedziała mu, że tej wspinaczki może dokonać bez lin czy raków. Musiał wspiąć się po ścieżce, która wiła się przez linię drzew, potem droga stawała się bardziej stroma, a jej pokonanie wymagało więcej wprawy. Spojrzał w górę. Mroczne niebo pstrzyły kryształami padającego śniegu, który cały czas gęstniał i stawał się cięższy. W sklepie obok wypożyczalni samochodów Hunter nabył buty, zimowe ubrania i latarkę na głowę. Odzież i sprzęt okazały się bardzo potrzebne. Pod białym, coraz cięższym niebem słyszał tylko tykanie silnika wynajętego samochodu, stygnącego w przejmującym zimnie. To nie było chyba właściwe miejsce dla wiedźmy, kobiety fatalnej, którą pamiętał z Magdaleny, ani dla imprezowiczki, za którą panna Hall kazała mu się uganiać. Ale okolica wyglądała dokładnie tak, jak mu to opisano. Widział wąską ścieżkę wijącą się przed nim wśród ciemnych świerków. Napił się wody z metalowej butelki, którą kupił w Innsbrucku i przed wyprawą napełnił w biurze wynajmu samochodów. Butelkę wiózł na tylnym siedzeniu. Lodowata woda chłodziła mu teraz wargi i język. Hunter wytarł usta wierzchem dłoni, zakręcił butelkę i wyruszył w drogę.

W sklepie w Innsbrucku kupił czekan. A po chwili wahania dorzucił jeszcze nóż bojowy z doskonałej stali. Nóż miał kaste-tową rękojeść i piłę tam, gdzie zwykle noże mają tępą stronę ostrza. Dwudziestocentymetrowe ostrze było zabójczo ostre. Hunter nosił go teraz w pochwie przy pasie. W gablocie wystawowej sklepu wyglądał jak nóż myśliwski z piekła rodem. Tak naprawdę nie wiedział, po co go kupił. Męski kaprys za sześćdziesiąt euro. Przecież schorowana panna Hall kilkoma mściwymi myślami zrobiła z niego szmacianą lalkę. Co znaczył nóż, choćby najostrzejszy, wobec równie złowrogiej mocy? Ale instynkt kazał mu kupić nóż, a Hunter nauczył się przez lata, że nie należy ignorować jego podpowiedzi. Często intuicja kazała mu podjąć środki ostrożności, które później ratowały mu życie.

Piął się pod górę. Śnieg stawał się coraz głębszy. Przez pokrywą obłoków nie przedzierało się światło księżyca. Latarka jednak



dobrze oświetlała mu drogę, nie zdradzając jego obecności. Panna Hall stanowczo twierdziła, że budynek, cel jego wędrówki, stoi pusty. Ale Mark był zbyt gruntownie wyszkolony, by podejmować niepotrzebne ryzyko. Nabierał wysokości. Coraz głębiej oddychał. Pokonywał nachylenie ostrożnie i z rozmysłem, ale w stałym tempie. Pragnął dotrzeć do celu. Ciągłe dokuczały mu siniaki, których się nabawił podczas wizyty u panny Hall. Nie chciał się zastanawiać nad tym, co napotka na szczycie góry. To nie miałyby sensu. Po prostu chciał tam dotrzeć. Nigdy w życiu nie był bardziej zdeterminowany. Kochał syna nade wszystko, a z pewnością nad swoje ograniczone życie. Ale czuł również pesymizm. Dzięki wyszkoleniu potrafił się wspinać i ustawić rytm serca - sześćdziesiąt uderzeń na minutę. Ten trening przynosił czasami spektakularne rezultaty. Ale zawiódł go w Magdalenie. I Hunter obawiał się, że wszystkie jego umiejętności skonfrontowane z tym samym mrocznym i potężnym przeciwnikiem mogą się znowu okazać bezużyteczne.

Wspinaczka kończyła się na ostrej grani, wysokiej, postrzępionej i odsłoniętej. Wszedł po jej południowym zboczu. Jak poinformowała go panna Hall, po drugiej, północnej stronie grań opadała przez tysiące metrów imponującym lodowym szańcem, który tworzył - mówiąc ściśle - zbocze, jednak miał tak ostre nachylenie, że lokalne przewodniki określały go jako „ścianę”. Cel Marka znajdował się po tej stronie góry. Był to budynek wzniesiony na niewielkim płaskowyzu, przytulony do wykutej skały, zapewniającej mu osłonę, około stu metrów pod ostrą jak nóż granią szczytową.

Szlak zaczął się zwężać, po obu stronach pojawiły się występy pokrytego lodem granitu. Za tym żlebem znajdowało się pole szczelin lodowych. Właśnie dzięki niemu to miejsce było niedostępne. Chroniło panią Mallory przed ciekawością alpinistów i przewodników górskich.

- Nie musisz bać się szczelin - powiedziała mu panna Hall.

- Czy są głębokie?

- Głębokie? Tak bezdennych nie ma w całych Alpach.

- To sprzeczne z naturą: żeby się nie bać.

Zaśmiała się na to. To był nieprzyjemny dźwięk, jak tarcie papieru ściernego. Umierała z butą.

- Wiele razy zmuszałam naturę, by nagięła się do mej woli, pułkownika.

Być może jutro zrobię to po raz ostatni. Nie umrzesz w głębi szczeliny.

Uwielbiał wyprawy narciarskie z rodziną. Ale doświadczył tragedii podczas górskiej wspinaczki. Kiedyś w Norwegii, na początku jego kariery wojskowej, podczas szkolenia, stracili w szczelinie dzielnego Amerykanina. Posuwali się w pośpiechu, bo nadchodziło załamanie pogody. Mieli za mało lin i testowali śnieg czekanami w gęstniejącej zamieci. Amerykanin wpadł w szczelinę i zaklinował się głęboko w dole. Przeżył, ale nie wystarczyło lin, by go wydobyć. Potraktował to po stoicku, w końcu się poddał. Był ojcem dwojga małych dzieci i miał zaledwie dwadzieścia osiem lat. Musieli go zostawić. Jego ostatnie słowa wznoszące się z otchłani na zawsze zapadły mu w pamięć.

Hunterowi wydawało się, że dostrzega budynek. Wyszedł z regli ponad godzinę temu. Przedzierające się przez gęste chmury światło księżyca dezorientowało, a rosnąca warstwa śniegu na stromym stoku zdawała się przesuwac wraz z nimi. Wiatr się wzmógł: w świerkach poniżej wył od czasu do czasu - tu na górze upiornie wrzeszczał. Hunter miał wrażenie, że od co najmniej dwudziestu minut ktoś za nim podąża, ktoś się skrada. Brnął przez wysokie zasy i czuł się nieswój, jak osoba obserwowana. A skóra na ramionach i dłoniach pod rękawicami swędziała go, jakby była obtarta, i to nie tylko z powodu alpejskiego mrozu.

Nadśluchiwał w napięciu. Wydało mu się, że przez mokre zasy zbliża się jakiś huk. A potem zrozumiał, co oznacza ten potężny grom: to lodowe bryły w niestabilnym seraku na szczycie grani, ku której się wspinał, pękły pod własnym ciężarem i runęły w dół. Hunter słyszał żałobny ryk lawiny, spadającej z północnego stoku góry. To na pewno monstrualna, kolosalna masa

śniegu i lodu, skoro ją stąd słyszę, pomyślał. Ale wiatr wiał z północy, a ten odgłos świadczył o tym, że stąd już blisko do grani i do wierzchołka. Teraz już wyraźnie widział cel swojej wspinaczki. Konstrukcja nie przypominała uroczych tyrolskich domków. Była to wysoka prostokątna budowla z szarego betonu. Okna miała wąskie jak otwory strzelnicze w bunkrze. Masywne stalowe drzwi pomalowano bituminem czy inną substancją antykorozyjną. Drzwi zabezpieczały dwie wielkie kłódki zwisające z olbrzymich przynitowanych skobli. Wokół panowała całkowita ciemność i cisza. Opuszczona budowla wydawała się twierdzą nie do zdobycia. Każde stworzenie posiadające duszę, jeśli zamieszka w tak ponurym i złowrogim miejscu, musi doznawać uczucia rozpacz, pomyślał Hunter.

Sięgnął do kieszeni kurtki po klucze do kłódek. Klucze dostał od hrabiego, gdy opuszczał dom nad Jeziorem Genewskim i wracał do hotelu. Wielkie, mosiężne, skorodowane klucze szeptano na żelaznym kółku. Robiły odpowiednie wrażenie. Hunter je wziął, choć uważał tylko za rekwizyty teatralne. Pani Mallo-ry nie oddałaby dobrowolnie kluczy do swojej górskiej siedziby. Mark spodziewał się, że wsunie klucz do kłódki, ale zmarznięty mechanizm zaskoczy posłusznie raczej pod wpływem gasnących czarów panny Hall. Nawet umierając, była uparta, zdeterminowana. Patrzył na mroczną twierdzą i chyba znał źródło tej determinacji. Ona naprawdę jest bardziej dobra niż zła. I w tym przedsięwzięciu jest moim sojusznikiem, myślał. Jednak jej magia była słabym atrybutem wobec potęgi przeciwniczki. Przekręcił klucze i włożył je na powrót do kieszeni kurtki. Odczepił kłódki i rzucił je na śnieg. Na biodrze poczuł kościaną rękoność imponującej broni, do której w tej chwili nie żywił ani krzty zaufania. Pchnął drzwi. Otworzyły się w ciemność.

Zapaść już zmrok, kiedy Elizabeth dojechała ze swojego gabinetu do domku. Wcześniej zadzwoniła do pani Anderson, zawodowej opiekunki, zaangażowanej przez Marka Huntera,

prosząc, by kobieta posiedziała z Adamem dodatkową godzinę; w tym czasie Elizabeth chciała zajrzeć do swojego domu. Pani Anderson chętnie się zgodziła. Była kobietą uczynną, dobrze jej płacono, a Adama uważała za miłego chłopca. Dodatkowa godzina nie będzie wielkim obciążeniem. Elizabeth zjechała z drogi, by zaparkować. Kiedy skręcała i reflektory auta omiotły jasnym łukiem frontową ścianę, zauważyła, że ktoś ponownie dopuścił się wandalizmu.

W telefonie miała małą latarkę. Oświetliła drzwi, by zbadać najnowsze rękodzieło. Na hufnalu wbitym w drewno powyżej kołatki powieszono czaszkę kozy. Gwóźdź wystawał z oczodołu. Czaszka wisiała w środku prymitywnie wyrysowanego pentagramu. Tym razem nie użyto świńskiej krwi. Pięcioramienną gwiazdę wymalowano srebrną farbą w spreju. Złoczyńca robił to w pośpiechu, bał się, że ktoś go zobaczy. Elizabeth obeszła dom. Nie dostrzegła innych niepokojących rzeczy, stłuczonych szyb czy śladów włamania do środka. Ale to będzie następny krok. Z pewnością mogła się spodziewać kolejnego zbezczeszczenia domu.

Nie weszła do środka. Uznała, że ubranie, które ma na sobie, nada się na następny dzień. Bieliznę mogła uprać w umywalce łazienki przy gościnnym pokoju u Hunterów, a przez noc rzeczy wyschną na kaloryferze pod oknem. Przewinęła numery telefonów zapisanych w komórce, aż doszła do sierżanta Kilbride'a z miejscowej jednostki policji hrabstwa Perthshire. Miała dobre stosunki z komisarzem Gallowayem w komendzie okręgowej. Ale to nie było zadanie dla wyższych oficerów, lecz dla twardego i pomysłowego lokalnego gliny, jakim był Kilbride.

Natychmiast się zgłosił.

- Tony? Tu Elizabeth Bancroft. Potrzebuję przysługi.

- Doktor Lizzie! Jak miło cię słyszeć. Doktor Lizzie. Zawsze ją tak nazywał.

- Nie będziesz uważał, że miło mnie słyszeć, gdy ci opowiem o swoim problemie - powiedziała. - Będziesz mnie uważał za nachalną męczyduszę.

Może ton jej głosu trochę zdradzał szok i ból, bo zanim Kilbride odpowiedział, upłynęło kilka sekund.

- Sam to ocenię - odparł. - Więc strzelaj.

Dotarła do domu Hunterów tuż przed siódmą. Kilbride obiecał, że zjawi się natychmiast i obejrzy domek. Ale z rozmowy dowiedział się, że Elizabeth musi się opiekować małym Hunterem. W każdym razie nie widział potrzeby, by czekała w ciemnościach pod swoim domkiem na jego przybycie. Już wystarczająco ją zdenerwowano. Miała także wrażenie, że według policjanta sprawca jeszcze nie odszedł. Kilbride nie powiedział tego wprost, ale wiedziała z własnego doświadczenia, że sprawcy przestępstw czasami pozostają w okolicy, by obserwować reakcję ofiary. Dla nich to część frajdy. Była szczęśliwa, że stamtąd odjeżdża. Oczywiście na miejscu niczego nie dotykała.

O ósmej zadzwonił telefon stacjonarny i Elizabeth go odebrała. Adam odrabiał lekcje przy biurku ojca w salonie. Na dźwięk telefonu nawet nie podniósł głowy, najwidoczniej uważając, że rozmowa telefoniczna to domena dorosłych. Elizabeth uświadomiła sobie, jak samotny jest chłopiec w tym domu. Nie miał kolegów z sąsiedztwa i najwidoczniej nie miał również żadnej grupy przyjaciół, do których by dzwonił, wysyłał e-maile i z którymi ucinąłby sobie pogawędki. To nie było dla niego korzystne, zwłaszcza teraz, gdy musiał odzyskać spokój ducha.

- Halo?

- Doktor Bancroft?

- Przy telefonie.

- Mówi Emma Davies ze szkoły. Uczę Adama Huntera angielskiego.

Szkołę powiadomiono, że Mark Hunter wyjechał. Pokrótce przedstawiono przyczyny ostatnich nieobecności Adama. Zajęła się tym sama Elizabeth.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno.

- Nie ma za co. Co mogę dla pani zrobić?

- W tym wypadku może to ja będę mogła coś dla pani zrobić, pani doktor. W ramach pracy domowej klasa Adama miała się nauczyć wiersza. Dziś uczniowie recytowali wybrane utwory.

- Rozumiem.

Tylko że Elizabeth wiedziała aż za dobrze, że Adam nie przygotowywał żadnej pracy domowej. Bardzo mu w tym pomógł Jeremy Clarkson.

- Adam deklamował poemat zawierający sto czterdzieści wersów. Sama je policzyłam po południu. Dla chłopca w jego wieku to niesamowity wyczyn zapamiętać aż tak długi utwór. Już samo to było niezwykle.

Elizabeth poczuła, że oddech ma spłycony.

- Proszę mówić dalej.

- Jego dykcja była jeszcze bardziej niezwykle.

- Cóż, pochodzi z okolic Londynu i poprawnie się wyraża. Jego ojciec jest emerytowanym pułkownikiem armii brytyjskiej.

- Poemat napisał Rupert Brooke. Adam deklamował go o całą oktawę niżej od swojego normalnego głosu. Ponadto wymowa... z braku dokładniejszego terminu określiłabym ją jako edwardiańską.

Elizabeth zamknęła oczy. Tak, nie istniało lepsze słowo. Emma Davies jest bardzo przenikliwa. Elizabeth doszła szybko do wniosku, że panna Hall słabnie i traci wpływ na wydarzenia.

- Jak zareagowała na to reszta klasy?

- Po kilkunastu strofach większość klasy się wyłączyła. Mamy jedną bardzo zdolną uczennicę, która cały czas śledziła tekst. Dla dziesięciolatka poemat jest zbyt skondensowany tematycznie. Dziewczynka chyba sądziła, że Adam kogoś naśladuje.

- Czy pani też tak sądzi?

- Nie - odparła Emma Davies. - Dla mnie to zupełnie nie wyglądało na naśladownictwo. Proszę zrozumieć, to było bardzo niepokojące. Podczas recytacji odniosłam wrażenie, że to raczej opętanie.

Elizabeth nadal miała zamknięte oczy. Teraz je otworzyła i spojrzała w stronę Adama. Całkowicie pochłonięty pracą domową nie zwracał uwagi na otoczenie.

- Wiem, że chłopiec przeżywał jakieś trudności. Nie lubię plotek, nie rozpowszechniam ich. Powiadomiłam panią, ponieważ uznałam, że powinna pani o tym wiedzieć.

- Dziękuję - powiedziała Elizabeth. Odłożyła słuchawkę. Później, kiedy Adam poszedł spać, odwiedził ją sierżant Kilbride i podzielił się z nią wnioskami ze śledztwa w sprawie zbezczeszczenia domku. Mówił dość obszernie. Elizabeth wiedziała, że zazwyczaj policja nie przekazuje tylu informacji ofiarom przestępstwa. Gdy wyszedł, rozpała kominek, otworzyła butelkę Cabernet Sauvignon i zastanawiała się, kiedy wróci Mark Hunter. Nie było go dopiero jedną noc. Ta miała być druga. A zapowiadało się, że jego nieobecność potrwa dłużej. Adam nie miał koszmarów przez trzy noce. Czy to też potrwa dłużej? Wyzdrowienie nastąpiło tak nagle i wydawało się całkowite. Ale niepokoił ją ten recytatorski epizod w szkole. Nie pasował do wzorca. Miał w sobie coś złowróbnego. Świadczył o tym, jak kruche jest wytchnienie od koszmarów i jak niepewna perspektywa, że nie powrócą. Elizabeth wątpiła, czy potrafi dziecku pomóc. Uwikłana z dwóch stron w mroczną magię, zaczęła się obawiać, czy nie zostanie skażona. Zdominowana przez coś, czego nawet powierzchownie nie rozumie. A przecież chodzi głównie o dobro chłopca.

Przy biurku Marka Huntera włączyła jego komputer i weszła na swoje konto pocztowe. Miała dwie nieprzeczytane wiadomości. W pierwszej z nich, z Brytyjskiego Stowarzyszenia Medycznego, znalazła informację, że ktoś z British Library poprosił ich rano o potwierdzenie jej tożsamości, referencje i dane kontaktowe. Oczywiście spełnili tę prośbę. Druga wiadomość była z samej British Library i wysłano ją po południu. Było to pismo wprowadzające z długim załącznikiem. Pismo wprowadzające uprzejmie wyjaśniało, że nie wysyłają jej kopii oryginalnego raportu Jerusalema Smitha. Mógłby go odcyfrować tylko wytrawny badacz.

Zamiast

tego załączają wierną transkrypcję w nowoczesnej pisowni i we współczesnym języku. W 1927 roku dokonał jej profesor Edwards z Trinity College. Nie otwierała samego dokumentu z załącznika. Akurat teraz nie miała na to ani energii, ani chęci. Nie miała odwagi zmierzyć się z tym, co mogła tam znaleźć. Bo Edwards nie specjalizował się w historii ani w prawie. W piśmie wprowadzającym wyjaśniono, że specjalizował się w okultyzmie.

Kilbride mówił, że nieprzyjemne akty wandalizmu nie są dziełem jednej osoby. Policja od razu wykluczyła wersję samotnego świra. Na murawie wokół domku znaleziono ślady dwóch par butów. Były różnych rozmiarów, ale - co interesujące - na podeszwie miały jednakowy wzór.

- Doktor Bancroft, czy pani wie, co oznacza taki wspólny rodzaj butów? Porzucił żartobliwe „doktor Lizzie”. Najwidoczniej uznał, że jej prześladowania to poważna sprawa.

- Nie.

- To charakterystyczne dla organizacji paramilitarnych. Zna pani ten typ ludzi. Mam na myśli najbardziej ekstremalnych wyzwolicieli zwierząt i radykalne grupy ekologiczne.

Elizabeth zaśmiała się.

- Tony, nigdy żadnej musze nie oberwałam nawet skrzydełka. Segreguję wszystkie swoje śmieci. Nie pracuję w żadnym projekcie powiązanim z energią nuklearną. Nie mam nawet chyba żadnego pacjenta, który by przy tym pracował.

- Musimy się spotkać jeszcze raz i poważnie o tym porozmawiać — powiedział.

Elizabeth usłyszała głuchy odgłos i spojrzała na kominek. Może polana obsunęła się w ogień? Ale hałas dochodził z góry. Zapadła cisza. A potem rozległ się śmiech wysoki i zjadliwy. Z pewnością nie był to śmiech niewinnego przebudzonego chłopca. Znów się zaczyna. Mogło to oznaczać tylko jedno, wyrażać jeden istotny fakt: panna Hall nie żyje. Skończyła się ochrona, którą zapowiadał emisariusz w imieniu swojej pani. Ta



schorowana osoba zbyt pochopnie złożyła obietnicę, pomyślała Elizabeth, wstając od komputera. Ale może panna Hall była zdesperowana? Mroczne wydarzenia rozwierały ziejącą paszczę. Elizabeth zebrała się na odwagę i weszła na piętro, by pomóc cierpiącemu pacjentowi.

7

**Drzwi** prowadziły do wąskiego, wysokiego, zimnego przedsionka. Skądś dobiegał odgłos wody kapiącej z kranu. Lub z topniejącego śniegu. Hunter uznał to za mało prawdopodobne: w don-żonie pani Mallory było zimno jak w grobowcu, a o tej porze roku tak wysoko w górach śnieg przecież nie topniał. Hunter włączył latarkę czołową. Surowe betonowe ściany wyglądały tak samo jak zewnętrzne mury. Gdzieś tam beton się kruszył, widać było plamy rdzy i dziury. Ta budowla przetrwa jeszcze z tysiąc lat, pomyślał. Z pewnością tak to planowano, gdy ją wznoszono. Ale dom się sypał, przeciekał, wkradała się wilgoć, a rdza cicho zżerała stalowe zbrojenie, narażone na letnie roztopy. Od jak dawna stoi tu na odludziu ten samotny stołp? Przypuszczalnie od ponad siedemdziesięciu lat. Hunter nie znał się na architekturze, ale charakterystyczny orzeł wyryty nad drzwiami był aż nadto dobitną wskazówką.

Musi znaleźć drogę do piwnicy - panna Hall położyła na to duży nacisk. Ale najpierw postanowił się trochę uspokoić, obejrzeć dom i dopiero potem poddać tej koniecznej, ciężkiej próbie. Chciał zwiedzić parter i wyższe piętra. Rozejrzał się, szukając jakiegoś oświetlenia. Z kinkietów na ścianie wystawały pochodnie, nad nimi osmalony wilgotny beton świadczył o tym, że intensywnie się kiedyś paliły. Może nadal się żarzą? Pochodnie grubo posmarowano lepka smołą. Hunter mógłby je podpalić zapałkami;

150

kupił pudełko w Innsbrucku wraz z resztą ekwipunku. Postanowił jednak ostrożnie gospodarować światłem. Nadal nie opuszczało go wrażenie, że jest śledzony. Nie chciał się zachowywać demonstracyjnie. Bardzo wyraźnie pamiętał majora Rodrigueza z odgryzionymi dłońmi. Pamiętał panią Mallory - chłodną, szarooką piękność o rzeźbionych rysach, która aksamitnym głosem zmusiła go, by do niej podszedł i pocałował na powitanie.

Pchnął drzwi do pokoju po lewej stronie. Otworzyły się z szuraniem. Brązowe, rzeźbione, musiały ważyć ponad pół tony, ale obracały się na dobrze naoliwionych zawiasach. Obszerne pomieszczenie przypominało sanktuarium. Były w nim przedmioty współgrające z orłem nad drzwiami wejściowymi. W kącie stały oparte o ścianę czerwone sztandary z czarnymi swastykami. Z czasem się zakurzyły, ale bogato haftowany materiał nadal przypominał o czasach ich świetności, o pełnych buty i nienawiści marszach, podczas których łopotały na wietrze.

Na ścianie wisiał duży obraz przedstawiający Fuhrera w stroju średniowiecznego rycerza. Z gołą głową, w srebrnej zbroi dosiadał srokiego rumaka bojowego. Był tam również oficjalny portret zbiorowy wysokiego dowództwa nazistów. W mundurach i skórzanych płaszczach siedzieli przy stole konferencyjnym na leśnej polanie. Dzieci o blond włosach w ludowych strojach podawały przekąski na srebrnych tacach, a promienie słońca tworzyły aureole wokół ich złotych główek. W pokoju było dużo broni. Dostrzegł karabin maszynowy, karabinki strzeleckie i skrzynię czarnych błyszczących pistoletów automatycznych. W powietrzu unosił się zapach oleju używanego do czyszczenia i konserwacji.

Pani Mallory miała oczywiście swoją świtę. Tak to określiła panna Hall w Magdalenie: „Ona ma świtę”. Hunter widział jednego z jej przybocznych na lotnisku, a potem za drzewami przed hotelem. Ten człowiek zostawił po sobie słaby trupi odór w pokoju hotelowym. Czy ktoś z nich czai się teraz w mroku? To prawdopodobne. Chociaż panna Hall twierdziła, że dom będzie opuszczony.

Pośrodku pokoju stał duży drewniany stół, a na nim projektor filmowy. Jakies trzy metry od projektora i ze dwa metry nad ziemią z sufitu zwieszała się na łańcuchach metalowa tuba pomalowana na zielono. Hunter domyślał się, że wewnątrz jest płócienny ekran. Rozwinie go, gdyby zdecydował się na włączenie projektora i obejrzenie filmu z dużej, założonej na nim szpuli. Nie podjął jeszcze decyzji, czy go obejrzy. Nie teraz.

W odległym rogu pomieszczenia na biblioteczce dostrzegł trzy przedmioty, których nie mógł rozpoznać. Przypominały krótkie jasne walce z widocznymi wzorami. Podeszedł, żeby się im bliżej przyjrzeć. Wyciągnął dłoń, ale zaraz ją cofnął. Były to abażury prostych lamp, zamocowane na niskich drewnianych podstawkach. Osłaniały zakurzone żarówki. Wzory były tatuażem, a abażury wykonano z ludzkiej skóry. Obok leżał stos mydeł osłonięty woskowanym papierem. Mydło rozkładało się ze starości. Nawet w panującym tu chłodzie psuły się wyroby z ludzkiego tłuszczu. Z mydła wyciekała ciemna, pokryta żółtym nalotem substancja, która połyskiwała wilgocią w świetle latarki czołowej Huntera.

Biblioteczkę, na której ustawiono te pamiątki, wypełniały oprawne w skórę tomy ze złoceniami. Książki tworzyły komplet, wyglądały jak encyklopedia. Tytuły na grzbietach nie były niemieckie, lecz wytłoczone nieznanymi Hunterowi znakami runicznymi. Szklane drzwi biblioteczki zamykał ozdobny klucz. Hunter otworzył je i wyjął jedną z ksiąg. Miała ręcznie przycięte kartki, ale nie była stara. Przerzucił kilka stron. Wyraziste drzeworyty ukazywały sceny rozpraw sądowych i sceny tortur. Widział dziwne chytre stworzenia - takie same jak na kilimach brezentowej katedry w Magdalenie. Na drzeworytach wilcze istoty grały rolę prześladowców i oprawców. Ofiarami byli ludzie. Ostatni rysunek, jaki Hunter obejrzał, przedstawiał oświetlony księżycem krajobraz z płonącym stosem i sceną masowego ćwiartowania. Zamknął książkę i wstawił ją na miejsce. Może czas na film?

Przypuszczał, że projektor zasilany jest baterią, która tu w zimnie raczej nie wyciekła i nie zalała mechanizmu. Ale co

sprawiało, że film na szpuli też nie uległ zniszczeniu? Czy również służył mu chłód? To miejsce było zakłęte. Nagle dotarł do niego ten kłócający się ze zwykłą logiką fakt. Wszystkimi porami ciała i zakamarkami mózgu Hunter czuł jednak, że to prawda. Rozwinął ekran, włączył projektor i zgasił latarkę. Chciał oglądać film jak należy, w najmroczniejszym z teatrów. Ekran ożywił się monochromatycznym ciepłem letniego dnia w jakimś niemieckim mieście z przeszłości. Światło sugerowało, że mocne słońce świeci niemal w zenicie. Ostro rysowały się krótkie cienie drzew i poręczy kawiarnianych krzesel. Bruk uliczny połyskiwał jasno. Ale to nie był Berlin tęskniącego za ojczyzną Ruperta Brooke'a. Obrazy nie pochodziły z aż tak odległych dni. Od tego czasu stoczono wojnę i przegrano ją. To lato było echem tamtej klęski oraz jej okrutnych i poważnych konsekwencji. Przy kawiarnianych stolikach siedziały postacie w mundurach. W czarnych mundurach. Panoramiczne ujęcie pokazywało frontony budynków państwowych obwieszonych swastykami. Hunter przypuszczał, że film mógł być zrobiony w Hamburgu lub Kolonii - nie miał jednak całkowitej pewności, ponieważ nie dostrzegł żadnych charakterystycznych dla tych miast budowli. Ale przecież to nie film podróżniczy - był bardziej kameralny, o niezbyt sztywnej strukturze. Prawdopodobnie jednak nakręcono go w Berlinie. Pani Mallory lubiła to miasto, miała z nim nawet pewne związki.

Siedziała przy kawiarnianym stoliku i uśmiechała się do kamery spod szerokiego ronda kapelusza. Nosiła okulary przeciwsłoneczne, ale uwodzicielskie usta i wyraziste kości policzkowe nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Przed nią stała mała filiżanka kawy, a na talerzyku leżał nietknięty kawałek tortu kawowego lub czekoladowego. Hunter przypuszczał, że ta kobieta nie lubi słodczy. Może tort zamówiono dla niej żartem? Obok filiżanki kawy na brzegu popielniczki balansował papieros; unosiła się z niego smużka dymu, która zniknęła w oślepiającym blasku słońca. Pani Mallory miała na sobie satynową bluzkę o koszulowym kroju, a na szyi - sznur pereł. Na nadgarstku widniał męski

zegarek na czarnym skórzanym pasku. Wyglądała egzotycznie, a jednocześnie spokojnie. Nie wiedła w upale. Przeciwnie, w słońcu pławiła się i rozkwitała.

Hunter uświadomił sobie, że całą scenę filmowano ze statywu. Inaczej nie dałoby się uzyskać takiej stabilności i ostrości. Ujęcie wprowadzające, potem długi obraz scenerii, a następnie zbliżenie na główną postać. Już się chyba domyślał, spod czyjej ręki wyszedł ten dopracowany film kina domowego. W Hereford chodził na kurs tworzenia i wykorzystywania materiałów propagandowych. Wielokrotnie wyświetlano im *Triumf woli*.

Analizowano uwodzicielską technikę Leni Riefenstahl, ulubionej reżyserki Hitlera, stosowane przez nią oświetlenie, technikę montażu, wybór i kompozycję kadrów. Zgłębiał jej styl pracy i teraz go rozpoznał.

Nie było widać, z kim pani Mallory siedzi przy stole, gdyż kamera filmowała z góry pod ostrym kątem. Jednak na blacie leżały rozpoznawalne przedmioty: srebrna zapalniczka, gilotynka do cygar i duża skórzana cygarnica oraz pistolet Luger w kaburze. Na nieskazitelnie białym wykrochmalonym obrusie leżała buława marszałka polowego ozdobiona z obu końców, wysadzana regularnie umieszczonymi, filigranowymi detalami przypominającymi bezcenne herby rodowe.

Pani Mallory z kimś rozmawiała, ale słowa nie zostały zarejestrowane. Film był niemyr Teraz z uśmiechem patrzyła w kamerę. Jej spojrzenie zdawało się mówić: obracam się w znakomitym towarzystwie i swobodnie się w nim czuję. Wzięła papierosa, zaciągnęła się i zgasiła go w popielniczce. Za zasłoną dymu jej twarz wyglądała blado, niematerialnie, jak twarz ducha, ale po chwili znów stała się wyrazista. Po lewej stronie idealnych ust miała mały czarny pieprzyk. Ucieleśniała pewność siebie i urok. Wstała i ktoś niewidoczny dla obiektywu otworzył nad jej głową parasol. Hunter uznał to za niepotrzebne zabezpieczenie; kapelusz o szerokim rondzie całkowicie chronił przed słońcem. Ale przecież przywódcy nazistowscy slynęli

z kurtuazji, rycerskich gestów i nadzwyczaj dobrych manier. Fuhrer wprowadził modę na całowanie kobiety w dłoń przy powitaniu i pożegnaniu.

Czarodziejka wraz ze swoim niewidocznym towarzystwem powoli szła w słońcu. Nadal tylko ona znajdowała się w kadrze. Przeszli na teren porośnięty spaloną słońcem trawą, z ciemnymi plamami. To dlatego idą tak wolno, pomyślał Hunter. Panował nieznośny skwar. W okresie międzywojennym Berlin nawiedzały fale nużących letnich upałów. Teraz operator trzymał kamerę w dłoni. Za gibką sylwetką pani Mallory ukazał się mały zagajnik, ku któremu zmierzało towarzystwo. W cieniu Hunter dostrzegł czekający na nich samochód. Okna i reflektory migotały dziwnymi refleksami, odbijając plamy światła przechodzącego przez gęste listowie. Samochód pokryty był specjalnym, lśniącem, czarnym lakierem. Hunter gwizdnął - rozpoznał model maszyny. Teraz już wiedział, że te scenki nakręcono po 1935 roku. Naziści doszli do władzy w roku 1933. Film emanował triumfalizmem, co sugerowało, że jeszcze nie spotkały ich wojenne klęski. Nie wyczuwało się żołnierskiej gorączki. Jeszcze panował pokój. Hunter doszedł do wniosku, że ogląda Berlin latem 1936 lub 1937 roku, w okresie samozadowolenia i bufonady. To było ponad siedemdziesiąt lat temu. Przed dziesięciu laty spotkał kobietę, którą teraz obserwował na ekranie. Tam w Magdalenie oceniał jej wiek na jakieś trzydzieści pięć lat. Nieźle spudłował. A panna Hall powiedziała mu prawdę, co zawsze intuicyjnie wyczuwał.

Samochód - mercedes benz 540K - miał ośmiolitrowy silnik Swabian Colossus. Tylko trzysta takich maszyn wyprodukowano od czasu, gdy w 1935 roku pierwszy egzemplarz zjechał z linii produkcyjnej. Himmler i Góring mieli takie samochody. Hitler zmienił go w fortecę na kółkach - zamontowano kuloodporne szyby i karoserię zdolną przetrzymać atak granatów. Tylko ktoś bardzo bogaty lub na bardzo wysokim stanowisku mógł posiadać tak upragnione przez wszystkich auto. Albo niezwykle

gość Rzeszy - wówczas samochód dawano mu do dyspozycji na czas pobytu w Niemczech.

Pani Mallory dotarła do mercedesa. Ktoś otworzył dla niej przednie drzwi. Wewnątrz czekał już na nią jakiś pasażer. Otwarty parasol zakrywał jego twarz. Hunter zauważył, że mężczyzna jest mocno zbudowany, ma na sobie jasnoszary mundur, insygnia Korpusu Totenkopf oraz stopień SS-Gruppenfuhrera. Parasol złożono. Pani Mallory zdjęła ciemne okulary i wsiadła do samochodu. Pod drzewami panował gęsty mrok i jedyne światło, jakie tu docierało, sączyło się niepewnie przez listowie. Przez sekundę - zanim za panią Mallory zamknęły się drzwi - twarz jej towarzysza w aucie była widoczna i Hunter zauważył wilcze rysy i drapieżny złowrogi uśmiech skierowany do niego z ciemnego wnętrza wozu.

Kierowca włączył bieg i mercedes gładko ruszył. Obraz zamigotał - taśma dotarła do końca. Na ekranie pojawiła się rozmazana szara plama. Istota w samochodzie nie była człowiekiem. Hunter próbował pojąć to, co przed chwilą zobaczył. Nie potrafił. Wyłączył projektor: terkotanie ustało, ekran pociemniał.

Niemcy przegrali wojnę. Naziści zostali pokonani. Jeden z wybitnych historyków uważał, że alianci zawdzięczają swoje zwycięstwo morale żołnierzy, którzy nie wahali się ryzykować życie. Walczyli w słusznej sprawie i to miało decydujące znaczenie. Hunter drżał w przejmującym do szpiku kości chłódzie, ale teraz jego myśli zaprzętał problem: dlaczego dziesięć lat temu pani Mallory nie zgodziła się na cofnięcie klątwy i jaki podała powód?

„Moje klątwy czynią ze świata miejsce znacznie bardziej dla mnie interesujące”, stwierdziła. Chyba teraz zaczynał rozumieć, co według niej oznacza „interesujące miejsce”. Żadnym pocieszeniem nie było to, że skutki klątwy obejmują znacznie szerszą dziedzinę i nie dotyczą tylko jego syna. Gdy Elizabeth otworzyła drzwi do pokoju, Adam - który teraz nie był Adamem - siedział przy stole.

- Uprzejmość nakazuje, żeby pukać przed wejściem - powiedział głos wychodzący z drobnej chłopięcej postaci. Głos dojrzałego mężczyzny, szorstki, z kanadyjskim akcentem. Elizabeth domyślała się, do kogo należy. Miała niemal pewność, gdy zobaczyła, jak Adam sprawnymi posunięciami pędzla kończy malować akwarelę. Koniuszek języka wysunął się w dziecięcym skupieniu. Na marynistycznym obrazku wielkie fale rozbijały się o granitowy stożek latarni morskiej. Powiedzieć, że praca jest dobra, to mało.

- Byłeś genialnym malarzem - stwierdziła Elizabeth. Istota - która nie była już Adamem - spojrzała chmurnie na Elizabeth.

- Byłem. Fałszywa skromność nie ma sensu. Owszem, miałem talent. Potrafiłem cholernie dobrze namalować prawie wszystko, co miało dla mnie w ogóle jakieś znaczenie.

- Powróciłeś do morza.

Obraz był niemal skończony. Dziecięca dłoń Adama zawisała z pędzlem w górze. Spojrzał szelmowsko, ale to nie był jego wyraz twarzy.

- No cóż, przecież człowiek nie może umrzeć dwukrotnie. Mogę się do ciebie zwracać Elizabeth?

- Czy nie mógłbyś zostawić dziecka w spokoju?

- Nie teraz. Gdybym nie zginął z własnej ręki, sprawy miałyby się inaczej. Ale popełniłem samobójstwo i jest, jak jest.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

- Rzuciłem kłątwe wyzwanie. Rozumiesz, nie mogłem malować. Wena mnie chyba opuściła. Więc rzuciłem kłątwe wyzwanie. Wróciłem do Melville'a po inspirację.

- *Billy Budd* - rzekła Elizabeth.

Adam spojrzał na nią wzrokiem Daniela Petersona.

- O wszystkim ci powiedział. - Zmrużył oczy.

- Myślę, że niektóre sprawy przemilczał.

- Byłem homoseksualistą. Pedalem. Gejem. Taką miałem orientację, taki był mój wybór. I oczywiście trzymałem to w tajemnicy.



Pewnego wieczoru zaczytałem się w opowiadaniu Melville'a. Zadzwoił telefon. To pani Mallory. Wyśmiewała mnie, mówiła, że jestem ciotą, że wszystkim o tym powie.

- Dla Marka Huntera nie miałyby to żadnego znaczenia. Wydawało się, że osobnik zasiedlający Adama zastanawia się nad tym.

- Możliwe. Jak na Angola był otwartym facetem. Wykształconym i inteligentnym. Może dla niego to nie miałyby znaczenia, ale nie chodziło tylko o niego. To byłby koniec mojej kariery wojskowej. To by nie licowało z moją profesją, nie podobałoby się kolegom. To oznaczałoby koniec osoby, którą byłem. Całkowity koniec.

- Zapropomowała ci sznur, a ty go przyjąłeś. Osobowość Petersona, okupująca Adama, przekrzywiła głowę.

- Masz ochotę na pułkownika Huntera, co, Elizabeth?

- Kto tam naprawdę jest? Czy to pani, pani Mallory?

- Wiesz, że budzisz w nim odrazę? Czuje obrzydzenie, gdy go dotykasz. Za bardzo przypominasz mu jego zmarłą żonę. Lillian zawsze stanowiła zagadkę dla biednego nudnego Marka. Ale pod względem fizycznym była bardzo do ciebie podobna. Toleruje cię, bo mylnie przypuszcza, że twoja obecność jest korzystna dla syna. Ale twój widok jest dla niego strasznie przygnębiający. Nie, nie znosi tego.

- Nie jest pani mile widziana w tym domu, pani Mallory -oznajmiła Elizabeth. Słyszała drżenie własnego głosu. Była przestraszona i zraniona. Uwierzyła w to, co właśnie jej powiedziano. Teraz zrozumiała, że Adamowi grozi niebezpieczeństwo ze strony tej rzeczy, która go opanowała. Panna Hall umarła, ona i Adam nie są już chronieni, a obrońca tego domu wyjechał daleko.

Głos pochodzący od Adama brzmiał teraz aksamitnie. Miała rację: to nie zmarły Kanadyjczyk opanował chłopca, lecz żyjąca wiedźma, która nakłoniła kapitana Petersona, żeby tak nagle odebrał sobie życie.

- Spotkamy się, Elizabeth. Możesz mi wierzyć. Dotrzymuję słowa. Kiedyś dojdzie do spotkania. Ale tylko jedna z nas będzie się z tego cieszyć. Adam osunął się na blat stołu. Gdy podniósł głowę, miał na policzku plamę od wilgotnej jeszcze farby. Elizabeth uznała, że z tego, co się przed chwilą stało, musi wyciągnąć jakieś wnioski. Jeśli tego nie zrobi, będzie się zadreślać cierpieniem Adama i strachem o niego i o siebie. Już wcześniej podejrzewała, że wiedźma ma dar mimikry. Miała rację. Jej podejrzania potwierdziły się. To niewiele, ale zawsze coś, pomyślała. Wzięła bezwładnego Adama z krzesła i przeniosła go na łóżko. Serce jej biło wolniej, stłumiła krzyk w gardle, by nie obudzić dziecka i nie przerazić go. Pod gorącą wodą zmoczyła myjkę, ostudziła ją i przetarła policzek śpiącemu chłopcu.

Pierwsze piętro twierdzy pani Mallory - podobnie jak parter - zajmował obszerny pokój. Była to jadalnia, którą przecinał długi stół. Ściany wyłożono drewnianymi panelami, na których płaskorzeźby poruszały się ukradkowo, gdy patrzyło się na nie kątem oka. Pod jedną ze ścian stała staroświecka radiola. Hunter podniósł wieko na zawiasach i zobaczył na trzpieniu płytę gotową do odtworzenia. Włączył maszynę i płyta zaczęła się obracać. Opuścił ramię gramofonu. Po chwili trzaski ustąpiły miejsca muzyce, którą znał ze swojej szczęśliwej przeszłości. Dziewiąta Symfonia Gustawa Maniera. Nagranie Filharmoników Berlińskich pod batutą von Karajana. W tym pokoju również były sztandary. Ale nie krwawe chorągwie z ulicznych zamieszek w Norymberdze i innych nazistowskich bastionów. Na tych sztandarach wyhaftowano zbuntowane geometryczne wzory - takie same widział dziesięć lat temu na kilimach w czarnym brezentowym namiocie w Boliwii.

Drugie piętro również zajmował jeden duży pokój, choć znacznie jaśniejszy od tych poniżej. Ustawiono w nim kanapy obite miękką czarną skórą, na ścianach rozwieszono skóry zwierząt. Stało tu również łóżko z baldachimem, a podłogę

przykrywały puszyste dywany. Hunter podszedł do łóżka. Kapa miała barwę kości słoniowej, ale baldachim był z czarnej gazy, a długi podglówek obleczone czarną satyną. Mark pochylił się i powąchał go w miejscu lekkiego zagłębienia, gdzie leżała głowa. Poczłł nikły zapach klasycznych perfum. Może to Jicky, pomyślał. Coś od Guerlaina, tego był pewien. Znał te perfumy, ponieważ żona bardzo je lubiła. Aime Guerlain stworzył Jicky w 1889 roku. To zapach młodzieńczy, a przecież wytworna osoba, która go nosiła, była staruchą. W jej wieku się umiera.

Dostrzegł inne ciekawsze rzeczy. Na półkach zgromadzono rzeźbione figurki z Afryki i Wschodu: lalki z kukurydzy, kunsztowne wianki z wyschniętej jemioli, prymitywne laleczki wudu i statuetki, które - jak sądził - mogły być wykonane wieki temu przez kapłanów majańskich czy inkaskich. Zobaczył mosiężną kołatkę do drzwi przedstawiającą zielonego człowieka. Przypuszczał, że pochodzi z Anglii i jest w stylu georgiańskim. Niektóre z tych przedmiotów były niewinne, inne po prostu ciekawe czy ezoteryczne. Kolekcja bibelotów osoby wykazującej upodobanie do mitologii. Ale dwa z nich emanowały tak złowieszczą wrogością, że Mark nie mógł na nie patrzeć. Jednym był sztylet, którego rękojeść kończyła się srebrną gałką w kształcie głowy wilka z wyszczerzonymi zębami, drugi to kielich wysadzany drogocennymi kamieniami oszlifowanymi w niepokojące bryły, nie-dające się ogarnąć umysłem. Obiekt sprawiał wrażenie bardzo starego, może nawet antycznego. Mark ujął go dłonią i poczuł wszechogarniający lęk. Wycofał drżącą rękę. Kielich połyskiwał matowo w świetle latarki czołowej.

Hunter nigdy nie przypuszczał, że przedmioty z metalu i drogocennych kamieni mogą być siedliskiem nikczemności i wywoływać przerażenie. Tak jak ten.

Nie mógł już dłużej zwlekać, musiał zobaczyć miejsce, które kazała mu odwiedzić panna Hall.

Na dębowych drzwiach prowadzących do piwnicy ujrzał ciężką żelazną zasuwę, ale zamka nie było. Drzwi otwierały

się na wąskie kamienne schody. Wrażenie, że jest obserwowany, jeszcze się wzmogło. Instykt nakazywał mu uciekać z tego okropnego, pełnego makabrycznych przedmiotów domu, w którym panowała atmosfera czyhającego zagrożenia. Nie mógł tego zrobić. Panna Hall dała mu jasne wskazówki. Musi się do nich zastosować, jeśli chce uratować syna. Ponadto, pomyślał, uśmiechając się ponuro, był na pewno idealnym kandydatem do tej ciężkiej próby, którą teraz przechodził. Przez całe swoje zawodowe życie Hunter musiał pokonywać strach, stawiać czoło niebezpieczeństwu - czasem ze spokojem, a czasem z zabójczym opanowaniem. Gdyby się nad tym poważnie zastanowić, obecną sytuację mógłby uznać niemal za przeznaczenie losu.

Wtedy dobiegł go hałas z korytarza prowadzącego do drzwi wejściowych. Zamarł na szczycie piwnicznych schodów, prawą dłoń położył na rękojeści noża. Dźwięk przypominał skrobanie kości o marmurowe płyty - takimi płytami była wyłożona droga do wejścia. Przypominał drapanie pazurami. Dźwięk był realny, nie wymyślony. Hunter naprawdę to słyszał, wyczulony na wszelkie oznaki zagrożenia. Odczekał minutę, ale odgłos się nie powtórzył. We wnętrzu domu panowała grobowa cisza, dochodziło go tylko słabe wycie wiatru na grani, ku której wznosiła się góra. Zamknął drzwi i zszedł do piwnicy, oświetlając sobie schody latarką.

Wielka komora wykuta w litej skale pod donżonem pani Mal-lory mieściła dwie maszyny przeznaczone do zabijania ludzi. Hunter nie znał się za bardzo na gilotynach, ale oceniał, że tę zbudowano stosunkowo niedawno. Była niewysoka, a jej ramy nie stanowiła posepna drewniana konstrukcja jak te z rycin ilustrujących czasy terroru po rewolucji francuskiej. Tutaj ramę wykonano ze stali łączonej nitami, a skośny nóż miał dużą masę, by na krótkiej drodze spadania mógł uzyskać odpowiedni pęd. Do deski, na której miała leżeć głowa skazańca, przyśrubowano dwa grube pasy z potężnymi klamrami. Francuska gilotyna miała pewną złowrogą elegancję, nawet urok, ten zaś model zupełnie

tych cech nie posiadał. Zbudowano go najwyraźniej z myślą o zimnej rzeźniczej skuteczności. Ostrze błyszczało w świetle lampy czołowej Huntera. Mogłeś umrzeć, patrząc na nie albo odwrócony do niego plecami. Mark przez chwilę się zastanawiał, która opcja gwarantuje gorszy los. Gdy podszedł bliżej, dostrzegł wyrytą w stali nazwę producenta: Tegel. A więc to nie była dokładnie gilotyna, ale spadająca siekiera, niemiecka wersja śmiertelnej konstrukcji. Pamiętał, że Hitler się nie ościagał. Już w roku dojścia do władzy zamówił pierwszy egzemplarz w Monachium. Podczas wojny ponad szesnaście tysięcy Niemców przypięto pasami do deski i spuszczone ostrze na szyję. Ta maszyna miała podniesiony nóż - wisiał jak groźba. Co za makabryczna pamiątka, pomyślał Hunter. Pośrodku piwnicy na podwyższeniu stało krzesło elektryczne, w odróżnieniu od gilotyny zupełnie pozbawione chirurgicznego charakteru. Na drewnianym oparciu widniały ślady po przypaleniu, a śruby, mocujące kajdanki do podłokietników, były obluzowane - ofiary wyszarpały je w przedśmiertnych konwulsjach. Mimo przewodów elektrycznych całość wyglądała niemal średniowiecznie z powodu niezgrabnej, z gruba ciosanej konstrukcji. Czapeczka z koroną elektrod nadal cuchnęła strachem i przypalonymi włosami. W tym mroku i ciszy widok gilotyny przyprawiał o dreszcz, ale Hunter nie mógł sobie wyobrazić równie okropnej pamiątki, jak krzesło elektryczne. Oglądał je dokładniej i zastanawiał się, o co chodziło pannie Hall, gdy wysyłała go do tego dziwaczego miejsca. Nagle usłyszał dźwięczny odgłos spadającego ostrza gilotyny. Odwrócił się. Na mechanizmie nie widział żadnej ręki, do deski nie przypasał-no żadnego człowieka, do kosza nie spadła żadna głowa. A jednak na stali była świeża krew kapiąca z sierpowatego ostrza. Hunter poczuł w nozdrzach miedzianą woń. Suchym językiem przesunął po wyschniętych ustach, odwrócił się i susami wbiegł na schody. Dość już widział. Zamknął za sobą drzwi piwnicy i wtedy usłyszał ten sam odgłos drapania dochodzący od drzwi

frontowych. Tym razem odgłos się zbliżał. Mark usłyszał warczenie stada psów, spieszenie przebierających nogami na marmurowych płytach. Rozejrzał się, szukając drogi ucieczki.

Przypomniał sobie o broni palnej w pokoju z projektorem filmowym. Zgromadzono tam karabinki i pistolety automatyczne z drugiej wojny światowej. Były lśniące i dobrze konserwowane, więc na pewno nadal działały. Sam nie przyniósł własnego pistoletu, ponieważ panna Hall podkreślała, że nic mu tu nie będzie grozić. Nie miał czasu żałować swojej lekkomyślności czy zastanawiać się nad złamaną obietnicą. Już wcześniej spotkał te psy i wiedział, że z brutalną siłą potrafiłyby go rozedrzeć na strzępy. Wbiegł do pokoju, wyrwał ze stojaka pistolet maszynowy i gorączkowo zaczął szukać naboju. Znalazł pudełko, rozerwał folię zabezpieczającą i załadował magazynek. W tej samej chwili psy wpadły przez ciężkie, okute brązem drzwi. Warcząc i tocząc pianę z pysków, patrzyły na niego szkarłatnymi oczami.

Hunter łukiem posłał serię - trzy psy zostały śmiertelnie ugodzone prosto w łeb. Pociski rozpruły im czaszki. Zwierzęta zadrżały, jedno z nich zawyło. Wielki pokój wypełnił się natychmiast silnym fetorem. Z poszarpanych fan kapą na podłogę purpurowa jucha, tworząc lepkie plamy. Zapach był nie do zniesienia. Ale psy nie zdechły. Zatrzymały się na chwilę, ale warcząc, już gotowały się do kolejnego wspólnego ataku. Musiał się przez nie przedrzeć. Postanowił pozwolić im się zbliżyć, licząc na to, że się rozdziela, próbując go zająć z prawej i lewej strony. To bardzo ryzykowny wariant, ale jedyny. Miejsce oświetlała tylko latarka, którą miał umocowaną na czole. Psy zaczynały go okrążyć, przygotowując się do ataku. Załadował następny magazynek. Na stole po prawej stronie, gdzie stał projektor, zauważył coś, czego tam przedtem nie było. Obiekt obcy, a jednocześnie dziwnie znajomy: równo odcięta ludzka głowa. Martwe oczy hrabiego de Flurey patrzyły na niego bez wyrazu. Miał do czynienia z drobnym, symbolicznym aktem złości ze strony pani Mallory. Zademontrowała mu, że rzeczywiście posiada moc,

którą się przechwalała. Dla Huntera był to dowód, że panna Hall umarła. Nie mogła dotrzymać swojej obietnicy, bo już nie żyła. Wpakował cały magazynek w najbliższego psa, potem cisnął pistolet na podłogę i rzucił się do drzwi. Kule rozwalily psu prawie całą głowę, ale zwierzę resztkami dolnej szczęki zdołało zahaczyć o kieszeń jego kurtki. Rozwalony łeb bestii jakby zafalował i zaczął się rekonstruować, oczodoły nad pyskiem pogłębiły się i oczy mrugnęły, iskrząc się szkarłatną odrazą. Hunter wyrwał się psu i zaniknął za sobą drzwi. Słyszał, jak uderzają w nie potężne, napierające ciała dwóch pozostałych psów. Magia działała tu mocniej niż wtedy w namiocie w Magdalenie. Bestie z jej świty były silniejsze. W Boliwii hamowała jej zapędy przebiegła, mądra przeciwniczka - tutaj pani Mallory miała całkowitą swobodę. Ale jej nie było. Osobiście tu nie przebywała, bo przecież do tej pory stanęłaby z nim twarzą w twarz. Przypuszczał, że jest w Genewie, w domu zmarłej oponentki. Triumfuje nad jej ciałem i nabiera mocy. Rozejrzał się. Nie zdoła zabić psów. Mógł im tylko uciec. Gdyby wybrał drogę, którą tu przybył, dopadłyby go. Udałoby mu się dotrzeć najwyżej do lodowca i zginąłby pochłonięty na wieki przez straszną szczelinę lodową. Teraz nikt go nie ochraniał, nie było grubego kwękającego anioła stróża, który by uratował go od śmierci. Słyszał z tyłu, jak łomoczą okute brązem drzwi. Zagryzł zęby tak mocno, że aż krew wezbrała mu w dziąsłach. Wypluł ją na podłogę. Dziś w tym domu nie zamierzał zostawiać innego śladu własnej krwi. Był to winny Adamowi, który swojego życia jeszcze nie przeżył. Nie umrze. Nie tak łatwo. Nie opuści syna. Znajdzie sposób, by się wydostać z opresji. Przeżyje, stawi czoło wiedźmie, pokona ją i uratuje syna. Pobiegnął schodami w górę, przeskakując po cztery stopnie naraz, aż dotarł na trzecie piętro do oszronionych zakratowanych drzwi. Przypuszczał, że prowadzą na dach. Były zamknięte. Psy, dysząc, pędziły po schodach. Słyszał teraz ponaglanie ich przewodnika. Czuł jego narastający odór, krztuszący zapach; pamiętał ten fetor z Magdaleny. A ostatnio z pokoju hotelu nad Je-

ziorem Genewskim. Wyjął klucze, które dostał od panny Hall. Otwierały wejście do domu i wcale nie musiały pasować do tych drzwi. Ale pasowały. Wszedł na górę, zamknął kratę za sobą i cisnął klucze w ciemność. Nie będą mu już potrzebne. Z tej drogi nie było odwrotu.

Ob ręce, przyśrubowane do litej skały, tworzyły żelazną drabinę. Pies nie zdoła się po niej wspiąć. Przynajmniej normalny pies. Przypuszczał, że na szczycie znajduje się platforma obserwacyjna. Naziści uwielbiali orle gniazda. Padał gęsty śnieg. Mróz nacierał ławą, orał odsłoniętą twarz Marka ostrymi haczykami, napełniał płuca zimnym ciężarem. Trudno było oddychać. W śnieżnej nawałnicy widoczność spadła niemal do zera. Hunter słyszał jedynie wycie północnego wiatru, wiejącego ponad górską krawędzią trzydzieści metrów wyżej. Stracił cenne sekundy, wkładając rękawice. Musiał je włożyć, bo gołe ciało przymarzłoby do metalu. Wciągnął rękawiczki zębami i podjął wspinaczkę po żelaznych szczeblach, modląc się, żeby pies nie mógł zrobić tego samego.

Całe odcinki metalowej klatki zawiał śnieg, na szczęście nie był zbity, lecz puszysty, i Hunter mógł się przez niego przebić. Zawsze był sprawny fizycznie i silny. Czasami strach potrafi człowieka obnażyć. Czasami wysysa z niego siłę. Mark czuł jednak, że walka o los syna dodaje mu mocy. Spojrzał w dół, ryzykując, że spadnie mu latarka, ale niczego nie widział przez wirującą w pustce śnieżycę. Uniósł głowę. Jego droga prowadziła na szczyt. Jedyna droga ucieczki. Wiedział, że potwornie ryzykuje. Szedł w górę wewnątrz żelaznych ob ręczy. Stara solidna konstrukcja stanowiła ramę jego spokojnej wspinaczki. Aż wspinaczka się skończyła. Stał pośród wycia wichru na betonowej ośnieżonej platformie, zbudowanej tu ponad siedemdziesiąt lat temu, by ktoś mógł z wysoka napawać się światem stworzonym przez Trzecią Rzeszę.

Zbocze opisano Hunterowi jako ścianę. Pokryta była lodem i warstwą śniegu, który przywarł do stromych skał. Opadała półtora kilometra w dół niemal pionowo. Sir Ernest Shackleton



ześlizgnął się z lodowca na Georgii Południowej, podczas ucieczki po katastrofie swojego statku w wyprawie transantarktycznej. Przeżył wraz z całą drużyną. Można tego dokonać. Dokonał tego człowiek. Być może wiejący wiatr wyhamuje spadanie, a śnieg, który przywarł do ściany, zmniejszy prędkość wielkodusznymi, blokującymi zaspami, o ile Hunter nie wywoła lawiny z niestabilnych nawisów. Miał rękawiczki, ciężkie buty, a w Innsbrucku zaopatrzył się w profesjonalną odzież ochronną. Nie lubił hazardu, ale gdyby go zapytano, jak ocenia swoje szanse pomyślnego zejścia z północnej ściany tej góry, postawiłby nie więcej jak jeden do dziesięciu. Gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, to teraz one prysły, bo z dołu dobiegły go niepokojące odgłosy. Sforsowano drzwi i ścigano go. Nabrał powietrza, zrobił parę kroków i skoczył przez grań w pustkę. Elizabeth wydrukowała dokument załączony do e-maila z British Library. Adam spał spokojnie, ale do niej sen nie przychodził. Wiedziała, że to skutek szoku po rozmowie ze złowrogą postacią, która opanowała chłopca. Szok nie obezwładnił jej całkowicie, ale autentycznie dał jej się we znaki. Zakorkowała butelkę i nietknięty kieliszek wina wylała do zlewu. Potem naląła sobie dobrą miarkę whisky słodowej z zapasów Huntera i wypła ją jednym haustem. Lekarze nie zalecają takiej kuracji, ale Elizabeth poczuła, że w tym wypadku była wyjątkowo skuteczna. Przegarnęła bierwiona w kominku i dołożyła kilka nowych. Miała nadzieję, że ciepło poprawi jej nastrój, a żywiczny zapach palonego drewna pomoże wrócić do rzeczywistości.

Podejrzewała, że Adam kłamie, twierdząc, że nie pamięta swoich snów. Prawdopodobnie pamiętał je bardzo wyraźnie. Nie chciał ich wspominać, ponieważ w pewnym sensie to by oznaczało, że zostały mu narzucone po raz drugi. A był zapewne równie szlachetny, jak jego ojciec i chciał dorosłym zaoszczędzić zmartwień, gdyż te senne obrazy niosły zapowiedzi nieszczęść. Nie miała oczywiście dowodu, że chłopiec kłamał. Ale był nadzwyczaj-

czaj inteligentnym dzieckiem, a takie dzieci są wszystkiego ciekawe. To napędza ich ponadprzeciętne dążenie do wiedzy. Adam jednak w ogóle nie interesował się snami, które go dręczyły. Dla chłopca nie stanowiły one zagadki. Na pewno nie.

Polana na ruszcie kominka zajęły się ogniem i wystrzeliły jasnymi ciepłymi płomieniami. Elizabeth przysunęła sobie lampkę na małym stoliku i spróbowała się skoncentrować na kartkach, które trzymała w dłoni. Z drukarki zeszyły w odwrotnym porządku, zaczęła więc je układać po kolei. Skupiła wzrok na pierwszych słowach strony tytułowej. Usłyszała mokry głuchy odgłos przed frontowymi drzwiami i drgnęła. Posortowane częściowo kartki wypadły jej z ręki. Spojrzała w stronę wejścia, ale postanowiła nie sprawdzać, co jest źródłem tego dźwięku. Dom był jak forteca, a bardzo solidne drzwi w zasadzie uniemożliwiały włamanie. Mark Hunter wykazał nadzwyczajną przezorność. Nauczyły go tego niebezpieczne doświadczenia ze służby zawodowej. Zbliżała się północ, więc odpowiedź mogła poczekać do rana, gdy zrobi się jasno. Elizabeth podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego, żeby na wszelki wypadek sprawdzić, czy jest sygnał. W tym rejonie połączenia komórkowe nie były stabilne. Odetchnęła z ulgą, słysząc znajome ciche mruczenie.

Odłożyła słuchawkę na miejsce i uklękła na podłodze, by zebrać rozrzucone kartki. Podniosła jedną z nich i tekst od razu przykuł jej uwagę. Klęcząc przy kominku, czytała w świetle ognia:

„Jak na kobietę oskarżoną o zgubne praktyki przeciw Bogu, dziewczka była nadzwyczaj pospolita. Nie była piersiasta i nie miała bujnych kształtów, tak pociągających dla ludzi pożądlivych. Figurę miała zgrabną, ale raczej drobną, choć nie wątlą czy paskudnie chudą. W jej wyglądzie nie widziało się otwartej wsze-teczności ani dojrzałego bezecństwa. Przeciwnie, twarz z wyraźnie zarysowaną szczęką sugerowała silny charakter. Nos miała krótki i prosty, oczy o frapującym zielonym odcieniu, nad nimi rysował się cienki łuk brwi. Miały nieco koci kształt. Zmuszały

do uwagi, ale bez zuchwalstwa. Patrzyła prosto i pozornie prawdziwie, a wzrok nie sugerował w żadnym stopniu tupetu, bezczelności czy innych kobiecych przywar. Usta miały ładny kształt, wargi były pełne, zęby równe. Bladej cery nie szpeciły ani ślady po ospie, ani inne plamy. Pszeniczne włosy były proste i czyste. Wydawała się wyższa, niżby na to wskazywał jej rzeczywisty wzrost. Ale nie należy tego przypisywać sztuczkom czarnoksiężskim, lecz wrażeniu spokoju i hartu ducha. Widziało się osobę ujmującą. Przynajmniej w pierwszej chwili nie było co do tego wątpliwości."

- O Chryste! Wyglądała jak ja - jęknęła Elizabeth. - Wyglądała jak Lillian Hunter. - Pokręciła głową. Zebrała rozrzucone kartki. Nie rozumiała, co to wszystko znaczy. W jej myślach łączyły się różne wątki, tworząc tylko poplątaną, nieprzeniknioną sieć. Ogień ogrzał jej twarz z jednej strony, ale naraz poczuła chłód i ogarnęło ją dojmujące wrażenie, że jest obserwowana. Podniosła wzrok.

Na podłodze przy drzwiach prowadzących na schody siedział Adam. Musiał się obudzić i zszedł tak cicho, że go nie słyszała. Był bardzo blady i wyglądał chudo w workowatej flanelowej piżamie. Elizabeth miała wrażenie, że od śniadania stracił z pięć kilo - w ciągu dnia, gdy recytował wiersz, aż do wieczoru, gdy został opętany. Jego oczy były zmęczone, jasne loki przykleiły się do spoconego czoła.

- Pamiętam sny - oznajmił.

- Wiem, że pamiętasz. Rozpłakał się.

- Chodź do mnie - poprosiła.

Ale to ona do niego podeszła, a kiedy wstał, mocno go przytuliła. Jego kruchym ciałem wstrząsało łkanie. Na ramieniu i szyi czuła łzy, ślinę i lejącą z nosa wilgoć. Uważała, że jest bardzo dzielny.

- Och, Adamie, Adamie - westchnęła. Pociągnął nosem.

- Wiem, czego ona chce. Wiem, czego chce pani Mallory. Ona nie wie, że ją słyszałem. Szepcze ledwo dosłyszalnie. Ale ja ją dobrze zrozumiałem. I wiem.

Elizabeth słyszała, jak w kominku polana spadają na ruszt. Słyszała mokry głuchy odgłos - coś uderzyło o gruby pień dębu rosnącego przy drzwiach. Tym razem uderzenie było silniejsze, a drzwi zagrzechotały we wzmocnionej framudze. Chłopiec był tak lekki i niematerialny w ramionach Elizabeth.

- Czego chce pani Mallory?

- Wcześniej prawie to zrobiła. Znów chce spróbować. Tym razem jest pewna, że jej się uda. Pani Mallory chce wprowadzić w świecie zamęt.

## 8

**Następnego** dnia rano, tuż po dziesiątej, pod północnym stokiem pojawiły się sanie pogotowia medycznego. Zjechały z trasy narciarskiej, oddalonej o kilka kilometrów i zabrały ciało nieprzytomnego Marka Huntera. Miał dużo szczęścia. Pół godziny wcześniej z helikoptera ratunkowego, odbywającego rutynowy lot patrolowy, wypatrzono jego kurtkę i jaskrawą zamarznąętą plamę krwi, która wyciekła z rozharatanego ramienia. Potem przybyli ratownicy i wzięli go na nosze. Miał wstrząs mózgu i był wyziębiony. Odzyskał przytomność na małym oddziale nagłych wypadków kliniki w Stubai. Powiedziano mu, że ma zwichnięte lewe kolano i rozbity prawy łokieć.

- Rekonwalescencja potrwa kilka tygodni - oznajmił mu doktor, który przysiadł na jego łóżku. Zrobił na nim wrażenie uprzejmego i kompetentnego. Był w średnim wieku. Patrząc na jego siwe włosy i okulary w drucianych oprawkach, Mark nabierał otuchy. - Inna sprawa to plecy. Potrzebny będzie przeszczep

skóry. Mam nadzieję, że pańskie ubezpieczenie turystyczne obejmuje szeroki zakres usług medycznych. - Lekarz uśmiechnął się i poklepał Huntera po zdrowym kolanie. - Prawdopodobnie zawdzięcza pan życie temu, że uderzył pan głową o skałę i stracił przytomność. Dzięki temu spadał pan bezwładnie. Zakładam, że trzasnęła panu lina. Ale nie powinien pan się wspinać na północną ścianę w tych warunkach, i to sam. W ogóle nie powinno pana tam być. Przy takim zagrożeniu lawinowym to samobójstwo. -Poprawił sobie okulary na nosie i wyszedł z pokoju. Hunter wypisał się z kliniki na własne żądanie tego samego popołudnia, gdy tylko trochę odtajał, a objawy wstrząśnienia mózgu ustąpiły na tyle, że potrafił ustać, nie wymiotując. Wydarzenia bardzo przyspieszyły, nie mógł więc marnować czasu. Uspokoił protesty personelu: przekazał im dane swojej karty kredytowej i kupił kule w recepcji. Mieli ich spory zapas, ponieważ zdarzały się tu wypadki narciarskie. Bez pomocy kul nie mógłby chodzić. Zamówił taksówkę i podjechał na parking, gdzie zostawił wynajęty samochód. Taksówkarz za sowity napiwek pomógł mu usunąć śnieg, który zgromadził się od wczoraj na karoserii auta. W bagażniku były wszystkie jego rzeczy: paszport i ubranie. Z pewnym żalem spojrzał w górę na drogę, którą przebył poprzedniego wieczoru. Gorzko żałował, że nie puścił z dymem tej siedziby zła, ale nie przyszło mu to wcześniej do głowy, a poza tym wydarzenia tak się potoczyły, że nie miały na to czasu. Udało mu się jakoś dojechać do lotniska w Innsbrucku. Kupił bilet do Edynburga. W małej aptece na terenie kliniki zaopatrzył się w środki przeciwbólowe na receptę, ale ich nie zażył, bo bał się, że je zwymiotuje. Ciągłe miał mdłości po wstrząśnięciu mózgu, a poza tym musiał zachować czujność. W donżonie pani Mallory znalazł pewne tropy, ale jeszcze ich nie przemyślał i nie uzyskał zadowalających odpowiedzi - co obiecywała panna Hall. Może ona miała rację, on natomiast był głupi. Czekał na samolot godzinę i uznał to za najbardziej nieprzyjemny czas w swoim życiu. Szukał wzrokiem łysego mężczyzny w ciemnych

okularach, ale go nie dostrzegł. Był poturbowany i w tym stanie nie potrafiłby mu sprostać w konfrontacji fizycznej. Czuł nieznośny, pulsujący w całym ciele ból rozharatanego ramienia i ranę, z której lepka krew przeciekała przez bandaż. Czekając na swój lot, najbardziej jednak martwił się o Adama. Ochrona, jaką miał syn, już nie istniała. Wytchnienie trwało bardzo krótko. Elizabeth Bancroft była osobą zaradną i pełną empatii. Leczenie to jej zawód i, jak sądził, nie brakowało jej odwagi. Ale pani Mallory budziła grozę i była bezlitosna. Mark przypuszczał, że w starciu z nią miałby szanse, gdyby wiedział, czego ona chce. Wówczas mógłby ustalić miejsce jej pobytu i przewidzieć posunięcia.

- Czy przez tych dziesięć lat myślałeś, że twoja obecność w Magdalenie to był czysty przypadek? - spytała go panna Hall podczas obiadu w domu nad jeziorem.

- Popełniłem wielki błąd - odparł.

- Twój przyjazd w tamto miejsce to coś więcej niż zwykły błąd.

- To był mój obowiązek. Wysłano mnie z misją. Dostałem rozkaz.

Próbowałem się z tego wykręcić. Ironia losu polega na tym, że jechałem tam bardzo niechętnie. '

- Życie jest pełne ironii losu - zauważyła panna Hall.

Nie wiedział, co miała wtedy na myśli, i teraz też tego nie rozumiał. Wizyta w donżonie zrodziła więcej pytań na temat pani Mallory, niż dała odpowiedzi. Hunter siedział na plastikowym krzeselku i z plastikowej butelki popijał wodę mineralną. Obserwował zwykłą lotniskową krzątanicę, słuchał obojętnych komunikatów przez megafon i wszystko wydawało mu się manifestacją sardonicznej kpiny. Widział szczerzącą zęby bestię, która czekała na panią Mallory w mercedesie. I wiedział, że nie była to istota ludzka. Magia była rzeczywista; zło - ewidentne. Dwadzieścia metrów przed bramką wykrywającą metale wrzucił swój nóż w pochwie do lotniskowego kosza na śmieci. Jeśli go obserwowano, to przypuszczał, że widziano żalostnego osobnika kuśtykającego o kulach w stronę wyjścia do samolotu.

Dopiero wczesnym rankiem w środę udało się Elizabeth ukoić Adama i zachęcić do spokojnego snu. Postanowiła nie budzić go do szkoły. Uznała, że w tym stanie fizycznym i psychicznym jej podopieczny nie może nigdzie iść. Z torby lekarskiej wzięła środek uspokajający i zrobiła chłopcu zastrzyk. Ukłuty we śnie nawet nie drgnął. Był bardzo wyczerpany i niczego nie poczuł. Oceniała, że obudzi się dopiero późnym popołudniem. Do tego czasu zdąży wrócić, choć będzie musiała nieco skrócić swój dzień roboczy. Powinna też poszukać sobie jakiegoś zastępcy. Teraz najważniejsza jest opieka nad Adamem. Ktoś będzie musiał zastąpić ją w pracy, przynajmniej do powrotu Marka.

Gdy przyszła pani Anderson, Elizabeth poinformowała ją krótko, że stan Adama się pogorszył. Tak to określiła. Opiekunka nie wystraszyła się, była raczej zatroskana. Elizabeth powiedziała jej tylko to, co uznała za niezbędne. Chłopiec najprawdopodobniej nie obudzi się aż do jej powrotu z pracy. Nie musi wstawać, jeśli zostanie wyrwany ze snu. Powiedziała pani Anderson, że Adama prześladują czasami sny, w których jest inną osobą. To rodzaj halucynacji, ale nie stanowią one żadnego niebezpieczeństwa ani dla niego, ani dla otoczenia.

- Biedny dzieciak - odparła pani Anderson, gdy poszły do pokoju chłopca. - Ugotuję rosółu. Kiedy się obudzi, musi coś zjeść. Wygląda na wygłodzonego.

Przed domem Elizabeth zobaczyła śnieg na zwirowej dróżce. Nie dostrzegła jednak niczego, co wczoraj w nocy mogłoby uderzyć o drzewo.

Nie było również żadnych obcych śladów, jedynie te, które sama zostawiała, idąc po śniegu do swojego samochodu. Wzięła za sobą relację Jerusalema Smitha. Zamierzała ją przeczytać podczas przerwy na lunch. Gdy jechała do swojego gabinetu, zadzwonił telefon komórkowy. Podniosła go z fotela pasażera, żeby sprawdzić, kto dzwoni. Sierżant Kilbride.

Oddzwoniła do niego, gdy tylko zaparkowała auto pod swoim gabinetem.

- Sytuacja się rozwija - powiedział. - Telefonował do nas listonosz. Zastał w twoim domu drzwi otwarte na oścież, a prze-

cięż w taką pogodę raczej nie wietrzymy od samego rana. Nacisnął dzwonek, ale ponieważ nikt mu nie odpowiedział, wszedł, żeby sprawdzić, co się dzieje. Na kuchennym stole zobaczył świńskie wnętrzności.

- Urocze. Czy Robert czegoś dotykał?

- Robert?

- Listonosz.

- Nie. Chłopak ma intuicję i marnuje ją, roznosząc listy. Niczego nie ruszał i natychmiast zadzwonił do nas. Zostawiono dla ciebie wiadomość napisaną świńską krwią na ścianie w kuchni.

- Jesteś tam teraz?

- Tak.

- I jak to brzmi?

- „Wiedzmo, zostaw chłopca albo spłoniesz”. Wnioskuje, że to groźba śmierci. Elizabeth, trzeba powiedzieć komisarzowi Gallowayowi. To poważna eskalacja wybryków.

Elizabeth się zaśmiała.

- A czy są jakieś dobre wiadomości?

- W zasadzie tak - odparł Kilbride. - Właśnie zjawili się nasi technicy kryminalistyki, żeby zebrać materiał z miejsca przestępstwa. Uważamy, że było dwóch intruzów i chyba mamy ślady DNA jednego z nich. Byli nieostrożni.

- Albo pijani - zauważyła Elizabeth. Kilbride zamilkł.

- Lizzie, czy masz jakieś sugestie, kto by tu pasował? - spytał po chwili. Nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego podejrzanego.

- Muszę tam pojechać?

- Zaoszczędzę ci tego. Kiedy fotograf skończy, posprzątam tu, a ja załatwię ślusarza.

- Tony, nie zapomnij przysłać mi rachunku.

- Och, postawisz mi piwo. Po południu podrzucę ci klucze. Będę w kontakcie. Uważaj na siebie.



W południe do jej gabinetu przyjechał patrol i przekazał klucze. Podczas przerwy na lunch zajrzała na chwilę do swojego domku. Nie okazała Tony'emu Kilbride'owi, jak bardzo się przejęła włamaniem. Lepiej by się czuła, gdyby umiała wytypować podejrzanego. Martwił ją fakt, że nie potrafiła nikogo wskazać, bo przez to sprawcy wydawali jej się bardziej groźni, niż zapewne byli w rzeczywistości. To raczej nie Tom Lincoln, choć opowieść matki

o losie biednego Maksa Hectora podsuwała jej to nazwisko. Tom potrafił być złośliwy, zwłaszcza gdy sobie wypił, ale nie miał tyle oleju w głowie ani środków, żeby zorganizować podobną kampanię. Najwyżej wybiłby okno, a potem potknąłby się o własne sznurowadła, zwiewając z miejsca przestępstwa. To straszne, że miała wrogów. Przerazało ją to, że chciano jej zrobić krzywdę.

Duży, nowy wpuszczany zamek nie pasował do starych frontowych drzwi, ale mogła to znieść. Powyżej dodatkowo zamontowano mosiężny zamek yale. Wnętrze domu wyglądało nieskazitelnie. Jediną oznaką poprzedniego nieporządku był ostry zapach środka dezynfekcyjnego, którego użyto do szorowania stołu i ściany. Gdy Elizabeth całkowicie odsunęła zasłony, zobaczyła, że fragment kuchennej ściany jest nieco jaśniejszy od reszty. A więc napis był aż tak duży. Zuchwałe gryzmoły. Nie szczędzili zwierzęcej krwi. Spakowała do torby trochę ubrań na zmianę. Na zewnątrz znów padał śnieg. Wcześniejsze opady pokryły ślady włamywaczy i rano były niewidoczne. Ale Tony Kilbride już wiedział, jakie

nosili buty

1 może nawet miał próbki DNA jednego z nich.

Wróciła do domu Hunterów dopiero o piątej po południu. Adam zbudził się o szóstej. Namówiła go na rosół przygotowany przez panią Anderson. Tym razem nie robił sobie zwykłych żartów na temat coli i red bulla. Był przygaszony, odpowiadał monosylabami. Zszedł na dół w piżamie i szlafroku i nie zamierzał się ubrać. Posadziła go na poduszkach przed ekranem i włożyła do odtwarzacza płytę z jednym z infantylnych wyczynów Clarkso-na, mając nadzieję, że to choć trochę poprawi mu humor. Sama poszła do kuchni. Chłopak zjadł prawie całą miskę popcornu,

który dla niego przygotowała. Uśmiechał się, oglądając błazenadę bohatera, ale nie roześmiał się na cały głos.

- Śniło ci się coś w nocy?

- Tak. Byłem na okręcie na Morzu Egejskim. Leżałem w szpitalu pokładowym, miałem zatrucie krwi i wiedziałem, że umieram.

- Byłeś Rupertem Brookiem.

- Tak. Elizabeth, czy wiesz, kiedy tata wraca do domu?

- Wkrótce - odparła niezdarnie, wymijająco. Ale nie potrafiła udzielić dokładnej odpowiedzi i nie chciała wzbudzać w chłopcu próżnej nadziei.

- Mam nadzieję. Mam nadzieję, że wkrótce wróci.

Za kwadrans dziesiąta oczy zaczęły mu się kleić, więc zaprowadziła go do jego pokoju. Nie potrafił ukryć strachu. Dała mu coś na sen. W zasadzie była przeciwniczką nadmiernego faszzerowania dzieci lekarskami, zwykle nawet antybiotyki przepisywała niechętnie, a co dopiero środki nasenne. Jednak to nie była zwykła sytuacja, a chłopiec - bez względu na to, czy miał koszmary, czy ich nie miał - potrzebował regenerującego, głębokiego, nieprzerwanego snu.

Adam poszedł do łóżka, a piętnaście minut później zadzwonił telefon stacjonarny na małym stoliku w salonie. Elizabeth miała przecucie, że powinna podnieść słuchawkę. Może dzwonił ojciec chłopca z ważną wiadomością.

- Mówi hrabia de Flurey - powiedział męski głos. - Chciałbym rozmawiać z pułkownikiem Hunterem.

- Nie ma go.

- A z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Elizabeth Bancroft.

- Bancroft. Ładne szkockie nazwisko.

- Czy mam przekazać jakąś wiadomość? - W tle po drugiej stronie linii Elizabeth słyszała cichą muzykę. Grano jeden z jej ulubionych utworów. Dziewiątą Symfonię Mahlera.

- Proszę powtórzyć pułkownikowi, że dzwoniłem.

- Dobrze - odparła.

Nalała sobie kieliszek wina i zasiadła do czytania relacji Jo-siaha Jerusalema Smitha z jesieni 1656 roku. Dokument nosił datę siedemnastego października i zaczynał się od słów: *Me ma na ziemi królestwa nad królestwo Boga Wszchemogącego*. A zatem na samym początku zamieścił cromwellovskie referencje. Elizabeth westchnęła i upiła łyk wina. Musi się ograniczyć do jednego kieliszka, ponieważ na górze leży pacjent powierzony jej opiece. Ale czuła, że ten jeden kieliszek będzie jej potrzebny. Nie spodziewała się, by proza sędziego Smitha podniosła ją na duchu i skłoniła do uśmiechu.

„Jestem zmuszony zdać formalną relację na piśmie z tej sprawy jako ostrzeżenie dla wszystkich moich uczciwych bliźnich, którzy zostaną wezwani do walki z podłym złem czarów. Robię to w przekonaniu, że nawet najbardziej fachowy i wytrawny łowca czarownic uzna szczegóły, które tu przedstawiłem, za nader dziwne. Ale każde napisane słowo starannie rozważyłem w swoim umyśle i uznałem je za prawdziwe. Choć szczegóły są bez wątpienia wstrząsające, to jednak wszystko to się naprawdę wydarzyło, a świadkami byli ludzie trzeźwo myślący i pobożni. Jak wszystkie opowieści warte przekazania, również ta czegoś nas uczy. Wobec sił ciemności musimy być odważni i czujni. Musimy zachować się równie sprytnie, jak zachowuje się wobec nas nieprzyjaciel. Nie same plotki skłoniły mnie do podróży do Szkocji w ubiegłym miesiącu. Nie powodowało mną również uprzedzenie w stosunku do Szkotów w ogólności. Lord Protektor podziwia pracowitość tej nacji. Wie, że mają ładne miasta, a w handlu są rzetelni i solidni. Ich kraj ma chyba najlepsze mapy w całej Europie, a inżynierowie są powodem zazdrości innych narodów. Ale ze szkockich wyżyn, na północny wschód od Perth, dochodziły do rządu brytyjskiego raporty, których nie można było ze spokojnym sumieniem zignorować. Przysyłał je prezbiter kościoła, żyjący w pobliżu wsi Balloch. To człowiek wykształcony, o solidnej wiedzy, raczej nieskłonny

do przesady i dawania wiary kłamstwom i wściekłym plotkom, rozsiewanym przez żony farmerów i wiejskie sekutnice. W zasadzie jego raporty były suche, nieupiększone. Ale ich treść zadziwiała i jeśli opowiadały o prawdziwych faktach, to fakty te stanowiły zniewagę natury, a więc i samego Boga. Życie i śmierć to domena stwórcy. Człowiek przyjmuje los swój i innych istot ziemskich z pokorą i bez skargi. Żyjemy, umieramy i rozpaczamy. Ze spokojem akceptujemy bezpowrotną stratę tego, co posiadamy. Inne postępowanie to arogancja, zgorszenie i grzech. Mówiono, że ta kobieta, Ruth Campbell, chorym zwierzętom przywraca zdrowie, a nawet potrafi zmarłe zwierzęta przywrócić do życia. Twierdzono, że robi to, by przysporzyć zysku farmie swojego męża i zwiększyć rodzinne bogactwo. Takie twierdzenia mogłyby rozpowszechnić jakiś sąsiad powodowany zazdrością. W ostatnich latach okolicę nawiedzały rozmaite dotkliwe choroby, które zabierały inwentarz żywy. Ale informacja pochodziła od człowieka kościoła, który nie miał żadnych związków z ziemią i czerpanymi z niej zyskami. Zwierzęta wracały do życia, ale fetor śmierci unosił się nad nimi - tak mówił. Mleko było kwaśne, a mięso smakowało jak zepsute. Ale zwierzęta mogły się nadal rozmnażać. A ich młode były zdrowe i dorodne. I ożywione owce nadal dawały wełnę, a wskrzeszone konie i byki ciągnęły pług, choć wydzielały zepsuty zapach. Coś się zatraciło, ale też coś ocalało w tym odwróconym, przeczącym naturze procesie. I jeśli wierzyć opowieści, mieliśmy do czynienia z czarami najgorszego rodzaju.

Człowiek kościoła nazywał się Daniel Cawdor. Umówiłem się z nim listownie. Podjąłem ze swoją świtą mozolną podróż na daleką północ Wspólnoty. Gdy przybyłem do domu Cawdora, nie powitał mnie w progu. Jego dorosły syn stanął w drzwiach i powiedział, że ojciec jest niedysponowany.

W pierwszym odruchu pomyślałem, że Cawdor to rzeczywiście jakiś pomylenieć i plotkarz albo intrygant, który wpadł w panikę, gdy się okazało, że jego opowieści spowodowały skutki przerastające jego początkowe głupie intencje. Kazałem swojemu sierżantowi

wyciągnąć miecz. Miałem nadzwyczajnych ludzi, weteranów ostatniej zwycięskiej wojny. Ale chłopiec ani drgnął.

Mój ojciec oślepił, powiedział. Stał twarzą w twarz z tą czarownicą Campbell, oburzony i wstrząśnięty jej bluźnierczymi zbrodniami, a ona kazała mu samemu się oślepić, kazała, żeby wydłubał sobie oczy kciukami. Leży nieszczęsny, udręczony i pełen wstydu, że stał się ciężarem dla rodziny.

Zsiadłem z konia. Syn Cawdora miał około szesnastu lat. Kazałem sierżantowi schować miecz do pochwy i przemówiłem do chłopca tak uprzejmie, jak tylko mogłem, zważywszy na mój nastrój.

Co to za nonsens? - rzekłem.

To prawda, proszę pana, odparł.

Ta Campbell go oślepiła?

Sam się oślepił, powtórzył chłopak. Ale to wiedźma zmusiła go, żeby tak okropnie okaleczył własne ciało.

Przeszedłem obok chłopca i wkroczyłem do domu. Daniel Cawdor, z którym wcześniej korespondowałem, leżał w izbie na piętrze. Bandaże na oczodołach przesiąkły krwią. Na twarzy miał wyraz bóleści tak żałosnej, że nigdy tego nie zapomnę. W zasadzie straciłem świadka niegodziwych praktyk okultystycznych tej Campbell. Ale nie było wątpliwości, który z nas dwóch stracił więcej. Czasami mówi się o woli życia. Tego dnia patrzyłem na oblicze mężczyzny, z którego wola życia zupełnie wyparowała.

Doznałem groteskowej porażki, byłem też w kiepskim nastroju z powodu zmęczenia, więc posłałem najlepszego furazera, żeby poszukał dla nas miejsca na kwaterę. Wrócił na odludną drogę i po pół godzinie udaliśmy się do tawerny Czarny Dzik. Tam znaleźliśmy zarówno znośne pokoje, jak i smaczne jadło. Przyznaję, że byliśmy prawie weseli po zjedzeniu mięsnej potrawy ze świeżo pieczonym chlebem oraz po skosztowaniu dobrego, uwarzonego przez karczmarza słabego piwa. Wtedy wydarzyło się coś ciekawego i nieoczekiwanego. Dzielny chłopak Cawdora, ten sam, który nie zląkł się mojego groźnego sierżanta,

pojawił się w tawernie i chciał uzyskać posłuchanie. Czułem, że nie mogę mu odmówić.

Opowiedział mi bardzo dziwną historię. Ale najpierw sformułował ostrzeżenie, które uznałbym za bezczelne, gdyby nie mówił tego z całą powagą, widoczną na smutnej chłopięcej twarzy.

Nie ma pan przy niej żadnych szans, proszę pana. Podróżuje pan zbyt małym oddziałem. Ma pan tylko sześciu jeźdźców.

To wypróbowani weterani wojenni, odparłem. Było mi żal chłopca. Ale nie spodobało mi się, że bezczelny szczeniak w swoim szkockim narzeczu wyraża się bez szacunku o mojej dzielnej eskorcie.

Przyjechał pan z niedostatecznymi siłami, upierał się chłopak.

Sam Bóg Wszechmogący potrzebował tylko czterech jeźdźców Apokalipsy, stwierdziłem. Ja mam sześciu. To był kiepski, a nawet bluźnierczy dowcip i nie przebrzmiały jeszcze ostatnie wyrazy, a już żałowałem swoich słów.

Byłem zmęczony, a słabe piwo z tawerny znacznie szybciej uderzało do głowy niż to, które warzono w moich okolicach.

Ona ma Chowańca, pomagiera, powiedział chłopak. Śledziłem ją. Potrafię się skradać i śledziłem czarownicę, bo chciałem pomóc ojcu, by mógł publicznie potępić tę dziewczkę. Spotykała się z tym stworzeniem w lesie, w największej gęstwinie.

Czy to kot? - spytałem chłopca. Czy mam się obawiać jakiegoś egzotycznego gada lub jadowitego węża? Czy ta Campbell ma ropuchę i całuje ją w brodawki, zanim rzuci urok?

Moje kpiny krzywdziły chłopca i do tej pory ich się wstydzę, a zapłaciłem za nie wielką pokutą.

To wilk, powiedział. Wilk w stroju mężczyzny. Stoi na dwóch nogach i podle drwi sobie z człowieka. Ona z nim rozmawia. Słucha jego rad. Jeśli zabije pan to stworzenie, to myślę, że dopadnie pan również ją samą, proszę pana. Jeśli pan tego nie zrobi, wszystkie pana wysiłki będą skazane na niepowodzenie.

Jak masz na imię, chłopcze?

Matthew Cawdor, odparł.

A czy wiesz, Matthew Cawdorze, gdzie znajdę tę szkaradę? Wiem, proszę pana.

Zaprowadź tam moich ludzi, powiedziałem. Zrób to zaraz. Jutro oskarżona stanie przede mną. Niech moi ludzie przyniosą głowę tej bestii. To sprawa niecierpiąca zwłoki. Idź już.

Moi ludzie dosiedli zmęczonych koni i odjechali. Często się potem zastanawiałem, co za żądza krwi kazała mi wysłać oddział z takim pośpiechem. Może należy to przypisać podnieceniu po wypiciu piwa. Od tego czasu przysiągłem, że nie tknę napoju innego niż zwykła woda. W głębi sumienia nie wiem, dlaczego kazałem im jechać tak bez przygotowania. Może po prostu uwierzyłem chłopcu. Zamierzałem odebrać czarownicy tę siłę, dzięki której oślepiła jego ojca.

Nigdy więcej nie widziałem Matthew Cawdora. Zginął podczas potyczki z demonem, do którego poprowadził moich ludzi. Tylko dwóch z nich wróciło. Jeden śmiertelnie ranny. Drugi przywiózł w skrwawionych sakwach makabryczny dowód. Gdy mi to pokazano, rzecz była w stanie szybkiego rozkładu. Carrick, jedyny z moich ludzi, który powrócił cało, wyjął ją z torby i położył na stole w tawernie z ponurą miną i niesmakiem na szlachetnej twarzy. Był weteranem bitew pod Edge Hill, Marston Moor i Naseby; wiedziałem, że w ostatniej wojnie zabił ze dwudziestu ludzi. Teraz patrzył na mnie z trwogą, pytając, czy zamierzam wkrótce stanąć przeciw kobiecie, której służyła ta szkarada.

Przyznaję, że z przerażeniem i fascynacją patrzyłem na nędzne resztki. Co to za stwór? Ni to wilk, ni człowiek, lecz obie te istoty w jakiejś wstrętnej krzyżówce. Głowa wyglądała dziko: miała wielką szczękę okrytą szorstką szczeciną i sterczące kły. Ale jednocześnie wyglądała inteligentnie - sprawiał to szelmowski uśmiech i wyraz sprytu w oczach. Wokół szyi pozostały zakrwawione resztki lnianej koszuli. Płatek ucha - człowieczego ucha - był przekłuty i z pierścienia zwisał łańcuszek z klejnotami.

Czy coś mówił? - spytałem Carricka.

Tak, odparł. Przeklął nas.

Jak brzmiał jego głos?

Carrick się zastanowił. Popił z kufła piwa, które dla niego zamówiłem.

Zauważyłem, że ręce mu drżą, gdy podnosił naczynie do ust.

Mówił wytwornie jak dżentelmen, ale tonem zawziętym i nieprzyjemnym.

Głuchym głosem. Nigdy w życiu nie chciałbym więcej słyszeć podobnego dźwięku.

W jaki sposób zabił tamtych ludzi?

Rozerwał im gardła, powiedział mój żołnierz. Walczył z nieziemską szybkością. Jakiego był wzrostu?

Sześć stóp i mniej więcej cal, odparł Carrick.

Z przerażającego trofeum uciekały pchły. Wielkie, czerwone bezczelnie skakały po stole w świetle latarni. Tak wielkich nigdy w życiu nie widziałem.

Spal to, powiedziałem do Carricka. Natychmiast to spal. Roztrzaskaj czaszkę, pogrzeb w wapnie kości i zęby. Pogrzeb je głęboko.

Z największą chęcią, rzekł Carrick. A jutro powinniśmy spalić wiedźmę.

Bez komentarza przyjąłem to zuchwałe stwierdzenie. Mężczyzna nie powinien tak swobodnie mówić do wyższego urzędnika. Ale Carrick był dzielnym człowiekiem i przeżył potworną rzecz. Może czekają nas jeszcze gorsze wydarzenia, zanim będziemy mogli wrócić na południe, gdzie panuje dobro i pobożność, daleko od zepsucia i perwersji, pośród których się tu znaleźliśmy."

Elizabeth odłożyła kartki na stół. Zapoznała się dopiero z połową tekstu.

Na razie nie chciała czytać więcej o swojej antenatce. Była zbyt zmęczona.

Zbyt zszokowana tym, czego się dotychczas dowiedziała. Albo Jerusalema Smitha wprowadzono w błąd i stał się ofiarą jakiejś histerii, albo w głębi duszy był przyzwoitym człowiekiem i uczciwie traktował zjawiska w najwyższym stopniu diaboliczne. Problem polegał na tym, że jego relację cechowały zdrowie umysłowe i przyzwoitość. Może był



żarliwy w swej protestanckiej wierze i purytanizmie. Ale mówił prawdę. Elizabeth przetarła oczy. Nic dziwnego, że jej matka nie chciała czytać tej relacji. Znacznie łatwiej było uwierzyć w wygodny mit o tym, jak to w Szkocji brutalny łowca czarownic sądził i na oślepie karał niewinne kobiety, niż zmierzyć się z rzeczywistością i przyznać, że w naszym własnym rodowodzie jest przekleństwo złej magii. Elizabeth upiła tylko jeden łyk; resztę wina wylała do kuchennego zlewu. Wzięła prysznic, umyła zęby i poszła sprawdzić, jak się ma jej podopieczny. Nie wiadomo, czy dręczyły go jakieś koszmary, ale we śnie wyglądał spokojnie. Ona też potrzebowała snu. Poszła do łóżka.

Obudziła się o czwartej rano, słysząc czy może tylko wyczuwając niepokojący hałas. Pokój pograżony był w ciemności. Widziała jednak stojącą przed łóżkiem postać, która na tle mroku rysowała się ciemniejszą dużą plamą.

- Elizabeth?

- Mark!

- Cii. - Uciszył ją niskim pomrukiem. - Nie chcę zbudzić Adama.

- Adam się nie obudzi. Dałam mu coś na sen.

Hunter pokuśtykał bliżej i ciężko usiadł na łóżku. Pachniał krwią, potem i maścią antyseptyczną. Było w nim coś niepokojącego. Gdy oczy Elizabeth przyzwyczyły się do ciemności, zauważyła, że jego sylwetka jest dziwna.

- Więc sny się powtórzyły?

- Co ci się stało? Znalazłeś ją?

Zaśmiał się. Ale nie słyszała w tym radości.

- Raczej ona mnie znalazła.

Elizabeth zapaliła lampkę przy łóżku, usiadła i spojrzała na Marka. Na ramieniu i plecach zmiętego płaszcza widziała plamę krwi. Prawą rękę trzymał na temblaku. Na dywanie leżały kule, których przedtem w ciemności nie zauważyła. Twarz miał bardzo bladą. Jedną nogę wyprostował sztywno, jakby nie mógł jej zgiąć w kolanie. Elizabeth odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Spa-

ła nago, ale teraz nie czas na wstydlivość. Otworzyła szufladę, gdzie trzymała swoją bieliznę.

- Dlaczego się ubierasz?

- Zabiorę cię do swojej mamy.

- A to po co?

- Zobaczymy. Podczas twojej nieobecności dokonałam pewnego odkrycia. Dowiedziałam się dość użytecznych rzeczy.

- A co zrobimy z Adamem?

- Pojedziemy twoim land-roverem. Ja poprowadzę. Owinę go w koc i zaniosę do samochodu na tylne siedzenie.

- Wystarczy ci sił, żeby go zanieść? Zapięła dzinsy i zaczęła wkładać biustonosz.

- Musi wystarczyć. Ty tego nie możesz zrobić. Nie martw się, nie upuszczę go.

- Czy to konieczne? Palcami szesała włosy z czoła.

- Musisz wyzdrowieć. W takim stanie żadnemu z nas się nie przydasz.

Po oblodzonej szosie nawet samochód z napędem na cztery koła pokonywał drogę do domu Margaret Bancroft ponad pół godziny. Podczas podróży Hunter opowiedział Elizabeth o tym, co go spotkało. Słuchała, nie przerywając. Gdy skończył, spytała:

- Jak dobrze znałeś rodzinę Lillian?

- To zależy.

- Co to znaczy?

- Lillian była dzieckiem adoptowanym. Nigdy nie знаła swojej prawdziwej rodziny. Miałem wrażenie, że jeszcze przed naszym poznaniem prowadziła intensywne poszukiwania, ale bez powodzenia. Była wrażliwa na tym punkcie. Dlaczego pytasz?

- Fizycznie jestem bardzo podobna do twojej zmarłej żony. Wręcz niesamowicie. Dlaczego nigdy o tym nie wspomniałeś?

- A powinienem? To czysty przypadek. Uznałem, że postąpiłbym nietaktownie, gdybym zwrócił na to uwagę.

- Chyba zdawałeś sobie sprawę, że Adam to zauważy.

- Doktor Bancroft, w tej części świata nie mamy zbyt wielkiego wyboru, jeśli chodzi o opiekę lekarską.

- Daj spokój, Mark. Przecież przed chwilą widziałeś mnie nago.

- Posłuchaj, Elizabeth, cieszysz się opinią znakomitego lekarza. Miałem większe zmartwienia niż obawa, że Adam zauważy powierzchowne podobieństwo między tobą a swoją mamą.

Próbował się odwrócić i spojrzeć na syna, śpiącego na tylnym siedzeniu.

Ale zaschnięta krew tworzyła skorupę na zranionym ramieniu, uniemożliwiając mu ruch.

- O czym są książki Lillian? Mógłbyś mi coś powiedzieć o ich treści?

- To opowiadania dla dzieci. Pokażę ci kilka. Sama zobaczysz, kiedy wrócimy z tej bezcelowej wyprawy do twojej mamy.

Sprawy się między nami zmieniły, pomyślała Elizabeth. Już nie rozmawiamy z tą sztywną formalnością, co poprzednio. Zastanawiała się, czy on też to zauważył, i doszła do wniosku, że prawdopodobnie nie.

Niezbyt się przejmował takimi drobiazgami. Przez przednią szybę patrzyła na zaśnieżoną drogę, wypatrując jakichś charakterystycznych znaków w monotonnym krajobrazie. Byli już blisko.

Jak wielu starszych ludzi, Margaret Bancroft miała lekki sen. Prawie natychmiast otworzyła im drzwi. Gdy zobaczyła rannego mężczyznę i córkę, niosącą owiniętego kocem śpiącego chłopca, powiedziała:

- Jakie piękne dziecko. - Spojrzała na Marka Huntera. - Musi pan być z niego bardzo dumny.

- Jestem dumny - odparł Mark.

- Mamo, potrzebna nam twoja pomoc - rzekła Elizabeth.

- Przecież widzę.

- O ile wiem, uznałaś, że koniec z magią kostną. Margaret Bancroft uśmiechnęła się do córki.

- Tak. Ale nigdy nie uważałam, że magia ostatecznie skończyła ze mną.

Wchodźcie. Połóż dziecko na kanapie. Proszę sobie

wygodnie usiąść, pułkowniku Hunter. Elizabeth, sprawdź, czy uda się rozniecić na nowo ogień. Chyba w kominku jest jeszcze trochę żaru. Zrobię herbaty.

- Mamo, teraz herbata nie jest najważniejsza.

- Dla mnie jest. Minęło prawie czterdzieści lat, odkąd ostatnio robiłam to, co teraz spróbuję zrobić. Zanim się do tego zabiorę, muszę się wzmocnić herbatą.

Chwilę potem Hunter pokuśtykał za Margaret do saloniku. Po kilku minutach wróciła do pokoju, gdzie czekała Elizabeth. Przechodząc obok kanapy, z nieobecny wyrazem twarzy pogłaskała uspionego chłopca po kręconych włosach. Usiadła naprzeciw córki, która patrzyła przez okno na padający za szybą śnieg.

- Trudno było?

- Nie. Jestem już stara, ale nigdy nie było to dla mnie trudne. Pułkownik zasnął. Trochę pośpi. Kiedy się ocknie, będzie jak nowo narodzony.

- Czytałam o naszej znamienitej antenatce.

- Ach!

- Wydaje się, że sędzia Smith niezastuzenie cieszył się tak złą opinią.

- Naprawdę?

- Ruth Campbell nie była niewinną ofiarą religijnej ignorancji, jak to utrzymuje pielęgowana w naszej rodzinie legenda.

- Nigdy nie twierdziłam, że była niewinna. Ale sama nie miałam odwagi, żeby szukać prawdy. Nadal nie mam. Proszę, nie opowiadaj mi nic więcej.

- Wyglądała jak ja, mamo. A dlaczego ty jej nie przypominasz? Czasami się zastanawiałam, do kogo jestem podobna. Nie do taty.

Margaret Bancroft zwiesiła głowę.

- Kiedyś wyglądałam jak ty, Lizzie. Natura obdarzyła mnie zielonymi oczami i ładnymi ustami, jak twoje. Użyłam magii, żeby zmienić swoją powierzchowność.

- Dlaczego?

- Szczera odpowiedź brzmi: wstydziałam się swojego wyglądu. Nie chciałam przypominać potomkini Ruth Campbell. Podejrzywałam, że była złą kobietą. Zmian dokonywałam subtelnie, przez dłuższy czas. Twój ojciec był już wtedy umierający. Nie sądzę, żeby ktoś to zauważył. Zmiany były stopniowe. Ty byłaś mała, a ludzie w okolicy nie mogli mnie porównać z nikim dorosłym w rodzinie.

- Chcę ci podziękować, mamó. Wiem, że złamałaś uroczystą obietnicę, żeby nigdy nie robić tego, co przed chwilą zrobiłaś. Wiem, że wstydzisz się magii. Ale Mark Hunter to dobry człowiek. Spełniłaś dobry uczynek i jestem ci za to wdzięczna. On też będzie ci wdzięczny.

Matka spojrzała na nią i się uśmiechnęła.

- Lizzie, sama potrafiłabyś to zrobić. Sądzę, że ta zdolność czasem przechodzi z matki na córkę, a czasami może przeskoczyć kilka pokoleń. Ale w tobie jest bardzo silna, znacznie silniejsza niż we mnie. Zauważyłam to już, gdy byłaś małym dzieckiem.

Oczy matki były orzechowe, brwi proste, górna warga rozciągnięta. Rzeczywiście, zmiany dość subtelne, ale wystarczające, żeby twarz wyglądała zupełnie inaczej.

- Chciałaś, żebym przeczytała relację sędziego i potraktowała ją jako ostrzeżenie. - Teraz Elizabeth to rozumiała. - Chciałaś, żebym się dowiedziała o różnych rzeczach i żebym nigdy nie próbowała ich robić. Dochodziła siódma, gdy wrócili do domu Hunterów. Adam ciągle spał narkotycznym snem. Tym razem to ojciec przenosił go z samochodu do łóżka. Elizabeth przygotowała śniadanie dla siebie i Marka i gdy jedli przy kuchennym stole, opowiedziała mu, co się wydarzyło podczas jego nieobecności. Ukrył twarz w dłoniach, słuchając o telefonie od nauczycielki i o recytacji wiersza Brooke'a. Elizabeth obawiała się, że Mark zacznie szlochać. W życiu wiele potrafił znieść. Ale cierpienia Adama mogły go załamać. Niczego przed nim nie ukrywała. Gdy kończyła relację, odzyskał panowanie nad sobą.

- Czy coś jeszcze? - spytał.

- Jeszcze jedna rzecz. Wczorajem dzwonił hrabia de Flurey. Nie zostawił żadnej wiadomości. Prosił tylko, żeby ci powiedzieć, że dzwonił.

- Hrabia jest martwy tak jak osoba, której służył. Jak przed chwilą zauważyłaś, pani Mallory ma zdolność mimikry. To ona dzwoniła i zostawiła wiadomość. A wiadomość brzmi tak: ona wie, że żyję, i wie, gdzie mnie znaleźć.

Elizabeth bardzo delikatnie poprosiła Marka o książki napisane przez Lillian. Przyniósł do kuchni kilkanaście cienkich tomików. Pięć z nich położył oddzielnie - stanowiły serię wydawniczą. Wzięła pierwszą książeczkę z serii, otworzyła ją i omal nie krzyknęła. Z ilustracji łypał na nią fircykowaty dwunożny osobnik w brokatowej kamizelce. Uśmiechał się wilczo i lubieżnie.

- To wilk Walter - wyjaśnił Hunter. - Strach bierze, jak się na niego patrzy, ale, niestety, jego postać jest źle interpretowana. Dzieci lubią lekki dreszczyk w opowieściach. Największy sukces wśród utworów Lillian odniosły właśnie książki z tej serii. Nadal dobrze się sprzedają w całej Europie. Ale w Stanach uznano, że propagują treści moralnie szkodliwe. Elizabeth przerzuciła kartki pięciu tomików.

- W jakimś sensie rozumiem ich argumenty - przyznał Hunter. - Wilki nie są zniewieściałymi, miłymi antropomorficznymi postaciami w eleganckich strojach. To zabójcy, najbardziej drapieżni z ciepłokrwistych istot na naszej planecie. Szczerze mówiąc, nigdy specjalnie nie przywiązywałem wagi do tych książek. Nie widziałem w nich wartości.

- To nie przypadek. Podobnie jak wygląd Lillian. Ale mówiłaś, że pani Mallory nie ma zielonych oczu, a pannę Hall opisałeś jako osobę grubą i groteskową. Niewiele z tego rozumiem, nie widzę w tym spójnego schematu. Albo może jest jakiś schemat, choć równocześnie są w tym sprzeczności.

Hunter wstał i podszedł do bufetu, by przygotować świeżą kawę z ekspresu.

- W istocie nie ma sprzeczności - powiedział. - Pani Mallory pokazała mi swoją prawdziwą twarz i była to twarz Lillian, tak jak twoja twarz jest twarzą Ruth Campbell. Zmieniła swój wygląd, podobnie jak twoja matka. Ale miała ku temu bardziej praktyczne powody. Kobieta nie może się nie starzeć, bo to wywołuje komentarze. Ona po prostu występowała w kilku przebraniach. I lubiła życie, jakie prowadziła w każdej z tych postaci.

- A panna Hall?

- Twoja matka uważa, że magia kostna jest z gruntu zła. Może być użyta w dobrej sprawie, ale nie taki jest jej cel. Uświadomiła to sobie, gdy wpadła w euforię po zabiciu Maksa Hecto-ra. Panna Hall dała mi dwie wskazówki co do siebie. Pierwszą w brezentowej katedrze, gdy nazwała mnie aroganckim, ponieważ stwierdziłem, że na tym świecie nie ma innego gatunku, który nam dorównuje. Drugą, gdy powtarzała z naciskiem, że jest raczej dobra niż zła. Panna Hall nie miała wrodzonych zdolności „magii kostnej”. Nigdy nie była taka jak ty, twoja mama, Lillian czy pani Mallory. Była czymś zupełnie innym.

Elizabeth usłyszała odgłos kroków Adama na schodach i przypuszczała, że chłopiec dołączy do ich narady wojennej. Podczas nieobecności Marka poprawiali sobie nastrój popcornem i żyli nadzieją, a gdy to nie wystarczyło, Elizabeth musiała zastosować środki nasenne. Myślała, że chłopiec wstanie odświeżony. Opowie im, czego dowiedział się w swoich snach na temat ambicji pani Mallory. Ale wszystko rozegrało się inaczej. Adam zszedł na dół w piżamie i zobaczył siedzącego w kuchni ojca. Spojrzeli na siebie i dziecko krzyknęło z radości. Objęli się mocno. Elizabeth wiedziała, że od śmierci matki chłopca ci dwaj mężczyźni nigdy wcześniej się nie rozstawali.

To była szczególna okazja. Adamowi pozwolono wypić dietetyczną colę na śniadanie. Elizabeth nie sprzeciwiała się, ponieważ sądziła, że zaaplikowany poprzedniego dnia narkotyk odwodnił organizm chłopca. Adam czuł wielkie pragnienie. Ale wyglądał zdecydowanie lepiej niż przedtem. I oczywiście fanta-

stycznie wpłynęła na niego obecność ojca. Po śniadaniu Mark odesłał chłopca na górę, żeby włożył kilka warstw ciepłych ubrań, rękawiczki, szalik, czapkę i nieprzemakalne buty. Chcieli pobawić się na śniegu, co było dla nich sporą atrakcją, ponieważ dopiero niedawno przeprowadzili się do Szkocji z południa Anglii.

Kiedy wyszli z domu, Elizabeth obserwowała przez kuchenne okno, jak biją się śnieżkami. Spojrzała na zegarek. O tej porze w zwykły dzień byłaby w drodze do pracy, ale dość szybko udało jej się znaleźć kompetentne zastępstwo. Jej kolega już wcześniej ją zastępował; był dobrym fachowcem i znał rejon. Obserwując, jak pełen energii Mark Hunter sprawnie biega po śniegu, czuła się przez chwilę przybita. Wrócił z Austrii o kulach, z ciężkimi ranami. Ona mozolnie zdobywała rzetelne kwalifikacje zawodowe. Studia medyczne trwały długo, wymagały poświęcenia, sporo kosztowały. Ale jej umiejętności były nikłe, ubogie w porównaniu z cudami, jakich jej stara matka potrafiła dokonać w jednej chwili, przywracając temu mężczyźnie zdrowie i siłę.

Wrócili po sanki. Wyciągnęli na dwór również Elizabeth. Gdy nikogo w domu nie było, dzwonił telefon, ale żadne z nich tego nie słyszało. Zjeżdżali na sankach i bawili się na śniegu. Razem z Adamem lepili bałwana. W salonie, w pobliżu mikrofonu słuchawki telefonicznej, słaby zapach wody toaletowej hrabiego pozostał niewykryty, a także niedoceniony. Nasilił się, gdy telefon dzwonił i dzwonił, a gdy nikt nie odbierał, zapach się rozwiął. W końcu dzwonek zamilkł. Zapach powoli zniknął. A wraz z nim zgasły ciche dźwięki muzyki. Nikt ich nie słyszał. Tym razem to nie Gustaw Mahler. Nie była to stateczna muzyka symfoniczna, lecz nagranie Duke'a Ellingtona utworu Billy Strayhona *Take the „A” train*. Tym razem pani Mallory słuchała jazzu. Według słów panny Hall, lubiła się zabawić. W końcu wszyscy wrócili do domu. Mieli czerwone nosy, zmarznięte palce i marzyli o przytulnym cieple. Hunter rozpalił ogień w kominku w salonie. Elizabeth przygotowała gorącą czekoladę. Mimo wszystko życie pozornie toczyło się normalnie.



Miłość i radość to ludzkie słabości, ale są to słabości silne, trwałe i cudowne, pomyślała Elizabeth. Podała gorącą czekoladę na tacy. Adam siedział u Marka na kolanach, czerpiąc siłę z miłości ojca. Elizabeth usiadła obok nich, czując, że do pewnego stopnia w tym uczestniczy.

Gdy wypili czekoladę, Adam wstał i spojrzał na nich.

- Muszę wam opowiedzieć o pani Mallory. Musicie wiedzieć, jakie ma zamiary. Jest zdeterminowana, by wprowadzić w świecie zamęt. Już tego próbowała w przeszłości, ale przegrała o włos. Świat przetrwał dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Tym razem pani Mallory nie dopuszcza do siebie myśli o klęsce. Twierdzi, że jest pewna swego.

## 9

**Mark** uważał, że istnieje głęboka różnica między magią panny Hall a magią praktykowaną przez osoby spokrewnione z Ruth Campbell. Gdy Margaret Bancroft leczyła jego rany, nie było apaszki ani błyskawicznych, zręcznych ruchów dłoni jak przy składaniu origami. Margaret tylko zamknęła oczy. I tyle. Panna Hall mruczała coś zrzędliwie nad jego pokiereszowaną ręką. Wtedy był w nie najlepszym stanie emocjonalnym, poruszony losem majora Rodrigueza. Ramię szybko się zagoiło, ale podczas tego procesu Hunter nie odczuwał przepływu ożywczej energii.

- Nie potrafię czynić cudów - gderiała. W sensie medycznym to nie była prawda. Wyleczyła przecież ramię tak fatalnie zainfekowane, że groziła mu amputacja. Ale nie był to spektakularny cud, przynajmniej w porównaniu z tym, czego doświadczył dziś rano. Matka Elizabeth, osoba starsza i krucha, sprawiła, że poczuł się o wiele młodszy, silniejszy, pełen witalności.

Przypuszczał, że to kwestia różnicy między magią wyuczoną i sumiennie

praktykowaną a magią odziedziczoną, wrodzoną. Magia pani Mallory pochodziła właśnie z tego drugiego źródła. To pewne. A wzięwszy pod uwagę sposób, w jaki igrała z nim panna Hall w domu nad Jeziorem Genewskim, gotów był uznać konfrontację z panią Mallory za sprawę beznadziejną.

Elizabeth Bancroft czarownicą? Zabawna koncepcja, pomyślał. Jego stosunek do niej diametralnie się zmienił. Nie była już dla niego tylko niezdrowym, makabrycznym, lustrzanym obrazem zmarłej żony. „Odpychająca” - teraz tego określenia na pewno by nie użył. Może dlatego, że widział ją nagą? W końcu był mężczyzną. Cierpiał z bólu i miał pogruchotane kości, ale zauważył, że lekarka ma wspaniałą figurę. Ale przecież nie tylko o to chodziło. Wrażenie robiła jej pewność siebie. Bez zakłopotania stała przy nim i spokojnie się ubierała. Przejęła odpowiedzialność za całą sytuację. Ona decydowała. Zaniósł Adama do samochodu, potem w porannym mroku szybko i pewnie jechała po oblodzonej drodze; nakłoniła matkę do użycia umiejętności, które ta przez czterdzieści lat trzymała w sekrecie nawet przed samą sobą. Przedtem odnosiła się do niego niemal z szacunkiem, on zaś nie zastanawiał się nad jej charakterem, bo pokusa, by widzieć w niej Lillian, była zbyt silna, a tak bardzo tęsknił za żoną. Teraz dostrzegł, jaką jest kobietą i już prawie nie zwracał uwagi na podobieństwo do żony. Była zadziwiająco indywidualnością. Seksowna, mądra i silna. Co za absurdalny pomysł, że mogła być wiedźmą jak pani Mallory!

I autentycznie się ze sobą porozumiewali. Przed jego wyjazdem do Szwajcarii ich rozmowy miały w sobie tyle emocji co komunikaty wag automatycznych ustawionych obok siebie. Okoliczności zmusiły ich do większej bliskości, do nawiązania przyjaźni. Straszne okoliczności. Hunter był więc podwójnie wdzięczny Elizabeth za tę przyjaźń.

Tak sobie rozmyślał, czekając na Adama, który brał gorący prysznic. Mark siedział samotnie przy kominku w salonie. Dołożył do ognia sporo drewna i w pomieszczeniu panowało przyjemne

ciepło. W pokoju gościnnym na piętrze Elizabeth czytała dalszy ciąg relacji sędziego Smitha o jego szkockiej wyprawie. Hunter zamierzał przeczytać potem całość dokumentu. Gdy pojawi się tu Adam, Elizabeth na pewno zejdzie na dół i sprawdzi, czy chłopiec wysuszył włosy. Żeby się nie przeziębził. To zadziwiające, jak ci dwoje się do siebie zbliżyli podczas jego krótkiej nieobecności. Rozpoznał to po ich języku ciała, obserwując wspólną zabawę na śniegu. Zniknął wszelki dystans między chłopcem a lekarką. To dobrze wpływało na Adama; również za to Mark czuł wdzięczność. Musi znaleźć odpowiedzi na pytania, które sformułował po wizycie w donżonie pani Mallory. Bez tych odpowiedzi gehenna syna będzie się tylko pogłębiała. Potrzebował jakiegoś tropu, wnikliwego, głębszego zrozumienia sytuacji. Bez tego nie ruszy z miejsca. Przez całe życie był człowiekiem czynu. Dzięki czarodziejskiej magii był znów cały i zdrowy. Zdolny do działania. Nie miał jednak pojęcia, co powinien teraz robić. Żałował, że panna Hall tak bardzo zwlekała z pomocą. Żałował, że tak szybko umarła. Uświadomił sobie, że w Magdalenie klątwę rzucono na pięć osób, a nie na cztery, jak zawsze przypuszczał. Najpierw nieszczęsny Rodriguez, po nim biedny Peterson. Następnie on, Mark, i jego syn. A wreszcie przeciwniczka pani Mallory, o nią chodziło, prawda? Na pannę Hall też rzucono klątwę; w innym wypadku by przecież nie umarła. Pokonała panią Mallory, a kiedy ich schrzaniła misja unicestwiła jej zwycięstwo, upokorzona pani Mallory wzięła odwet. Dlatego panna Hall go zraniła, choć chciała mu pomóc. Wcześniej nie rozumiał tej sprzeczności. Teraz chyba zaczynał pojmować. Zadzwoił telefon stacjonarny. Hunter podniósł słuchawkę. - Halo? Przedstawił się sierżant Kilbride i spytał, czy Elizabeth mogłaby się z nim spotkać. Wcześniej mówiła Hunterowi o tym, że ją nękało. Sierżant poinformował, że pojawiły się nowe okoliczności. Chciałby to omówić z doktor Bancroft osobiście. Jako

miejsce spotkania zaproponował Czarnego Dzika o czwartej po południu i Hunter obiecał, że przekaże wiadomość.

Gdy odłożył słuchawkę, telefon odezwał się ponownie. Mark przypuszczał, że znów dzwoni sierżant, któremu przypomniało się coś ważnego, ale to nie był policjant.

- Pułkownik Hunter? Mark rozpoznał głos. Milczał.

- Tu hrabia de Flurey.

- Nie, pani Mallory, to nie hrabia. Hrabia nie żyje. Pani go zabiła.

Zapadło milczenie.

- A pan zabił mnie. Śmierć nie jest jednak dokładnie tym, za co się ją powszechnie uważa. - Po dziesięciu latach rozpoznał aksamitne mruczenie i przeszły mu ciarki po plecach. Zaśmiała się gardłowo. W tle słyszał muzykę jazzową. Bix Beiderbecke grał na kornecie. Hunter niemal czuł przez telefon zapach pani Mallory; tak mu podpowiadała wyobraźnia. Mocny tytoń, różowy dżin i perfumy Jicky. - Hrabia żyje i ma się dobrze - oświadczyła. - Jeśli pan mi nie wierzy, proszę wyjrzeć na zewnątrz.

Hunter wziął telefon i podszedł do okna. Śnieg padał wielkimi płatkami, a niebo było tak jasne jak ziemia, rozjaśniona przedpołudniowym światłem. Kilkanaście metrów od domu stała bezgłowa postać w eleganckim stroju wieczorowym.

- Niezły trik - stwierdził Hunter.

- Mam w zapasie mnóstwo jeszcze lepszych, pułkowniku.

Postać na śniegu postąpiła krok do przodu. Hunter zauważył, że drży pod wytwornym ubraniem. Usłyszał, jak Adam i Elizabeth rozmawiają, schodząc na dół.

- Pani Mallory, jeśli mój syn zobaczy to ohydztwo, spłonie pani. Przysięgam na Chrystusa, że panią wytropię i osobiście podpalę stos. Zginie pani w ogniu, wrzeszcząc wniebogłosy.

Znów się roześmiała. Postać z zaśnieżonego podwórza zniknęła.

- Hunter. Myśliwy. Właściwe nazwisko - stwierdziła pani Mallory - ale twoja brawura jest żałosna. Nie chciałabym jednak nadmiernie przestraszyć twojego syna, pułkownika. Nie na tym etapie. Jeszcze nie. - Połączenie zostało przerwane.

Najpierw Adam próbował wyjaśnić, dlaczego tak niefortunnie - choć z dobrymi intencjami - skłamał, że nie pamięta, co mu się śniło. Hunter usiłował zbudować sobie obraz syna w taki sposób, jak by to zrobiła Elizabeth. Ładny i elokwentny chłopiec zmagający się z dylematem, wobec jakiego nie powinno stawać żadne dziecko. Teraz, gdy siedział na olbrzymim krześle, wydawał się drobniejszy i młodszy, niż był w rzeczywistości. Nogi nie sięgały nawet do podłogi. Łamiącym się głosem opowiadał im szczegóły prześladowających go koszmarów. Wywołałby łyzy nawet u obcej osoby, pomyślał Hunter. Rzucił okiem na Elizabeth. Nie była tu przecież obca, prawda? Przygryzła wargę i zbyt często mrugała, usiłując zapanować nad sobą. Podobnie jak on sam.

Są sny duże i sny domowe, mówił Adam. Sny domowe były najgorsze, bo dotyczyły pani Mallory, choć ona raczej nie wiedziała, że ma te sny, i bardzo się bał, że jeśli się dowie, zrobi mu coś strasznego. W snach domowych podsłuchiwał różne rzeczy i myślał, że ona się z tego powodu zezłości, a kiedy jest wściekła, postępuje bardzo okrutnie. Okrucieństwo sprawia jej przyjemność. Jest bardzo złą osobą. Tylko że tak naprawdę nie jest osobą jak inni normalni ludzie i uważa, że okrucieństwo to duża frajda.

- Adamie, gdzie dzieją się sny domowe? - spytała Elizabeth.

- W jej domu - odparł. Na twarzy miał przerażenie. Z niechęcią odwiedzał dom pani Mallory.

- Za chwilę wrócimy do snów domowych - powiedział ojciec łagodnie. - Opowiedz nam o dużych snach.

Te często dzieją się na polach bitew, wyjaśnił Adam. Przypominają filmy, tylko że ciała są zamrożone i okaleczone, a sceny znacznie bardziej przerażające i makabryczne niż to, co pozwalano mu oglądać w telewizji. Czasami sny były hałaśliwe, pełne wycia pikujących samolotów i huku artylerii. Niekiedy bitwy to-

czyły się w dalekiej przeszłości - żołnierze na koniach wymachiwali mieczami. Ale sceny nie były malownicze. Przeciwnie, jeźdźcy zachowywali się bezwzględnie i brutalnie. W tych snach więcej było martwych niż żywych.

Nie zawsze też akcja toczyła się na polach bitwy. Czasami ludzie maszerowali z pochodniami na stadionie futbolowym - Adam tak to interpretował. Słuchali nocą przemówień i ryczeli coś w odpowiedzi, a najgorszy z tego był ten ogólny hałas i odór rozgrzanych ludzkich ciał. Niektóre sny rozgrywały się w salach konferencyjnych. Mężczyźni w jednorzędowych garniturach i cienkich krawatach siedzieli wokół stołu, na ścianie wisiała mapa - zupełnie jak na starym niskobudżetowym filmie fantastycznonaukowym. Na mapie zaznaczono granice państw, a między nimi w skupiskach lub rzędach świeciły czerwone żaróweczki. Mężczyźni przy stole mieli na uszach przestarzałe słuchawki, szeptali do siebie i na coś czekali. Pili kawę z jednorazowych kubków i wszyscy palili papierosy. Sny o sali konferencyjnej wywoływały gęsią skórkę, ale były nudne. Tak sądził Adam. Ale mężczyźni z tych snów się nie nudzili. Wydawali mu się bladzi i przerażeni.

Najgorsze z wielkich snów to te, w których przeprowadzano egzekucje. Strzelano do ludzi lub wieszano ich. Wcale nie wyglądało to jak w kinie. Zawsze działo się to wczesnym rankiem. Ofiary wyciągano z prycz w mroźnej celi i jeszcze nieprzytomnym ze snu zawiązywano oczy. Potem wyprowadzano ludzi na podwórko. Tam ich zabijano. Adam z niedowierzaniem patrzył, jak szybko życie opuszcza ciało człowieka postrzelonego w głowę. Błyskawicznie. Jakby odcinano marionetkę ze sznurka. Ale krew świadczyła o tym, że to nie marionetka. I nie mógł uwierzyć, jak powoli życie opuszcza ciało powieszzone na sznurze. Powieszenie było gorsze od strzału. Nogi kopały i kopały bez końca.

Adam wstał z krzesła i powiedział, że musi zrobić siusiu. To wina dietetycznej coli. Przelatuje przez niego. Musiał iść do toalety, a potem wróci do snów domowych.

Gdy chłopiec wyszedł z pokoju, Mark i Elizabeth siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- Nie jestem dobra z historii - powiedziała Elizabeth - ale jeśli pani Mallory uda się na świecie wprowadzić zamęt, to czekają nas ponure czasy.

- Taka jest perspektywa. - Hunter pomyślał o postaci, którą widział wcześniej za oknem. - Czy sądzisz, że mój syn kiedykolwiek odzyska równowagę po tym wszystkim, co widział, co kazano mu oglądać?

- Tak, jeśli to zostanie teraz przerwane. Jestem tego pewna. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że to tylko sny, choć są plastyczne i przerażające. Bardzo jasno to rozumie. Dzieci są nadzwyczaj odporne. Ale gdyby to się przedłużało, szkody będą nieodwracalne.

- Zastanawiam się, czyby twoja matka nie mogła go ochraniać. Przez pewien czas.

- Chcesz, żebym opuściła swojego pacjenta? Popatrzył na nią.

- Chcę, żebyś mi pomogła znaleźć i zniszczyć tego potwora. Adam wrócił.

- Teraz wam opowiem o snach domowych. Są jeszcze straszniejsze. W tych snach jestem u niej w domu.

Pani Mallory mieszka w obszernym domu przy dużym placu obsadzonym drzewami. Na placu jest żwir, nie trawnik. Dom ma cztery wielkie prostokątne okna, a pośrodku wysokie frontowe drzwi z kolumnami pomalowane na czarno. Mury są kremowe. Do wejścia prowadzą schodki. Na drzwiach wisi kołatka: brodacz, który trzyma obręcz w uśmiechniętych ustach. Zastłony w oknach są zawsze zaciągnięte, a Adam nigdy nie puka przed wejściem do domu. Ledwo mógłby dosięgnąć kołatki, ale i tak jej nie potrzebuje. Wszystko przecież dzieje się we śnie i przebiega zgodnie z dziwną logiką snu.

Mieszka sama w tym domu, choć ktoś jeszcze z nią tam przebywa. Nie jest to jednak stworzenie ludzkie i Adam przypuszczał,

że już nie żyje. Siedzi w pokoju pełnym książek; Adam sądził, że to pracownia lub biblioteka pani Mallory. W oszklonych szafach stoją książki, poza tym są tam mapy nieba, globus, teleskop na statywie oraz politurowane biurko. Stworzenie, z którym pani Mallory mieszka, siedzi w fotelu przypominającym tron. Ma na sobie męskie ubranie, ale jest większe od człowieka i jego widok budzi strach. Pani Mallory zwraca się do niego jak do kogoś żywego, ale stworzenie nie odpowiada, nigdy się nawet nie porusza. Adam przypuszczał, że gdyby coś powiedziało, po prostu by tego nie zniósł. W bibliotece panuje mrok, jak zresztą w pozostałych pomieszczeniach. Choć była tam elektryczność, lampy zawsze świeciły bardzo słabo. Przypuszczał, że kobieta organizowała przyjęcia, ponieważ czasami w niektórych pokojach widział bałagan i czuł silny zapach dymu tytoniowego, a na miękkich dywanach zauważył plamy po rozlanych drinkach. Nigdy jednak nie uczestniczył w tych przyjęciach. Śniły mu się tylko skutki zabawy: przepełnione popielniczki, opróżnione do połowy butelki szampana, rzucona tu i ówdzie biżuteria i części garderoby, cekiny i pióra, kawałki folii i plamy na blatach stołów, pozostawione strzykawki. Lubiła karty. Grała tylko z kobietami. Może zadawała się również z mężczyznami, ale Adam tego nie widział. Jednak istota na tronie w bibliotece była płci męskiej. Miała na sobie męski mundur i czarne wypolerowane buty na olbrzymich stopach. Nie lubił na nie patrzeć, ale ich rozmiar i brzydota fascynowały. Przypuszczalnie zrobiono je na specjalne zamówienie.

Pani Mallory nie grała w karty w bibliotece. Nie zapraszała tam gości. Miała oddzielne pomieszczenie, gdzie stał stół do ruletki, szachownica z marmurowymi figurami i inne nieznanne Adamowi gry w politurowanych drewnianych kasetkach. Nie lubił tego pokoju bez okien. W ogóle nie lubił całego domu. Szczególnie nie lubił biblioteki, gdzie pani Mallory mówiła ze złośliwą radością do groteskowego niemego stworzenia na tronie o planach wprowadzenia zamętu na świecie.



Gdy Adam opowiedział swoje sny, poszli we trójkę na spacer. Hunter obawiał się, że bezgłowa postać w wieczorowym stroju wyjdzie z zasy chwiejnym krokiem. Pani Mallory stroiła sobie żarty kosztem hrabiego. Najpierw zabiła pompatycznego służącego, a potem go poniżała po śmierci. Przypuszczał jednak, że jej wściekłość na pannę Hall minęła, gdy przeciwniczka odeszła na zawsze. Skupiała się teraz na ważniejszych zadaniach. A plany miała ambitne. Brnęli w śniegu i Hunter miał nadzieję, że widok dzikiej przyrody w nieskazitelnie białej szacie oraz mroźne powietrze przegnają na pewien czas sny zatruwające szlachetną duszę ukochanego syna. Po spacerze Mark zawiózł ich land-roverem do pubu Czarny Dzik, gdzie zjedli solidny lunch. Gdy wrócili do domu, Adam skulił się na kanapie przed kominkiem w salonie i zasnął.

- Sen dobrze mu robi - stwierdził Hunter. - Biedny mały, jest wyczerpany po tej porannej opowieści. Sam bym chętnie uciał sobie drzemkę.

- Nie ma teraz na to czasu - zaproponowała Elizabeth. - Masz coś do czytania.

- A co ty zamierzasz robić, kiedy ja będę się zapoznawał z raportem sędziego Smitha?

- Zadzwoń do mamy. Zgodnie z twoją sugestią chyba warto ją spytać, czy byłaby gotowa popilnować Adama. Tak na wszelki wypadek.

- Potem masz spotkanie z policjantem.

- Taka już nasza ludzka dola.

- Przykro mi, że mnie tu nie było i nie wsparłem cię w tej nieprzyjemnej sytuacji.

- Miałeś dość spraw na głowie. - Elizabeth spojrzała w stronę śpiącego na kanapie chłopca.

„W tym miejscu należałoby powtórzyć dziwne informacje od Matthew Cawdora. Powiedział, że szkody wyrządzone przez czarownicę nie ograniczają się do bezbożnej ingerencji w sprawy życia i śmierci zwierząt. Mówił, że jego ojciec skarżył się na

nią: ta kobieta Campbell sprowadziła jakąś plagę, która gnębi lokalną społeczność. Kobiety stały się lubieżne, a mężczyźni kłótlivi i agresywni. Tak jakby odwrócił się naturalny porządek rzeczy, a ludzie z okolicy cofnęli się do pogańskiej brutalności, bez obyczaju i wyrafinowania, bez krzty cnoty i moralności. Ludźmi kierują sprośność i chciwość. Do opisu tej sytuacji Cawdor użył sformułowania swego oślepionego ojca: zaraza duszy. Po spotkaniu moich ludzi z bestią w lesie zostali mi tylko Car-rick i ranny kawalerzysta, który umierał na pryczy w stajni przy Czarnym Dziku. Reprezentowałem władzę Lorda Protektora, ale pilnie potrzebowałem wsparcia chętnych mężczyzn. Rano, pierwszego pełnego dnia mojego pobytu w tym rejonie, musiałem odnaleźć okręgowego szeryfa i zażądać od niego pomocy. Ochoczo mi jej udzielił. Podejrzewam, że sceptycznie, a nawet cynicznie odnosił się do wszelkich czarów. Ale wiedział, kto wygrał wojnę, i pieczęć Cromwella, nawet tak daleko od siedziby jego urzędu, stanowiła potężny nakaz. W ciągu godziny szeryf zorganizował pięciu uzbrojonych jeźdźców na solidnych koniach. Żegnając się z nim, obiecałem, że jego pomoc zostanie wyraźnie odnotowana w moim raporcie. To zobowiązanie należycie wypełniłem.

Późnym popołudniem, gdy niewiele brakowało do zmierzchu, dotarliśmy do farmy Campbellów i oskarżona kobieta musiała nam otworzyć na wezwanie. Nie okazała zdziwienia, że pojawiliśmy się w jej gospodarstwie. Nigdzie nie było widać męża ani dzieci. Nie szamotała się, gdy ją wiązano i włożono do wozu ciągniętego przez muła z jej obory. Wokół tej rozklekotanej szopy czepliwą mgiełką unosiła się woń zepsutego mięsa. Ale zapach śmierci nie towarzyszył zacnemu zwierzęciu, które musiało ciągnąć wóz do odległej gospody Czarny Dzik.

Nasza droga z konieczności znów prowadziła przez wieś, a ponieważ tym razem nie jechaliśmy galopem, mogłem się przekonać na własne oczy, czy prawdziwe są informacje Cawdora. Przekonałem się. Nastąpiła już ciemność, ale okolicę oświetlał księżyc w pełni. Na rozdrożach zbierali się pijani kłótlivi mężczyźni,

inni spali nieprzytomni w przydrożnych korytach dla bydła albo pod drzwiami domów. Niechlujne kobiety zachowywały się podejrzanie, gdzieś płakało pozostawione bez opieki dziecko. Żałosny krzyk dochodził zza rozbitego okna najwyraźniej opuszczonej szopy. W tej wsi nie królowały pracowitość i prawość. Było to miejsce ponure, jakby zapomniane przez Boga.

Dotarliśmy do gospody. Wtedy Ruth Campbell odezwała się do mnie po raz pierwszy. Sformułowała skargę, której w głębi sumienia nie mogłem zakwestionować. Powiedziała, że to niewłaściwe, iżby kobietę o jej statusie, żonę szanowanego właściciela ziemskiego, sądzić w tak nędznej i pospolitej tawernie, której progę z własnej woli nigdy by nie przekroczyła. Nigdy bym tu nie weszła, chyba że zakuta w łańcuchy, mówiła. Nie chciałabym wywołać skandalu i sprowadzić hańby na dobre imię rodziny. Naszą dewizą jest trud i wysiłek, powiedziała. Nie chcę pana urazić, sir, ale czy niewinna kobieta powinna być sądzona w miejscu, gdzie mężczyźni przepijają pieniądze?

Nie ma tu innego odpowiedniego lokalu, odparłem, a nikt pani nie każe popijać wina, madame. I nikomu nie będzie podane ani piwo, ani wino pod tym dachem, póki sprawa się nie zakończy i póki pani stąd nie wyjdzie na spotkanie losu, jaki wyznaczy sąd w obliczu Boga. Na to się uśmiechnęła. Nie mogłem się oprzeć podejrzeniu, że chciała mnie obrazić, a przynajmniej ukradkowo sobie zakpić tym protestem. Spojrzałem na nią w jasnym świetle latarni. Salę gospody dodatkowo oświetlały płomienie z pokaźnego pieca, w którym Carrick rozpałił duży ogień, na wypadek gdybyśmy potrzebowali rozżarzonego żelaza. Ale kobieta nie okazywała strachu ani najmniejszego niepokoju.

Jak na kobietę oskarżoną o zgubne praktyki przeciw Bogu, dziewczka była nadzwyczaj pospolita. Nie była piersiasta i nie miała bujnych kształtów, tak pociągających dla ludzi pożądlivych. Figurę miała zgrabną, ale raczej drobną, choć nie wątłą czy paskudnie chudą. W jej wyglądzie nie widziało się otwartej wszeteczności ani dojrzałego bezceństwa. Przeciwnie, twarz z wyraźnie zarysowa-

ną szczęką sugerowała silny charakter. Nos miała krótki i prosty, oczy o frapującym zielonym odcieniu, nad nimi rysował się cienki łuk brwi. Miały nieco koci kształt. Zmuszały do uwagi, ale bez zuchwalstwa. Patrzyła prosto i pozornie prawdziwie, a wzrok nie sugerował w żadnym stopniu tupetu, bezczelności czy innych kobiecych przywar. Usta miały ładny kształt, wargi były pełne, zęby równe. Błedej cery nie szpeciły ani ślady po ospie, ani inne plamy. Pszeniczne włosy były proste i czyste. Wydawała się wyższa, niżby na to wskazywał jej rzeczywisty wzrost. Ale nie należy tego przypisywać sztuczkom czarnoksiężkim, lecz wrażeniu spokoju i hartu ducha. Widziało się osobę ujmującą. Przynajmniej w pierwszej chwili nie było co do tego wątpliwości.

Nosiła barchanową suknię czy fartuch na prostej białej koszuli z dobrego lnu. Na stopach miała solidne skórzane buty, co świadczyło o dobrobycie, jakim cieszyła się farma jej męża.

Zacząłem ją pytać. Odpowiadała z rozmysłem. Zaprzeczała wszystkim oskarżeniom. Jej wyjaśnienia brzmiały stanowczo i uczciwie. Coraz bardziej rozumiałem, jak trudno będzie udowodnić, że stworzenia powstawały z martwych. Trudno przecież przesłuchiwać zwierzęta. Bez naszego nieżyjącego już świadka, Matthew Cawdora, mieliśmy tylko pogłoski. Przypuszczałem, że będziemy musieli ściągnąć z łóżka jego ślepego ojca. Nie miałem ochoty uciekać się do tortur. Nie to żebym był przewrażliwiony, ale jako mężczyzna wolałbym uniknąć oszpecenia kobiecej urody, jeśli nie ma pewności co do winy tej osoby.

Wtedy zaszło pewne wydarzenie. Poprzedniego dnia Carrick nie spalił wszystkich szczątków makabrycznego stworzenia z lasu. Zachował ozdobny łańcuch z ucha bestii. Chciał mi pokazać osadzone w nim dziwne kamienie. Miały szczególny szlif. Nie można było rozpoznać ich kształtu, a gdy się im człowiek dokładnie przyglądał, dostawał mdłości i odczuwał falowanie w mózgu. Odłożyłem te nieprzyjemne świecidełka na gzyms kominka i zapomniałem o nich. Teraz padł na nie wzrok Ruth Campbell. Wyraz jej twarzy się zmienił i od razu spostrzegłem, że ten obiekt ma dla niej osobiste znaczenie.

Wszystkie lampy zgasły. Wydarzenia, które nastąpiły, obserwowaliśmy przy wściekłym migoczącym ogniu pieca. Z gardła kobiety wydobył się rozdzierający krzyk. Nigdy bym nie uwierzył, że z taką siłą może wrzasnąć osoba tak drobna. Potrząsnęła mi przed twarzą pięściami w kajdanach. Odchyliła głowę i wybuchła piskliwym śmiechem. Potem jej ciało uniosło się nad podłogę i wzleciało do góry, aż głowa znalazła się w odległości stopy od stropowych belek. Nic jej tam nie przytrzymało, a jednak wisiała w górze. Nie była to sztuczka ani iluzja. To niemożliwe zjawisko dało się osiągnąć tylko za pomocą złej magii. Żaden z moich ludzi się nie ruszył, wszyscy skamienieli, ja również, co przyznaję. Wiedźma szarpnęła rękoma i pętający je łańcuch rozerwał się z trzaskiem pękającego żelaza. Rozwarła ramiona, skrzyżowała stopy i skrzyła ciało w błuźnierczej drwinie z Chrystusa przybitego gwoździami do krzyża na Golgocie. Z jej dłoni pociekła krew, kapłała też z obutych stóp w diabelskiej parodii papistowskich stygmatów. Znowu się zaśmiała i powoli opadła na podłogę. Z wykrzywionych grymasem ust ciekła ślina.

Róbcie ze mną, co chcecie, powiedziała. Ja już ostatecznie skończyłam z tym życiem.

Bezwolną zakuliśmy ponownie. Nie okazywała oznak życia, gdy na noc zamknęliśmy ją w stajni pod strażą dwóch mężczyzn. Wezwałem właściciela gospody, żeby mi dał nazwisko i adres wioskowego cieśli, który okazał się zbyt pijany, żeby nam pomóc. Przydzieleni mi ludzie niewiele spali tej nocy. Sklecieliśmy szubienicę z materiałów, które udało nam się zebrać wokół tawerny i przybudówek. Rankiem Ruth Campbell została zabrana do wsi jej własnym wozem. Szubienicę przytroczyli do siodła dwaj jeźdźcy i ciągnęli ją między swoimi końmi niczym jakiś upiorny pług. Obaj byli bladzi po mękach poprzedniej nocy.

Przeczytałem wyrok oraz oświadczenie i powiesiliśmy ją na oczach obojętnych widzów, zaniedbanych, brudnych i niedomagających po wczorajszych pługawych hulankach. Twarz kobiety nie opuchła i nie spurpurowiała, gdy sznur ją dusił. Wyglądała

spokojnie ponad pętlą, gdy ciało kiwało się łagodnie w porywach północnego jesienno-wiatru. Nigdy nie czułem takiej przykrości na widok kobiety, która umarła w konsekwencji procesu i mojego wyroku. Czy dlatego, że na początku zachowywała się tak godnie i posłusznie? Przyznaję, że po części tak właśnie było. Ale również dlatego, że wierzyłem, iż Ruth Campbell była kobietą zbałamucaną i namówioną do nikiemności, a nie grzesznicą. To ta bestia namawiała ją do zła. Byłem o tym przekonany.

Nie wróciłem natychmiast do Londynu. Za symboliczny czynsz wynajmowałem od szeryfa na kwaterę dom na pobliskim wzgórzu. Napisałem raport i wysłałem go rządowi. Zwolniłem ludzi szeryfa, a Carricka puściłem do cywila za jego lojalną służbę. Przesłano mi nowych podkomendnych. Zażądałem też, żeby przywieziono wilczarze z psiarni w Hampton Court. Przybyły żwawe i kazałem je wziąć na smycz i przeczesać pobliskie lasy w poszukiwaniu innych zdeprawowanych bestii, które teraz prześladowały mnie w snach. Nic jednak nie odkryto.

Rozpowszechniano złośliwe historie na temat ostatnich wydarzeń. Jakoby zeznania wydobyto z Ruth Campbell torturami i że choć niewinna, sama się oskarżyła, gdy wielkie męczarnie stały się nie do zniesienia dla niewinnej duszy. Twierdzono również, że podpaliliśmy dom Campbellów, wypłoszywszy ich stamtąd, i triumfalnie obserwowaliśmy, jak w płomieniach znika cały ich dobytek. Te mściwe kłamstwa są inspirowane, jak sądzę, przez szkockich wrogów Lorda Protektora. Żyją tu zwolennicy nie tylko angielskiej monarchii, ale również szkockiego pretendenta do tronu. Mój Lord Cromwell ma niewielu przyjaciół w tym rejonie. Jeśli podpalono farmę, zrobił to kto inny. Może nawet mąż kobiety był w to zamieszany. Prawdę mówiąc, jest mi to obojętne.

Ale była jedna osobliwa rzecz w tej sprawie. Zarządziłem, żeby Ruth Campbell wisiała do czasu, aż ciało ulegnie rozkładowi i oddzieli się od kości. Miała to być nauczka dla innych, którzy skłonni byliby pójść tą samą mroczną drogą. Jesień nie jest korzystna dla ścierwa w kraju tak ponurym i zimnym jak Szkocja. A jednak

ciało pozostało nienaruszone. Kruki nie wydziobały gałek ocznych, najsmakowitszego kąska dla wszystkich padlinożerców. Oczy pozostały nietknięte pod gładkimi powiekami w pięknej głowie. Wiedźma wisiała dwa tygodnie, a wyglądała tak świeżo, jakbyśmy ją powiesili dopiero wczoraj. Zatem jej wystawienie na widok publiczny odniosło skutek przeciwny do zamierzonego. Nieskalana umartwieniem opierała się bożej sprawiedliwości i kpiła z kary wymierzonej przez Republikę. Wcześniej rano podczas bezksiężycowej nocy odciąłem ją. Przenieśliśmy zwłoki, które zbadałem. Były zimne, ale ciało pozostało zupełnie nietknięte, jakby w każdej chwili mogła otworzyć oczy i łypnąć na mnie, lekceważąc całkowicie Boga i wszystko, co On reprezentuje.

Mój były porucznik, lojalny Carrick, urodził się we wschodniej Anglii, na mokradłach. Jeszcze nim odciąłem ciało Ruth Campbell, otrzymałem dziwną notatkę przez niego zainspirowaną. Wrócił do domu i opowiedział swoją historię. Dotarła ona w końcu do tropiciela czarownic, generała Bullocka, którego wysłano na biedne i słabo zaludnione nizinne tereny Anglii z misją bardzo podobną do mojej. Bullock napisał do mnie o spotkaniu ze straszną bestią, która na podstawie opisu wydała mi się znajoma. Przyznaję, że był on znacznie bardziej ode mnie doświadczony w sprawach czarnej magii. Poinformował mnie, że nieodzowny jest pewien rytuał, by dokonać ostatecznej egzekucji czarownic - pomocniczej diabelskiej istoty. Nie chodziło ani o wieszanie, ani o spalenie na stosie. Generał z naciskiem podkreślał, że należy owej procedury dopełnić. Stanowiła ona jedyną gwarancję pewnego i skutecznego wyniku, pisał.

Ruth Campbell pogrzebano należycie, oddając tę usługę jej ciału, a w rezultacie duszy. Wierzę, że jej doczesne szczątki spoczywają teraz w ziemi w pokoju.

Josiah Jerusalem Smith Napisał zgodnie z prawdą uniżony sługa Jego Wysokości Lorda Protektora z łaski Boga Wszechmogącego 29 listopada 1656 roku".

Gdy Hunter kończył czytanie raportu, Elizabeth jechała do Czarnego Dzika na spotkanie z sierżantem Kilbride'em, a Adam budził się na kanapie. Włożył maszynopis do szuflady biurka i poszedł do kuchni zrobić herbatę dla siebie i syna. Relacja sędziego podsunęła mu pewne tropy na temat tego, w jakim celu panna Hall posłała go do donżonu w austriackim Tyrolu. Woda zawrzała i czajnik się wyłączył. Hunter powrócił na chwilę myślami do Magdaleny i nagle doznał olśnienia. Był pewien swoich wniosków. Mniej pewności miał co do tego, jak może mu to pomóc. Jednak na początek coś mam, pomyślał. Wlał mleko do herbaty Adama.

- Tato?

W tym krótkim wezwaniu, które dobiegło go z salonu, wyczuwało się strach. Muszę znaleźć rozwiązanie, pomyślał. Muszę. Elizabeth ma rację. Jeśli Adama nadal będą tak nękać koszmary, jego umysł tego nie wytrzyma. W miejscu, gdzie kiedyś stała tawerna Czarny Dzik, teraz zbudowano restaurację. Dzik był lokalem z pretensjami do dobrej kuchni. Salon, gdzie sądzono Ruth Campbell i gdzie dokonał się akt świętokradczej lewitacji, przerobiono na komfortową salę barową. W kominku na tym samym obszernym palenisku płonęły sosnowe polana, z tego samego lasu. Gdy Elizabeth weszła do sali, zobaczyła sierżanta Kilbride'a siedzącego przy stole w pobliżu ognia. Klientela z pory lunchowej już się przerzedziła. McCloud stał za barem i polerował szkło. W świetlówkach połyskiwała jego łysina, a małym brązowym oczom nic nie uchodziło uwagi.

Spotkanie tutaj z Tonym Kilbride'em nie wpłynie na moją reputację, pomyślała Elizabeth. Był wysokim, przystojnym blondynem i - co rzadkie wśród oficerów szkockiej policji - po pracy dużo czasu spędzał na siłowni. I to było po nim widać. Wstał i pocałował ją na powitanie. Nic ich nie łączyło poza szacunkiem zawodowym i wzajemnym zrozumieniem. Ale McCloud o tym nie wiedział. No, trudno. Zdjęła rękawiczki i rozpięła palto.



Zaledwie parę godzin temu jadła tu posiłek z Hunterami. Teraz przyjechała land-roverem Marka. Gdyby McCloud wyrzął na parking, dostałby apopleksji. Dostarczyła mu niezłej pożywki do plotek, i to w ciągu jednego dnia.

Tony Kilbride popijał dietetyczną colę z małego kufła. Nie sprawiał wrażenia, że zamierza tu dłużej zabawić.

- Jedziemy gdzieś? - spytała Elizabeth.

- To zależy, jak zareagujesz na to, co ci powiem.

Usiadła. On również. Powinna mu postawić drinka przynajmniej za zamontowanie nowych zamków w drzwiach domku. Ale zanim ruszy do baru, musiała go wysłuchać.

- Zidentyfikowaliście sprawcę na podstawie DNA? Skinął głową.

- Tak, udało się. Czy nazwisko Cawdor coś ci mówi?

- Jedna z moich antenatek miała do czynienia z mężczyzną o tym nazwisku.

To się źle dla niego skończyło. Właściwie dla obojga to się źle skończyło.

Ale wydarzenia miały miejsce trzysta pięćdziesiąt lat temu. Nikt nie odgrzewa starych rodzinnych waśni po takim czasie.

- Nie wiem. Wiem jedno: potwierdziliśmy, że materiał DNA pobrany w twoim domku pochodzi od nauczyciela matematyki Andrew Cawdora. I wiem, że uczy w szkole, do której chodzi syn Huntera.

Elizabeth wstała.

- Idziemy - zdecydowała.

- Chcesz z nim teraz porozmawiać?

- Najlepszy moment - stwierdziła. - Poczekam jeszcze dzień, a zostanę bez dachu nad głową. Wandalizm się nasili, mogą spalić mój dom do fundamentów.

Pojechali do szkoły land-roverem. Na oblodzonych i pokrytych śniegiem drogach sprawował się lepiej niż samochód patrolowy Kilbride'a. Nie rzucał się tak w oczy, a z napędem na cztery koła był szybszy. Do szkoły powinni dojechać przed szesnastą trzydzieści. Mieli duże szanse, że zastaną człowieka, którego szu-

kają. Nauczyciele kończą pracę dopiero za godzinę. Dzieci wychodzą o czwartej. Idealny moment. Kilbride powiedziała, że nie chce jeszcze oficjalnie oskarżać Cawdora. Wolałby tylko z nim porozmawiać. Nie mieli wskazówek, kto był jego współnikiem. Ze strachu Cawdor może to wyjawić, ale najprawdopodobniej nic nie powie, jeśli usłyszy formalne zarzuty. Sprawa i tak skończy się w sądzie, ponieważ dowody były nie do podważenia. Policja będzie oskarżać, nawet jeśli Elizabeth nie wniesie pozwu.

- Skąd pobraliście DNA?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak.

- Do tablicy w kuchni przypięłaś kilka fotografii. Na twoje zdjęcie z matką ktoś napluł. To był spontaniczny odruch pogardy i niechęci. Emocje wzięły górę. Sprawca przez to wpadł. Rodzi się naturalne pytanie: dlaczego czuje do ciebie taką wrogość?

- Nie wiem - odparła Elizabeth. - Jednak niepokoi mnie co innego. Szkoły sprawdzają przeszłość kryminalną swoich pracowników. Zwykle robią to bardzo skrupulatnie. Ale wy mieliście DNA Cawdora w swojej bazie danych. Więc musiał być znany policji.

- Został kiedyś aresztowany za pijaństwo, ale go nie oskarżono. Był wtedy z tym głupkiem, Tomem Lincolnem. To kumple od kielicha. Dobrowolnie dali sobie pobrać wymaz, gdy ich zamknęliśmy w areszcie, żeby wytrzeźwieli. Wtedy szukaliśmy przestępcy seksualnego, wiedzieliśmy, że to ktoś z miejscowych. Ci dwaj pod względem wieku pasowali do profilu, a nam zależało na wyeliminowaniu niewinnych i szybkim zidentyfikowaniu właściwego podejrzanego.

- Złapaliście go?

- Tak.

- Ale próbek Cawdora nie usunęliście z bazy danych?

- Zgadza się. - Spojrzał na nią. - Możemy odbyć zaimprovizowaną debatę na temat swobód obywatelskich, ale czy nie jesteś teraz zadowolona, że próbki zostały?

Dotarli do szkoły. Dyrektorka, pani Blyth, była pacjentką Elizabeth. Podobnie jak kilku innych nauczycieli. Andrew Cawdor do nich nie należał. Poszli najpierw do gabinetu dyrektorki, żeby uzyskać pozwolenie na rozmowę z nauczycielem. Sprawa wymagała dyskrecji. Jeśli zarzuty okażą się poważne, z czasem szczegóły wyjdą na jaw. Pani Blyth zaprowadziła ich do klasy, w której Cawdor nadzorował uczniów zatrzymanych karnie po lekcjach. Zbladł, gdy zobaczył Elizabeth. Zgodził się jednak porozmawiać z nimi na osobności. Pani Blyth odczepiła klucz z masywnego kółka przy pasku sukienki, mówiąc, że w bibliotece znajdą idealne warunki do poufnej rozmowy. Elizabeth lubiła tę kobietę, ale gdy brała od niej klucz, dyrektorka skojarzyła jej się z dozorcą więziennym. Cawdor wziął swoją teczkę i przycisnął ją ramionami do piersi. Był ciemnowłosy, blady i chudy. Miał ze czterdzieści pięć lat, jak oceniała Elizabeth. Na kołnierzyku koszuli dostrzegła małą plamkę krwi. Widocznie zaciał się rano przy goleniu. Reprezentował beznadziejny przypadek starego kawalera. Miał dizajner-skie okulary - w wyrazistych ramkach tkwiły wąskie prostokątne szkła. Grube soczewki psuły jednak nieco cały efekt. Grafitowy garnitur był ze zbyt lekkiej tkaniny jak na tę pogodę. Buty na skórzanych podszewkach ślizgały się na ubitym śniegu ścieżki do biblioteki. Elizabeth stłumiła odruch współczucia. Przypomniała sobie, że najgorsze dowody zbezczeszczenia zostały uprzątnięte z jej domu przez ekipę Tony'ego Kilbride'a. Zaoszczędzono jej tego widoku. I tego, że - przynajmniej w sensie symbolicznym - Cawdor napluł jej w twarz. Elizabeth nie była wcześniej w szkolnej bibliotece. Bardzo jej się spodobał ten budynek. Okoliczności nie sprzyjały zachwytom, ale postanowiła spytać panią Blyth, czy będzie mogła tu zajrzeć innym razem. Już same witraże w oknach warte były specjalnej wizyty. W letnim słońcu to na pewno zachwycające miejsce. Małe sześciokątne rzeźbionego muru i polerowane drewno półek obstawionych starymi książkami.

Usiedli przy biurku bibliotekarza, stojącym pośrodku jedynej sali znajdującej się w budynku. Cawdor postawił swoją teczkę na podłodze. Elizabeth spojrzała na niego, a on patrzył na nią przez sztywne okulary. Spojrzenie miał wyraziste. Dostrzegła w nim strach i nieufność. Ale przede wszystkim nienawiść, która wykrzywiła mu wąskie usta. Nie potrafił ukryć silnych emocji. Nie próbował ich nawet ukrywać. Domyślał się, co ich tu sprowadza, i zdawał sobie sprawę, że zaprzeczanie jest daremne.

- Ktoś zorganizował kampanię zastraszania wobec doktor Bancroft - zaczął Kilbride. - Chciałbym pana spytać, czy może nam pan coś na ten temat powiedzieć. Na temat motywów.

Cawdor podniósł z podłogi teczkę i położył ją sobie na kolanach. Otworzył ją z kliknięciem mosiężnego zanika i wyjął plastikową okładkę z odbitkami prac klasowych. Wachlarzowo rozłożył arkusze na biurku.

- Adam Hunter uczy się matematyki na poziomie licealnym - powiedział.

- Ma dopiero dziesięć lat - wtrącił Kilbride.

- Ta szkoła to nie cieplarnia. A jego ojciec nie zgodzi się na żadne formalne egzaminy, póki syn nie osiągnie stosownego wieku. Ale musimy Adamowi dawać trudniejsze zagadnienia, żeby pobudzać jego zainteresowanie przedmiotem. Zresztą to dotyczy nie tylko matematyki.

- Jestem dosyć cierpliwy - wtrącił Kilbride - ale to, co pan mówi, ma niewiele punktów stycznych z naszą sprawą.

Doskonała uwaga, pomyślała Elizabeth. Styczne to domena geometrii. Na arkuszach znajdowały się obliczenia współrzędnych i wykresy krzywych.

Cawdor zwrócił się do niej:

- Nosi pani nazwisko Bancroft. Ale w pani żyłach płynie krew Campbellów.

W naszej okolicy pamięta się, że nazwisko Campbell ma związek z makabrycznymi i zbrodnymi praktykami. To zostało udowodnione - oznajmił nauczyciel. - Pułkownik Hunter nie znał pani przodków, gdy powierzył Adama

pani opiece. Ale ja ich znałem. - Znów sięgnął do teczki. Wyjął kartkę. Narysowano na niej trójwymiarowy kształt. Dołączony opis wykonano miękkim ołówkiem. Kiedy spojrzała na rysunek, poruszył się, wywołując wrażenie podobne do zawrotów głowy. Musiała odwrócić wzrok.

- Co to takiego? - Kilbride zbladł. Jedno niebieskie oko na-biegło mu krwią, a na linii włosów wystąpiły krople potu.

- Narysował to Adam, gdy tylko został pacjentem doktor Bancroft - wyjaśnił Cawdor. Cały czas patrząc na sierżanta, odwrócił kartkę na białe. - Takie motywy były od wieków symbolami czarnej magii. Psują logiczne rozumowanie. Podważają racjonalność. Na tym polega ich nikczemność. Jeden z moich przodków podjął badania czarów, ale antenatka pani doktor zniszczyła mu życie.

- Powoli - przerwał mu Kilbride. - Uważa pan, że doktor Bancroft w jakiś sposób deprawuje Adama Huntera? Że wbrew przysiędze lekarskiej wywiera zły wpływ na chłopca? - W głosie policjanta brzmiało niedowierzenie.

- To nie jest tylko mały chłopiec - stwierdził Cawdor. - To fenomen. Jest dobry w najgłębszym sensie. Chodzi mi o jego wrażliwość etyczną, sierżancie. W Adamie jest wielkość. Gdy dorośnie, przyczyni się do umocnienia sił dobra na świecie. To jego przeznaczenie. I to właśnie usiłuję chronić. - Drżącym palcem wskazał Elizabeth. - A ona próbuje to zniszczyć.

- Jest pan obłąkany. - Kilbride masował sobie prawą skroń. Skrzywił się z bólu. Był upartym gliniarzem. Za długo patrzył na rysunek Adama.

- Niech pan spyta jej matki, co zrobiła biednemu Maksowi Hectorowi lata temu w stodole na farmie Hectorów - powiedział Cawdor. - Albo jeszcze lepiej, niech pan spyta Toma Lincolna. Tom tam był i widział na własne oczy te krwawe, mordercze wydarzenia. Ciągle ma z tego powodu koszmary.

Kilka minut później wyszli z biblioteki. Zapadła ciemność. Andrew Cawdor kroczył szybko zaśnieżoną dróżką. Nieodpowiednio ubrany, ślizgał się od czasu do czasu. Jego życie zawo-

dowe legło w gruzach, ale nadal mocno ścisnął pod pachą swoją teczkę. Kilbride odwrócił się i oparł ciężko o parapet kamiennego okna. Zwymiotował w zmarzłe krzaki ostrokrzewu. Po raz drugi źle się poczuł. Elizabeth wyczuła w nozdrzach kwaśnawy zapach ciepłych wymiocin. Zaczerpnął powietrza i przeprosił ją. Będzie musiała odwieźć go do pubu. Policjant nie byłby w stanie prowadzić. Dobrze przynajmniej, że nie przyjechaliśmy samochodem patrolowym, pomyślała. McCloud by eksplodował, gdyby zobaczył, że wracają policyjnym wozem z Elizabeth za kierownicą. W torebce miała aspirynę i paracetamol. Przed gabinetem dyrektorki stał automat z wodą. Spacerem przeszli do głównego budynku szkoły.

- W kontekście sprawy wymienił Toma Lincolna - stwierdził Kilbride.  
- Chętnie bym o wszystkim zapomniała.  
- Możesz zapomnieć. Teraz. Nie musisz występować w roli świadka. A twój dom jest bezpieczny.

- Tak, dom jest bezpieczny. Tobie to zawdzięczam, Tony. - Stanęła i objęła go. Jego oddech pachniał kwaśno. Miała jednak odporny żołądek, a policjant zasługiwał na uścisk i chyba go teraz potrzebował.

W milczeniu szli dalej. Budynek biblioteki stał w pewnej odległości od głównego korpusu szkoły. Dzieci wyslizgały drózkę na długich odcinkach.

- On wierzy we wszystko, co nam powiedział. Jest bardzo poważnie omamiony. Ale muszę przyznać, że obrazka, który nam pokazał, nie chciałbym sobie powiesić na ścianie w domu.

Elizabeth skinęła głową. Patrzyła przed siebie na światła szkoły. Nie zamierzała podzielić się swoim spostrzeżeniem z To-nym, bo nie było takiej potrzeby, ale Cawdor powiedział coś, co pomogło jej zrozumieć zagadkowe stwierdzenie panny Hall - że Hunter nie znalazł się w Magdalenie przez przypadek.

**Zajechali** pod pub. Aspiryna zadziałała i Kilbride mógł teraz samodzielnie prowadzić samochód. Nie wstąpili do lokalu. Powinna postawić sierżantowi drinka w podziękę za to, że policyjny ślusarz naprawił jej drzwi, ale oboje uznali, że nie należy świętować, kiedy sprawa napastowania nieubłaganie zmierza do rozwiązania sądowego. Żadne z nich nie zamierzało prowadzić po drinku. Kilbride wyznał, że sama myśl o wypiciu czegokolwiek poza wodą przyprawia go o mdłości. A wymiotowałyby na sucho, bo żołądek miał pusty.

W drodze do domu Hunterów Elizabeth poczuła smutek. Teraz musi się stamtąd wyprowadzić. Ojciec wrócił i Adam nie potrzebował już całodobowej opieki. Mark wspominał, że chętnie by widział jej pomoc podczas ewentualnej konfrontacji z panią Mallory. Miała wprowadzić pewne podejrzenia, ale w rzeczywistości nie wiedzieli dokładnie, gdzie jej szukać. Dalsze mieszkanie u Hunterów nie miało żadnego usprawiedliwienia. Jej domek znów stał się bezpiecznym miejscem. Przyzwyczała się do usypiania Adama, do żarcików w kuchni, do popcornowego rytuału. Spędziła tam zaledwie kilka dni i nocy, czasami bardzo stresujących, ale na ogół czuła się cudownie. Za chwilę miała coś stracić i uświadomiła sobie, jak samotne, pozbawione emocji życie prowadziła dotychczas. To straszne. Zastugiwała chyba na coś lepszego. Ale wiedziała, że dostaje się tyle, ile się daje. Podjeżdżając pod górkę przy domu, zmieniła bieg na niższy i poczuła, jak koła zmieniają moment obrotowy i dygoczą na śniegu. Do cholery, pomyślała, zacznam rozumować dokładnie jak Jeremy Clarkson. Zaśmiała się na głos, ale w oczach miała łzy. Kiedy to wszystko się skończy, zacznę inne życie, postanowiła.

Gdy weszła do domu, Adam oglądał właśnie cholernego Clarksona. Spytała, gdzie jest ojciec, i chłopiec machnął ręką w stronę schodów na piętro. Może Mark ucina sobie drzemkę,

o której wcześniej tak marzył. Było już po szóstej, trochę za późno na sjęstę, ale w wojsku żołnierze drzemali przy każdej nadarzającej się okazji i prawdopodobnie ten zwyczaj mu pozostał. Postanowiła wziąć prysznic przed spakowaniem swoich rzeczy. Spotkanie z Cawdorem pozostawiło u niej wrażenie brudu. Weszła do łazienki - Hunter stał przy umywalce i teraz się odwrócił. Oczywiście nigdy nie zamykał drzwi, bo po co? Tylko członkowie rodziny mogliby go zaskoczyć w łazience. Nie był przyzwyczajony do tego, że trzeba się liczyć z obecnością gości w domu.

- Przepraszam - powiedziała. Na rzeźbionej muskulaturze zobaczyła szramy i pręgi. Nie mogła oderwać wzroku od nagiego torsu.

- To nie ciało, tylko mapa kampanii wojskowych. - Uśmiechnął się. Skinęła głową. Dobrze powiedzonko. Czy już przedtem kogoś nim zabawiał? Nie sądzę, pomyślała. Raczej nie był flirciarzem. A ciało... w porównaniu z innymi ciałami prezentowało się naprawdę bardzo dobrze. Zaskoczyła go przy goleniu. Wcześniej miał niesprawną rękę, więc chyba golił się po raz pierwszy od chwili, gdy matka go uleczyła. Brodę częściowo pokrywała piana. Nagle wyraz jego twarzy się zmienił. Dotarł do niego fakt, dlaczego tu weszła.

- O Boże! Proszę, Elizabeth, nie wyjeżdżaj. Zostaniesz? Proszę.

Maszynka do golenia plusnęła do wody w umywalce. Wytarł ręcznikiem pianę z brody i przez łazienkę podszedł do Elizabeth. Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go mocno w usta, a potem się do niego przytuliła. Tej nocy Adamowi śniła się wyprawa do pubu. Bardzo mu odpowiadał wspólny lunch z Elizabeth i ojcem. Chłopiec czuł się jak dorosły, a prawdziwa przyjemność polegała na tym, że o tej porze powinien być w szkole. To był zwykły szkolny dzień. A tymczasem on sobie siedział w pubie z tatą i tą fajną Elizabeth, która oprócz



tego, że jest fajna, jest jeszcze bardzo ładna. Wszystko było naprawdę super, choć nie udało mu się przekonać taty, że dwie kole dietetyczne dziennie nie uczynią z niego antychrysta zdrowego żywienia. Pozwolili mu jednak napić się lemoniady. A wścibski McCloud - jak go nazwała Elizabeth - włożył mu do szklanki z lemoniadą lód i plasterki cytryny. Słomka to ostateczna zniewaga. Lód - tego mógł oczekiwać. Ale ogólnie rzecz biorąc, musiał być nastolatkiem, żeby ci podawano cytrynę do drinka.

Pub ze snu nie był Czarnym Dzikim. Nazywał się Czerwony Byk. Nie zbudowano go z kamienia i starych dębowych belek. Tu królował metal o barwie srebrnej i niebieskiej, a sam pub miał dziwny, trochę niepokojący kształt. Szyld był oczywiście czerwony - krwisty i szkarłatny. Kiwał się na wietrze pod bladym sierpem anemicznego księżyca. Adam wiedział, że nie powinien się tu znajdować. Wiedział, że już dawno powinien spać. Nie miał pieniędzy, a w telefonie komórkowym - tata zawsze mu kazał brać go ze sobą - dawno wyczerpał się limit. Mimo to pchnął drzwi. We śnie działał z brawurą, jak bohater kowbojskiego filmu czy piosenki country, który powtarza w kółko, że nie ma nic do stracenia.

Wścibski McCloud nie polerował kieliszków, stojąc za barem, dlaczego miałby to robić? Tu był Czerwony Byk. To pani Mallo-ry prowadziła ten lokal i ona tu stała za barem. Czarne lśniące włosy rozsypały się na białej bluzce, a jej usta, na których gościł teraz uśmiech, były tak samo szkarłatne jak szyld na zewnątrz.

- Co panu podać, panie Hunter? - spytała.

Ale Adam się rozglądał. Wszędzie wisiły monitory. W Czarnym Dzikim czegoś takiego nie było. Czarny Dzik to pod każdym względem staroświeckość i tradycja. Nie chcieli tam MTV, która psuła autentyczną atmosferę Szkocji. Nie chcieli tam teledysków z Kylie Minogue i Girls Aloud. Tutaj na ekranie wyświetlano czarno-białe filmy. Miały dużą ziarnistość. Pokazywały maszerujących umundurowanych mężczyzn w ostrym świetle reflektorów. Wysoko w górze nieśli płonące pochodnie. Rozlegały się okrzyki hołdu, pieśni i wiernopoddańcze pozdrowienia. Takie sceny Adam oglą-

dał już w innych snach. Znał panujące tam zapachy: gorące oddechy cuchnące cygarami i słodkawą woń spoconych ciał.

Głośno przełknął ślinę. Bał się. Choć wiedział, że to sen, pamiętał jednak, kim jest pani Mallory, pamiętał wszystko, co mówiła i co robiła. Nie podobało mu się to, jak stoi za barem i mierzy go wzrokiem wygłodniałej osoby, patrzącej na apetyczną potrawę na talerzu. Może powinien wypełnić milczenie jakimś pochlebstwem.

- Była pani świadkiem wielu historycznych wydarzeń - powiedział. Zaśmiała się. Nie brzmiało to przyjemnie. Jakby ktoś szarpał pazurami napiętą tkaninę.

- Historia to nie widowisko sportowe, Adamie - odparła. - Nie po to jest, by ją obserwować jak mecz piłki nożnej. Jest po to, by na nią wpływać i zmieniać jej bieg. Czasami jest po to, by ją tworzyć. - Znow się zaśmiała. Nie rozumiał, co miała na myśli. Wiedział, że kiedyś to zrozumie. Nie chodziło o słownictwo. Rzadko spotykał angielskie słowo, którego znaczenia przynajmniej intuicyjnie by nie rozumiał. Jednak dorośli używali języka jako kodu. Niekiedy dopiero po pewnym czasie potrafił odszyfrować znaczenie tego, co usłyszał. Ale zawsze w końcu mu się to udawało. Nie miał ochoty na drinka. Nawet gdyby mu zaproponowała specjalność firmy, nie przyjąłby tego. Chciał wrócić do domu. Ostatnio w snach zawsze odczuwał taką tęsknotę. Chciał się obudzić. Chciał do mamy. Chciał siły i pociechy w objęciach ojca.

Następnego ranka Adam znowu zasnął. W kuchni przy śniadaniu Elizabeth i Mark dyskutowali, co należałoby teraz zrobić. Za oknem z szarego nieba padał śnieg, przykrywając krajobraz subtelnymi odcieniami białości. Na dworze panowała okryta całunem śniegu cisza. W ciepłej oświetlonej kuchni łatwo było sobie wyobrazić, że na świecie nikogo już nie ma, że pozostali tylko oni dwoje i chłopiec śpiący spokojnie na piętrze. Kuszący obraz, ale oczywiście nieprawdziwy.

- Ona może być wszędzie - stwierdził Hunter. - W Cape Town, w Hawanie, w Bostonie, w Madrycie.

- A więc twoja wyprawa do Tyrolu była tylko stratą czasu.

- Tak, jeśli chodzi o zlokalizowanie pani Mallory. Ale chyba znalazłem to, co chciała mi pokazać panna Hall. Mówiłem ci, jakie były ostatnie słowa Rodrigueza. Pamiętasz?

Elizabeth zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć.

- Coś o zachowaniu bezpieczeństwa, gdy prąd jest silny.

- Sądziłem, że to uwaga metafizyczna albo jedna z Conradowskich metafor rzeki czy coś takiego. Major Rodriguez miał skłonności do poetyzowania. Teraz jednak uważam, że mówił to dosłownie. Panna Hall wciągnęła panią Mallory w zasadzkę. Jako czarodziejka nie mogła się z nią równać. Ale nie stała na straconej pozycji. Elektryczność odbiera moc pani Mallory. Jestem tego pewien. Przypuszczam, że przez krzesło, na którym siedziała, przepuszczono ładunek elektryczny, a Rodriguez zobaczył tylko, że ona cierpi z bólu, i wyłączył prąd.

- Więc dlaczego tak z nim postąpiła?

- Skierował na nią pistolet, a ona poczuła się urażona, widząc różaniec okręcony wokół lufy.

Elizabeth myślała przez chwilę nad tym, co jej powiedział.

- Dlatego ma krzesło elektryczne. Zdaje się, że potrafię sama wymyślić, dlaczego ma również gilotynę.

- Ta informacja znajdowała się w liście Bullocka do Jerusale-ma Smitha. Żeby je zabić, musisz im odciąć głowy.

Elizabeth nachmurzyła się.

- Moja matka włada magią kostną i umrze w swoim łóżku. Albo, nie daj Boże, między rządkami fasoli. Mam mocne podejrzenia, że również Lillian mogła mieć wrodzone talenty magiczne. Wybacz, że ci to przypominam, ale ona zginęła w wypadku samochodowym.

- Twoja matka używała swoich mocy tylko w dobrej sprawie - powiedział Hunter. - Lillian przeżyła życie nieświadoma swoich możliwości. Ta rzecz, którą nazywamy panią Mallory,

zdezorientowała naturę i zadawała się z Bóg wie jak ponurymi stworami. Jest chciwa, okrutna, wyrachowana i używa swojego daru do tego, by się stać czymś innym niż tylko człowiekiem.

- Dlaczego trzyma u siebie przedmioty, które mogą ją osłabić i zabić?  
- Może to wyraz hołdu dla nich. Albo wstawiła je tam w geście sprzeciwu. Donżon jest pewnego rodzaju składnicą obiektów ważnych w jej życiu. Przebywała tam. Ale odniosłem wrażenie, że tylko przez krótki czas. W łóżku prawie nie spano. Ona tam nie mieszka. W georgiańskim domu, o którym śnił Adam, nie ma tak niebezpiecznych dla niej rzeczy.

- W Hawanie nie ma georgiańskich domów. Ani w Cape Town. A w Aberdeen czy Edynburgu domy z tej epoki są zbudowane z granitu i nie malujemy murów na kremowo - zauważyła Elizabeth.

Hunter wzruszył ramionami.

- W takim razie jest w Bostonie, jak powiedziałem przed chwilą. Albo w Filadelfii.

- Jest znacznie bliżej, Mark. Panna Hall dała ci najważniejszą wskazówkę: pani Mallory lubi imprezy. Co jest światową stolicą imprezowania?

Hunter popił kawy i się skrzywił.

- Londyn - odparł.

- I właśnie tam ją znajdziemy.

Pozostawił to bez komentarza. Ale uznał miejsce za dość prawdopodobne. I liczba mnoga też nie uszła jego uwagi.

Kiedy Adam zjadł śniadanie, ojciec zabrał go na świeże powietrze. Chłopiec znów miał sen i chciał zrzucić ciężar z serca. Sznurował sobie buty, a Hunter zdjął sanki z haka w schowku przy drzwiach. Nigdy nie zapomina, że syn jest chłopcem, a chłopcy lubią się bawić, pomyślała Elizabeth. To dobry ojciec. Kocha syna. Zrozumiała, że bardzo musi mu brakować zmarłej córeczki, choć nigdy jej nie wspomina. Nie po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że Mark ma tylko Adama. Gdyby Adam zginął, ojciec nie przeżyłby tej straty. Zginęliby obaj.

Był piątek. Elizabeth zadzwoniła do swojego zastępcy, żeby się upewnić, czy w gabinecie wszystko w porządku i czy pacjenci jej nie potrzebują. Z powodu śniegu większość ludzi siedzi w domach, ale ktoś mógł się poślizgnąć, a ponadto zimowy zabójca - grypa - lubi rozrabiać podczas tak chłodnej jesieni. Kolega poinformował ją pogodnie, że nie ma się co martwić, nie było żadnych tragedii ani katastrof. Gdy skończyła rozmowę, poszła do gabinetu Marka i zdjęła z półki kolekcję książek dla dzieci autorstwa Lillian. Oglądając je poprzednio, doznała szoku, ale teraz postanowiła bliżej przyjrzeć się postaci wilka Waltera. Przeraził ją opis, który znalazła w relacji sędziego Smitha. Moja antenatka zadawała się z tą bestią, pomyślała. A matka twierdziła, że ja też mam tajemne zdolności. I do tego ten mój wygląd. Ale nigdy w życiu nie miała wilczych myśli. Przynajmniej świadomie. Nigdy też chyba nie widziała żywego wilka w zoo.

Lillian nie zaprosiła do współpracy rysownika. Sama wykonała ilustracje do tej serii książek. Walter był brzydki i straszny. Czuł się niepewnie, co przysparzało mu kłopotów w kontaktach społecznych. Bardzo chciał uchodzić za człowieka - to był temat przewodni opowiadań. W zamierzeniu miały być humorystyczne. Elizabeth nie widziała w tym nic zabawnego. Dzieci intuicyjnie, po swojemu postrzegają książkowe postacie. Elizabeth uważała, że dinozaur Barney to kompletny palant, ale dzieci go uwielbiały. Historyjki o parowozie Tomku cieszyły się niezmienną popularnością, choć występujące tam pociągi były przeważnie złośliwe, mściwe i irytujące. Dzieci wyrozumiale traktowały książkową fikcję.

A Walterowi należało się wiele wyrozumiałości. Jego zęby przypominały płataninę kłów. Ślina mu leciała, gdy próbował pić z kubka lub gdy niezgrabnymi łapami usiłował kroić jedzenie i widelcem włożyć je do ust. Miał gęstą szorstką sierść, która mu zupełnie wystarczała, więc pocił się, kiedy przywdział ubranie, chcąc się upodobnić do człowieka. Pragnął być akceptowany, ale nie dbał o higienę osobistą. Dzieci prawdopodobnie uwielbiały tę część opowieści, pomyślała Elizabeth. Uciekał się do komicz-

ných trików, by uniknąć kąpieli czy prysznic, i pryskał się wodą kolońską dla zabicia nieprzyjemnego zapachu. Prowadził pańskie życie dzięki spadkowi - odziedziczył zapas złotych monet, które w miarę potrzeb brał sobie ze skrzyni zakopanej na tyłach ogrodu. Mieszkał we wspaniałym georgiańskim domu przy Cleaver Square w Kennington na południowym brzegu Tamizy w Londynie. Na północno-wschodnim rogu placu znajdował się pub, ale Walter nie miał tam wstępu. Dlaczego? Lillian nie wdawała się w szczegóły. Chyba celowo zakazała swojej postaci wstępu do pubu. O pubach dzieci wiedziały niewiele i mniej je to interesowało. Trudno byłoby narysować wnętrze pubu ze wszystkimi jego szczegółami. Walter skrywał wielką tajemnicę. Kanibalizm. Lubił zjadać inne wilki. Książka sugerowała, że zjadł swoich rodziców, zanim opuścił dom. Utrzymywał, że jego ulubionym daniem jest pizza z mozzarellą. Ale najbardziej lubił wilki. W ostateczności psy. Od czasu do czasu zadowalał się bezpańskimi zwierzętami. Lillian nigdy ich nie rysowała. To przenikliwość, pomyślała Elizabeth. Istniało ryzyko, że na ilustracji ofiary wyjdą uroczo, a młodzi czytelnicy, zasmuceni, zrażą się do straszego, odrażającego Waltera.

Wybawiła go panna Kuzniecowa, uwodzicielska Rosjanka, jego gosposia. Książka została napisana dobre dziesięć lat przed tym, zanim z Europy Wschodniej napłynęła fala obywateli, którzy chcieli pracować i żyć w Wielkiej Brytanii. Zatem postać panny Kuzniecowa była chwytem nowatorskim, a nie oklepanym banałem. Udało jej się Waltera uspokoić i ucywilizować, gdy zaszła obawa, że jego (i ją) zdominują wilcze instynkty. Dokonała tego w prosty sposób: grała mu na fortepianie. Utwory Mahlera najskuteczniej potrafiły ukoić jego niepokoje. Dziewczyna wykonywała je w salonie wspaniałego obszernego domu Waltera.

Elizabeth odstawiła książki na półkę. Była pewna, że Cleaver Square to rzeczywiste miejsce. Niejasno sobie przypominała, że w jakimś piśmie czytała artykuł o słynnej osobie, mieszkającej przy tym placu.

Podobieństwa między książkami a treścią snów

Adama były zbyt uderzające i nie mogły być czystym przypadkiem. Adam z pewnością czytał książki swojej mamy. Albo przechowywał te historie w podświadomości i teraz inspirowały jego sny. Albo Lillian daje zza grobu wskazówkę, gdzie należy szukać wiedzmy dręczącej dziecko. Nazwisko Mallory wiele dzieliło od nazwiska Kuzniecowa. Ale wyprawę Napoleona na Rosję wiele dzieli od naszych współczesnych czasów. Elizabeth mogła się założyć, że Mallory była kiedyś panną Kuzniecowa.

Włączyła komputer Huntera, żeby poszukać informacji w Internecie. Słynną postacią z Cleaver Square okazała się aktorka Greta Scacchi; mieszkała tam przez pewien czas w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Pub na północno-wschodnim rogu placu zwał się Książę Walii. Ulubiony lokal gangu Richardsona z południowego brzegu Tamizy. W latach sześćdziesiątych rywalizowali z gangiem braci Kray, działającym w północnej części Londynu. Mimo wątpliwej reputacji pub prezentował się na internetowej fotografii dość malowniczo. Przy placu znajdowało się kilka ostatnich knajp, ale okoliczne budynki, pochodzące z wczesnej epoki wiktoriańskiej, wyglądały wspaniale i nie poddano ich przeróbkom architektonicznym. Skwer otaczały drzewa, jednak pośrodku nie było trawnika. Co może nietypowe dla Londynu, powierzchnię wysypano żwirem.

Wrócił Mark z synem. Przygotował lunch dla wszystkich. Ostatni sen Adama nie był tak męczący jak poprzednie. Chłopak odzyskał wigor. Po saneczkowaniu miał rumieńce na policzkach. Elizabeth przypuszczała, że akcja snu nie toczyła się w domu przy Cleaver Square. Nie chciała go jednak o to pytać i znów przywoływać koszmary. Poczekaj i później spyta ojca o szczegóły, gdy Adam pójdzie do łóżka. Wtedy również podzieli się z Markiem tym, czego się dowiedziała z książek Lillian. Dobrze się czuła w domu Hunterów. Myślała wcześniej, że po namiętnej nocy rano będzie kłopotliwy. Ale namiętność jest zrozumiała między dwojgiem ludzi, którzy czują do siebie pociąg. Taka jest natura człowieka. Chodziło o seks, ale również o bliskość i pociechę. Przecież zawsze

o to chodzi. Ani trochę nie czuła zażenowania - przeciwnie, zadowolenie, że tak się sprawy potoczyły.

O czwartej po południu zachodzące słońce zaróżowiło pokryte śniegiem wzgórze. Adam wraz z ojcem ślęczał nad szachownicą. Elizabeth przygotowywała kawę. Niektórzy ludzie uważają, że tylko ze skomplikowanego ekspresu da się uzyskać dobrą kawę. Rozmyślała o Cleaver Square. Nazwa dość złowroga. Chodziło oczywiście o Cleaver - tasak rzeźnicki do rąbania mięsa. Nagle coś sobie przypomniała z taką wyrazistością, że aż głośno jęknęła i upuściła szklaną filiżankę na kamienną podłogę. Rozległ się brzdęk.

- O Boże! O Boże! - powtarzała. Zakryła sobie usta dłonią, żeby stłumić słowa przerażenia. Hunter wbiegł do kuchni i poślizgnął się na odłamkach szkła. Ręka Elizabeth drżała, palce przy ustach się trzęsły. Musi się opanować. Nie chciała krzykiem przestraszyć chłopca. Zamknęła oczy, po chwili znów je otworzyła

I skoncentrowała wzrok na ciemniejącym zaśniewanym polu za oknem. Hunter z tyłu położył jej dłonie na ramionach. Chwyciła się ich kurczowo.

- Przypomniało mi się coś z Groźnego - powiedziała.

Do kuchni wszedł Adam. Zrobił zdumioną minę, słysząc chrzęst pod butami.

- Potem ci powiem - szepnęła do Huntera.

Uprzątnęła bałagan. Mark jej pomagał. Zrobiła kawę i stopniowo odzyskiwała spokój. Potem zaproponowała, żeby wybrali się do Czarnego Dzika na kolację. Chciała odmiany w białej monotonii otaczającego ich świata. Oceniała, że Adam jeszcze nie nadaje się do szkoły, ale potrzebne mu większe towarzystwo, a obszerna, przyjazna dla dzieci sala restauracyjna to lepsze niż nic. Nie może się czuć osaczony przez koszmary, trzeba przerwać ten nastrój obłączenia, pomyślała. Przebiegł ją dreszcz strachu na wspomnienie z Groźnego.

Hunter patrzył niepewnie na syna, gdy proponowała mu wypad do pubu.

Elizabeth zauważyła wyraz napięcia i niepokoju



na jego twarzy. Ale Adam dość entuzjastycznie przyjął pomysł. Na swoje specjalne życzenie siedział na siedzeniu obok kierowcy. Ojciec prowadził land-rovera i gnał, przedzierając się przez śnieg. Elizabeth uznała, że jest okazja, by trochę poprawić wszystkim nastrój.

- Czy uważasz, Adamie, że tata jest lepszym kierowcą od Jeremy'ego Clarksona?

- Oczywiście, że tak - wtrącił Hunter, od razu stawiając sprawę jasno. - Żaden z niego kierowca. To aktor z programu rozrywkowego.

Najwidoczniej dopiero co dostał tymczasowe prawo jazdy.

- Jest świetnym kierowcą - stwierdził Adam oburzony.

- A twój tata?

- Dobrym - powiedział Adam. - Ale mówiąc szczerze, trochę się popisuje.

Atmosfera natychmiast się rozładowała. W dobrych humorach zjedli posiłek. Adam był jednak wyczerpany. Chyba właśnie o to chodziło ojcu, gdy zabrał go na spacer po śniegu. W drodze powrotnej do domu chłopiec ułożył się na tylnym siedzeniu. Hunter zerknął na niego w lusterku wstecznym i zmniejszył ogrzewanie, gdy tylko chłopiec zasnął. Ciepłe powietrze było jedynie po to, by go uśpić. Elizabeth wyczuwała w tym jakiś plan. Dlatego zanim wsiedli do auta, Marek nalegał, żeby Adam poszedł zrobić siusiu, choć chłopiec nie sygnalizował potrzeby.

- Jesteś dobrym ojcem.

- Dziękuję. - Spojrzał na nią. - Naprawdę tak uważasz?

- Naprawdę. Dlaczego pytasz?

- Bo nie mogłabyś mi powiedzieć większego komplementu. Pamiętała o jego medalach. Pamiętała, jak przywołał wiersz

Eliota, gdy się dopiero co poznali. Milczała przez resztę drogi. Wrócili do domu i Hunter zaniósł syna do łóżka. Usiedli naprzeciw siebie w fotelach ze szklaneczkami whisky.

- Dlaczego pani Mallory po prostu cię nie zabiła, skoro uważa, że stanowisz dla niej zagrożenie?

- Przypomnijmy sobie, co powiedziała o swojej klątwie, gdy w Magdalenie błagałem, żeby ją cofnęła. Stwierdziła, że dzięki jej klątwie świat jest bardziej interesujący. - Pociągnął whisky. - Bawi się nami. W ogóle nie uważa mnie za zagrożenie.

- Próbowwała cię zabić w Austrii. Hunter pokręcił głową.

- Ktoś z jej świty próbował zabić intruza i wykorzystał psy, strzegące tamtego miejsca. To nie było skierowane do mnie osobiście. W przeciwnym wypadku nie wyszedłbym z tego żywy.

- Chyba wiem, gdzie ją znaleźć.

- Już mi to mówiłaś, Elizabeth. Według ciebie jest w Londynie.

- Myślę, że znam konkretne miejsce. Wskazówka jest w książkach Lillian. Hunter zastanawiał się przez chwilę. Sięgnął po pogrzebacz i wrzucił drewno na palenisku. Polana chwyciła ogień i trzaskając, zapłonęła z nowym wigorem.

- Opowiedz mi teraz, co ci się dziś przypomniało z Groźnego - poprosił. Rosjanie wyciągnęli ją z miasta. Pluton przerażonych poborowych pod dowództwem siwego weterana wojny afgańskiej pomimo spadających bomb dotarł do piwnicy, gdzie ukryła się garstka żyjących jeszcze członków jej ekipy Czerwonego Krzyża. Dwaj Rosjanie i Włoch, specjalista od oparzeń tuż po trzydziestce, postanowili zostać. Wydawało im się, że bezpieczniej jest pozostać w mieście, niż z niego wyjść. Ale pluton majora Obłęńskiego nie dał jej wyboru. Śmierć narzeczonego Elizabeth odbiła się złym echem w mediach. Elizabeth uważała, że żołnierze nie mają specjalnego szacunku dla jej życia. Nie chcieli jednak, by zginęła teraz, podczas zażartej bitwy na rosyjskiej ziemi, gdy cały świat z uwagą śledził wydarzenia.

W Czeczenii latały tylko samoloty wojskowe: myśliwce, myśliwce bombardujące i helikoptery bojowe. Majorowi zależało

przede wszystkim na wydostaniu jej z niebezpiecznego rejonu. Aby dalej od snajperów, od zabłąkanych pocisków, rakiet, pól minowych i ostrzału ze strony własnych oddziałów. Wsadzili ją na platformę ciężarówki i zawieźli do gęstego lasu na wzgórzach na południowy wschód od oblężonego miasta. Po śmierci Petera była jak otępiała i niezbyt ją interesowało, co zamierzają z nią zrobić. Pograżona w żalu, z ulgą opuszczała teren niszczących bombardowań. Przestała słyszeć jęki cywilów, uwięzionych w podziemnych schronach - zaczęła słyszeć śpiew ptaków. I tylko wiatr zawodził w gałęziach przysypanych śniegiem świerków.

Był grudzień i panował ostry mróz. Zakwaterowano ich w chacie z bali, gdzie w jedynej izbie stał na środku żelazny piecyk. Drewniane ściany pokrywała sadza, a okna zarastał brud. W ciepłym zaduchu mężczyźni z plutonu palili papierosy, wieczorami bez przerwy pili, grali w karty albo siedząc po turecku na podłodze, kiwali się do rzewnych marszowych pieśni w świetle lamp sztormowych. Elizabeth często piła razem z nimi. Dla niej ryzykowali przeciw życie, choć bez entuzjazmu. Potrzebowała towarzystwa i łaknęła wódki uśmierzającej ból.

Żeby uniknąć krępujących sytuacji, wykopała sobie własną latrynę z dala od domku. Starła się korzystać z niej tylko za dnia. Nocą z lasu dobiegały odgłosy drapieżnych zwierząt, których się oczywiście obawiała.

Najbardziej bała się wilków, ponieważ ich liczba gwałtownie się zwiększyła, gdy zaprzestano odstrzałów, trzymających populację w ryzach za czasów radzieckich. Zima przyniosła głód. Niedźwiedzie zapadły w sen i z ich strony nic nie groziło, ale wilki nabrały odwagi. Pewnego dnia Elizabeth wyszła do latryny wczesnym rankiem, gdy zdarzyło się coś, co tak skutecznie wyparła ze świadomości.

Las był tu gęsty i pozbawiony cech charakterystycznych -wszystkie miejsca wyglądały tak samo. Nie widziała powalonych drzew ani strumieni, które byłyby dla niej drogowskazem. Tylko pnie i śnieg na ziemi. Przy swojej ścieżce do dwóch drzew przyczepiła wcześniej wąską taśmę chirurgiczną.

Jasnoróżowa taśma

tworzyła pętle dobrze widoczne na tle ciemnej kory. Tego ranka druga z taśm zniknęła. Nic się takiego nie stało, bo w nocy nie spadł świeży śnieg i Elizabeth mogła iść po własnych śladach z poprzedniego dnia.

Już miała wyjść z latryny, gdy wyczuła, że nie jest sama. Było jej zimno, tym zimniej, że miała wrażenie, jakby kuciała we wrogim cieniu. Wstała, odwróciła się i wtedy to zobaczyła. Stworzenie stało wyprostowane na małym kopczyku parę metrów za nią. Miało na sobie długi skórzany płaszcz sięgający do wielkich zdartych kozackich butów, a w czarnej rękawicy ścisnęło kawałek taśmy chirurgicznej. Pod spiczastą czapką widziała pysk i szczęki wilka, który wyszczerzył do niej zęby. Żółte źrenice oczu błyszczały niemal wesoło. Stwór pochrząkiwał nisko jakby z uznaniem, w mroźnym powietrzu rozeszła się cuchnąca mgiełka. I wtedy się do niej uśmiechnął.

Elizabeth uciekła od tej nieprawdopodobnej zjawy. Dwie godziny później znaleziono ją w śnieżnej dziurze, którą sobie ze strachu wygrzebała.

Przerażona straciła przytomność. Ciągłe nieprzytomną przeniesiono ją do chaty. Później, zanim całkowicie wyparła to zdarzenie ze swojego umysłu, była wdzięczna, że jest właśnie wśród rosyjskich żołnierzy. Oni najlepiej ze wszystkich armii na świecie wiedzieli, jak postępować w wypadku hipotermii.

Obleński rozebrał ją i natarł jej ciało łojem ze świecy. Potem ułożył ją w swoim puchowym śpiworze i zasunął zamek. Cała sztuka polegała na tym, żeby ciało nie ogrzało się zbyt szybko. Nie można dostarczyć do mózgu informacji, jak bardzo jest wychłodzone. Gdyby tak się stało, mózg po prostu by odłączył procesy życiowe i ofiara by umarła. Należało tego uniknąć oraz stymulować zdrowienie - była w tym sztuka i nauka.

Położono ją na pryczy. Obleski osobiście aplikował jej wódkę po kropelce, prosto do ust, palcem umoczoną wcześniej w szklance. Pryczę po troszeczku przysuwano do pieca. Od czasu do czasu obracano Elizabeth. Utrzymywano stałe ciepło i z wielką cierpliwością przywracano jej życie.

Obleski posłał uzbrojonych ludzi, żeby

odkryli, co ją tak wystraszyło. Wrócili z niczym. Po dwudziestu godzinach odzyskała świadomość. Ludzie spali, tylko ich dowódca czuwał ze szklanką w dłoni. Papieros palił się na brzegu popielniczki. Gdy Elizabeth otworzyła oczy, pochylił się ku niej.

- *Wólfe?*<sup>1</sup>

Spytał po niemiecku. Nie znała rosyjskiego, więc w tym języku wymieniała z majorem krótkie informacje.

- *Ja, Wólfe* - odparła.

Skinął głową. Nigdy więcej nie powracali do tego tematu. Dwa dni później zabrał ją samolot. Podczas lotu jej umysł zdołał ją przekonać, że teraz, gdy jest tak obolała z żalu, powinna zupełnie zapomnieć o zjawie w lesie, bo dzięki temu będzie miała większe szanse zachowania zdrowych zmysłów.

- Dlaczego Cleaver Square przypomniał ci tamtą historię? - spytał Hunter.

- Widziałam wtedy broń. Wbitą w pień drzewa, obok którego on stał.

Niedawno jej użyto. Była zakrwawiona. Krew zamarzła i sople zwisały z grzbietu ostrza. Wyglądała jak tasak. Choć rzeź-nik, który by się tym posługiwał, musiałby być olbrzymem. Tasak był monstrualny.

- Jak wilk, który nie ma kciuka, mógł utrzymać tasak?

- Wilki nie stoją również w pozycji wyprostowanej. Pamiętasz opis sędziego Smitha?

- Ni wilk, ni człowiek, lecz obie te istoty w jakiejś wstrętnej krzyżówce - zacytował Hunter.

- Miał skórzane rękawice. Bardzo długie palce. Tak, miał dłonie.

- Jakiego był wzrostu? Elizabeth drgnęła.

- Ponad dwa metry, dwa dziesięć. Trudno mi dokładnie określić, byłam przerażona. Ale był wyższy od mężczyzny. Jego ludz-

226

---

<sup>1</sup> *Wólfe* (niem.) - wilki.

ki wygład to maskarada. Z próżności. To był potwór. Napawał się moim widokiem. - Postawiła zdecydowanie szklaneczkę z whisky na stoliku, przy którym siedzieli. - Wiesz, co powinniśmy zrobić? Poszukać jej w Internecie. Imprezowicze nie należą do nieśmiały. A jeśli się ciebie nie obawia...

- Nie obawia się...

- Więc nie będzie się ukrywać, prawda?

Jako słowa kluczowe w Google podali: Mallory, Cleaver Square, Brooke, Berlin, Guerlain, Mahler, Magdalena. Pierwszych pięć stron, jakie wyrzuciła wyszukiwarka, okazały się zupełnie bezużyteczne. Dopiero na szóstej znaleźli fragment notki biograficznej. Magazyn, który ją wydrukował, był z gatunku tych, które bardziej dbają o dobry papier i makietę niż o dziennikarską rzetelność. Hunter zapłacił kartą kredytową za subskrypcję sieciową, żeby mieć dostęp do całego materiału. Na ekranie pojawiły się pełne stronic. Wydrukował dwie kopie, wzięli po jednej, usiedli naprzeciwko siebie w fotelach i zaczęli czytać.

„Dla Lavinii Mallory styl jest nie tyle sprawą aspiracji, ile zasadniczym warunkiem egzystencji. Ma instynktowny wdzięk, urodę dzięki błogosławieństwu genetyki i dowcip, który zawdzięcza intelektowi. Jej poczucie humoru ma odcień sardoniczny, a przy bezpośrednim spotkaniu wydaje się zbyt lodowata i obojętna, by posiadać namiętności. Ale Lavinia ma namiętności: poezję, historię, muzykę symfoniczną, a nawet politykę”.

- Chryste, to ona - rzekł na głos Hunter.

Elizabeth nie odpowiedziała. Ton tej notki uważała za obrzydliwy. Mimo to czytała dalej w napięciu.

„Przyjęcia pani Mallory odbywają się w dość zamkniętym kręgu i prawie nie ma pospolitych plotek na ich temat. Gośćmi bywają osoby wytworne, uprzywilejowane, znane i - trzeba to przyznać - znane ze złej reputacji.

Żadne konkrety na temat tego, co się na tych przyjęciach dzieje, nie wychodzą z ust

szczęśliwców, którzy otrzymali upragnione zaproszenie. Takie są reguły wśród tych, którzy osiągnęli wyżyny społecznej ekskluzywności, i każdy, kto się teraz liczy, zdaje sobie z tego sprawę. W domenie publicznej nie poznamy szczegółów, co takiego sprawia, że te długie i ekstrawaganckie imprezy dostarczają tak obsesyjnej przyjemności. Każdy, z kim rozmawiałem, przyznawał, że Lavinia dokonała wyczynu towarzyskiego, jaki z biologicznego punktu widzenia wydaje się niemożliwy. Jej przyjęcia są jednocześnie zabójcze i ożywione.

Organizowane przez nią wieczorki artystyczne są - dla kontrastu - tak trzeźwe, jak przyjęcia dionizyjskie. Zbierają się ludzie zacni, o wielkich umysłach, by dyskutować na tematy, jakie reszta społeczeństwa będzie omawiała za półtora roku. To tu niektórzy nasi najbardziej wpływowi myśliciele, stratedzy społeczni, przemysłowcy i decydenci polityczni prowadzą debaty na temat biegu spraw w naszych wymagających i niekiedy niespokojnych czasach.

A jednak gdy powiedziałem wprost Lavinii Mallory, że jest jedną z najbardziej wpływowych kobiet w Londynie, zaśmiała się tylko swoim zachwycającym gardłowym śmiechem i skromnie zlekceważyła tę uwagę. »Jestem tu tylko po to, by się dobrze bawić. Nigdy nie rozumiałam ostrzeżenia zawartego w chińskiej klątwie. Osobiście zawsze wolałam żyć w ciekawych czasach«. Spytałem, dlaczego kobieta posiadająca tak znaczne środki, zdecydowała się na kupno domu na południowym brzegu rzeki. Jej szare oczy w pięknej twarzy rozszerzyły się lekko, a intuicja mi podpowiedziała, że strasznie byłoby rozgniewać tę kobietę. Wtedy się uwodzicielsko uśmiechnęła i odrzekła: »Zawsze uważałam się za osobę z Lewego Brzegu. Mam w sobie wiele z cyganerii«.

I również wiele z nomady. Zaszczyciła już takie miasta jak Nowy Jork i Barcelona, wszędzie roztaczając swój zniewalający urok. Urodziła się w Salzburgu trzydzieści siedem lat temu, dorastała w Argentynie. Tradycyjne wykształcenie uzyskała w Szwajcarii. Mówi biegle pięcioma językami. Nadal ma mieszkanie w Berlinie. Półtora roku temu przybyła do Londynu i

robiła sobie wysoką pozycję towarzyską. Od tego czasu jest kusi-cielką z Cleaver Square i ludzie, którzy się liczą, nie mogą się jej oprzeć. Wala do niej drzwiami i oknami."

Tekst był podpisany. Autor przedstawił się jako Lucien Hope.

- Ten Lucien jest beznadziejny. - Hunter zde gustowany rzucił kartki na podłogę. - Ciekawe, czy pofatygował się, żeby sprawdzić choćby jedną informację.

- Mogę się założyć, że oryginalnemu tekstowi towarzyszyły fotografie - rzekła Elizabeth. - Mamy tu same słowa, ale nie cały artykuł, jaki się ukazał w magazynie. To nie jest autentyczna strona. Notatka jest głupawa, co sugeruje, jakiego rodzaju jest to czasopismo. Zdjęcia są znacznie ważniejsze dla czytelników fascynujących się życiem celebrytów niż wypisywane w artykule brednie.

- Opublikowano to sześć tygodni temu. Magazyn jest kwartalnikiem, więc żyje trzy miesiące. Przynajmniej teoretycznie. Jest skierowany do zbyt wąskiego grona czytelników i raczej się szybko nie sprzedaje. Spróbuję dostać egzemplarz w Edynburgu - powiedział Hunter.

- Co takiego?

- Jutro zamierzam pojechać pociągiem do Londynu i rozejrzeć się osobiście. Prosty zwiad. Nie będę jeszcze próbował się z nią zmierzyć. Kupię czasopismo i w drodze przeczytam wydrukowany artykuł. Musimy mieć plan rozprawienia się z panią Mallory. Będzie tylko jedna okazja, żeby to zrobić, więc plan nie może zawieść.

- Jadę z tobą - oznajmiła. - Matka zgodziła się wziąć Adama. Albo może tu przyjechać i go popilnować.

- Nie. To zbyt niebezpieczne.

- Myślałam, że chcesz, bym ci pomogła.

- Mówiłem szczerze: nie dam sobie rady bez twojej pomocy. Ale zanim zrobimy jakiś krok, musimy mieć plan.

Elizabeth zamyśliła się głęboko.

- O co chodzi?



- Panna Hall sądziła, że twoja obecność w Magdalenie nie była przypadkowa, a Andrew Cawdor twierdzi, że w Adamie drzemie potencjał czynienia dobra na świecie. Myślę o tym, co pani Mallory powiedziała ci na temat klątwy i co potwierdził Adam. Że ona chce wprowadzić na świecie zamęt. - Spojrzała na niego. - Mark, uważaj na siebie.

- Dobrze, będę uważał.

- Mama nie zawsze zdoła cię połatać.

- Tam nie ma psów. Mogłyby pokiereszować gości. Poza tym goście protestowaliby przeciw ich okropnemu zapachowi.

- Jest jeszcze ta wilcza istota.

- Adam twierdzi, że we śnie nie wykazywała oznak życia. A zjawa z Groźnego? Czego chciała, jak sądzisz?

- Wtedy myślałam, że chce mi zrobić krzywdę. Ale teraz sądzę, że było wręcz przeciwnie. I to mi się wydaje znacznie bardziej przerażające.

Elizabeth wstała i podeszła do komputera. Postanowiła sprawdzić w Internecie Luciena Hope'a. Znalazła nekrolog napisany cztery tygodnie temu. Mężczyzna pracował jako fotograf, stylistka i autor tekstów.

Dziennikarzem był fatalnym, ale intuicja rozsądnie mu podpowiadała, że uraził panią Mallory, gdy nieostrożnie wygłosił pogardliwą uwagę na temat lokalizacji jej domu w południowej dzielnicy Londynu. Była podwójnie poirytowana, ponieważ powtórzył tę obelgę w druku. Dalsze poszukiwania ujawniły kolejną notatkę z makabrycznym opisem. Hope z pewnością żałował własnych nieestosownych słów, gdy podciąwszy sobie żyły nadgarstków, wykrwawiał się na śmierć w wannie w swoim mieszkaniu komunalnym, które również znajdowało się na południe od Tamizy w Brixton. Elizabeth wyłączyła komputer. Doszła do wniosku, że nie przekaże Markowi tych ostatnich ponurych szczegółów. Już i tak miał dość własnych problemów.

Następnego ranka Adam bardzo źle przyjął wiadomość, że ojciec znów wyjeżdża. Zaczął płakać. Stał w kuchni w piżamie,

szlafroku i kapciach i szlochał tak bardzo, że ramiona mu się trzęsły. Elizabeth pomyślała, że powinna mu zaoszczędzić niezręcznej sytuacji, powinna wyjść stąd i nie patrzeć na rozpaczającego chłopca. Ale on bez skrępowania przyszedł do niej po pociechę. Objął ją, złożył gorącą, zapłakaną twarz na jej brzuchu, dając dowód, że choć jest nad wiek inteligentny i pozuje na osobę pewną siebie, to przecież jest jeszcze dzieckiem i ma bardzo wrażliwą psychikę. Elizabeth przyklękła i ich głowy znalazły się na tym samym poziomie naprzeciw siebie. Przytuliła go. Hunter stał zakłopotany po drugiej stronie stołu.

- Powiedz mu, żeby nie jechał - prosił Adam. - Nie może jechać. Powiedz mu, Elizabeth, on się liczy z twoim zdaniem. -Znow zaczął płakać. Łzy mu ciekły, miał zatkany nos. - Proszę.

Elizabeth wzięła ze stołu papierową chusteczkę i wytarła chłopcu twarz. Znad jego głowy spojrzała na Huntera.

- Wydadź mu polecenie. - Adam wciągał katar nosem. - Możesz to zrobić, jesteś lekarzem.

Roześmiała się odruchowo.

- A twój tata jest pułkownikiem.

- Nie. Jest pułkownikiem w stanie spoczynku.

- Elizabeth zostanie z tobą - uspokajał go ojciec. Adam spojrzał na niego.

- Kocham Elizabeth. Naprawdę. Ale gdy ty tu jesteś, tato, czuję się bezpiecznie.

Hunter obszedł stół i wziął syna za rękę.

- To tylko jedna noc - powiedział. Potargał mu włosy. Zaprowadził go do salonu i przez drzwi Elizabeth zobaczyła, że siedzą przy wygasłym kominku i ojciec pociesza syna. I próbuje go przekonać. Jednak to akurat mu się nie udało. Gdy godzinę później Mark odjeżdżał land-roverem w śnieżną zamięć, chłopiec wyglądał przez okno i miał bardzo żalowaną minę.

Hunter kupił egzemplarz magazynu na Starym Mieście w sklepiku sprzedającym ezoteryczne książki, wyroby artystyczne i żurnale. Gdy pociąg ruszył ze stacji, wyjął pismo z torby

i zaczął czytać. Na stronie redakcyjnej znajdowało się zdjęcie Luciena Hope'a, który odpowiadał za kącik mody, a w tym numerze sklecił pochlebny zbiór komunałów i mitów na temat pani Mallory. Twarz mężczyzny miała w sobie coś afektowanego: tlenione blond włosy, lekka czarna kreska na powiece i zbyt szeroki uśmiech, wyrażający pragnienie, żeby się przypodobać.

Materiał zajmował cztery strony. Najpierw była rozkładówka z jedną fotografią i zdaniem wprowadzającym, wypisanym kontrastowym drukiem na brzegu prawej strony. Tytuł całości, wydrukowany kursywą na górze obu stron, brzmiał: *Poznaj Cleaver*. Elizabeth miała rację. Niezbyt dobrze władali tu słowem pisanym, ale znakomicie potrafili oddziaływać obrazem. Czarno-białe portretowe zdjęcie pani Mallory wykonano z zastosowaniem naturalnego oświetlenia z tyłu, wdzierającego się przez prostokątne okno. Postać siedziała - a raczej pótleżała - na obszernej skórzanej kanapie. Miała na sobie czarną suknię z lejącej się połyskliwej tkaniny, uwydatniającej długie nogi i szczupłe jędrne ciało. Odślonięte ramiona i ręce rysowały się zdecydowanymi gładkimi liniami. Między palcami prawej dłoni trzymała papierosa, z którego w górę snuła się leniwa spirala dymu. Kobieta patrzyła prosto w obiektyw. Naszyjnik z czarnych pereł podkreślał elegancję długiej szyi - nie włożyła go, by skrywać zmarszczki. Hunter wiedział, że zmarszczki jej nie dotyczą. Tak jak nie dotyczą jej oszczędzanie, zajęcia gimnastyczne, portale społecznościowe, picie kawy w starbucksie, zakupy w hipermarkecie czy polityczna poprawność zakazująca fotografowania się z papierosem. To nie jej domeny. Lekceważyła praktyczne aspekty życia, jego przyziemne wartości. Nic mnie to nie obchodzi, mówiła postać na zdjęciu. Mam to w nosie. Była bardzo piękna. Huntera szkolono, by potrafił wszystko oceniać obiektywnie, i teraz wiedział, że to najcelniejsze określenia: seksowna, efektowna, piękna. Włosy miała dłuższe niż wtedy w Magdalenie. Powinno ją to postarzać, ale wydawała się młodsza i bardziej kobieca. Od niedbałego przedziałka swobod-

ne czarne fale spadały aż na dekolt. Iskrzące się szare oczy patrzyły z ironicznym rozbawieniem. Kości twarzy odznaczały się klasyczną rzeźbą, ale tę zimną doskonałość subtelnie łagodził lekki ciepły uśmiech na soczystych wargach.

- Pocałuj mnie - poleciła Hunterowi ponad dziesięć lat temu, rozchylając usta. Zdjęcie przekonywało, że takiemu zaproszeniu nie można się oprzeć. Hunter uśmiechnął się do siebie. Siedział w wagonie prawie sam. Pociąg należał do linii West Coast, a Mark dopłacił konduktorowi, by usiąść w pierwszej klasie. Osobliwe wydało mu się, że kobieta z fotografii wyglądała kiedyś jak Lillian. I tak jak teraz wygląda Elizabeth Bancroft. One też były piękne. Ale ta osoba sama siebie stworzyła. Długo nad tym wizerunkiem pracowała. I należało przyznać, że pani Mallory stworzyła z siebie coś w rodzaju arcydzieła.

Nauczycielka baletu jego córki, Kate, nazywała się Dupree. Panna Dupree też była skończonym arcydziełem. Miała delikatną budowę, zaczesane do tyłu włosy, a stopy ustawiała zawsze w baletowej pozycji. Kobieta przestała występować w końcu lat osiemdziesiątych. Miało się dziwne wrażenie, że jej wiek zmienia się w odwrotnym kierunku. Hunter podzielił się tym spostrzeżeniem z żoną.

- To rezultat ciężkiej pracy. - Lillian śmiała się z naiwności męża. - W jej twarzy jest więcej botoksu niż żywych komórek. Miała więcej poprawek niż system Windows.

Hunter spytał Lillian, co to takiego botoks, i usłyszał wykład o kolagenie i całej kosmetycznej alchemii, dzięki której bogate kobiety pozostają wiecznie młode.

Wtedy spojrział na żonę, która ani o dzień się nie postarzała od chwili, gdy się poznali.

- A ty to stosujesz? - spytał. Znów się zaśmiała.

- Są łatwiejsze sposoby.

- Łatwiejsze?

- Można powiedzieć: bardziej naturalne.

Rosaline Dupree nie wyglądała naturalnie. W przeciwieństwie do pani Mallory. U tancerki twarz powyżej szczęki była napięta, niezdolna do wyrażenia żadnych emocji. Mięśnie biorące udział w ekspresji zostały sparaliżowane botoksem - kosmetyczną trucizną. Ale gdy w bladym listopadowym świetle, padającym przez okno pociągu, Mark uważnie oglądał zdjęcie w czasopiśmie, nie dostrzegając żadnych oznak ingerencji retuszu. Mimo woli się uśmiechnął. Nic dziwnego, że biedna, gruba, zrzędliva panna Hall zawsze gderała, mówiąc o pani Mallory. Odwrócił stronę. Następna szpalta zawierała całostronicową reklamę perfum Shalimar, a strona po prawej - zdjęcie z dalszym tekstem, wydrukowaną kontrastową czcionką. Fotografie zrobiono również we wnętrzu. Była czarno-biała, z dominacją czerni. Ale to przecież świat pani Mallory.

Hunter uznał, że zdjęcie jest pozowane. Kobieta opierała prawą rękę na fortepianie koncertowym Steinwaya. W lewej dłoni trzymała bukiet róż kwiatami skierowany do dołu. Oczy miała spuszczone. Na deskach podłogi pod bukietem leżał stos bladych płatków. Uśmiechała się tajemniczo, z rozbawieniem, i lekko przygryzała dolną wargę. Ta niedoskonałość sprawiała, że była bardziej ludzka. Wyglądała wspaniale. Hunter przypuszczał, że to Lucien Hope wystylizował tę fotografię. Pani Mallory miała na sobie trzyczęściowy męski garnitur wieczorowy. Spodnie eksponowały jej długie nogi, a ciasno zapięta kamizelka podkreślała wąską kibić. Huntera uderzyło to, że fotografia mogła pochodzić z dowolnego okresu, nawet sprzed osiemdziesięciu lat. Na fortepianie stało popiersie. Rozpoznał kwiecisty urok Ruperta Brooke'a. Przypomniały mu się początkowe wersy jego słynnego wiersza:

*Gdybym miał kiedyś umrzeć - pomyśl czasem o mnie, Że gdzieś tam, na obczyźnie, jest obcy szmat pola, Co zawsze będzie Anglią...*

Przez rosyjskie stepy, Berlin, Magdalenę i Bóg wie jakie jeszcze miejsca pani Mallory w swojej mrocznej wędrówce dotarła do Anglii. Nie była jednak Angielką. I z pewnością nie przybyła do Anglii, by tu umrzeć. Hunter natomiast był Anglikiem, tu chciał żyć - w białych, zimowych, dzikich rejonach szkockich gór. Wersy poematu dźwięczały mu w umyśle; przypomniał je sobie i rozkwitło w nim zimne przerażenie. Nie potrafił tego zwerbalizować, ale wiersz z jakiegoś powodu skierował jego myśli do syna, do Adama.

Bieżący numer tego dość ezoterycznego magazynu przedstawiał sylwetkę Lavinii Mallory. Traf chciał, że Hunter przeczytał artykuł. Uznał to za szczęśliwy zbieg okoliczności, który może mu pomóc w poszukiwaniach. Ale to był element schematu, który zaczął się w Magdalenie i dramatycznie przyspieszył w snach nawiedzających Adama. Wiedźmę zaprezentowano w prasie, ponieważ stała się teraz osobą publiczną. Cieszyła się szacunkiem i uznaniem. Zyskała wpływy w kręgach opiniotwórczych. Zbliżał się czas, gdy pani Mallory spróbuje zaprowadzić na świecie swój zamęt. Ten straszny czas nadchodził nieuchronnie. Przyjdzie szybko i nie będzie przed tym ucieczki.

## II

**Gdy** Hunter wyjechał, Elizabeth próbowała trochę rozruszać Adama. Chciała go zabrać do wsi na zakupy. Wiedziała, że poprawianie nastroju dziecka przekupstwem to chwyt tani i płytki. Na studiach miała wykłady z psychologii wieku dziecięcego. Ale przecież sama, kiedy jeszcze prowadziła życie towarzyskie, lubiła dostawać niespodziewane prezenty. Taka jest natura ludzka. Teraz uznała, że dla chłopca będzie to korzystne i nie wyrządzi mu trwałej szkody. Prawdę mówiąc, ostatnio sceptycznie

traktowała ortodoksyjną psychologię - przeżyła sytuacje, w których musiała zweryfikować jej teorie.

Najpierw chciała jednak zajrzeć do rodzinnego domu. Co prawda Margaret widziała już Adama, wtedy jednak cały czas spał. Niewykluczone, że w którymś momencie chłopiec zostanie pod jej opieką, więc oboje powinni się wcześniej nawzajem poznać i zaakceptować. Niezbyt się ucieszył z pomysłu wizyty u starszej pani. Nic dziwnego. Ale z entuzjazmem przyjął perspektywę przejażdżki samochodem Elizabeth. Uważała swój MG za mały samochód miejski, ale on uznał go za auto sportowe, bo miało odsuwany dach i zielony kolor. Land-rover taty to stateczna nuda, a samochód Elizabeth jest super. Gdy zarzucało ich na śliskiej ośnieżonej szosie, Elizabeth trochę się bała i wcale jej to nie ekscytowało. Dobrze przynajmniej, że w weekend nie ma tu ruchu. Obawiała się, że ją zniesie na przydrożny murek. Uszkadzając karoserię, straciłaby u Adama poważanie. Chłopcu jednak najwyraźniej przejażdżka się podobała i humor mu się poprawił.

Matka przywitała ich pełna energii. Wygląda o dziesięć lat młodziej niż tydzień temu, pomyślała Elizabeth. Czy dlatego, że zrzuciła z serca ciężącą jej prawdę na temat złowrogiej natury Ruth Campbell? Prawdopodobnie jednak wezwanie uśpionych przez lata magicznych mocy dodało jej energii. Uleczyła Marka Huntera i równocześnie sama nabrała witalności.

- Adamie, lubisz ogniska? - spytała. Wcześniej zrobiła im herbatę.

- A czy papież jest katolikiem? - odparł.

- Chyba tak, tak sądzę. A więc dostałam odpowiedź. - Poprowadziła go do okna i pokazała oddalony dwadzieścia metrów od domu kamienny krąg o średnicy mniej więcej dwóch metrów. - Najpierw dajemy suche szczapy, potem gałązki, a na końcu duże gałęzie.

- Wiem, jak się rozpala ognisko - oznajmił. - Zanim się tu przeprowadziliśmy, należałem do zuchów.

- Dobrze. Za domem są trzy młodniaki. Znajdziesz tam wszystko, czego potrzeba. Nie wychodź za las i nie przechodź przez drogę.

I nie nabieraj mnie, nie używaj porąbanego drewna, które złożyłam przy drzwiach. To do kominka. Zorientuję się, bo wszystkie sztuki mam policzone. - Spojrzała surowo, a potem puściła do niego oko. Adam się uśmiechnął. - Wkładaj płaszcz i jazda. Otworzył drzwi i skoczył w śnieg.

- Zbierz dużo drewna - krzyknęła za nim Margaret. - Potrzebne nam prawdziwe ognisko. - Zamknęła drzwi.

- Mamo, od kiedy jesteś piromanką? Margaret Bancroft spojrzała córce prosto w twarz.

- Zamierzam spalić coś, co powinnam zniszczyć już dawno temu. Płomienie niech będą wysokie, a żar w centrum ogniska biały z wściekłości. Gdy ten diabelski obiekt będzie płonąć, chcę widzieć w oczach przedstawionych na nim istot prawdziwy ból unicestwienia.

- Mamo, powiedz, co wiesz?

- Wiem, że dziecku i ojcu grozi wielkie niebezpieczeństwo. I tobie też, ponieważ pokochałaś tego człowieka i jesteś oddana jego synowi. Jesteś lojalna i zawsze byłaś odważniejsza ode mnie, niech mi Bóg wybaczy. Adam wyszedł dopiero przed chwilą i zbieranie drewna zajmie mu przynajmniej pół godziny, myślała Elizabeth. Wytrzyma na mrozie. Po ojcu odziedziczył odporność fizyczną. Po matce chyba też. Przygotuje solidne ognisko.

- Mamo, naucz mnie, jak to się robi. Jeśli mam w sobie tę moc, powiedz, co jest potrzebne, żebym ją mogła wykorzystać.

Matka spojrzała jej prosto w oczy.

- Niczego nie musisz się uczyć. Tę moc miałaś w sobie od dziecka, zanim jeszcze zaczęłaś chodzić i mówić. Moc silniejszą, niż kiedykolwiek ja miałam.

- Musi być jakaś technika.

Margaret Bancroft spojrzała na nią gniewnie, wzrokiem złym, oburzonym.

- Chodzi ci o jakiś trik? - Podeszła do blatu kuchennego i z magnetycznej taśmy pod półką na kubki zdjęła duży nóż do



trybowania. Lewą rękę położyła na desce do krojenia wnętrzem dłoni do góry.

- Mamo...

Matka stanowczym ruchem przeciągnęła ostrzem po otwartej dłoni. Noże zawsze miała ostre. Cięcie było głębokie. Przez sekundę Elizabeth widziała białą kość i niebieską chrząstkę, ale ciało szybko zareagowało na zadany mu gwałt. W rozcięciu wezbrała krew i wylała się na dłoń i deskę.

- Możesz zacząć od tego. - Margaret ruchem głowy wskazała ranę. Mówiła głosem spokojnym, bez nacisku. - Skoro sądzisz, że jest ci to potrzebne, potrenuj na tym.

Nie poszedł od razu na Cleaver Square. Wcześniej zadzwonił do dawnego kolegi z wojska i umówił się z nim na spotkanie. James Preston był jednym z najlepszych żołnierzy, z jakimi Hunter miał zaszczyt służyć. Został zwolniony, gdy kilka lat temu wpadł podczas losowego testu na obecność narkotyków. Należał do najbardziej sprawnych mężczyzn zakwalifikowanych do pułku spadochronowego. Teraz wykorzystywał swoje umiejętności jako trener osobisty. Prowadził studio w Bermondsey, na parterze poprzemy-słowego budynku przerobionego na szykowne apartamenty. Jego mieszkanie zajmowało oddzielony panelami róg apartamentu, którego był właścicielem, a w pozostałej części stały maszyny kulturystyczne, wisiały worki treningowe i leżały stosy zapasowych ciężarków. Miał słynnych klientów, często z branży filmowej. Znał swój fach i bardzo szybko osiągał zauważalne rezultaty.

Drzwi nie były zamknięte. Hunter wszedł i znalazł się na sesji treningowej. Jimmy skinął mu znad notatnika - klient przebierał nogami na automatycznej bieżni. Powietrze w sali było gorące i trochę cuchnęło. Hunter miał nadzieję, że klient - którego twarz wydała mu się znajoma - kończy ćwiczenia, a nie dopiero się rozgrzewa. Bardzo lubił Jimmy'ego, ale akurat dziś nie mógł tu dłużej zostać. Usiadł na ławeczce. Lokal robił wrażenie prze-stronnością i bogatym wyposażeniem. Jimmy kupił go za spadek

rodzinny. Miał dochody z funduszy, akcji i udziałów w firmach. Hunter podejrzewał, że większość pieniędzy, jakie kolega sam zarabia, wciąga przeważnie nosem.

Klient kończył zajęcia. Wyszedł dziesięć minut później, a Jimmy starannie zamknął za nim drzwi. Podszedł niespiesznie do Marka. Uścisnęli sobie dłonie.

- Jimmy, a co robi to tam w rogu? - Hunter wskazał obiekt ręką.

- W porządku. Jest z demobilu.

- To milan, na litość boską. Pocisk przeciwpancerny.

- Na pamiątkę - wyjaśnił Jimmy.

- Nie wystraszy ci klientów?

- Większość z nich myśli, że to rekwizyt teatralny.

Hunter się uśmiechnął. Niektórzy wychodzą z wojska zupełnie odporni na standardy życia cywilnego. Kapitan James Preston należał do takich ludzi. Ale on nie opuścił wojska z własnej woli.

- Zamówiłeś to, o co cię prosiłem?

- Dlaczego nie nazywamy rzeczy po imieniu?

- Zamówiłeś?

- Sam mógłbyś to kupić na eBayu.

- Jezu, Jimmy.

- Transport jest w drodze, bądź spokojny, Mark. To najsilniejsze, co można dostać. Cholernie śmiertelne. Jak mówiłem, jedzie już do Szkocji.

Hunter spojrzał na starego przyjaciela: miał na sobie mundur polowy, podkoszulek w zielone prążki i buty do chodzenia po dżungli. Sprawiał wrażenie, że jest w dobrej kondycji. Ale to było powierzchowne wrażenie.

Kokaina niepostrzeżenie rujnowała mu organizm.

- Spotykasz się z kimś?

- Okazjonalnie. Nic poważnego. Nie chciałbym wpaść w domowe szczęście.

- Nie na darmo nazwali to domowym szczęściem - zauważył Hunter.

- Według mnie rację ma ten, kto śpiewa, że jak nie masz nic, to nie masz nic do stracenia.

- No, jestem ci wdzięczny za przysługę. Dzięki, Jimmy.

- Nie ma za co. - Zawahał się. - Miałbyś czas napić się kawy?

- Kiedy indziej. Lepiej już sobie pójść. - Hunter odwrócił się.

- Chciałbyś pożyczyć pistolet? Mark się zatrzymał.

- Masz pistolet?

- Jasne, że mam. Jezu, za kogo ty mnie uważasz, Mark? Za pieprzonego pacyfistę?

- A po co by mi był potrzebny pistolet?

- Bo gdzieś się wybierasz, stary, i masz wypisane na twarzy, że najprawdopodobniej będzie ci potrzebny pistolet.

Ale pistolet chyba by mu się nie przydał? Zastanawiał się nad tym w metrze, podczas krótkiej jazdy do Kennington. Pomyślał o podwójnym strzale, o egzekucji, jakiej dokonał - albo wydawało mu się, że dokonał - na pani Mallory. W Magdalenie stał w deszczu i widział, jak w oknie kołysze się panna Hall; pomyślał wtedy, że odprawia jakiś żałobny rytuał nad zmarłą przeciwniczką. Ale pani Mallory nie umarła. Ślizgając się po kafelkach, podniosła się na nogi i rzuciła klątwę na pannę Hall, inicjując u niej chorobę, która miała ją zabić za dwanaście lat. A on z ulicy widział w oknie rozpaczającą pannę Hall - rozpaczającą nad sobą.

Gdy o szóstej wieczorem wychodził z metra na Kennington, było ciemno i porządnie lało. Przed stacją parkowały dwa duże samochody oddziałów prewencyjnych. Wielkie krople odbijały się od karoserii, spadały przez osłony przednich szyb. W żółtym świetle latarni Hunter ledwo mógł dostrzec siedzących we wnętrzu policjantów w pełnym rynsztunku, którzy ponurym wzrokiem patrzyli prosto przed siebie zza przyłbic hełmów. Na chodniku stali policjanci z dużymi psami; smycze były napięte, a sierść zwierząt lśniła od wody.

Hunter postanowił przejść skrótem przez jakieś podwórko, ale zaraz tego pożałował. W bramach i na klatkach schodowych

komunalnych domów czaili się zakapturzeni młodzieńcy. Patrzyli na niego wrogo. Odwagi dodawały im sapiące pitbulle, trzymane na łańcuchach przyczepionych do obroży. Podejrzewał, że większość tych dzieciaków ma przy sobie noże. Okazywali wrogość każdemu obcemu. A on był dla nich obcy - wiekiem, ubraniem i całą postawą. Wiedział jednak, że nie jest dla nich naturalnym celem ataku. Wyglądał na człowieka silnego i znającego się na rzeczy. Poczł teraz te same obawy, jakie mu niekiedy towarzyszyły na ulicach Irlandii Północnej, gdy najpierw służył w pieszych patrolach, a potem w pułku prowadzącym tajne operacje. Nigdy przedtem w angielskim mieście nie przeżył podobnego niepokoju. Czytał prasę, ale nie wiedział, że sprawy przybrały aż tak zły obrót. Miał do Kennington Lane ze sto metrów i za chwilę powinien znaleźć się na placu, gdy wtem ktoś zastąpił mu drogę.

Biały, przemokły, rozgorączkowany chłopak dziwnie podrygiwał; to skutek nadużywania cracka. W prawej pięści trzymał nóż.

- Odłóż ten nóż, synku - powiedział Hunter spokojnie. - Masz do czynienia z dorosłym. - Podniósł otwarte dłonie z rozstawionymi palcami nieruchomymi jak głązy. - To wszystko, czego mi potrzeba. Wystarczy, żeby cię wsadzić do bardzo ciemnego miejsca.

- Tam, gdzie pan idzie, jest ciemno - powiedziała zjawa. Uśmiechnęła się i czmychnęła z powrotem w mrok.

Adam wykazał się imponującą pracowitością. Przez godzinę przygotowywał ognisko. Gdy z mrozu wrócił do domu, Margaret Bancroft zrobiła mu gorącą czekoladę, żeby odtajał. Upiekła racuszki. Rękę miała zupełnie zdrową.

- Angielskie racuszki? Zmiękłaś, mamó. Gdzie twoja patriotyczna duma.

- Nie mogę dać herbatników owsianych temu delikatnemu malcowi - odparła. - To się nie godzi. Wchodzimy w okres bożonarodzeniowej życzliwości dla wszystkich ludzi. To obejmuje również chłopców. - Atmosfera między nimi dwiema znacznie się poprawiła.

Stos na ognisko miał ponad dwa metry wysokości. Kobiety, zajęte czym innym, nie obserwowały wcześniej przez okno całego procesu budowy. Elizabeth nie rozumiała, w jaki sposób chłopak zdołał wznieść tak duży stos bez drabiny. Matka miała drabinę, ale zamkniętą na klucz w stajni.

- Zasada jest taka sama jak przy budowie piramid - wyjaśnił Adam. - Zaczynasz od szerokiej podstawy, żeby konstrukcja była stabilna.

Oczywiście nie możesz zbyt ciasno układać, bo ogień musi mieć dopływ tlenu. Na szczęście gałęzie mają przewagę nad cegłami, bo się same splatają. Łączą się. Jeśli podstawa jest prawidłowo zrobiona, dalej idzie łatwo. Potem już tylko rzuca się gałązki, ale trzeba uważać, żeby na ciebie nie spadły.

- Nie ma zagrożenia, że obsuną się lawinowo? - spytała Margaret.

Odwrócił się do niej.

- Jeśli chodzi o sprawy konstrukcyjne, to byłby największy koszmar, jaki może panią spotkać, pani Bancroft.

- Mów do mnie Margaret - poprosiła. Potem cicho powiedziała do córki: - Jest bardzo bystry.

Pozwoliły Adamowi podpalić ognisko - przecież sam wzniósł stos. Gdy płomienie buchnęły, twarze całej trójki skąpał czerwony żar. Wtedy Margaret Bancroft wymknęła się do stodoły. Z kieszeni swetra wyjęła klucze do kłódki. Adam stał przed Elizabeth, opierał się o nią, a ona objęła go od tyłu ramionami. Odruchowo schwycił jej dłonie i dopiero po dobrej minucie się zorientował, że trzyma ją tak mocno. Wpatrywali się w trzaskające czerwono-białe palenisko u podstawy ogniska. Wtem zauważyli, że jakiś duży płaski przedmiot wpada w sam środek ognia, wybijając w zimne powietrze snop syczących iskier. Obiekt od razu zajął się ogniem. Sukno, w które był owinięty, pomarszczyło się i jakby wyparowało. Wyrzeźbione na panelu złośliwe kształty przesuwają się chaotycznie, gdy płomienie go lizały, a żar gwałtownie pożerał z głośnym rykiem. Drewniany panel marszczył się, wygi-

nał, pokrywał bąblami jak żywe ciało. W końcu jednak stracił tę żywotność pochłonięty przez ogień i zamieniony w popiół, zdradzony przez suchość wiekowego drewna, z którego został kiedyś wyrzeźbiony.

Margaret otrzepała dłonie. Zabrzmiało to jak oklaski. Elizabeth odwróciła się do matki. Niedawno podnosiła ten panel; oceniła, że waży ponad dwadzieścia kilogramów. A matka cisnęła go w ogień jak poduszkę. Nie dziwiła się jednak, skąd u niej taka siła. Wiedziała, że to ona sama wcześniej przekazała ją matce, gdy były w kuchni, a Adam przygotowywał ognisko, przy którym teraz grzali się we troje.

Elizabeth jako dziecko była sprawna manualnie. Lubiła budować różne rzeczy dla zabawy. Po ognisku i lunchu matka znalazła na strychu pudło z jej starymi zabawkami konstrukcyjnymi meccano i zniosła je na dół. Adam bardzo się z nich ucieszył. Rozsunięto meble w salonie i chłopiec montował coś na podłodze, a kobiety rozmawiały w kuchni.

Elizabeth miała nadzieję, że teraz matka będzie z nią szczerą.

- Czy widziałaś kiedyś wilka, mamó?

- Nie. Ale chyba wiem, co masz na myśli. To nie są ani prawdziwe wilki, ani prawdziwi ludzie. Były przedstawione na panelu, który spaliłam. Są jakby na szczeblu ewolucji, która mogłaby mieć miejsce, gdyby rozwój świata potoczył się bardziej mroczną drogą. Śniły mi się. Myślałam, że to jakaś freudowska sprawa. Ale w moim życiu seksualnym wszystko dobrze się układało, a nasze małżeństwo było naprawdę szczęśliwe. Użyłam przeciw nim swojej mocy.

- Użyłaś magii, żeby powstrzymać koszmary?

- Tak.

- Co to były za sny?

- Niepokoiły mnie, przerażały. Musiałam z tym skończyć. Śniły mi się istoty, które chodziły na dwóch nogach. Nosiły ludzkie ubranie. Miały ludzkie maniery i potrafiły mówić. Próbowwały się ze mną komunikować.

- Co mówiły?

- Nie wiem, Lizzie. Nie mówiły po angielsku. Powierzchnownie znam gaelicki i trochę francuski. Ale potrafię rozpoznać inne języki. Mówiły po rosyjsku i niemiecku, a raz sen był straszny, śniło mi się, że jedna z tych istot mówi do mnie po łacinie. I według mnie brzmiało to bluźnierczo.

- Wszystko jest takie groteskowe.

- Ty tego nie słyszałaś?

- Ominęło mnie to, dzięki Bogu - odparła Elizabeth. Ponieważ przygotowanie ogniska i zabawa z meccano bardzo poprawiły Adamowi nastrój, Elizabeth zrezygnowała z wyprawy do wsi po prezent. Gdy żegnali się z Margaret, zabrał ze sobą olbrzymie pudło z niedokończoną skomplikowaną konstrukcją. Zachwyił go ten zestaw do składania modeli i w domu nadal się nim bawił w skupieniu. Wieczorem poszli na spacer po śniegu. Po powrocie Elizabeth przygotowała kolację, a potem jedli razem popcorn i oglądali dwa pierwsze filmy z cyklu *Powrót do przyszłości*. Dyskutowali o podróżach w czasie. Zastanawiali się, czy są możliwe. Wreszcie Adam musiał iść do łóżka.

Bez niepokoju wchodził po schodach na piętro. Elizabeth przypuszczała, że Adam odziedziczył odwagę i wytrzymałość fizyczną po ojcu. Ale może to niesprawiedliwa ocena? Wprawdzie demony nie były jego demonami, ale hart ducha, z jakim stawiał im czoło, z pewnością był jego własną zasługą. Elizabeth otuliła go kołdrą i pocałowała w policzek. Odwrócił głowę i zamknął oczy, a ona spojrzała ponad jego głową na półkę z książkami. Stał tam prawie cały komplet serii *Patrzę, podziwiam, poznaję*. Tomik o „Titanicu” zawierał wykonane aparaturą podwodną fotografie statku, spokojne, nieruchome, poważne obrazy głębin, w których zatonał. A na okładce tomiku o księżycowej misji „Apolla” widniał zimny, pokryty kraterami księżyc. Elizabeth oglądała inne zabawki i rzeczy chłopca: samochody, rozrzucone baterie, scyzoryk armii szwajcarskiej, sztuczną szczękę ze sklepu ze śmiesznymi gadżetami oraz kubek z ciemnej skóry, a w nim

stare kości do gry - zapewne kupił to na pchlim targu za swoje kieszonkowe. Nagle Elizabeth zalała fala złości. Chłopcu zabrano prawo do szczęśliwych swobodnych marzeń sennych, a przecież to prawo każdego dziecka. Ukradziono mu istotną część jego osobowości. Zadrżała, choć w domu Hunterów było ciepło. Wyszła z sypialni, mając nadzieję, że chłopiec zapadł w głęboki beztróski sen.

W pokoju na dole włączyła komputer, żeby przeczytać pocztę. Czuła się zmęczona i zamierzała wkrótce pójść w ślady Adama. Poprzedniego wieczoru wysłano coś do niej z British Library. Uzupełnienie pliku, który już wcześniej otrzymała. Otworzyła dokument. Nie był długi.

Wydrukowała go i zasiadła w salonie do czytania.

„Piszę to tylko z obawy, iż czas mój się kończy, a chciałbym umrzeć z czystym sumieniem, żeby żadna tajemnica nie została ukryta i żeby nie jątrzyła mojej nieśmiertelnej duszy. Jak powiedziałem, czarownica Ruth Campbell została zdjęta z szubienicy i postąpiono z nią zgodnie z zasadami wyłożonymi w pilnym liście z nizin. W końcu rzeczywiście tak zrobiono. Jestem jednak winien krzywoprzysięstwa w swoim poprzednim sprawozdaniu z tego wydarzenia. Powiedziałem prawdę. Ale niektóre rzeczy przemilczałem.

Ciało tej kobiety, Campbell, zdjęto z szubienicy i pochowano. Tydzień później otrzymałem list od Bullocka. Z treści wynikało, że musimy przeprowadzić wstrętny rytuał ekshumacji. Robiłem to z ciężkim sercem. Instynkt mi podpowiadał, że zmarłych należy pozostawić w spokoju. Ale Bullock dał stanowcze i dokładne instrukcje i nie śmiałem się im sprzeciwić. Musieliśmy odciąć głowę od ciała. Postaraliśmy się o siekiere do tego makabrycznego aktu. Niejaki Jones, tęgi weteran, zgłosił się na ochotnika do zadania ciosu. Nigdy wcześniej nie stosował tak okrutnego narzędzia na ludzkim ciele. W cywilu pracował przy wycince lasów i potrafił sprawnie posługiwać się siekierą. Kiedy odwinięto całun, wiedźma wyglądała tak, jakby spała.



Dla lepszego wymierzenia ciosu Jones dotknął najpierw ostrzem miejsca, gdzie miał za chwilę uderzyć. Ostrze ukłuło skórę i kobieta nagle otworzyła oczy. Jones porażony upuścił siekiere, gdy kobieta warknęła i usiadła, ukazując nagie blade ciało. Wymówiła moje imię. Wtedy dobyłem miecza i odciąłem jej głowę jednym czystym uderzeniem. Głowa upadła i z ziemi rzucała na mnie przekleństwa. Dopiero potem wiedźma szczęła w dwóch krwawych kawałkach, pogodzona z ostatecznym okaleczeniem.

Myślę, że podczas procesu żał za stworzeniem, z którym wyprawiała harce, sprawił, że zobojętniała na własny los. Ale do resztek jej umysłu po pewnym czasie musiałyby dotrzeć to, że nie umarła na szubienicy. Wtedy wypełzłaby z grobu i nadal praktykowała złe czary. Więc to, co zrobiliśmy, było w pełni usprawiedliwione. Ale ja poniosłem wielkie koszty.

Nawiedzają mnie czarne wizje poprzedzające apopleksję. Taka była jej klątwą. Modlę się jedynie, żeby udar był śmiertelny. Nie chcę żyć jako zaśliniony idiota, który jest tylko ciężarem dla najbliższych.

Swoje sprawy uporządkowałem, a żonie do wygodnego życia niczego nie będzie brakować. Dzieci są dorosłe i żyją godziwie. Jestem rad, że pełniłem obowiązki dla Wspólnoty, Lorda Protektora i Boga Wszzechmogącego. Nie zgrzeszę uzalaniem się na sobą. Przeżyłem chwile wielkie i doniosłe. Mogły mi być oszczędzone doświadczenia tych ostatnich kilku tygodni, ale nie zamierzam narzekać na swój los. Teraz najważniejsze jest dla mnie to, że na spotkanie ze Stwórcą idę z sumieniem niezbrukanym, a te ostatnie moje słowa zostały napisane w wierze, że tak jest w istocie.

W Bogu i ku Jego Prawdzie Josiah Jerusalem Smith"

Nagle ukazał mu się Cleaver Square znacznie porządniejszy od uliczek, którymi się wcześniej przemykał. Na chodniku nikt tu nie nękał przechodniów. Skierował się do pubu Książę Walii. W środku grała muzyka; Duke Ellington *Take the „A’ Train*. W pubie było gorąco i tłoczno i z trudem przepchnął się do baru.

Przy kontuarze zamówił szklanę piwa i rozejrzał się wokoło. Znalazł się chyba na wieczorze kawalerskim albo na balu kostiumowym, ale jak na męskie przyjęcie za wiele przyszło tu kobiet. Mężczyźni występowali przeważnie w smokingach, a kobiety w sukniach koktajlowych. Były mocno umalowane. Tak silnego makijażu nie spotykał od wczesnych lat osiemdziesiątych, gdy był nieopierzonym chłopakiem. Widział toczki, kapelusze z wo-alkami i długie do łokcia rękawiczki. Palono papierosy i wcale się z tym nie kryto. Powietrze aż przesiąkło gorzkim dymem. Prawie wszyscy wydawali się pijani.

- Co tu robisz, pielgrzymie? - spytał mężczyzna stojący obok niego przy barze.

Hunter nie lubił w pubie nawiązywać rozmów z nieznanymi.

Nieszczerze mu też opowiadało określenie „pielgrzym”. Postanowił jednak pójść po linii najmniejszego oporu. Nie chciał zwracać na siebie uwagi. Nie mógł do tego dopuścić.

- Miałem ochotę na szklanę piwa - odparł. - I chciałem schronić się przed deszczem.

Mężczyzna się uśmiechnął. Zęby miał przebarwione. Hunter dostrzegł, że jego kołnierzyk jest brudny, a barowe oświetlenie ujawniło tłuste plamy na atłasowych klapach smokingu.

- Mówi pan, że przyszedł tutaj tak sobie? Hunter pociągnął trochę piwa. Smakowało słonawo.

- A co w tym złego?

Ale facet chyba w jednej chwili o nim zapomniał. Przed wejściem do toalety dla panów zaczęli się bić dwaj mężczyźni. Robili to niezdarnie, od razu upadli na podłogę. Kotłowali się tam, gryźli i próbowali wydlubać sobie oczy. Nowy znajomy Huntera przeszywająco, radośnie zagwizdał na dwóch palcach. Ale zapaśnicy szybko osłabli, wyczerpani. Jeden z nich zaczął obficie wymiotować, chciał schwycić drugiego za nogę, a ten próbował się wyrwać jak najdalej od chlustających rzygowin.

Gwiżdżący przypomniał sobie o Hunterze. Przypomniał sobie, co ten mu przed chwilą powiedział. Zmarszczył czoło.

- Nikt tu nie przychodzi tak sobie, pielgrzymie - stwierdził.

- Chce pan powiedzieć, że to prywatny klub? Mężczyzna otworzył już usta, by udzielić wyjaśnienia, ale zawałał się, ponieważ stojąca za nim kobieta poklepała go po ramieniu. Hunter wychylił się zza jego pleców, żeby na nią spojrzeć. Na twarz nałożyła gruby podkład, by zamaskować ślady po trądziku. Głębokie cienie na powiekach przekształciły oczodoły w granatowe jaskinie. Tęczówki miała brązowe.

- Mówi, że pięćdziesiąt - powiedziała.

- Czterdzieści - odparł mężczyzna.

- Mówi, że teraz pięćdziesiąt.

- Czterdzieści to moja granica. Za resztę zaproponuj mu brandzlowanie. Obciągnij mu druta, gdyby się nie zgadzał.

Wydeła usta i odeszła niepewnym krokiem. Nim zniknęła w tłumie, Hunter zdążył dostrzec, że w jej pończochach nad czerwonymi szpilkami puściło oczko. Odstawił szklanę.

- Wychodzisz, pielgrzymie? - spytał nowy znajomy.

- To nie dla mnie. Lokal jest zbyt wyrafinowany.

Wyszedł na dwór. Rozpadało się na dobre. Rozejrzał się. Cleaver Square nie był kwadratowym placem. Miał kształt wąskiego prostokąta. Po obu stronach zabudowano go szeregowcami w stylu georgiańskim, między nimi biegł obsadzony dokoła drzewami pas żwiru. Plac był ciemny i mokry, na żwirze utworzyły się kałuże, z wysokich drzew przygnębiająco kapało. Hunter bez trudu odnalazł dom pani Mallory. Adam szczegółowo opisał fasadę i kołatkę do drzwi w kształcie głowy mężczyzny. Gdy dotarł na miejsce, zauważył, że oba sąsiednie domy wystawiono na sprzedaż. Nie zdziwiło go to. Mieszkał przez pewien czas w Londynie i wiedział, że trudno być sąsiadem osoby, która wydaje najbardziej zabójcze i ożywione przyjęcia w mieście.

Budynek był ciemny. Instynkt podpowiadał Hunterowi, że nie ma jej w domu. Dwanaście lat temu w Magdalenie wiedział, że pani Mallory jest u siebie. Teraz wyczuwał jej nieobecność równie niezawodnie, jak wtedy czuł jej obecność. Oczywiście

możliwe, że kobieta stoi za którymś z ciemnych okien; odsunęła się głęboko w cień i z ulicy jest niewidoczna. Może nawet go obserwuje. Ale nie. Obawiał się tego, co zastanie w domu, lecz dziś wieczór pani Mallory prowadziła swoje przerażające interesy gdzie indziej.

Mark zaobserwował to wszystko, choć nawet na chwilę się nie zatrzymał, nawet nie spojrział na adres. Rozmowny palant z pubu mógł wyjść na zewnątrz ciekaw, co Hunter robi w tym rejonie, tak jak zainteresował się jego wizytą w knajpie. Z drugiej strony placu mogły Huntera śledzić zaniepokojone oczy. Tutejsze okazałe siedziby stanowiły naturalny cel włamywaczy, tym bardziej że w Kennington panowała bieda. Tym razem Hunter nie miał wygodnego zestawu kluczy, spreparowanego przez jego niegdysiejszą sojuszniczkę, pannę Hall. Musiał więc wspiąć się na mur przy jednej z dalszych posiadłości i przez ciąg ogrodów dotrzeć do miejsca, gdzie mógłby wejść do domu przez tylne drzwi lub okno. Miał dobre kwalifikacje do tego typu zadań. Ale musi zachować największą ostrożność. Pogoda mu sprzyjała. Gruba powłoka chmur zasłaniała księżyc. Dotarł do ostatniego domu w szeregu. Ponownie się rozejrzał i podjął wspinaczkę. Ponieważ w domu panowały ciemności, nie zapalał światła. Oczy musiały przywyknąć. Mógł sobie jedynie poświecić słabą latarką kieszonkową. Wątpił, czy pani Mallory udziela się w straży sąsiedzkiej. Taki rodzaj aktywności to nie jej domena. Mógł się jednak założyć, że ludzie, mieszkający po przeciwnej stronie placu, należą do ruchu wzajemnej pomocy. Stał w kuchni i czekał, aż ciemność wokół niego zbladnie i ujawnią się szczegóły. Wtedy zobaczył, że ta kuchnia nigdy nie spełniała roli kuchni. W oszklonych szafkach nie było zapasów jedzenia. Na płycie grzejnej zebrała się cienka warstwa kurzu, na zlewozmywaku - wyschnięty osad. Nie otworzył lodówki - nie chciał ryzykować, że wewnętrzna żarówka rzuci zbyt jasne światło. Coś mu jednak mówiło, że znalazłby tam tylko kostki lodu, szampana, białe wino i wódkę. Ale żadnego jedzenia. To, co podawano gościom,

dostarczał catering. Mark przypuszczał, że pani Mallory tak jak nie miała ciągot do życia sąsiedzkiego, tak samo nie miała ciągot do zajmowania się domem.

W salonie panował chłód jak w mauzoleum. W powietrzu unosił się woskowy zapach polerowanych mebli. Pośrodku stał fortepian koncertowy, na nim odlane z brązu popiersie Brooke'a. Są poeci zajmujący się tematami znacznie bliższymi jej charakterowi i skłonnościom, pomyślał Hunter. Eliot i Yeats bardziej do niej pasują. We wpadającym przez okno bladym świetle ulicznej latarni rozpoznał miejsce, gdzie pani Mallory stała upozowana na Marlenę Dietrich. Albo na Gretę Garbo. Lucien Hope z pewnością właśnie to miał na myśli. Styliści zawsze operują wizualnymi kliszami. Do wszystkiego szukają odnośników. Ale na tym zdjęciu pani Mallory przyćmiła obie dawne gwiazdy. Na podłodze nadal leżał wyschnięty płatek róży jak zmarniały paznokieć.

Hunter szukał biblioteki. W snach Adama stanowiła centrum całego domu. Najpierw jednak ciekawość pognała go na piętro. W donżonie w Tyrolu znalazł dowody na to, że pani Mallory czasami śpi. Ruszył po stopniach pozbawionych tłumiącego kroki dywanu, zachowując absolutną ciszę - efekt wojskowego treningu. Coraz bardziej doceniał niesamowitą siłę uwodzicielską tej kobiety: gdy jej tu nie było, w domu panował nastrój ponurego zagrożenia i tylko jej obecność musiała sprawiać, że goście potrafili to znieść. Więcej - byli zachwyceni. Umiała ich olśnić i bawiła się nimi. Wchodził na górę. Na półpiętrze nabrał w nozdrza chłodnego powietrza. Zdradziły ją perfumy. Idąc za zapachem Jicky, wszedł w otwarte drzwi obszernego pokoju. Tu prowadził jej ślad. Zastał zimną intymność - rozrzuconą wszędzie bieliznę i pogniecione prześcieradła. Fioletowe aksamitne kotary zasłaniały okno ciężkimi fałdami. Hunter postanowił zaryzykować i skorzystać ze swojej latarki. Wąski strumień światła ślizgał się po cieniutkich peniuarach i staniczkach z delikatnej koronki. Bezpośrednio na ciało wkładała tylko rzeczy czarne lub o barwie kości słoniowej, z jedwabiu i satyny. Podszedł do łóżka i ścia-

gnął pomarszczoną narzutę. Nie było woni seksu. A jednak pani Mallory ubierała się na noc tak, by wzbudzić pożądanie. Czy miała kochanków? Czy noce spędzała na wspomnieniach seksu? Na szafce przy łóżku stała przepelniona popielniczka, z której unosił się gryzący zapach. Hunter przykucnął i otworzył drzwi szafki. Na drewnianym stelażu w równych rzędach umieszczono ampułki z jakimś przezroczystym płynem. Obok leżała szklano--metalowa strzykawka starego typu. Na igle nie było śladów krwi.

Naprzeciw okna stała wysoka szafa z podwójnymi drzwiami z czeczoty orzechowej. Wewnątrz wisiały same suknie. A więc wierzchnie ubrania trzyma gdzie indziej, pomyślał Hunter. W szafie przechowywała również dodatki: buty, rękawiczki, torebki i apaszki. Wszystkie suknie były czarne. Oświetlił je, by spojrzeć na metki. Zaiskrzyły się koraliki i brokat. Nie zaskoczyły go nazwy domów mody: Chanel, Dior, Schiaparelli. Powąchał tkaniny. Nie wyczuł zapachu stęchlizny ani starości. Widział również rzeczy bardziej współczesnych projektantów. Lillian lubiła sobie sprawić coś szykownego, gdy zaczęła dostawać pieniądze za swoje książki. Pani Mallory miała rzeczy od Katherine Hamnett czy Billa Blassa. Tylko kolor - a w zasadzie jego brak - pozostawał niezmienny.

Mark wszedł do łazienki. Tu zapach perfum był silniejszy. W ciemności wydało mu się, że widzi duże otwarte drzwi, prowadzące gdzieś dalej, ale to było lustro na całą ścianę. Ten widok niepokoił. Hunter nie chciał się zastanawiać, co mogło się odbijać w głębi zwierciadła. Patrzył na miękkie białe ręczniki, wiszące na chromowanym drążku, na dużą wannę z żyłkowanego fioletowego marmuru. Z umywalki dobiegał jednostajny odgłos kapiącego kranu. Na półce nad nią leżały cążki do paznokci, pinceta i odkryta szminka Chanel z połyskliwym czubkiem, który w mroku wydawał się czarny. Oczywiście był czerwony. Pani Mallory zwyczajowo malowała sobie usta na czerwono.

Czas stawić czoło demonowi. Około dziesięciu minut zajęło Hunterowi otwarcie zamka w drzwiach biblioteki. Mechanizm był skomplikowany, a pośpiech nie pomagał. Potrzebna tu była

spokojna rozważa, Mark natomiast był zdenerwowany. W każdej chwili właścicielka mogła wrócić do domu. Spojrzał na zegarek, ale zegarek się zatrzymał. Hunter pamiętał, jak po omacku przedzierał się przez brezentowy labirynt w Magdalenie - tam jego zegarek również stanął. Panna Hall powiedziała mu przecież, że pani Mallory zniekształciła wtedy czas. Gdy on i Peterson gubili się w tej ciemnej otchłani, Rodriguez miał aż nadto czasu, żeby odgryźć sobie dłonie. Teraz rękom Huntera brakowało pewności, a przecież niedawno wyciągnął je przed siebie tak zdecydowanie, że powstrzymał agresywnego narkomana w małym zaułku. Dłonie mu się pociły. Wytarł je o spodnie i kucnął przed drzwiami. Gdy usłyszał końcowe kliknięcie zwalniające zamek, wstał i otworzył drzwi biblioteki. Najpierw zobaczył olbrzymią postać ze snów Adama. Siedziała nieruchomo na drewnianym tronie, przez co wydawała się jeszcze większa. Wyglądała dostojnie, jakby zastygła w czuwaniu. Stworzenie było ubrane w taki sam szary mundur, jaki miało na sobie, kiedy je zobaczył w samochodzie sztabowym na berlińskim filmie pani Mallory. Delikatnie zamknął za sobą drzwi i podszedł do tronu. Wtedy postać się poruszyła. Hunter nie był wcale zdziwiony. Usłyszał skrzypienie skóry - ten dźwięk musiały wydawać sztywne buty na wielkich stopach, gdy postać wstała i ruszyła w jego stronę. Zaczął się bać. Odruchowo sięgnął po nieobecną broń. Ale poprzednie wrażenie ruchu wywołał tylko błysk reflektorów samochodowych - smuga przemknęła po zasuniętych okiennych kotarach. To wyłącznie oszukańcza gra światła. Hunter przełknął i podszedł do bestii. Adam miał rację: buty były groteskowo duże, podobnie jak skórzane rękawice na dłoniach zaciśniętych w śmiertelnym uchwycie na rzeźbionych oparciach tronu.

Przecież bestia nie żyła, prawda?

- Pan Mallory, jak mniemam - powiedział Hunter. Ta brawura była całkowicie nieszczerą i bał się reakcji na swoją odzywkę. Żadna reakcja nie nastąpiła. Żółte oczy w wielkiej głowie wpatrywały się w nicość szklanym wzrokiem. Długa szczęka ułożona

była do szyderczego uśmiechu. Instynkt podpowiadał mu, że nie należy się odwracać do bestii plecami. Musiał jednak to zrobić, jeśli chciał poznać tajemnice biblioteki.

Staromodne biurko pani Mallory miało na blacie zasuwana żaluzję, teraz zamkniętą na klucz. Pokonanie zamka zajęło Hunterowi krótką chwilę. Pod żaluzją znalazł porzucane kartki i książki pisane przeważnie ręcznie przez skrybów. Dwa tomy oprawiono - jak podejrzewał - w odpowiednio spreparowaną ludzką skórę. Westchnął i zajrzał do jednej z książek. Strony pokryte były pismem runicznym jakiegoś starodawnego języka, którego Hunter nie rozumiał, ale przypuszczał, że jego syn - owładnięty przez panią Mallory i śniący w jej imieniu - przemawiał właśnie w tym języku.

Na kartkach widział szkice wielkich gmachów publicznych. Wyrysowano przy nich ludzkie postacie, by dać wyobrażenie monumentalnej, przygnębiającej skali budowli. Nie rozpoznawał żadnego z budynków. Zobaczył również szkice symboli, przypominające nieco swastyki i esesmańskie pioruny - brutalną ikonografię epoki, którą na pewno wspominała z nostalgiczną czułością. Zrozumiał, dlaczego nie znał tych budowli. Nie pochodziły z przeszłości. Pamiętał, co Lucien Hope napisał o wieczorkach pani Mallory. Hunter patrzył teraz na jej przyszłościowe projekty. Niecały kilometr stąd widział samochody policji prewencyjnej przed wejściem do metra, przypominał sobie pub i pokryte granatowym tuszem puste oczy kobiety w porwanych pończochach. Patrzył na potwora siedzącego w mroku i powtarzał sobie ostrzeżenie Adama:

- Ona chce wprowadzić zamęt na świecie.

Chciał, by wiedziała, że ją odwiedził. To był rzeczywisty cel jego wyprawy. Powiedział Elizabeth, że to tylko rekonesans. Kłamał. Jechał tu z nadzieją, że nie zastanie pani Mallory w domu i będzie mógł się włamać. Chciał ją rozjątrzyć, by sprowokowana do pochopnego odwetu popełniła błąd. Już miał serdecznie dość tego, że dręczy mu dziecko. Chciał, żeby po niego przyszła. Wtedy



ją pokona i zabije. W Magdalenie panna Hall niemal ją przechytryła. To był precedens. Dowód, że można tego dokonać.

Znów podszedł do siedzącej bestii. Nie była miłym towarzyszem. Choć pozornie pozbawiona życia, w chytry sposób potrafiła stwarzać atmosferę poważnego zagrożenia. Po śmierci wprowadzała niepokój, a zanim umarła, była - jak Hunter przypuszczał - uosobieniem czystego zła, zawsze przynoszącym przerażenie i ból. Czyżby wstrętny uśmiech na wygłodniałym pysku poszerzył się, odkąd Hunter wszedł do biblioteki i po raz pierwszy spojrzał na bestię? Mógł przysiąc, że tak. Miał ochotę stąd uciec, ale opanował ten odruch i przyjrzał się bestii. Zauważył, że jest uzbrojona. Przy pasie miała kaburę z lugerem oraz pochwę z esesmańskim sztyletem. Obie bronie, prawdopodobnie wykonane ręcznie, były nieco większe niż normalnie, tak by pasowały do rozmiarów bestii. Najwyraźniej cieszyła się wielkim poważaniem. Hunter wziął sztylet. Odpiął pas, ściągnął z niego pochwę, ponownie zapiął pas na bestii, a sztylet w pochwie włożył sobie za cholewkę buta.

Branie trofeów to żołnierski zwyczaj o długiej tradycji. Łupiono wroga po odniesionym zwycięstwie. Spierano się jednak w tej sprawie - istniała pewna różnica między uprawnioną pamiątką a bezczelną grabieżą na polu walki. W obecnej sytuacji Hunter nie zawracał sobie głowy subtelnościami wojskowej etyki. Do kradzieży nie skłoniła go ani chciwość, ani chęć zysku. Na ulicy zamierzał natychmiast wyrzucić sztylet do studzienki ściekowej. Wiedział, że pani Mallory od razu zauważy jego brak. Trudno tego nie zauważyć. Adam mówił, że kobieta cały czas rozmawia z milczącym powiernikiem. Ta drobna kradzież wyprowadzi ją z równowagi. Nie lubi, gdy ktoś jej okazuje brak szacunku. O to właśnie chodziło.

Z bliska ubranie bestii cuchnęło nieprzyjemną mieszaniną zestarzałego potu i zwierzęcego rozkładu. Hunter spojrzał odruchowo na zegarek, ale podświetlany cyferblat nie pokazywał prawidłowego czasu, ponieważ ruch wskazówek zamarł. Nie miało to większego znaczenia. Najwyższa pora, żeby się stąd wynosić.

Ponieważ miał trening w rejestrowaniu szczegółów, zauważył, że uśmiech na twarzy bestii się zmniejszył. Przypominał grymas warczącego zwierza. Czy to kwestia mojej pobudzonej wyobraźni? - zastanawiał się. Nie potrafił tego stwierdzić. Musiał złapać nocny pociąg do zaśnieżonej Szkocji, do krainy, gdzie w chwili słabości po stracie żony i dziecka wyjechał ze swoim ukochanym synem na prywatne zesłanie.

Na ulicach otaczających Cleaver Square panowała wojenna atmosfera. Słyszał wściekłe wrzaski, szczekanie psów, wycie syren, odgłosy tłuczonego szkła i charakterystyczne staccato małokalibrowej broni. Przed stacją Kennington zobaczył coś w rodzaju obozowiska. Policjanci z ponurymi minami, uzbrojeni w pistolety maszynowe, tworzyli kordon przy wejściu do metra.

- Kolego, dziś wieczorem nie ma tu wejścia ani wyjścia - powiedział do Huntera jeden z nich. - Na pana miejscu dałbym stąd drapak.

- Zawsze tu tak jest?

- Panujemy nad tym - stwierdził policjant. Potem uśmiechnął się ironicznie, dając do zrozumienia, że kpi sobie z oficjalnej wykładni, gardzi kłamstwem, które kazano mu recytować na przekór rozpanoszonej wokół przemocy i ogólnemu chaosowi.

Brakowało im sił policyjnych albo może brakowało im siły woli. Hunter ruszył Kennington Park Road w stronę Oval. Miał nadzieję, że złapie taksówkę na dworzec Euston Station, jeśli odbije w prawo na Kennington Road. Zwykle jechało wtedy sporo pustych taksówek, które wracały z kursów do Clapham i Wandsworth. Gdy przechodził obok filii Cost-cutter na skrzyżowaniu, zobaczył, że sklep ma wybite okna, a wewnątrz zaczyna się pożar. Na chodnikach rabusie walczyli o butelki alkoholu i skrzynki piwa. Żadne taksówki nie jechały. Nie było sensu iść do Oval Station, ponieważ tak jak Kennington znajdowała się na tej samej, teraz zamkniętej, północnej linii metra.

Trzymał się swojego pierwotnego planu i ruszył Kennington Road. Za skrzyżowaniem z Black Prince Road odgłosy burdy

trochę przycichły. Ale dopiero za Imperialnym Muzeum Wojny na Westminster Bridge Road, gdy czuł już zapach chłodnej wilgoci od rzeki, udało mu się zatrzymać czarną taksówkę.

- Dokąd, pielgrzymie?

Omiał nie zrezygnował z jazdy. Po raz drugi w ciągu paru godzin obcy człowiek zwrócił się do niego w ten sposób. Może w Londynie zapanowała taka moda, popularna odzywka, która za miesiąc zniknie z języka. Siedząc z tyłu w taksówce, zaczął się zastanawiać nad tym określeniem. Było dość osobliwe. W jego wypadku - ironiczne. Nie przyszedł na Cleaver Square z żadną pielgrzymką. Wręcz przeciwnie. Zrobił coś, co pani Mallory uzna za świętokradztwo. Wilcze istoty nie były bóstwami, co to to nie. Były śmiertelne. Bestia, którą widział, umarła na jakąś chorobę albo z przyczyn naturalnych. Może ze starości. Stwór, z którym zadawała się Ruth Campbell, miał ciężką śmierć. W walce sześciu na jednego zabił pięciu weteranów wojny domowej, mężczyzn, którzy potrafili prowadzić bezpośrednią walkę wręcz z użyciem zimnego ostrego żelaza, stalowych pik i mieczy. A jednak poskromili i zaszlachtowali bestię. Wszędzie, gdzie się te stworzenia pojawiły, tępiono je. Wyginęły. Nie miały boskich cech, nie były nadnaturalne. Pani Mallory uzna jednak za profanację to, że zabrano bestii stary nóż. Stworzenie zajmowało godne miejsce w najbardziej sekretnej części domu. Z największą czcią traktowała jego pamięć i szczątki.

- W Kennington dużo się dziś dzieje - powiedział do taksówkarza.

- W radiu mówią, że w Holland Park jest podobnie. A w White-chapel zadyma. Nigdy nie wiadomo, gdzie znowu to wybuchnie, ale tak jest co wieczór. Nasze interesy zdychają.

Hunter usłyszał teraz, że radio jest włączone. Ktoś śpiewał *Alabama song* Kurta Weilla. Przypominało to smętny baryton Jima Morrisona. Możliwe. The Doors chyba też nagrali tę piosenkę.

- Od czasów kryzysu wszystko się zmienia - ciągnął taksówkarz. - Bo co to takiego ten rząd koalicyjny? O co tu chodzi?

Ludzi linczuje się na ulicy, wiesz na latarniach. Tak nie może być.

Potrzebna jest stanowczość. Kraj potrzebuje przywództwa.

Hunter, z niejasnymi wyrzutami sumienia, uświadomił sobie, że kryzys w zasadzie go ominął. Miał wojskową emeryturę oraz dochody z książek Lillian. Ale musiał się zmagać z własnym bólem. A wojskowi i tak mogli umyć ręce od polityki i mieć czyste sumienie. Zawsze ochoczo korzystał z tego prawa.

- Dokąd pan jedzie?

- Do Szkocji. Mieszkam tam z rodziną.

Taksówkarz milczał przez chwilę. Deszcz się wzmógł. Hunterowi to jednak nie przeszkadzało: miał nieprzemakalną kurtkę i buty. Sportowe ubranie chroniło go przed kapryсами pogody równie skutecznie, jak gwarantowany dochód chronił przed rozległymi skutkami kryzysu. Przyszło mu nagle do głowy, że tego rodzaju zamieszki, jakich właśnie był świadkiem, wybuchały w mieście zazwyczaj podczas parnych letnich nocy, a nie w mokre, ciemne, listopadowe dni. Pojedyncza wycieraczka usuwała wściekle wodę zalewającą przednią szybę taksówki.

- Przed panem kawał drogi do domu. Ale zazdroszczę panu, pielgrzymie, naprawdę zazdroszczę. Londyn staje się śmietnikiem. Połowa miasta to zakazane rejony. Anglia schodzi na psy.

12

**Wrócił** do domu tuż po piątej rano. Elizabeth nie spała w pokoju gościnnym; leżała na kanapie pod kocem w salonie przy kominku. To drzemała, to nasłuchiwała odgłosów, czekając na powrót Marka. Wszedł i objął ją. Poczowała niesamowitą ulgę. Wieczorem położyła Adama do łóżka i od tej chwili narastał w niej coraz większy lęk. Ciągle miała przed oczami dziwne postacie wyrzeźbione na drewnianym panelu. Harcowały w płomieniach

257

ogniska w ogrodzie matki. A może lęk wywołał w niej makabryczny, szczegółowy opis śmierci Ruth? Przede wszystkim jednak niepokoiła się o Marka, który ruszył odważnie do matecznika wiedźmy. Nieugięty, gotów stawić czoło zemście. Gdyby ta okrutna kobieta zastała go w swoim domu, na pewno by go ukarała za naruszenie prywatności.

Hunter nalał sobie whisky, a Elizabeth zrobiła herbatę. Gdy usiedli, przyjrzała mu się uważnie. Był wyraźnie wyczerpany.

- Jaki dziś dzień?

- Niedziela - odparła.

Skinął głową. Oczywiście, niedziela. Miał przecież bilet weekendowy do Londynu. Wracał prawie zupełnie pustym pociągiem. Otworzył torbę i wyjął egzemplarz magazynu z artykułem o La-vinii Mallory. Elizabeth bez komentarza obejrzała zdjęcia kobiety, a potem wstała i podała Markowi wydrukowany dodatek do ponurego raportu sędziego Jerusalema Smitha opisujący, w jaki sposób wymierzono sprawiedliwość szkockiej czarownicy.

- Jezu - powiedział Hunter, gdy go przeczytał. - To jak zwalczanie zarazy. Nie obrażając twojej antenatki.

- Nie uznaję tego za obrazę. Ale jako lekarz mam zalecenie: powinieneś się przespać.

Przyznał jej rację. Odwiedziny w domu przy Cleaver Square pozbawiły go sił. Czuł się wyczerpany jak kiedyś po walce, gdy stracił dużo krwi, a organizm przestał pompować adrenalinę.

- Spojrzę tylko na Adama i pójdę do łóżka. Wszystko dobrze poszło?

- Jak marzenie. Jak dobre marzenie. Matka dała mu do zabawy zestaw meccano. Chyba masz w domu przyszłego inżyniera.

- Przypuszczam, że on wszystko potrafiłby zrobić. A ty nie zamierzasz się położyć?

Wskazała głową kartki z raportem sędziego. Mark zostawił je na stoliku przy kominku.

- Będę na nogach, póki nie wylicytuję miecza na eBayu -oznajmiła.

Mimo zmęczenia zaśmiał się. Podniósł ją, przyciągnął do siebie, objął i pocałował.

- Nie ma potrzeby. Dali mi miecz, gdy odchodziłem z wojska - powiedział z zamyśloną miną.

- Naprawdę masz miecz?

- Prawdopodobnie jest to moja druga co do wartości cenna rzecz, po akwareli Daniela Patricka, którą ktoś był uprzejmy mi przysłać.

Na stoliku leżał również magazyn kupiony w Edynburgu, otwarty na zdjęciu pani Mallory w androginicznej stylizacji. W wieczorowym męskim ubraniu stała oparta o fortepian, trzymając w dłoni bukiet róż. A przecież nie była męska. Miała w sobie zbyt wiele powabnej kobiecości, by przekonująco udawać chłopca. Elizabeth przechyliła głowę, żeby spojrzeć prosto na fotografię.

- Na pewno usunęli kolce. Inaczej pokłułaby się, bo tak mocno ściska bukiet w dłoni.

- Nie musieli się tym przejmować - odparł Hunter. - Ona chyba w ogóle nie krwawi.

Ale można ją ciąć, pomyślała Elizabeth. Jeśli nie, to nie ma dla nas nadziei.

- Widać tu kawał dobrej roboty.

- Bez wątpienia.

- Chodzi mi o to, że jest nadzwyczajna. Jest tak piękna.

- Owszem - powiedział po chwili wahania. Nie warto było zaprzeczać wobec tak oczywistych dowodów na fotografii. Przyrzekł sobie teraz w duchu, że nigdy nie będzie okłamywał Elizabeth Bancroft, tak jak nigdy nie kłamał żonie. Postanowienie szczerości w stosunku do obu kobiet pochodziło z tego samego źródła. Pocałował ją długo i czule na dobranoc, potem wszedł na piętro, żeby spojrzeć na Adama, w końcu znużony położył się spać.

Adam zbudził się wcześniej, jeszcze przed świtem. Strofy tego denerwującego wiersza ciągle krążyły mu po głowie. Mizdrzyły się w jego umyśle. Zaczęło się to wczoraj, gdy widział, jak

w ognisku spłonął ten dziwny kawałek drewna. Pani Bancroft, która prosiła, by się do niej zwracał po imieniu, wrzuciła panel w największy żar. Była bardzo stara. Czułby się niezręcznie, mówiąc do niej inaczej jak „pani”. „Margaret” - to niedopuszczalne. Do tak wiekowych osób nie mówimy po imieniu. Miał dylemat. Gdyby go kiedyś zostawiono z nią sam na sam, musiałby wybrać, jak się do niej zwracać.

Ale cisnęła w ogień ten dziwaczny kawał drewna zupełnie nie jak staruszka. Rzuciła z taką energią, że aż poleciały iskry. Widział, jak panel wylądował, zanurzył się w ognisku, zajął płomieniami. Przedstawione na nim postacie usiłowały uciec, jakby uczestniczyły w gonitwie na kartach jakiegoś niesamowitego, upiornego komiksu. Nie mogły jednak uciec. Wiedział o tym, zanim widok przesłonił mu dym z płonącej rzeźby. Gdy dym się rozwiął, został tylko czerwono-biały popiół, a gdy się go przez dłuższy czas obserwowało, widziało się nad nim falujące z gorącą powietrze.

Gdy panel spłonął, Adam od razu pomyślał o swoich dziwnych bazgrołach, które tak zezłościły pana Cawdora. Ledwo je sobie przypominał. Kreślił linie jakby we śnie, a pan Cawdor natychmiast skonfiskował rysunek.

Adam nie przywiązywał do niego wagi, ale zaskoczyła go nerwowa reakcja nauczyciela. Wspomnił tę niesamowitą bryłę, gdy drewniany panel spłonął. Kształt jakby wisiał na łańcuchu w trzech wymiarach w pomieszczeniu, które Adam znał. Przerażony uświadomił sobie wtedy, że to biblioteka pani Mallory. Był w tej bibliotece. Rozpoznawał przedmioty i wiedział, że najbardziej się boi stworzenia, które siedzi z tyłu na tronie.

Wtedy wizja zniknęła, a wraz z nią dziwaczny geometryczny obiekt, wywołujący zawroty głowy. Nagle jednak pojawiły się strofy:

*Gdybym miał kiedyś umrzeć - pomyśl czasem o mnie, Że gdzieś tam, na obczyźnie, jest obcy szmat pola...*

Adam nie musiał pytać pani Davies, która miała encyklopedyczną wiedzę, ani mądrej Alice Cranbourne. Sam poznał, że wiersz stworzył Rupert Brooke, neoromantyczny poeta angielski-

ski - jak go określiła pani Davies. To osobliwe, że pamiętał coś, czego się z pewnością nigdy nie uczył. W pewnych okolicznościach dzięki takiemu talentowi zdobywanie wiedzy może być zupełnie bezbolesne. Przydatne zwłaszcza przed egzaminami. Tylko że Adam nie uważał tego za bardzo korzystny talent. Podejrzewał, że jest wręcz przeciwnie. Te zdolności pochodziły z tej samej domeny co tamte sny; w końcu się przyznał, że je pamięta. Pochodziły z tej samej domeny co bezgłowa postać, którą wdział za oknem na śniegu. Ale tego, że ją widział, nikomu dotąd nie wyznał. Bezgłowego mężczyznę widywał tylko od czasu do czasu. Zjawa nie przerażała go specjalnie. To było nic w porównaniu z egzekucją wysokiego brodatego mężczyzny, który nie chciał umrzeć. To też mu się niekiedy śniło. Mężczyzna o czarnej brodzie ryczał wyzywająco, gdy jego zabójcy dźgali go i strzelali do niego. Wreszcie zaciągnęli go nad skutą lodem rzekę i, ciągle żywego, wtłoczyli głową naprzód pod przerębiel. Po lodzie ciągnął się ślad krwi połyskujący w świetle księżyca. Potem mętna zimna woda w przerębli zabulgotała - to wściekły, opierający się śmierci mężczyzna wydychał powietrze. W końcu zatonął w głębinie i zniknął, porwany leniwym prądem rzeki. Adam nienawidził tego snu. To był sen bliski pani Mallory. W jakimś sensie Adam był zmuszony przeżywać ten koszmar. Czuł, jak rany od noża i kul zastygają na mrozie i nie sprawiają już bólu mężczyźnie. Nie chciał żyć w głowie mordowanego i zarazem morderczego nieznanego ze swoich snów. Ale pani Mallory go do tego zmuszała.

*Gdybym miał kiedyś umrzeć - pomyśl czasem o mnie...*

W porównaniu z tamtą egzekucją widok bezgłowej postaci to jak spacer po parku - to określenie Rodrigueza, innej osoby z jego snów. Miły ten Rodriguez. Początkowo Adam bał się na niego patrzeć, ponieważ mężczyzna zamiast rąk miał kikuty i był taki smutny. Ale był miły i w snach mówił miłe rzeczy na temat



taty Adama. Mówił o strachu i odwadze i o tym, że niektóre rzeczy są jak przedzieranie się przez dolinę śmierci, a inne jak spacer po parku. Wizja bezgłowej postaci należała do tej drugiej kategorii. Nie mogła ci zrobić krzywdy. Pani Mallory natomiast - ostrzegał Rodriguez z powagą - to coś gorszego od przedzierania się przez dolinę śmierci. Pani Mallory to śmierć we własnej osobie.

Wstał z łóżka. Wyrzął przez okno. Miał widok na tył domu, na stok, z którego zjeżdżali na sankach. Na szczycie pagórka ulepili bałwana. Znów padało. Pokryty świeżym śniegiem bałwan stracił wyrazistą sylwetkę. Adam nigdzie nie dostrzegł bezgłowego mężczyzny. Ale bezgłowy nie pełnił tu stałej warty. Pojawiał się i znikał i Adam tylko czasami widział go przez okno. A tamten poruszał się powoli. Jakby na ślepo, w nieodpowiednim obuwiu, mozolnie szedł noga za nogą po terenie, którego nie mógł zobaczyć. Może kiedyś był wytworny i sprawny. Sugerowało to jego zachowanie i ubranie. Ale nie teraz, gdy go tak żałośnie i okrutnie okaleczono.

Włożył ciepłą bieliznę i ubranie odpowiednie do mroźnej pogody. Tak wyszkolił go ojciec. Umył zęby i zszedł na parter. Chciałby zbudzić Elizabeth. Pragnął towarzystwa, a choć była dorosła, w jej towarzystwie czuł się bardzo dobrze. Dziś jednak była niedziela. Niektórzy ludzie lubią sobie wtedy dłużej pospać. Elizabeth była lekarzem, bardzo ciężko pracowała. Postąpiłby niezbyt uprzejmie, gdyby ją zbudził. Przez chwilę sam się pobawi. Czasami człowiek powinien zachować stoicyzm. W jego snach tego słowa używał Rodriguez. Adam musiał je sprawdzić w słowniku, co mu się nieczęsto zdarzało. Więc postara się zachować stoicyzm. Bardzo by chciał, żeby tata już wrócił do domu. Tata powiedział, że tylko jedną noc spędzi poza domem, a on zawsze dotrzymuje słowa. W głowie Adama tłukły się echem napuszone strofy Brooke'a. Z całego serca pragnął, żeby tata nigdy go więcej nie opuszczał.

Lekko zaspany przechodził przez salon do kuchni; tam czekał na niego tost, posmarowany pastą marmite, i szklanka nektaru

z jabłek. Wtem dostrzegł zdjęcie w otwartym czasopiśmie. Rozpoznał postać na fotografii i tak go to zszokowało, że upuścił swoją konstrukcję meccano, nad którą trzymał się wieczorem. Teraz wziął ją ze sobą na dół, bo dawała mu miłe poczucie bezpieczeństwa. Zabawka upadła na ziemię, ale nie uszkodziła się - meccano zrobiono ze sprężystej wytrzymałej stali, a wszystko było solidne, połączone śrubami i sworzniami. Na podłodze leżała nienaruszona konstrukcja, którą starannie wczoraj zmontował. Z fotografii patrzyła na niego pani Mallory w męskim ubraniu. Na czarno-białym zdjęciu rozpoznał pokój, w którym stała. Przygryzła dolną wargę, dzięki czemu jej usta wyglądały bardzo sympatycznie. Dokładniej: jej uśmiech stał się miły. Twarz na fotografii miała rozbawiony ludzki wygląd. Adam wiedział, że w rzeczywistości kobieta nie była ani zabawna, ani sympatyczna. Z całego serca pragnął, żeby tata wrócił do domu. Przeszedł do kuchni. I tam przez okno zobaczył postać stojącą w śniegu. Nie był to bezgłowy. Nie był to brodaty olbrzym ze snu, którego tak uporczywie zabijano. Ani stoicki Rodriguez. Ani Rupert Brooke, autor kwiecistych poematów. Nie, to był nauczyciel matematyki, pan Cawdor. Uśmiechał się i machał do niego spoza spadających z nieba białych kryształków śniegu. Adam, szczęśliwy, z ulgą patrzył na znajomą postać. Pan Cawdor deklarował się jako przeciwnik wspaniałej szkolnej biblioteki. Uważał, że to marnotrawstwo środków. Gdy miał zły humor, zdarzało mu się narzekać na Szkocję. Ale fotografia pani Mallory w magazynie bardzo Adama przeraziła. A pan Cawdor należał do świata, któremu ufał i który rozumiał.

Chłopiec włożył buty, otworzył kuchenne drzwi i wyszedł na dwór. Choć solidnie padało, nie czuł wiatru i wydawało mu się, że jest dość ciepło. Rozejrzał się, szukając wzrokiem gównianego samochodu pana Cawdora. Nie powinien tak się wyrażać, ale nie istniało lepsze określenie dwudrzwiowej karykatury auta, jaką jeździł nauczyciel. Auto przypominało trabanta, choć pan Cawdor twierdził, że to fiat. Jeremy Clarkson zaciągnąłby tego grata do opuszczonego kamieniołomu i strzelił do niego z bazooki.

Nigdzie jednak nie widział samochodu pana Cawdora. Może śnieg? - pomyślał Adam.

- Adamie, musisz pójść ze mną - powiedział pan Cawdor. Mówił cicho, jakby ktoś mógł ich podsłuchać. Ale nikogo w pobliżu nie było. - Zobacysz ojca. Ma kłopoty i pilnie potrzebuje twojej pomocy. Przysłał mnie tu.

Adam zawahał się. Zauważył, że pan Cawdor jest ubrany niestosownie do pogody. Pod długim cienkim płaszczem miał ubranie, w którym prowadził lekcje w szkole. A wąskie szkła prostokątnych okularów zaparowały od jego oddechu.

- Tata powiedział mi, żebym nigdy nie szedł z obcymi. Pan Cawdor przekrzywił głowę i uśmiechnął się.

- Chłopcze, daj spokój, przecież nie jestem obcy - stwierdził. - Tata cię potrzebuje.

Adam spojrział na dom, a potem na nauczyciela. Miał przed sobą prawdziwy dylemat. Nie śnił. Czy ma obudzić Elizabeth? Powinien okazywać szacunek nauczycielom.

- Przepraszam, ale nie wiem, czy mam panu wierzyć. Pan Cawdor skinął głową.

- Adamie, słusznie zachowujesz ostrożność. - Włożył rękę do kieszeni płaszcza. - Nie wiem dlaczego, ale tata powiedział, żebym ci to dał. - Dłoń wynurzyła się z kieszeni z puszką red bulla. Zwykle jaskrawa, srebrno-granatowa puszką, w porannym świetle wyglądała matowo.

Nawiązanie do ich prywatnego żartu mogło pochodzić tylko od ojca. To był sekretny sygnał i Adam mu zaufał.

- Dobrze - odparł. Pomoże ojcu. Wykaże się odwagą i zaradnością. Tata będzie z niego dumny. - Czy muszę coś ze sobą zabrać?

- Nie - powiedział pan Cawdor. - Musimy natychmiast jechać. Włożył puszkę do kieszeni i ruszył przez śnieg w dół wzgórza. Adam szedł za nim po jego śladach, jak go nauczono.

Margaret Bancroft wpatrywała się w popiół po ognisku. Minęła noc, cały czas padał śnieg, ale to miejsce nadal zachowy-

wało ciepło i w kamiennym kręgu, gdzie Adam wznosił wczoraj stos, śnieg się nie osadzał. Spojrzała w ziemię. Osoba przesądna mogłaby się dopatrywać jakichś symboli czy runicznych wzorów w układzie popiołu. Margaret nie uważała się jednak za osobę w najmniejszym stopniu przesądną. Uśmiechnęła się do siebie i w świetle poranka przypatrywała się swojej wyleczonej dłoni.

Wyglądała jak dawniej. Rana po samookaleczeniu nie zostawiła żadnej blizny. Było nawet lepiej niż przedtem. Potrafiła z wielką energią cisnąć w płomień ciężki, drewniany, ohydny panel - to był dodatkowy efekt leczenia zastosowanego przez Elizabeth. I jeszcze coś. Po pierwsze ustąpił artretyzm. Nigdy nie wspominała córce o swoim artretyzmie. Bo po co? To przecież skutek podeszłego wieku. I tak miała szczęście, że dożyła tylu lat. Artretyzm to cena za towarzyszące jej w życiu ogólne powodzenie. A jeśli czasami coś ją bolało, doskwierało, to co? Znosiła cierpienie bez skargi i traktowała jako zaledwie drobną niedogodność. Nigdy nie wspominała córce o tej dolegliwości. A teraz ból zniknął. Oczywiście kiedyś wróci. Procesy naturalne da się odwrócić tylko na pewien czas. Pozostaną tylko skutki zamierzonej magii - wyleczona przez Elizabeth ręka. Dziś rano jednak wstała z łóżka, nie czując bólu i sztywności w kostkach nóg, nadgarstkach i palcach po raz pierwszy od wielu lat.

Elizabeth posiadała bardzo silne zdolności magiczne i Margaret nie kłamała mówiąc, że dostrzegła je u niej już we wczesnym dzieciństwie. Nie wyznała jednak, w jaki sposób to zauważyła. Chciała jej tego zaoszczędzić. Elizabeth niczego nie pamiętała i to było prawdziwe błogosławieństwo. Ledwo nauczyła się chodzić i mówić, gdy dokonała rzeczy, które matkę przeraziły i zaniepokoiły. Margaret mogła to porównać do sytuacji, gdy w jakiejś amerykańskiej rodzinie - korzystającej ze swojego konstytucyjnego prawa, by dom zamienić w garnizon wojskowy - dziecko znajduje karabin maszynowy, zaczyna wymachiwać zabójczą bronią i odkrywa spust. W przypadku Elizabeth

było to znacznie bardziej przerażające. I istniało znacznie większe niebezpieczeństwo spowodowania tragedii i śmierci.

Lizzy miała wtedy trzy lata. Najbliższymi sąsiadami rodziny byli Jacksonowie, Gavin i Lucy. Chcieli piąć się po drabinie społecznej. Bardzo im na tym zależało. Gavin ukończył tylko szkołę średnią i miał z tego powodu kompleksy. Pracował w banku. Jego żona, Lucy, prowadziła we wsi sklep z odzieżą dla dzieci. Okno wystawowe, gdzie eksponowano barwne wełniane ubranka, ozdobiono logo z biedronką. Sklep wyglądał uroczo, ale Lucy Jackson urocza nie była. W stosunku do Margaret Bancroft zachowywała się mrukliwie, wręcz obcesowo. Relacje z Jacksonami nie były dobrosąsiedzkie. Bancroftowie próbowali zrobić pierwszy krok, ale nie spotkali się z żadnym odzewem. Margaret w duchu przypuszczała, że Lucy zazdrości jej uniwersyteckiego wykształcenia i statusu zawodowego. Z drugiej ręki docierały do niej złośliwe komentarze - przypisywane Jacksonom - na temat tego, kto rządzi w domu Bancroftów. Ignorowała je. Nie mogli jednak ignorować psa Jacksonów, Sheby, wielkiej suki owczarka niemieckiego. Było to zwierzę nieszkolone, a Jacksonowie pozwalali mu się swobodnie włóczyć. Sheba uważała, że jej terytorium rozciąga się bardzo daleko. Miejscowi właściciele owiec skarżyli się, że niepokoi ich stada. Póki jednak nie złapano jej na gorącym uczynku, póty nikt nie mógł nic zrobić. Nie pozwalała się do siebie bezpiecznie zbliżyć, a już na pewno by nie dopuściła pasterza do rozszarpanej owcy, gdyby chciał zaczekać przy zewłoku na przybycie policji. Tylko w Gavinie i Lucy nie budziła lęku. Nigdy wprawdzie na nich nie warczała, ale też nie chciała się ich słuchać. Bez przerwy szczekała. W tamtych czasach od głównej szosy prowadziła polna droga do domostw Bancroftów i Jacksonów, stojących w odległości czterystu metrów od siebie. Drogę ograniczał murek z luźnych kamieni. Sheba czasami go strzegła, a wtedy - jeśli byłś Bancroftem - rozsądniej było przekroczyć murek i iść do domu przez pola.

Margaret Bancroft jeździła wówczas morrisem minor. Samochód był jej niezbędny, wymagały tego obowiązki zawodowe. Podejrzewała jednak, że Lucy Jackson również tego jej zazdrości. Mąż Lucy dojeżdżał samochodem do pracy w banku, ona natomiast musiała jeździć motorowerem.

Przedstawiała dość ponury widok, gdy w złą pogodę tłukła się na swojej rachitycznej maszynie w żółtym sztormiaku i kapeluszu rybackim. Pani zazdrościła sąsiadce samochodu, ale Sheba traktowała go jako prawdziwe wyzwanie. Witając samochód wściekłym szczekaniem, póki Margaret, minawszy bezpiecznie psa, nie dodała gazu.

Pewnej słonecznej niedzieli wracali całą rodziną z wycieczki rowerowej, z pikniku. Elizabeth siedziała na siodełku przymocowanym do ramy ojcowskiego roweru. Nie mogła spaść, bo tata otaczał ją bezpiecznie ramionami. Podczas wolnej jazdy trzymała się kierownicy, podczas szybkiej - mocno chwytła go za rękawy. Matka jechała obok. A Sheba leżała na warcie i czyhała. Na pewno tam była. Nie usłyszeli ostrzegawczego szczeknięcia, bo przecież by się zatrzymali w bezpiecznej odległości od psa.

Nastąpił wściekły atak. Wszyscy troje upadli na ziemię. Pies jednak upatrzył sobie Margaret. Szarpar ją za łydkę, póki mąż nie odpędził go uderzeniami swojego pasa do spodni z ciężką sprzączką. Musiał zanieść żonę na rękach do domu. Córka samotnie szła za nimi z tyłu. Na drodze zostały rowery, a wiatr rozrzucał pozostałości po pikniku.

Margaret oczyściła ranę i zrobiła sobie zastrzyk przeciwtęż-cowy. Do następnego dnia oczywiście wszystko się wygoi. Nie chciała jednak wdrażać samoleczenia, póki córka nie zaśnie. Do tego momentu robiła to, co w takich wypadkach robili inni ludzie nieobdarzeni nadzwyczajnymi zdolnościami: cierpiała ból i leżała. Mąż kipiał gniewem. Mimo łagodnego usposobienia nie mógł za siebie ręczyć w konfrontacji z sąsiadami. Czekał, aż minie mu pierwsza wściekłość. Elizabeth zachowywała niezwykle spokój. Gdy ojciec szedł po rowery, chciała pójść z nim, ale uznał, że niebezpieczeństwo ze strony psa nie minęło. Wtedy dziecko

powiedziało coś, co Margaret uznała za bardzo dziwne. „Nie martw się o psa, tatusiu, mówiła Lizzy. Pies jest odsunięty. Został odsunięty daleko, na zawsze”.

O ósmej wieczorem Gavin Jackson załomotał do drzwi Ban-croftów. Oskarżył ich, że ukradli psa, co cierpliwego męża Margaret zupełnie wyprowadziło z równowagi. Rąbnął sąsiada pięścią w brodę, powalając go na podłogę. Od tego czasu obie rodziny nie odzywały się do siebie. Przez następne dni po tym zdarzeniu dało się zauważyć, że Elizabeth jest w świetnym nastroju. Skakała i podśpiewywała sobie. Promieniała. Shebę w końcu znaleziono. Sześć tygodni później po kamienistej plaży w Buckhaven chodził mężczyzna z wykrywaczem metali. Wydawało mu się, że natrafił na jakąś cenną rzecz. Z głębokości ponad metra wydobyl rozkładające się zwłoki dużego psa. Tabliczka identyfikacyjna na obroży wywołała pisk w słuchawkach detektora. Mężczyzna, oburzony i rozczarowany tym znaleziskiem, z powodu którego stracił wiele czasu, zawiadomił policję. Margaret słyszała, że przesłuchiowano właścicieli psa. Doniósł jej o tym McCloud, emerytowany funkcjonariusz. Lata później jego syn, też policjant na emeryturze, został właścicielem pubu Czarny Dzik. Córka Margaret miała okazję poznać go jako jeszcze większego plotkarza niż jego ojciec.

Powiedziała swojemu tacie - gdy we dwójkę poszli po rowery na drodze - żeby się nie martwił o psa, bo go odsunęła. Odsunęła go bez śladu - umieściła ponad metr pod ziemią na plaży czterdzieści kilometrów od domu. Dokonała tego tylko siłą własnych myśli. Strach nie pozwolił Margaret stanąć twarzą w twarz z córką i odbyć z nią rozmowę na temat tego wyczynu. Dawno się przed sobą przyznała, że jest tchórzem. Bała się mocy, które dziewczynka posiadała. Jeszcze bardziej się obawiała, jaki użytek w dorosłym życiu córka zechce zrobić ze swoich talentów.

John Bancroft zachorował na raka. Nie zawiniła późna diagnoza. Może Margaret była tchórzem, ale doktorem była dobrym. Diagnozę szybko potwierdzono. Choroba rozwinęła się prędko

i bezlitośnie. Elizabeth wtedy miała cztery lata. W okolicy nie było hospicjum, a Margaret nie mogłaby znieść, że jej ukochany mąż umiera w samotności. Leżał więc w domu wychudły, ból tłumiała morfina, życie uchodziło.

Nie umierał jednak. Mijały tygodnie. Pokarm dostawał kroplówką. Był prawie nieprzytomny, ale ciągle żył. Rzecz nieprawdopodobna w wypadku tak wyniszczającej choroby, której nie da się powstrzymać.

Margaret spojrzała na córkę. Elizabeth przy kominku bawiła się na podłodze z kotkiem, którego dostała od mamy. Igrała z nim kłębkami czerwonej wełny. Nagle Margaret uzyskała pewność.

- Jak długo zamierzasz trzymać tatę przy życiu?

- Nie wiem. Nie wiem, mamo. Jeśli umrze, będę bardzo za nim tęsknić, a ty będziesz płakać.

- Lizzie, on w śmierci znajdzie spokój. Skończą się jego cierpienia.

Elizabeth podniosła twarz i spojrzała na matkę. W świetle ognia łyzy jakby parzyły jej policzki czerwienią.

- Do czasu, aż wymyślę, jak przywrócić mu zdrowie. Teraz w tatusiu jest więcej choroby niż w tatusiu. Nie wiem jeszcze, jak to zrobić.

- Pozwól mu umrzeć, Lizzie.

Elizabeth pociągnęła nosem i roztarta łyzy wierzchem dłoni.

- Chodzi ci o to, żeby go przywrócić, kiedy choroba umrze? Czy to najlepszy sposób? Wiem, mamo, jak to pomyśleć.

Wkrótce po tej rozmowie Margaret dokonała pierwszej subtelnej zmiany w swoim wyglądzie.

Teraz stała w ogrodzie i patrzyła na kamienny krąg, w którym poprzedniego dnia chłopiec pracowicie zbudował stos. Wspominała blask radości w oczach czteroletniej córeczki, gdy zasugerowała przywołanie Johna z martwych. Zawsze bardzo kochała Elizabeth. I zawsze się jej obawiała. Elizabeth wyrosła na dobrego człowieka. Zapomniała o magii kostnej, najwyraźniej zapomniała,



jak być złą. Ale pozostały w niej potężne zdolności i każdego dnia matka modliła się, żeby córka nigdy ich w sobie ponownie nie odkryła i nie uległa pokusie użycia ich w złym celu. Instynkt podpowiadał Margaret, że potencjalnie nie jest to wykluczone.

Poczuła ciepło wznoszące się z kamiennego kręgu. Skrzywiła się z bólu, który się nagle odezwał. Upłynęło już dwadzieścia lat. Uśmiechnęła się: jak zadziwiająca moc ma jej córka. Upłynęło dwadzieścia lat, ale przecież nie trzeba być lekarzem, wystarczy być kobietą. Margaret wiedziała, co to ból miesięczkowy.

Topił swoje smutki w barze knajpy Oset, gdy do jego stolika w rogu podeszła ta kobieta. Przez chwilę stała i taksowała go wzrokiem. Od razu się domyślił, że to nie policjantka. Funduszu reprezentacyjnego policji nie można przeznaczać na ubrania, a zarobki by nie wystarczyły, bez względu na to, jaką miałyby szarżę. On sam nosił głównie rzeczy od Paula Smitha. Miał słabość do ubrań i dodatków i znał się na nich. Dlatego wiedział, że kobieta nie jest pracownikiem społecznym; z tego samego powodu nie mogła być funkcjonariuszem hrabstwa Perthshire. Kostium pod czarnym, kaszmirowym, rozpiętym płaszczem pochodził od znanego projektanta. To pewne. Może kobieta pracowała w Naczelnej Radzie Lekarskiej. Może była prawnikiem. Wyglądała zbyt zamożnie nawet jak na górne szczeble administracji szkolnej. Miał jednak pewność, że pojawiła się tu z powodu Adama Huntera. Wstał. Nogi krzesła za-szurały po podłodze z desek.

- Pan Cawdor?

- Tak.

Ściągnęła skórzane rękawiczki.

- Jestem doktor Lavinia Mallory - przedstawiła się. Głos miała aksamitny, lekko chropawy. Bardzo uwodzicielski. Cała była uwodzicielska. - Czy mogę się przysiąc?

- Naturalnie. - Usiedli oboje równocześnie. - Co mogę dla pani zamówić do picia?

- Za chwilę. - Równy złożyła palce rękawiczek na stole i płaską dłonią wygładziła zagniecenia. - Czy domyśla się pan, dla^ czego tu jestem? Gdy mówiła, jej szare oczy skrzyły się - rzekłbyś, kryształami mienia się w morskiej mgle. Z trudem mu przychodziło zmierzyć się z jej wzrokiem. Musiał ze sobą walczyć. Nigdy w życiu nie widział tak olśniewającej kobiety. Czuł się onieśmielony, nawet nieco przez nią zdominowany. Nie odpowiedział. Pokręcił głową i czule objął szklanę z piwem. Kobieta wyciągnęła rękę przez stół i pogłaskała palcami wierzch jego dłoni. Dotyk był miękki i ciepły.

- Przyszłam, ponieważ Adam Hunter jest w niebezpieczeństwie. Wiem, że czuje się pan w obowiązku dbać o swojego najlepszego ucznia. Jego ojciec wyjechał daleko. Nie jest złym człowiekiem, ale wprowadzono go w błąd. Uważa, że syn będzie bezpieczny pod opieką Elizabeth Bancroft. Ale to zepsuta kobieta i zamierza zniszczyć dzieciaka. Już wyrządziła wiele szkód. Bez szybkiej i zdecydowanej interwencji zdoła osiągnąć swój niemoralny, zwyrodniały cel.

- Jest wiedźmą, prawdziwą wiedźmą - stwierdził.

Doktor Mallory odchyliła głowę i roześmiała się głośno. Patrzył na jej długą białą szyję otoczoną cudownymi puklami lśniących włosów.

- Domyślałem się, że jest pani doktorem psychologii.

- Psychiatrii - powiedziała. Z kieszonki na piersiach żakietu wyjęła paczkę gauloise'ów i ujęła ją w dłoni tak, jak szuler trzyma zapakowaną talię kart. - To niecywilizowane.

- Elizabeth Bancroft? - spytał.

- Zakaz palenia - wyjaśniła. Uśmiechnęła się do niego. -Może pan pomóc chłopcu. Wiem, że od dawna bezinteresownie sam pan to robił. Może pan odegrać kluczową rolę w uratowaniu dziecka. W pewnym sensie nie ma pan nic do stracenia. Pańska kariera jest prawdopodobnie bezpowrotnie zniszczona. Andrew,

pomoc Adamowi byłaby dla pana pocieszeniem. Więcej, byłaby dla pana zbawieniem.

- Nie kwestionuję żadnego pani słowa, pani doktor. Ale muszę spytać, skąd pani tak dużo wie o okolicznościach.

Sprawiała wrażenie, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- W całkowitym zaufaniu? - rzekła po chwili.

- Przysięgam, że nikomu nie powiem.

- Elizabeth Bancroft jest monitorowana. Należę do grupy monitorującej.

Uważamy, że jeśli chodzi o nią, to nie pierwszy wypadek tego typu.

- Jezu.

- Właśnie.

Cawdor popił piwa. Ogrzało się od dłoni i było mdłe, aż się skrzywił.

- Wie pani, że to wyjątkowy chłopiec. Jest predestynowany do wielkich rzeczy, do szlachetnych czynów.

Pani Mallory znów się uśmiechnęła.

- Owszem, o ile ktoś mu nie przeszkodzi. - Usiadła prosto. Teraz Cawdor mógł jej spojrzeć w oczy. Nigdy jeszcze nie był tak blisko przy tak pięknej kobiecie. Teraz łączył ich wspólny cel, jak sojuszników, i choć może nie byli sobie zupełnie równi, to jednak ona musiała go prosić o pomoc. - Proszę mi postawić drinka, Andrew, a ja panu wyjaśnię, co miałby pan dla mnie zrobić jutro rano.

Później, gdy wracał do domu, uzmysłowił sobie, że nawet jej nie spytał o kwalifikacje zawodowe czy choćby potwierdzenie tożsamości. Zaniedbał tego. Jego własna ostrożność zawodowa powinna go skłonić do postawienia pytań. Ale przecież życie zawodowe miał zrujnowane przez tę wiedzmę Bancroft i jej ciemne moce. Nakłoniła policję do śledztwa w sprawie, która zupełnie nie powinna ich obchodzić. W każdym razie nie wątpił, że pani Mallory jest tą osobą, za którą się podaje. Zbyt wiele wiedziała o okolicznościach całej sprawy, więc musiała nią być. Zbyt wiele wiedziała o charakterze Adama i o szczególnym związku syna

z ojcem. A wszystko, co mówiła, brzmiało szczerze i autentycznie. Źle pograł z tą Bancroft. Próba zastraszenia okazała się prymitywna i nieskuteczna. Niedowarzony pomysł tego głupiego pijusa Toma Lincolna. Tom składał swój alkoholizm na karb pewnego wydarzenia związanego z Margaret Bancroft, którego był świadkiem w młodości. Doktor Mallory myliła się. Obie kobiety o nazwisku Bancroft były wiedźmami. Nie można jednak winić wykształconego psychiatry za to, że wyraża sceptycyzm. A w jego własnym podejściu do całej tej sprawy za dużą rolę odgrywały piwo, intryga i pradawne urazy. Analityczne podejście doktor Mallory to przejrzysty i bardziej skuteczny sposób wyrwania Adama ze szponów Elizabeth Bancroft. Niesamowite było tylko to, że potrafiła dokładnie przewidzieć, kiedy chłopiec się obudzi następnego ranka. Co do minuty. I podała to jako fakt bezsprzeczny.

No cóż. Należała do grupy monitorującej, więc może monitorowali również schemat snu Adama Huntera. Cieszył się, że odegra kluczową rolę w uratowaniu tego wyjątkowego chłopca. Doktor Mallory miała rację: było w tym coś z odkupienia. Tak rozmyślając, ślizgał się po ośnieżonych chodnikach wioski. W szkole niektórzy bardziej męscy nauczyciele naśmiewali się z jego samochodu. Pił za dużo, wątroba cierpiała. Mieszkał w skromnym domu. Plotkarze z Czarnej Dziki uważali, że są zabawni, kiedy kwestionują jego orientację seksualną. Mógł się teraz wykazać czynem doniosłym i wartościowym.

Kiedy tego dokona, pomyśli, jak się zemścić na Elizabeth Bancroft. Miał zobowiązania wobec przodków. Kiedy zostanie zwolniony z pracy, będzie miał dużo wolnego czasu i wymyśli coś, co okaże się naprawdę dotkliwie i niezawodne. Jest wiele prawdy w powiedzeniu: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Teraz idzie do swojego małego wynajmowanego mieszkania, żeby się porządnie wyspać. Kiedyś nazwisko Cawdorów oznaczało dobrobyt i wysoką pozycję społeczną w tej części

hrabstwa Perthshire. Niestety, rodzinę przeklęła i zniesławiła ta wiedźma Campbell; tak jak obecnie jej potomkini przyczynia się do jego niesławy. Lavinia Mallory wyśmiała samo pojęcie wiedźmy i z pewnością wyśmiałaby coś takiego jak klątwa. Analiza i racjonalność - to dewiza psychiatrii, a psychiatria gwarantowała tej kobiecie bardzo przyzwoity poziom życia, jeśli sądzić po jej garderobie. Oczywiście również odrzuciłaby koncepcję złej magii. On wiedział swoje. Mimo wszystko postanowił jej pomóc.

### 13

**Gdy** Mark Hunter zobaczył na podłodze w salonie porzuconą konstrukcję meccano, od razu wiedział, że syn zniknął. Adam nigdy nie traktował w ten sposób nowych prezentów. A to na pewno była nowość - Hunter nie widział przedtem, żeby syn się tym bawił. Oszołomiony podniósł zabawkę i w kołysce z dłoni wniósł ją na piętro. Otworzył drzwi sypialni syna - łóżko, jeszcze ciepłe, było puste, podobnie jak pokój.

Z płuc ojca wydobył się ryk rozpacz, który obudził Elizabeth. Miała wrażenie, jakby ktoś ją dźgnął nożem w świeżą ranę. Odrzuciła kołdrę i pobiegła na piętro, skąd dochodził krzyk. Kiedy Hunter się ku niej odwrócił, zobaczyła, że przy piersiach mocno trzyma skomplikowaną konstrukcję zmontowaną poprzedniego dnia przez Adama. Zdawała sobie sprawę, że jest naga i że już po raz drugi staje przed nim bez ubrania, ale wyczuwała, że zza łez, zalewających mu oczy, Mark dostrzega tylko brak syna w widzialnym świecie.

Musiała przejąć inicjatywę. Hunter w każdych innych okolicznościach był silnym mężczyzną. Bał się tylko jednego. I właśnie teraz to się stało. Stracił dziecko i to odebrało mu odwagę. Elizabeth podeszła do niego i wyjęła mu z dłoni zabawkę.

Uderzyła go mocno po twarzy. Drugi raz. Trzeci. Aż z jego oczu zniknęło przerażenie. Nie mogła się potem doliczyć, ile razy go spoliczkowała. Chwyliła go za włosy i mocno przygięła głowę, aż mogła spojrzeć mu w oczy. Ból w nich był tak wielki, że serce jej się krajało. Muszę być silna za nas oboje, póki nie wróci mu wola działania, pomyślała.

- Masz miecz?

- Co? O czym ty mówisz?

- Mark, mówiłeś, że podarowano ci miecz.

- Tak.

- Weź go teraz i naostrz. Niech brzeszczot będzie jak brzytwa. Dogonimy ją i uratujemy twojego ukochanego syna. A ona szcześnie.

Jej słowa poskutkowały. Wyprostował się, spojrzął jasnym wzrokiem. Jeszcze drżący, westchnął, a potem oddychał już normalnie. Linia szczęki wskazywała na siłę i determinację. Elizabeth chyba nigdy w życiu nie widziała u mężczyzny takiego poczucia winy. Chwylił kołdrę z łóżka chłopca i mocno zacisnął ją w pięściach. Ale natychmiast odzyskał panowanie nad sobą.

- Czy wczoraj coś do mnie przyszło?

- Paczka - odparła. - Podpisałam odbiór. Zapłaciłam też jakiś drobny podatek.

- Dobrze. Jest mi to potrzebne tak samo jak miecz. Musimy zaraz wyruszyć. Pada śnieg i zasypie wszystkie ślady. - W końcu na nią spojrzął. Drżała, w pokoju Adama było zimno. - Lepiej się ubierz - powiedział. Znów zaczął błądzić wzrokiem. Patrzył na drobiazgi rozstawione na parapecie, na książki, zabawki, modele maszyn. Emocje wzbierały w nim jak morskie fale. Teraz jednak nie miał czasu na rozpamiętywanie bólu. Wyszarpnęła Markowi kołdrę z dłoni, zebrała siły i wyprowadziła go z zięjącego pustką pokoju.

Szli, a on ostrzył miecz osełką. W długim płaszczu i wysokich butach wyglądał jak wojak z chybionej zimowej wyprawy Napoleona na Moskwę. W szarobiały świat uchodziły kłęby jego

oddechu, a w dłoniach złowrogo błyskał metal, gdy schodzili po niknących śladach do dzikiego zagajnika w dole. Dwa kilometry od domu, na szosie, ślady stały się zupełnie niewidoczne. Hunter, z przypasanym teraz mieczem, cały czas się rozglądał. Patrzył nieustannie w ziemię i rozrywał brązowy papier i taśmę klejącą z pakunku, który poprzedniego ranka dostarczył kurier FedEksu. Elizabeth uznała to wypatrywanie śladów za bezcelowe. Świeży śnieg pokrywał cały teren jednolitą białą kołdrą.

- Doszedłeś do jakichś wniosków?

- Na podstawie kroków mężczyzny, który uprowadził Adama, wnioskuję, że ma około metra osiemdziesięciu wzrostu i waży jakieś siedemdziesiąt kilo. Ma na sobie miejskie buty o skórzanych podeszwach. To nie jest żaden człowiek z jej świty.

- Czy to na pewno mężczyzna?

Hunter skinął głową. Teraz trzymał w dłoniach przedmiot z paczki. Przyjrzał mu się, a potem włożył go do jednej kieszeni płaszcza, a do drugiej wysunął rozerwane papierowe opakowanie.

- Tu zaparkował swój samochód o wąskim rozstawie osi i kołach źle trzymających się nawierzchni. Czy znasz kogoś, kto ma takie auto?

- Moja matka.

- Twoja matka nie uprowadziła Adama.

- Jesteś pewien, że to mężczyzna?

Uśmiechnął się do niej. W jego twarzy nie było wyrazu radości ani zbyt wielkiej nadziei.

- Pani Mallory nie ma zwyczaju wędrować zimą po wsiach. Od dawna nie lubi przebywać na świeżym powietrzu. Nie nosi butów w rozmiarze czterdzieści trzy. Adam szedł po śladach, tak jak go uczyłem. W ten sposób nie traci się sił na wyciąganie nóg z głębokiego śniegu. Ale wymaga to pewnej bliskości. Musiał iść z kimś, do kogo ma zaufanie.

Elizabeth skinęła głową. To logiczny wniosek. Inaczej Adam nie poszedłby dobrowolnie. W domu doszłoby do szarpaniny,

a wtedy by to usłyszeli. Ślad się urwał. Gdyby nie to, szliby dalej, szukając dziecka.

. - Musimy wrócić po land-rovera - powiedział Hunter. - Teraz wiemy, którą drogą tu dotarli, i potrzebny nam samochód.

- Nie mamy zupełnie pojęcia, dokąd jechać.

- W tamtą stronę. - Hunter wskazał szosę na południe. -Gdybyśmy wiedzieli, kto go porwał, moglibyśmy się domyślić, dokąd go zabrano.

Elizabeth nie skłaniała się ku takim wnioskom, ale nie chciała burzyć jego nadziei. Jeśli to sprawka pani Mallory, kidnaper będzie stosował się do jej instrukcji, a nie działał zgodnie ze swoimi zwyczajami.

- Zawiadomimy policję?

- Oczywiście. Zadzwonimy zaraz po powrocie do domu. Podejście po stromym wzgórzu, w kopnym śniegu, okazało

się dość trudne. Elizabeth nie pamiętała tak ciężkiego listopada.

Zapowiadała się długa surowa zima. Dla Marka Huntera może to być

nieznośnie samotna zima. Ta mozolna wspinaczka była mu jednak

potrzebna. Wyczerpujący wysiłek fizyczny dobrze mu zrobił. Jej zresztą też.

Jedyny sposób na przetrwanie takiego kryzysu to stopniowo wykonywać

kolejne zadania, unikać myślowych spekulacji, zachować rozważny spokój i

nie poddawać się panice i rozpacz. Elizabeth szła za Markiem, który

miarowo kroczył w górę, i rozmyślała. To ciężka próba i dla niej, i dla niego.

Wiedziała o tym i nie były jej do tego potrzebne kłujące w oczy łyzy.

Pokochała mężczyznę i pokochała jego syna. Adam to nadzwyczaj zdolne

dziecko, jak powiedział ten okropny nauczyciel matematyki. Ale również

pogodne, miłe i zadziwiająco dzielne.

- Mark!

Zatrzymał się i odwrócił. Stała po kolana w śniegu, z oddechem

wypuszczająca z płuc kłęby mroźnej pary, przenikliwe zielone oczy patrzyły

na niego znad szalika, którym otuliła twarz przed zimnem.



- Chyba wiem, kto go porwał. Przypuszczam, że to Andrew Cawdor. Przyspieszyli kroku. Hunter niemal biegł. Elizabeth ledwo mogła za nim nadążyć. Znała to hrabstwo, urodziła się tutaj. Jeśli to Cawdor jest sprawcą uprowadzenia, istniała nadzieja na odnalezienie Adama. Wprawdzie nauczyciel błędnie oceniał sytuację, ale chciał dla chłopca jak najlepiej. Mógł go wieźć do jednego z wielu portów. Potem popłyną do Niemiec, Holandii lub na Półwysep Skandynawski. Do Irlandii lub na wyspę Man. Ale pierwsza część podróży na ładzie, przy tak niesprzyjającej pogodzie, będzie przebiegać wolno. A gdy Adam zobaczy terminal promowy, zorientuje się, że historyjka, którą go nakarmiono, żeby zabrać od ojca, to czysta błaga. Chłopiec nie da się dobrowolnie dalej zaciągnąć. Był stosunkowo wysoki i silny, rzucał się w oczy. Cawdor sobie z nim zbyt łatwo nie poradzi. Gdy tylko dotarli do domu, usłyszeli telefon. Dzwonił sierżant Kilbride. Ponurym głosem powiedział Hunterowi, że chciałby mówić z Elizabeth.

- Znaleźliśmy ciało - poinformował ją.

Patrzyła w wygasły kominek, gdzie na palenisku leżała warstwa zimnego popiołu. Zamknęła oczy. Nie może chodzić o Adama, bo Kilbride przekazałby tę wiadomość bezpośrednio ojcu, pomyślała. Przed domem stał już samochód patrolowy. O takich rzeczach zawiadamiają osobiście. Takie są zasady. Policja zawsze się do nich stosuje,

- Mów dalej.

- To Andrew Cawdor - ciągnął Kilbride. - Ciągłe czekamy na formalną identyfikację. Pani Blyth ma to zrobić, zgodziła się specjalnie wrócić ze swojego domku wakacyjnego w Buckhaven. Jeszcze nie dotarła. Ale to na pewno on.

- Gdzie go znaleźliście?

- Kierowca piaskarki zauważył samochód w zaspie na drodze do Fort William i postanowił podjąć akcję ratowniczą. Biedny człowiek przeraził się jak nigdy w życiu.

- Cawdor był sam?

- Tak, samotny i martwy.

- Nie było żadnych śladów osób, które pieszo opuściły samochód?

Kilbride westchnął.

- Niczego takiego nie znaleziono. Ani śladów butów, ani śladów czyjejś ingerencji. A na miejsce wysłaliśmy bardzo doświadczonych zwiadowców. To dziwne, ale nie mamy do czynienia z morderstwem. To było samobójstwo.

- Tlenek węgla?

- Nie, nie otruł się gazem. Błędnie go oceniłem podczas naszej rozmowy w szkole. Sądziłem, że ma wielkie poczucie własnej wartości. Sugerował to styl ubioru, sposób, w jaki się do nas odnosił. Ale on musiał żywić do siebie nienawiść.

- W jaki sposób odebrał sobie życie?

- Wykrwawił się na śmierć - powiedział Kilbride. - Odgryzł sobie dłonie i wykrwawił się na śmierć.

Poprosiła Marka do telefonu, żeby zgłosił zniknięcie Adama. Kilbride zgodził się z tezą, że to bez wątpienia uprowadzenie. Jak każdy dobry gliniarz znał teren, mieszkańców i wiedział, że Hunter jest byłym wojskowym i należycie ocenia dowody. Bez komentarza wysłuchał relacji z porannych wydarzeń.

- Samochodu jeszcze nie uprzątnięto. Wyślę tam zespół z psami tropiącymi. Dobrze sobie radzą na śniegu, a trop zapachowy jest mocny, jak pan zapewne wie.

- Tak - odparł Hunter. Wiedział, że sierżant jest przyjacielem Elizabeth i wyczuwał, że Kilbride stara się zachować jak największy optymizm. Niezbyt mu się to udawało. Wszystkie znaki źle wróżyły, a był zbyt doświadczonym policjantem, żeby tego nie dostrzegać.

- Potrzebny nam przedmiot, na którym byłby zapach Adama. Łatwiej byłoby nam wziąć coś ze szkoły.

- Jest niedziela, sierżancie.

- To mała miejscowość, proszę pana. Możemy wziąć klucze od dozorczy. Powinni też mieć zapasowe w straży pożarnej we wsi. Jest w szkole coś takiego?

Hunter zakasłał, by przeczyścić gardło i odzyskać panowanie nad sobą.

- Przechowuje tam strój sportowy. W worku w swojej szafce. Skończyli rozmowę i Hunter musiał wyjść na dwór na kilka minut. Wyszedł kuchennymi drzwiami. Był wdzięczny, że Elizabeth otrzeźwiła go rano, gdy stwierdzili zniknięcie Adama. Teraz jednak potrzebował chwili samotnej refleksji. Ciężko mu było na sercu, w sumieniu obarczał się oskarżeniami, których nie mógł udźwignąć. Miał przekonanie, że to on wydał wyrok na syna. Tak nieudolnie działał w Magdalenie, przez całe lata arogancko lekceważył klątwę - w końcu to się zemściło. To była jego wina. Całkowicie jego wina. Przed oczami miał twarz Adama w aureoli loków. Padł na kolana i szlochał. Tak rozpaczliwie nie szlochał nawet tego strasznego dnia, gdy żona i córka zostały jednocześnie pochowane. Wtedy musiał być silny ze względu na Adama. Teraz Adam zniknął, a wraz z nim źródło siły.

Elizabeth obserwowała go przez okno dziecięcej sypialni. Miała ochotę zejść do niego, ale nie mogłaby mu ofiarować pocieszenia. W tych okolicznościach ojciec musi przeżywać ataki rozpacz. To nieuniknione. Był jednak człowiekiem mocnym, o silnej woli, i póki nie zobaczy dowodów, że nie ma już nadziei, póty nie zrezygnuje. Czuje się teraz podle, niepewny wyniku poszukiwań, ale w nich nie ustanie, póki nie odnajdzie syna.

Rozejrzała się po pokoju. Przyszła tu nie z chorobliwego pragnienia, żeby znaleźć się wśród przedmiotów Adama, ale dlatego, że intuicja podpowiadała jej, że jest tu jakiś klucz, ważna wskazówka, której poprzednio nie zauważyła. Widziała plakaty, pomalowane modele samolotów, playstation, zapasowe baterie i kupione na pchlim targu kości do gry w skórzanym kubku. Zwykły dziecięcy bałagan. Spojrzała na grzbiety serii popularnonaukowej. Tomiki o Brunelu, „Titanicu”, starożytnym Rzymie,

misji „Apolla”. Była pewna, że coś ważnego jej umyka, ale jeszcze tego nie odkryła.

Wyrzwała przez okno: z ulgą zobaczyła, że Hunter wstał, znużonym ruchem przetaił oczy i zaczął otrzepywać śnieg z kolan. Powinna teraz do niego pójść.

- Adam żyje.

Uśmiechnął się do niej z wysiłkiem.

- Skąd wiesz? Znasz klątwę, którą rzuciła na mojego syna. Na jakiej podstawie sądzisz, że jest nadzieja?

- Nie jestem zaślepiona emocjami. Uważam, że Adam żyje, ponieważ jest tylko przynętą. Pani Mallory zapowiedziała, że ona i ja się spotkamy. Gdyby nie chodziło o dobro Adama, nie ryzykowałabym spotkania z nią, prawda? Poza tym chce się na tobie zemścić za zniewagę w Magdalenie. Ciebie też chce zwabić.

- Czy klątwa nie jest dostateczną zemstą?

- Nie. Jej to nie wystarczy.

- Co według ciebie powinniśmy zrobić?

- Najtrudniejszą rzeczą dla człowieka takiego jak ty. Usiąść i czekać. Czekać na jej telefon. I zapewniam cię, Mark. Ona zadzwoni.

Uważał, że w snach jest bardziej przerażająca niż jako osoba cielesna. W snach tylko ją podsłuchiwał i obserwował z pewnej odległości. Cieleśną postać widział w trzech wymiarach i czuł jej zapach. Między dwoma palcami miała brązową plamę. Kamienie szlachetne pierścionków i naszyjnika rzucały zimne błyski. Gdy wstawiała i robiła parę kroków, rozlegał się stukot szpilek na kamiennej posadzce. Szkarłatna szminka pokrywała jej wargi grubą fakturą. Przebywali razem w małym pomieszczeniu. Gdy kobieta wpatrywała się w niego, czuł się najpierw nieswojo, a potem był naprawdę przerażony.

W szkole koledzy nigdy go nie prześladowali. Wiedział, że zawdzięcza to swojej inteligencji. Słyszał, co to syndrom malowanego ptaka. W szkole zawsze był takim malowanym ptakiem.

Gdy tylko wyczuł, że zanosi się na konfrontację, umiał przewidzieć kilka ruchów do przodu, uprzedzając najsilniejszych, najbardziej agresywnych chłopców. Potrafił ich przechytrzyć, dezorientować, nim zdążyli ułożyć plan w swoich - pożał się Boże - mózgownicach. Stosując sztuczki i wybiegi, potrafił odwieść ich od złych zamiarów.

Pierwszym sygnałem był dla niego złośliwy błysk w oczach łobuza. Błysk dziki, nieokiełznany, zawsze zapowiadał zbliżający się nieuchronnie akt agresji. Gdy na podwórku szkolnym Adam spotykał się z taką sytuacją, od razu wiedział, co ma robić. Oczy pani Mallory też tak wyglądały. Cały czas. I to w napięciu, jakiego nigdy przedtem nie widział. Istniało na to odpowiednie określenie. Adam miał je na końcu języka. Drapieżność. Pani Mallory miała bardzo elegancką fryzurę, budowę ciała baletnicy czy modelki z wybiegu. Nosila dużo biżuterii. Ale gdy jej szare oczy patrzyły na niego, była w nich drapieżność. A w dodatku te oczy nie mrugały, co jeszcze bardziej go przerażało.

- Co tam się kotłuje w tym twoim małym inteligentnym mózgu?

- Zastanawiałem się, kiedy znów zobaczę tatę. Zaśmiała się.

- Kłamczuch. Nie martw się, Adamie - dodała po chwili. - Wkrótce go zobaczysz.

Pomieszczenie było bardzo zadymione. Pani Mallory dużo paliła. Tata Adama miał kolegę z pułku, Jamesa Prestona; Adam widział go kilka razy. Nie przypuszczał, żeby jakiś człowiek mógł palić więcej od niego. Ale pani Mallory paliła jednego papierosa za drugim. Wydzielala silny zapach tytoniu, jakichś ciężkich perfum oraz - jak się Adamowi wydawało - futra, z którego zrobiony był kołnierz płaszcza. To było futro naturalne, a z kołnierza zwisała nawet głowa zwierzęcia, jakby samo zwierzę leżało na jej ramionach.

- To soból, Adamie - wyjaśniła.

Adam słyszał o norkach. W dawnych czasach ludzie nosili futra z norek, bobrów i lisów. Nigdy jednak nie słyszał o sobolach. Ale zaraz, zaraz... przecież ona potrafiła wyraźnie czytać w jego umyśle, jakby otworzyła książkę i czytała wydrukowane na kartkach słowa.

- Sama go pani zabiła?

- Co?

- Tego sobola.

Uśmiechnęła się. Nie był to ludzki, cudowny uśmiech z fotografii, którą dziś rano widział w czasopiśmie. To był jej rzeczywisty uśmiech, też piękny, ale tak zimny i śmiertelnie niebezpieczny jak żelazny potrząsk.

- Chyba sobie ze mnie nie żartujesz, co? Adam przełknął.

- Nie, wcale nie.

- Dobrze. Byłoby to bardzo nierozsądne z twojej strony.

- Nawet by mi się to nie śniło.

- Nie zabiłam sobola. Pragnęłam go mieć. Zabiłam jeźdźca, bo nosił ten kołnierz, a ja mu go zazdrościłam.

- Czy jest bardzo stary?

- Nawet nie masz pojęcia. Sądził, że jednak ma.

Jej samochód był tylko nieco mniej przerażający od niej samej. Czekał na poboczu. Pan Cawdor ostrożnie zjechał z drogi w padającym śniegu i Adam zobaczył wyłaniający się kształt monstrualnej limuzyny. Wtedy zrozumiał, że go zdradzono i wciągnięto w pułapkę. Samochód o czarnych błyszczących liniach przypominał wielkiego karalucha wśród białych zasp. Adam nie miał wyboru: musiał iść tam, gdzie mu kazano. Siedział z tyłu w gównianym gracie nauczyciela i w lusterku wstecznym dostrzegł jego twarz. Wszystko stało się jasne.

- Wychodź, Adamie.

Pan Cawdor zrozumiał, że źle ocenił sytuację - Adam widział to po jego zdezorientowanej minie. Ale nadąsane usta świadczyły

o tym, że nauczyciel nawet przed samym sobą nigdy się do tego nie przyzna i że błaganie go jest bezcelowe. Nie ma również sensu uciekać. Drzwi samochodu nie były zamknięte na zamek, ale zatrzymali się daleko od wszelkich domów. Tata uczył go strategii przetrwania w trudnych warunkach i Adam zdawał sobie sprawę, że bez paliwa, jedzenia i - co najważniejsze - środków nawigacji i łączności nie przetrwałby zbyt długo. Miał ze sobą telefon komórkowy. Tata powiedział mu, żeby zawsze brał komórkę. Ale limit już mu się wyczerpał, a bateria dawno nie była ładowana. W tej okolicy i tak zresztą trudno się spodziewać zasięgu. Telefon był bezużyteczny. Pan Cawdor wyciągnął rękę i otworzył drzwi z jego strony. Adam wysiadł, zatraskując je za sobą. Nawet nie powiedział do widzenia. Wsiadł do samochodu pani Mallory i wsunął się na siedzenie z tyłu. Przez impregnowane spodnie czuł przy nogach chłodną skórę fotela. Samochód nie miał ogrzewania, a jeśli nawet miał, pani Mallory go nie włączyła. Odwróciła się do niego i w ponurym wnętrzu widział, jak wydechane przez nią powietrze snuje się spiralną mgłą.

- Cieszę się, że w końcu mogę cię poznać, Adamie.

- Wzajemnie - odparł odruchowo, nauczony przez ojca, by uprzejmie odpowiadać ludziom, którzy się do niego uprzejmie zwracają.

- Nie - powiedziała. Puściła sprzęgło i samochód wolno ruszył. - Na pewno się przekonasz, że cała przyjemność jest po mojej stronie.

Zahamowała. Włączyła jałowy bieg.

- Muszę zlecić panu Cawdorowi jeszcze jedną rzecz - oznajmiła. -

Przepraszam na chwilę. - Wysiadła. Adam patrzył, jak idzie w stronę

samochodu nauczyciela. Ubrana była zupełnie niestosownie do pogody.

Miała na nogach szpilki. Powinna zapadać się po łydki, ale jakimś cudem

potrafiła iść po samej skorupie śniegu. Zastukała w okno samochodu i pan

Cawdor odsunął szybę. Chyba coś do niego powiedziała. Rozmowa trwała

bardzo

krótko. Wróciła, wsiadła do limuzyny, uśmiechając się do siebie. Rozległ się pisk, potem chrzęst, gdy koła się obróciły i samochód ruszył.

- To łańcuchy przeciwslizgowe - wyjaśniła. Teraz siedzieli w małym pomieszczeniu.

- Gdzie jesteście? - spytał Adam.

- A jak ci się wydaje?

- Chyba tam, na obczyźnie, gdzie obcy szmat pola - odparł smutnym, młodzieńczym głosem.

- Jesteś rzeczywiście tak bardzo inteligentnym chłopcem, za którego wszyscy cię uważają - powiedziała do niego z uśmiechem.

Mark Hunter wsunął z powrotem do pochwy wyostrzoną broń. Dokładnie mówiąc, była to szabla. Dostał ją w Hereford. Przy rękojeści na głowni wybito królewski herb. Setki lat tradycji stały za tym dziełem rzemieślniczego kunsztu. Broń wykuto z najlepszej stali o idealnej strukturze. W Sandhurst Mark uprawiał szermierkę. Zdobył puchar. Podczas zawodów wołał jednak szpadę. Nigdy nie przypuszczał, że w gniewie podniesie na kogoś miecz. Uśmiechnął się do siebie.

- Czy sądzisz, że będzie przy niej świta? - spytała Elizabeth.

- Nie - odparł. - Wykorzystywała Adama jako rodzaj kanału przesyłowego. Wiedziała, co się wokół niego dzieje. Śledziła mnie w Szwajcarii, bo wtedy Adama nie było w pobliżu, a poza tym wołała zachować ostrożność, jeśli chodzi o pannę Hall. Myślę, że nieco jej się obawiała, może nawet darzyła ją szacunkiem. Ale teraz panna Hall nie żyje, a pani Mallory się nas nie boi.

- Dlaczego się przed chwilą uśmiechnęłaś?

- Przypomniało mi się coś w związku z Adamem. Kiedy miał trzy lata, kupiłem mu plastikową zbroję, miecz i tarczę. Przypiąłem mu napierśnik, Adam włożył na głowę hełm i poszliśmy do parku. Niosłem pozostałą część rynsztunku, bo chciał mieć wolne ręce do zabawy. Na placu zabaw stanęliśmy u stóp drabinki,



a z góry jakiś chłopiec, nieco starszy od Adama, spojrział na niego w dół i zaśpiewał: „Jestem królem tego zamku, a ty nędznym łotrem”. Wtedy Adam wyciągnął do mnie rękę i poważnym ar-turiańskim tonem rzekł: „Tato, mój miecz”. - Hunter zamilkł na chwilę. - Och, Elizabeth, mam tyle radosnych wspomnień.

- A czeka cię jeszcze więcej - odparła, choć niezbyt w to wierzyła. Zadzwonił telefon. Hunter podniósł słuchawkę, a po niecałej minucie odłożył ją bez słowa.

- To ona - powiedziała Elizabeth. Skinął głową.

- Jest w twoim domku. Chce, żebyśmy tam oboje przyjechali. Mamy przybyć tuż po zmroku. Powiedziała, że jeśli spróbujemy wszcząć alarm albo zabrać kogoś ze sobą, podejmie stosowne działania. Mówi, że Adam żyje. Wierzę jej. Wcześniej traciłem nadzieję, ale jestem pewien, że wiedziałbym, gdyby mój syn umarł.

- Masz jakiś plan? - spytała. Śnieg ciągle padał. Zjeżdżali land-roverem opadającą w dół szosą i nawet samochód z napędem na cztery koła z trudem sobie radził na śliskich zakrętach i sporadycznych, ale zdradliwych łatach lodu.

- Powiem ci coś na temat planowania. - Hunter wpatrywał się uważnie w spowity bielą krajobraz. - Plany tworzy się na sytuacje, które zmieniają się już w momencie, gdy próbujesz je wdrożyć. To truizm wojskowego doświadczenia. Znasz dewizę mojego pułku?

- Śmiały zwycięża.

- Wiem, że brzmi jak knajpiana przechwałka. Jak fanfaronada. Ale w zasadzie zawiera prawdę. Najczęściej wygrywa impet i odwaga. Teraz Mark był w znacznie lepszym nastroju. Wybierał się przecież na akcję. Szanse wygranej nie miały dla niego znaczenia. Sytuacja była czarno-biała. To proste: albo uratuje syna, albo zginie.

- Czy w ten zawły sposób chcesz mi powiedzieć, że nie masz żadnego planu?

- Mniej więcej.

Włożyła dłoń do kieszeni i zagrzechotała kośćmi w skórzanym kubku, który tuż przed wyjściem z domu zabrała z półki w pokoju Adama.

- Mark, czy pamiętasz, jak panna Hall powiedziała ci kiedyś, że pani Mallory to kobieta, która dotrzymuje danego słowa.

- W ogóle nie jest kobietą.

- Ale pamiętasz?

- Tak. To samo powiedziała do ciebie, gdy obiecywała, że wy dwie się spotkacie.

- Uważam, że traktowała to dosłownie - stwierdziła Elizabeth.

- Wspominałeś kiedyś o ponurych stworzeniach, z którymi się zadawała, o układach, jakie zawarła, zwodząc naturę przez tak długi czas. A jeśli nie dotrzymując danego słowa, staje się nikim? A jeśli dotrzymywanie słowa to nieodzowny warunek całego jej istnienia?

Hunter nie odpowiedział. Niezbyt wierzył w planowanie. W głowie Elizabeth natomiast zrodził się pewien pomysł. Nie tyle plan, ile fortel. Ucieknie się do niego w sytuacji, gdy nie będzie innego wyjścia.

Dotarli na miejsce. Hunter wyłączył silnik.

- Może sam to załatwię - zwrócił się do niej. - Widziałem z bliska, na co ją stać. Jest potężna, a jej okrucieństwo jest wielkie.

- Powiedziała, że mam przyjść.

- Wejdę tam i zrobię wszystko, żeby ją zabić - oznajmił. - Tu nie chodzi o ceremoniał. Jeśli będziemy trzymać się jej reguł, koniec z nami.

Elizabeth otworzyła drzwi auta ze swojej strony i wyskoczyła w śnieg.

- Do cholery, ona wybrała mój dom. Siedzi na moich cholernych meblach z twoim uprowadzonym synem. Na co czekasz, do diabła?!

Pani Mallory rozgościła się w salonie. Siedziała na kanapie, a Adam spał z głową złożoną na jej kolanach. Długimi lakierowanymi paznokciami rozczesywała mu pukle włosów. Nie paliła się żadna lampa, ale śnieg na dworze odbijał światło, które zalewało wewnątrz bladym lśnieniem. Gdy przekroczyli próg, pani Mallory spojrzała na nich.

- Pułkownik Hunter - powiedziała. - Od wieków pana nie widziałam! I przywiózł pan tę starą pannę, Elizabeth Bancroft.

Hunter nie przystanął w progu. Szedł przed siebie. Podniósł syna za kurtkę, położył go na podłodze i wyjął paralizator, który przesłał mu Jimmy Preston. Szarpnął kobietę w górę, rozdarł jej ubranie na piersiach i przystawił paralizator do mostka. Wiedział, że napięcie wystarczy, żeby wstrząsnąć jej ciałem i unieszkodliwić ją. Broń pracowała w dwóch trybach: jeden - ogłuszyć, drugi - zabić. Hunter ustawił ten drugi. Burknął coś i nacisnął spust. I nic się nie stało. W chłodnym pokoju rozszedł się lekki swąd palonego ciała. Paralizator trzeszczał jałowo. Pani Mallory wybuchnęła śmiechem.

- Co za maniery, pułkowniku! - szydziła.

Paralizator trzymał w lewej dłoni. Prawą sięgnął za plecy do rękojeści miecza u pasa. Z braku bardziej subtelного pomysłu chciał użyć białej broni. Mallory popatrzyła na niego, a on popełnił błąd - też spojrzał jej w oczy.

- Klękaj! - powiedziała. Nie mógł się oprzeć rozkazowi. Uklęknął nad śpiącym na dywanie synem i jęknął. Nie mógł spojrzeć na Adama. Jak urzeczony patrzył w oczy czarownicy. - Doktor Bancroft, proszę siadać - rzuciła.

- Nie jest pani człowiekiem - stwierdziła Elizabeth.

- To ocena subiektywna. Proszę usiąść.

Elizabeth osunęła się ciężko na fotel przy wygasłym kominku. Zobaczyła, że Hunter opuścił paralizator na dywan obok siebie.

- Jest pani podobno wrażliwa na elektryczność.

Pani Mallory też usiadła. Poprawiła rozerwane na klatce piersiowej ubranie. Zapaliła papierosa, ale wzrok cały czas kierowała na Huntera.

- Czasami się zastanawiałam, ile godzin to biedne grube bez-talencie, ten samouk, Rachel Hall, spędziło nad podręcznikami czarów, by odkryć tę moją szczególną słabość. Przyznaję, że pracę wykonała sprawnie i dobrze. Aż mnie to zdziwiło. I prawie jej się udało. Ale tylko prawie. Po wyjeździe z Magdaleny musiałam podjąć niezbędne kroki, żeby się pozbyć tej słabości. Gdybym się leniła, nie żyłabym tak długo.

- I musi pani wprowadzić na świecie zamęt, jak w 1933 roku - powiedziała Elizabeth.

Pani Mallory uśmiechnęła się. Oczy jednak cały czas patrzyły na Huntera.

- Zaledwie dziesięć dobrych lat - rzekła. - Mgnienie oka. Tym razem potrwa to dłużej. Ale pani tego nie dożyje.

- Zaskakuje mnie Brooke - przyznała Elizabeth. - Można by pomyśleć, że Yeats jest bardziej w pani stylu.

- „Bestia... pełźnie w stronę Betlejem”<sup>2</sup>. Myśli pani schematami, pani doktor. Brooke był słodki. Berlin miły. Ja się nudziłam. A pani próby odwrócenia mojej uwagi są żałosne.

- Naprawdę zamierza pani zabić chłopca?

- Nie. Zamierzam skłonić ojca, by go zabił. I każę pani na to patrzeć.

Adam śpi. Śni o czymś, ale nie są to sny pani Mallory. Czuje się bezpiecznie i nie opiera się snom. Szczerze mówiąc, woli własne sny - ten akurat nie jest chyba całkiem jego. Ale przynajmniej nie jest to koszmar narzucony przez wiedźmę. Wyobrazony krajobraz ma w sobie łagodne ciepło. Panuje atmosfera niespokojnego oczekiwania, ale są w niej pewność i rozwaga.

Koordynator snu zachowuje się cierpliwie i z dobrocią. Adam nie próbuje

we

289

śnie odgadnąć, kim on jest. W tym śnie po prostu się schronił i czerpie z niego odpoczynek.

Elizabeth obserwowała, niezdolna odwrócić wzroku, jak miecz skrobie czubkiem o kamienną podłogę, jak Hunter go wydobywa z pochwy i wznosi wysoko, a potem powoli opuszcza. Widziała głowę i tors Adama po lewej stronie Marka; resztę ciała chłopca przesłaniała klęcząca sylwetka ojca. Pani Mallory patrzyła skupionym wzrokiem i paliła papierosa. Ostrze dotknęło gardła Adama. Kropelki krwi pojawiły się na końcu główki.

- Tnij - powiedziała pani Mallory.

Hunter jęknął. Ściągnął ramienia i dłonie naprężyły się i trzeszczały, gdy całą siłą woli próbował się przeciwstawić rozkazowi. Był znacznie silniejszy od Cawdora. Może również silniejszy od Rodrigueza. Elizabeth słyszała, jak rwał mu się mięśnie, coś pstryknęło, jakby w nadgarstku, a potem rozległ się trzask pękającej łopatki, gdy Hunter uparcie stawiał opór. I krzyknął, bo cierpiał katusze.

- Przełóż miecz do drugiej ręki - zażądała pani Mallory. Jej papieros wypalił się prawie do końca i tlił się już tylko przy skórze palców. Głos wiedźmy brzmiał niecierpliwie. Miecz przesunął się po podłodze. Hunter ścisnął rękojeść w lewej dłoni. Z drżeniem ciała stawiał hipnozie opór. Prawe ramię zwisało mu u boku. Elizabeth widziała, że sytuacja staje się beznadziejna. Wyjęła z kieszeni kubek i rozrzuciła kości na podłodze przed zimnym kominkiem. Zabrzęczały, potoczyły się i zamarły. Pani Mallory spojrzała szybko w tę stronę, ale zaraz wróciła wzrokiem do Huntera.

- Oprzyj - rozkazała. Hunter obrócił rękojeść i położył miecz płazem na gardle syna. Zadrżał i jęknął.

Pani Mallory cisnęła pet do kominka. Spojrzała na kości. W śniegowej poświacie Elizabeth zauważyła, że jej źrenice się rozszerzyły. Wiedźma lubiła hazard. Przecież w brezentowej ka-

tedrze stał karciany stół, a chłopiec widział w snach specjalny, pozbawiony okien pokój do gry w jej londyńskim domu.

- Co to takiego? - spytała. - Chyba nie chce pani ze mną grać?

- Czy klątwa rzucona na chłopca to całkowicie pani dzieło?

- To nie pani interes.

- Pani komuś służy. Albo czemuś. Mam rację, pani Mallory?

- Nawet jeśli tak jest, to klątwę, o której pani mówi, rzuciłam wyłącznie dla własnej rozrywki.

Elizabeth sądziła, że nie chodzi wyłącznie o rozrywkę, ale nie chciała drażnić tego tematu.

- A zatem może ją pani wycofać bez żadnych reperkusji?

- Zaczyna mnie pani irytować - oznajmiła pani Mallory. - Może pani umrzeć w sposób dobry albo bardzo podły, pani doktor. Nie warto mnie drażnić.

- Trzy rzuty kośćmi - zaproponowała Elizabeth. Skinęła głową w stronę dwóch sześcianów z kości słoniowej leżących na kamiennej podłodze. -

Gramy na najlepszy z trzech rzutów. Jeśli suma punktów na górnych ściankach wyniesie sześć lub mniej, wygrywam. Wynik od siedmiu do dwunastu to pani zwycięstwo.

Pani Mallory zaśmiała się krótko, patrząc na kości. Zapaliła nowego papierosa.

- Nie mogę wygrać nic, czego bym już dotychczas nie miała - stwierdziła.

- Ale czy może się pani oprzeć pokusie gry? - Elizabeth szeroko rozłożyła uniesione ramiona. Czowała, że zeszywniały, a gest wykonała z przymusem. Ze strachu ścisnęła ją w żołądku. Nie poznawała własnego głosu. - Nudny wieczór w ponurym miejscu. Trochę rozrywki się przyda, prawda?

Pani Mallory uśmiechnęła się szeroko. Zęby miała bardzo białe w ustach wyglądających niemal jak czarne w księżycowym świetle, które odbite od śniegu wpadało przez okna domku.

- A jeśli przegram? Chce pani, żebym wycofała klątwę? Oczekuje pani ode mnie litości?

- Oczekuję czegoś więcej - odparła Elizabeth. - Jeśli pani przegra, zgodzi się pani na wygnanie.

Pani Mallory znów się zaśmiała, ale nadal wpatrywała się w kości na podłodze.

- Do miejsca, które wybiorę. Na okres, jaki wyznaczę - kontynuowała Elizabeth.

- Jest pani blisko związana ze swoją matką?

- Tak.

- Jeśli ja wygram, jej życie przepada.

- Zgoda.

- Czy chce pani wiedzieć, w jaki sposób umrze?

- Nie.

- Postanowiłam ją spalić. Niech pani już teraz zacznie ją opłakiwać.

Niewiele pani czasu zostało.

- Jeszcze pani nie wygrała.

Pani Mallory zamilkła. Jedynym dźwiękiem w pokoju był powolny oddech Huntera, który zastygł jak urzeczony. Pani Mallory nie musiała mieć z nim kontaktu wzrokowego - tak jak w Magdalenie - żeby go zamrozić w tym stanie. Teraz była silniejsza niż wtedy, gdy osłabiła ją przebiegła i sprytna panna Hall. Ile w niej teraz siły? - zastanawiała się Elizabeth. Mózg zszokowanego Huntera stworzył mu skuteczną ochronę przed cielesnym bólem. Ochronę przed myśleniem o potwornej zbrodni, do której go zmuszano.

We śnie Adama pojawia się znajomy element. Dom, a w nim tykający zegar i błyszcząca od politory kredens. Maślany zapach podgrzewanych racuszków. Pani Bancroft podaje mu kubek gorącej czekolady. Adam nie jest pewien, czy zdoła ją wypić, ponieważ gardło go pali. Wtedy kobieta uśmiecha się, pochyla ku niemu i mówi:

- Nie martw się, Adamie, nie będziesz się musiał zwracać do mnie po imieniu. Masz rację, jestem na to o wiele za stara.

Pani Mallory uniosła się z fotela i zdjęła płaszcz, strząsając z ramion soboli kołnier. Kucnęła na kamiennej podłodze przed kominkiem, zebrała kości do skórzanego kubka i potrząsnęła nim. Włosy opadały jej luźno na twarz, spływały na ramiona i plecy, blado błyszcząc w księżycowej poświacie odbitej od śniegu. Elizabeth zauważyła, że rozerwane na piersiach ubranie samo się zszyło. Zsunęła się z fotela i uklękła obok wiedźmy. Z bliska czuła zapach natarczywego seksu przykryty słodkim zapachem ciężkich perfum. Satynowa suknia opinała długie nogi, płaski brzuch i jędrne piersi. Cała sylwetka emanowała zniewalającą uwodzicielską siłą. Elizabeth czuła się w jej obecności pokonana i słysząc grzechot kości w kubku, dochodziła do wniosku, że chyba nie da się wygrać z taką przeciwniczką.

- Pani rzuca pierwsza - powiedziała pani Mallory.

Elizabeth wzięła kubek. Palce kobiet otarły się o siebie. Spodziewała się, że dotyk będzie lodowaty, ale teraz był raczej ognisty. Potrząsnęła kośćmi.

- Są stare - stwierdziła pani Mallory. - Ale mam wrażenie, że dla pani to coś nowego. Niektórzy gracze chuchają na kości, żeby przyniosły im szczęście.

- A pani?

- Nie pokładam zbyt wielkiej wiary w łut szczęścia.

- Ale w Magdalenie bardzo się pani przydał?

- To było zrządzenie losu.

- Więc dlaczego pani gra, jeśli nie wierzy w łut szczęścia?

- Mieć szansę to nie to samo, co mieć szczęście w grze. Elizabeth rzuciła.

Kości podskoczyły i zatrzymały się, obie

pokazując szóstki. Nie mogło być bardziej korzystnego wyniku dla przeciwniczki. Jednak Elizabeth odniosła wrażenie, że nie ingerowano w ich ruch. Uczciwie przegrała. W drugim końcu pokoju Hunter drżał nad ciałem śpiącego syna. Płaska stalowa głownia miecza połyskiwała w poświacie listopadowego księżyca.



Pani Mallory zabrała od Elizabeth kubek i zgarnęła do niego kości. Potrząsnęła. Uśmiechnęła się do Elizabeth zwężonymi oczyma i energicznym obrotem nadgarstka wyrzuciła kości na podłogę. Tańczyły i podskakiwały, jakby flirtując z losem. Wreszcie stanęły. Elizabeth zobaczyła wynik: na górnych ściankach czarne kropki na białym tle pokazywały dwa i cztery oczka.

- Ostatni rzut - zapowiedziała pani Mallory nieco głośniej. -Już niedługo, pułkownik Hunter. Zaraz osobiście dopilnuję pana, pułkownika, i Adama. - Zebrała kości do kubka i podała go przeciwnicze. Elizabeth zauważyła, że szare oczy wiedźmy rozszerzyły się w taksującym spojrzeniu.

- Spróbuj pani wpłynąć na wynik?

- Oczywiście.

- Więc jaki sens ma gra? Jeśli rezultat jest z góry określony, przypadek nie gra roli. Nie istnieje.

- Kiedyś wyglądałam jak pani - powiedziała pani Mallory. -Nawet dość mi się to podobało. Byłam ładna, jak pani, miałam te same kocie rysy, jak wszystkie z nas obdarzone tym szczególnym talentem. Z czasem jednak zmieniłam się, tak było pragmatycznie. I chyba nieźle mi się to udało. - Ruchem głowy wskazała na skórzany kubek w dłoni Elizabeth. - Spróbuję wpłynąć na wynik. Pani też. Na tym polega gra. Hazard mnie bawi. A od czasu wygranej w Magdalenie w zasadzie nie grałam. Jest pani gotowa, panno Bancroft?

Elizabeth potrząsnęła kubkiem i chuchnęła na kości.

- Ale duch. - Pani Mallory zaśmiała się. Elizabeth rzuciła.

Sześcianiki z kości słoniowej koziółkowały w powietrzu, jakby nic nie ważyły. Spowolnionym ruchem opadły na zimne, porysowane, kamienne płyty. Uderzyły w podłogę z odgłosem też jakby spowolnionym, odbiły się, znów podskoczyły z przedłużonym, rozciągniętym turkotem, kpiąc sobie z czasu i grawitacji. Jedna kość się zatrzymała i Elizabeth z łomoczącym z przerażenia sercem zobaczyła pięć oczek. Usłyszała salwę śmiechu w gęstniejącym powietrzu, w którym druga kość wydawała się

wisiec kilka centymetrów nad podłogą. Aż trudno było oddychać. Sześcienny kształt falował, zmieniał swą prostopadłościenną geometrię w tak odrażającą formę, że Elżbieta poczuła w gardle kwas - zbierało jej się na wymioty.

Zamknęła oczy. Miała nadzieję, że pani Mallory wyplukala się z sił. Znaczną ich część roztrwonila na zniewazanie natury przez cale swoje dlugie zycie. Teraz jednak opór Marka Huntera musial ją zmęczyć. Z pewnością nie spodziewala się tak konsekwentnego sprzeciwu ojca, który czerpal moc z miłości do syna. To ją sporo kosztowalo. Tymczasem Elizabeth czula się mloda i pełna energii. Nie miała w tym doświadczenia, była zupełną no-wicjuszka, ale matka zapewniala ją o wielkiej, drzemiającej w niej sile. Zebrała teraz swoje wewnetrzne zapasy prawie nienaruszone i przekonala się ze zdziwieniem, że są niespożyte.

- Nie - uslyszala od wiedźmy.

- Chyba mnie pani nie docenila.

- Nie - powtorzyła pani Mallory. Jej starczy obecnie głos piskliwie zgrzytal.

- Nie może pani.

- Mogę - odparla Elizabeth. -1 zrobię to.

Otworzyła oczy. Druga kość - o tradycyjnym kształcie - lezala kilka centymetrów od pierwszej. Pokazywala jedno oczko, zgodnie z wola Elizabeth. Wygrala. Pani Mallory stanęła obok klęczącej przeciwniczki. Wložyla płaszcz i otulila się sobolowym kołnierzem. Dotrzymywala słowa. Gotowa była do odjazdu, ubrana na wygnanie. Potrzebny jej był miękki dotyk futra na ramionach. Tam, dokąd się udawala, panowaly prawdziwe mrozy. Elizabeth powstala z kolan. Zwycięzyła i nie musiala już przybierac unizonej pozy.

- Gdzie mi każe pani jechać? Elizabeth wskazala jej to miejsce.

- Jak dlugo każe mi pani tam zostac?

Pani Mallory dostala odpowiedź. Uśmiechnęła się.

- Bezlitosne wygnanie - stwierdzila, wkładajac skórzane rękawiczki.

- Akurat pani nie ma prawa mówić o litości.

Kobieta ruszyła do drzwi wejściowych. Nawet nie spojrzała na Marka Huntera i jego syna. Do domku wdarło się zimne powietrze. Elizabeth musiała się oprzeć o fotel. Kręciło jej się w głowie: odkryła w sobie niesamowity dar, odniosła zwycięstwo. Nie posiadała się z radości. Pani Mallory miała rację. Tylko jedna z nich cieszyła się ze spotkania. W rezultacie to ona, Elizabeth, miała z tego dużo radości, ku własnemu zaskoczeniu. Teraz uleczy Huntera. Bardzo cierpiał, ale zajmie jej to tylko krótką chwilę.

- Nie - powstrzymał ją. Głos miał ochrypły, nabrzmiął bólem. Delikatnie położył dłoń na szyi syna. Rana była powierzchowna, zwykle pęknięcie skóry. Elizabeth naprawi to w okamgnieniu.

- Słyszałem wszystko. Modliłem się o twoje zwycięstwo. Poszła sobie?

- Poszła.

- Pokonałaś ją.

- A teraz cię wyleczę.

- Koniec z magią - oznajmił Hunter.

- Co takiego?

- Koniec z magią. Na zawsze.

- To w jaki sposób chcesz się wykurować?

- Powoli i mozolnie. To moja pokuta za to, co zrobiłem w Magdalenie, i za cierpienia, których przysporzyłem Adamowi. - Spojrzał na nią. - Dość magii, jeśli chcemy być razem. A ja bardzo chcę być z tobą, Elizabeth. Magia musi się jednak skończyć. Tu i teraz. Wiesz, dlaczego?

Wiedziała. Oczywiście że tak. Miała również w sobie rozwagę i ostrożność swojej matki. I wierzyła, że na świecie istnieje magia poza domeną czarnoksiężstwa. Uklękła i z uśmiechem delikatnie przytuliła ukochaną kobietę.

## Epilog

Był ciepły lipcowy wieczór. Elizabeth czuła pod kocem piknikowym nagrzane kamyki morskiej plaży. Adam i Mark stali tuż przy wodzie i puszczali kaczki. Słońce zachodziło, morze było spokojne. Mark płynnymi, silnymi i niezawodnymi ruchami płasko i zdecydowanie ciskał kamienie. Rehabilitacja odbyła się w Edynburgu. Główną operację przeprowadzili dwaj wybitni chirurdzy, znajomi matki Elizabeth. Mark odznaczał się wrodzoną siłą. Duża wytrzymałość na ból również pomogła w kuracji, ponieważ nigdy nie wykręcał się od ćwiczeń zalecanych przez terapeutów. Ćwiczył i ćwiczył, a teraz Elizabeth obserwowała rezultaty. Jeśli jej matka uważała, że to niepotrzebnie skomplikowany sposób przywracania mu zdrowia, nigdy tego głośno nie powiedziała. Elizabeth przypuszczała jednak, że matka czuje ulgę i całkowicie aprobuje jej poglądy w tej sprawie. W życiu obu kobiet minął już czas działań sprzecznych z naturą. Kiedy skończyli zabawę, słońce zaszło i Adam wrócił tam, gdzie wcześniej zrobili sobie piknik. Ojciec został nad wodą, na brzegu wielkiego Atlantyku, który w tę letnią noc był łagodny niczym staw. Chłopiec usiadł na kocu przy Elizabeth.

- Jak ci się wydaje, o czym on teraz myśli?

- Och, znasz tatę. Rozmyśla o skokach z samolotu z wielkim pistoletem. To męczyzna sentymentalny. Tęskni za tajnymi misjami, gdy tępił wrogów Korony.

Elizabeth roześmiała się.

- Prawdopodobnie wybiera imię dla niemowlęcia.

- Jeszcze nie wiemy, czy to chłopiec, czy dziewczynka.

- Więc ma mnóstwo imion do wyboru. - Adam też się roześmiał. -

Prawdopodobnie będzie tam tkwił całą noc.

- W takim razie musi uważać na przyptływ.

- Założę się, że wybierze Ewę. O ile to dziewczynka.

- Nie martw się. Zagrozę rozwodem, jeśli to zasugeruje.

Adam milczał przez chwilę. Elizabeth wiedziała, co teraz nastąpi. Nigdy wcześniej o tym nie mówił, ale była pewna, że właśnie teraz o to zapyta.

Podniósł wzrok na wschodzący księżyc i na morze połyskujące za odległą sylwetką ojca.

- Czy sądzisz, że ona kiedyś powróci?

Elizabeth zadrżała. Przez koc czuła promieniujące ciepło. Wieczór był łagodny, ale zadrżała mimo to.

- Powiadają, by nigdy nie mówić „nigdy”, Adamie. Ale sądzę, że to niesłychanie mało prawdopodobne.

- To dobrze.

- Dlaczego o tym pomyślałeś?

- W szkole, w programie angielskiego, jest Brooke. Dlatego sobie o tym wszystkim przypomniałem. - Wzruszył ramionami. - Nie przeszkadza mi to. Tyle czasu upłynęło i wydaje się, że to wszystko było złym snem, z którego się obudziłem. I jak inne sny z czasem zblednie.

- To właściwe podejście do tych spraw.

Uśmiechnął się figlarnie. Znowu spojrzął na księżyc i na morze.

- Gdzie ją wysłałaś?

- Dlaczego myślisz, że gdzieś ją wysyłałam?

- Po prostu wiem, że to zrobiłaś. Gdzie ona jest?

- Jest w miejscu bardzo ciemnym, zimnym i odludnym.

- Nie masz zamiaru mi powiedzieć, prawda? Elizabeth zwichrzyła mu dłońią włosy.

- Zła macocha musi trzymać pewne rzeczy w sekrecie, Ada. W przeciwnym razie, nie mogłaby się nazywać złą macochą.